



RACHAEL
HERRON

Przez te dni czułam się
jak najbardziej samotna
Susan Wittig

*Kocha,
nie kocha*

Pogranicze

Herron Rachael

Kocha, nie kocha

Abigail już od dłuższego czasu pragnie życiowej zmiany. Kiedy niespodziewanie dostaje spadek, wyjeżdża, uciekając od wielkomiejskiego gwaru i osiedla się w nadmorskim kalifornijskim miasteczku. Odziedziczony dom chce przekształcić w pracownię, w której będzie mogła całymi dniami tkąć, projektować i robić na drutach. Jednak nowy sąsiad Abigail nie wita jej z otwartymi ramionami. Niewiarygodnie przystojny Cade, właściciel wszystkiego, co otacza rudere, która stała się nowym domem Abigail, uważa seksowną dziewczynę z wielkiego miasta za intruza. Jednak coś wyraźnie przyciąga tych dwoje jakże różnych od siebie ludzi, mocniej, niż mogliby przypuszczać. A kiedy Abigail musi się ponownie zmierzyć z wydarzeniami z przeszłości, o których chciała raz na zawsze zapomnieć, jedyne co jej pozostaje, to zaufać przystojnemu adwersarzowi i powierzyć mu nie tylko tajemnice swojego serca...

Rozdział 1

Czasem najtrudniejszy jest pierwszy rząddek. Kiedy nie wiesz, co robić, sama myśl o rozpoczęciu robótki może być przerażająca. Lepiej więc odłóż swoją książkę i zagłądaj do niej tylko wtedy, kiedy musisz. Od teraz po prostu dzielnie nabieraj oczka.

E.C.

Abigail napała na metalową klamkę i uwiesiła się na niej całym ciężarem ciała. Dłoń ześlizgnęła się nie wiadomo kiedy i ramię wpadło pomiędzy pręty bramy.

- Cholera! To boli. - Dziewczyna wyciągnęła je i ostrożnie potarła łokieć; jutro na pewno będzie miał kolor bakłażana.

Brama pozostawała zamknięta.

Otworzy to cholerstwo, nawet jeśli będzie musiała wgryźć się w nie zębami! Przecież to brama wjazdowa - tego była pewna - i sforsowanie jej to jedyny sposób, żeby dostać się na zwirowy podjazd. Żadnych zamków. Klamkę udawało się przekręcić do połowy, ale co z tego, jeśli Abigail nie miała pojęcia, jak ją otworzyć. Pociła się w późnym październikowym słońcu, czując, że włosy na karku zaczynają się skręcać w loki.

Wyprostowała się i wzięła głęboki oddech. Tuż za nią stała mała, czerwona półciązarówka z niewyłączonym silnikiem, powarkując, jakby szydziła z jej wysiłków. Mogłaby przestać.

Powyżej, na grani brunatnego pagórka, w końskim siodle siedział jakiś mężczyzna. Widziała go pod eukaliptusami, ale odległość pozwalała jedynie na stwierdzenie płci i nic więcej. Czy to możliwe, że facet ją obserwuje?

Nie, niemożliwe. Zapewne wcale jej stamtąd nie widzi, w przeciwnym wypadku by zjechał i przynajmniej zobaczył, czego tu szuka. Najprawdopodobniej patrzył gdzieś dalej, ponad doliną, ku rozpościerającemu się za plecami Abigail oceanowi.

Abigail była cała spocona i dyszała ciężko. Nie, w takim stanie nie nadawała się do poznawania kogokolwiek, ale żałowała, że kowboj nie zjedzie i nie pomoże jej otworzyć upartej bramy. O ile zaganiaczy na owczej farmie można nazwać kowbojami... Jak się ich właściwie nazywa?

Uniosła głowę i spojrzała ku wzgórzu. Ponieważ mężczyzna robił wrażenie, że ją obserwuje, wysiliła się na uśmiech i pomachała doń radośnie.

Żadnej reakcji.

Pomachała jeszcze raz, tym razem trochę bardziej nerwowo, chociaż całą sobą próbowała nie okazywać desperacji.

Tyle że po prostu musiała przejechać przez tę bramę. Abigail podskoczyła kilka razy i zakreśliła ramionami jak wiatrak. Tego nie można nie zauważyć! A jednak.

Kowboj odwrócił głowę. Sekundę później to samo zrobił koń. Wyglądało na to, że obaj wespną się na szczyt i znikną.

- Nie! Proszę! - krzyknęła Abigail najgłośniej, jak potrafiła. Resztki wstydu przewiał wiatr znad oceanu. -Wracaj!

Myślała, że nie usłyszy, ale odwrócił ku niej głowę. Po chwili ruch powtórzył koń.

Abigail wycierała już brudne i pocierane ręce o nowiutkie wranglery. Miała nadzieję, że kurz i ziemia sprawią, iż spodnie nie będą błyszczały nowością. Mężczyzna właśnie się zbliżał, a ona stwierdziła, że jadący wierzchem kowboj jest prawdziwy, z tych, którzy mają swoje zdanie na temat noszenia dżinsów prosto ze sklepu. Po raz ostatni otarła dłonie o uda i pomachała.

- Dzień dobry! - krzyknęła.

I natychmiast zapragnęła się wycofać z tego powitania. „Dzień dobry” zupełnie nie pasowało do sytuacji, a cierpiętnicza mina jeźdźca świadczyła, że nie zabrzmiało najlepiej.

Mężczyzna był zdumiewający, tak jak zdumiewające jest wszystko, co rzeźbi natura. Abigail miała wrażenie, że jego kości policzkowe były jak wyciosane dłutem - wyraziste i osmagane wiatrem. Oczy miał zielone jak trawa na wzgórzu za jego plecami, a jego smukłe mięśnie były równie piękne jak mięśnie jego wierzchowca.

Dziewczyna otworzyła usta, ale wydała z siebie zaledwie nieartykułowane piśnięcie.

Jednak po chwili udało jej się wreszcie coś z siebie wydobyć.

- Ojej! Pan jest prawdziwy!

W tej samej chwili zdała sobie sprawę, że można powiedzieć coś znacznie głupszego niż „dzień dobry”.

- To znaczy, chciałam powiedzieć... Witam. Abigail wyciągnęła dłoń i zdała sobie sprawę, że

mężczyzna jest nie tylko trzy metry od niej, ale wciąż

rozdzielają ich płot i brama. Nie mówiąc już o tym, że on siedzi w siodle, a ona stoi na ziemi.

Potrząsnęła wyciągniętą dłonią, tak jakby bolało ją całe ramię, i spróbowała rozluźnić mięśnie. Później włożyła ją do kieszeni dzinsów, które być może były tylko nieco za ciasne.

- Pan tutaj pracuje? Czy mógłby mi pan pomóc otworzyć bramę? Jest zamknięta, a ja nie miałam o tym pojęcia. Czy to jest główne wejście? Czy można się tu dostać jakoś inaczej? - Przerwała na chwilę. - Czy zadaję zbyt wiele pytań?

Uśmiechnęła się, czekając na podobną reakcję.

Nic. Kiedy zasypywała go gradem pytań, oczy kowboja robiły się coraz większe, ale nie uśmiechał się ani też nie próbował odpowiedzieć na żadne.

Podjechał blisko bramy i nachylił się, otwierając tę głupią klamkę jedną ręką. Brama ruszyła; otwierała się szybko, wprost na Abigail.

- Już, już! - powiedziała, usuwając się w tył. - W porządku. Już schodzę z drogi. Dziękuję.

Wskoczyła do swojej półciężarówki, tej z włączonym silnikiem, przejechała przez bramę i wysiadła z wozu tuż za nią.

Kowboj siedział w siodle i nie przestawał się przypatrywać.

Pchnęła bramę, cięższą niż na to wyglądała, zamknęła ją i zablokowała klamką. Metal zdarł z dłoni kilka warstw naskórka i Abigail wiedziała, że prawdopodobnie krwawi, ale nie zwracała na to uwagi. Podniosła oczy na kowboja.

- Dziękuję - powiedziała.

Weszła do samochodu i już miała ruszyć zwirowym podjazdem, kiedy mężczyzna odezwał się głośno:

- A tak w ogóle... To co to jest? Wrzuciła luz i wyjrzała przez otwarte okno.

- Co to znaczy: co to jest?

- To coś, czym pani jeździ. Abigail nie zrozumiała.

- To nissan.

O co mu chodzi?

- To ma być półciężarówka?

No świetnie! Do tego jeszcze facet jest wredny. Może ona i ten drugi właściciel powinni go zwolnić? Oczywiście, kiedy tylko Abigail już się w tym wszystkim zorientuje.

- Jest moja. Coś się panu nie podoba?

- Jakoś głupio wygląda. Co pani nią wozi?

- Może głupio, ale zawsze jedzie tam, gdzie ja chcę. Przykro mi, jeżeli jej widok pana razi.

- Prawdę mówiąc, nie. A wkładała pani coś na pakę? To znaczy: oprócz siatek z zakupami i kanapy koleżanki?

- Jak dla mnie to wystarczy. Dziękuję za troskę. - Strzelała słowami jak z karabinu (i dzięki Bogu!), ale czuła się dziwnie mała. Była rozczarowana. Przejechała taki szmat drogi, uczucie szczęścia rozpierało ją jak balon, w który teraz nagle ktoś wsadził szpilkę.

Cóż, może najlepiej będzie zapomnieć. Abigail włączyła w swoim ulubionym samochodziku pierwszy bieg i ruszyła z kopyta. Spod opon trysnął żwir. Nie chciała płoszyć biednego konia, na którym siedział ten gość, ale miała nadzieję, że wystraszy jeźdźca chociaż trochę. Co za osioł!

Ale, ale... Przecież właśnie nadeszła chwila, na którą czekała tak długo. Zaraz zobaczy swój całkiem nowy dom. Dom, w którym będzie mogła zacząć wszystko od nowa.

Podjechała pod niewielkie wzniesienie, a później zjechała na jego drugą stronę, mijając dęby, eukaliptusy i stada owiec. Prawdziwych, żywych owiec! Zwierzęta ustawiły się malowniczo na zboczu pagórka, jak gdyby stanowiły część idealnego obrazu, zawieszzonego przez kogoś specjalnie dla niej. Minęła niewielki staw, który wyglądał bardziej malowniczo niż użytkowo. Choć z drugiej strony - co ona wie o życiu na wsi? Nic. Ot co.

Wszystko jednak miało się zmienić. Tu i teraz.

Niespodziany widok sprawił, że Abigail wstrzymała oddech. Drewniany dziewiętnastowieczny dom pośrodku farmy, pomalowany na biało, z ciemnozielonymi wykończeniami, wyglądał na miejsce, które kochano, które swoje przeżyło i które naprawdę mogło zostać nazwane domem. Dziewczynę ogarnęło uczucie, jakiego nie pamiętała od bardzo dawna. Tuż obok budynku rosło kilka dębów, których pnie rozchodziły się szeroko przy ziemi, a konary wyrastały wysoko, ogarniając wszystko dobrym cieniem.

Miejsce, w którym można czuć się bezpiecznie.

Z tyłu i po prawej stronie stał podobny, choć mniejszy domek - miniaturowa wersja pierwszego. Serce Abigail aż podskoczyło z radości; czy właśnie w tym cudownym miejscu będzie spała? A może urządzi sypialnię w większym, a w mniejszym tylko pracownię?

To było właśnie to. Coś, o czym marzyła. Prawdziwy dom.

Nogi stapały po żwirowym podejździe. Na twarzy Abigail czuła delikatny oddech wiatru, który zaszeleścił w usychających dębowych liściach. Jakże inny dźwięk od ryku silnika samolotu nad miastem! Nie słyszała niczego więcej, może tylko szum krwi w uszach i szybkie bicie własnego serca.

Kiedy wspinała się na cztery niewysokie stopnie prowadzące na półkolisty ganek, nakazała sobie spokój. Przecież to nie ma sensu. To zbyt piękne, by było prawdziwe.

Zastukała w lekko uchylone drzwi.

Bez odpowiedzi.

Czy to jest dzwonek? Abigail przekreśliła staromodną rączkę w kształcie skrzydła i w środku rozległ się dźwięczny odgłos.

Czekała, czując na plecach powiew wiatru, który powodował dreszcz. Dobry dreszcz.

Zastukała ponownie.

Znowu nic.

Lekko pchnęła drzwi.

Czuła się cudownie, zupełnie jak włamywacz na niby. Musi podziękować za to Elizie.

Znalazła się w maleńkim pomieszczeniu, z którego wprost do rozświetlonych pokoi prowadziły umieszczone po obu stronach drzwi. Tuż przed sobą zobaczyła schody na górę, a na nich chodnik w barwie czerwieni, wyblakły i wytarty przez dziesiątki stóp. Po lewej było coś, co wyglądało jak jadalnia; stał tam duży, ciężki, drewniany stół ozdobiony srebrnym imbrykiem do herbaty. Abigail dostrzegła ciemnoniebieskie serwetki z żółtymi kwiatami. A na ścianach, w drewnianych ramach, obrazy przedstawiające lokalny krajobraz.

Po prawej ujrzała pomieszczenie wyglądające na bawialnię. Prawdziwą, staromodną bawialnię! A za półkolistym oknem - sąsiedni dom!

Weszła do środka. Antyczna sofa, nieco podniszczony fortepian, kominek z czerwonej cegły i telewizor z płaskim ekranem. Stare i nowe, wszystko pod jednym dachem. Wnętrze robiło wrażenie przytulnego, łącząc przeszłość z teraźniejszością. Wszędzie panoszyły się

książki: na wbudowanych w ściany półkach, w stosach na stołach, ustawione w stertę na bujanym fotelu w rogu pokoju. Na wygodnym, wysokim skórzanym fotelu ze zbyt dużą liczbą poduszek drzemało wielkie, żółte kocisko. Na jego futro padał promień słońca, ale kot ledwie raczył otworzyć oko, żeby spojrzeć na intruza.

Abigail była w siódmym niebie.

Gdzieś za sobą usłyszała trzaśnięcie drzwi i czyjeś kroki. Powstrzymała okrzyk przestachu i odwróciła się gwałtownie.

Aha, to ten kowboj. Wygląda na rozwścieczonego. - Co pani, do cholery, robi w moim domu?

Rozdział 2

Osoby pasjami robiące na drutach niechętnie rozstają się z włóczką. Jeśli dostają jakąś w prezencie - wełnę, angorę czy alpaka - nie odmawiają. Wiedzą, że pewnego dnia podarunek na coś się przyda (oczywiście, nie dotyczy to akrylu. Od akrylu trzeba uciekać jak najdalej).

E.C.

- To pan tu mieszka?

- Może jednak zechciałaby mi pani powiedzieć, co dokładnie pani tutaj robi?

- Nazywam się Abigail Durant. Jestem nową współwłaścicielką. A pan to niby kto?

Miała nadzieję, choć z minuty na minutę coraz słabszą, że mężczyzna powie, iż jest nowym zarządcą farmy albo sąsiadem, albo kimkolwiek... Po jego postawie wiedziała jednak, co usłyszy.

- Nazywam się Cade MacArthur. Jestem jedynym właścicielem. Wygląda na to, że mamy sobie coś do wyjaśnienia, więc proponuję zrobić to szybko.

Gdy na kamykach żwirowego podjazdu zachręściły opony samochodu, Abigail odwróciła głowę. To albo prawnik, który kazał jej tu przyjechać i poczekać

na odczytanie testamentu, albo jakiś kumpel Cade'a. Oby to był ten pierwszy!

- Na Boga, a to kto? - zapytał MacArthur, ściągnając gwałtownym ruchem kapelusz z głowy i rzucając go na komodę. We wnętrzu mebla zadygotała porcelana.

- Nie dostał pan listu? Nie wie pan, że ma zostać odczytany testament?

- Wiem na pewno, że to nie dzisiaj.

- Jest szesnasty.

- Cholera.

Rozległo się pukanie do drzwi. Cade otworzył je i wpuścił do środka niewysokiego, bladego mężczyznę w garniturze, który powitał ich uśmiechem.

- Witam, Cade. A pani to zapewne panna Durant? Miło mi panią poznać. John Thompson, do usług. Tędy? To nie potrwa długo. Ja się z takimi rzeczami nie patyczkuje.

Minał oboje i przeszedł do następnego pomieszczenia, jak się okazało - kuchni. I znów połączenie starego z nowym: piec kuchenny, pamiętający chyba czasy pierwszych instalacji gazowych, a obok błyszcząca czarna lodówka. Ukochane przez kogoś garnki i patelnie lśniły na wiszącej na ścianie drewnianej suszarce. W rogu stał srebrno-czerwony stół z plastikowym blatem, a nad nim widniał kalendarz rolniczy reklamujący jakieś zboże.

Uśmiechnięty prawnik przysunął krzesło do stołu i gestem poprosił, aby usiedli. Wyjął z teczki spięte arkusze papieru i wręczył każdemu po jednym egzemplarzu. Abigail przysiadła tuż obok.

- Możemy to zrobić na sposób staroświecki. Wówczas odczytam wam słowo po słowie. Albo omówię całość pokrótce, to zaś, co jest drobnym drukiem, przeczytam na końcu - powiedział.

- Tak będzie lepiej - odparł stojący przy piecu kuchennym Cade. - Zróbmy to od razu.

- Eliza Carpenter zmarła dwa tygodnie temu. Poprosiła mnie... - Prawnik przerwał, bo Abigail uniosła dłoń.

- Chwileczkę, chcę o coś zapytać. A pogrzeb? Co się z panem wtedy działo? - Zwróciła się do Cade'a. Na pewno nie był obecny, przecież by go zapamiętała. Nawet pogrążona w bólu i cierpieniu zauważyłaby te oczy. I te szerokie ramiona.

- Nie mogłem pojechać na cmentarz. Musiałem zostać na gospodarstwie.

- Nie mógł pan wziąć wolnego na pogrzeb ciotki? -Nie.

- No cóż... Choć zapewne ona chciałaby, żeby pan tam był.

- Ona nie żyje. A w takim stanie na pewno nie zauważa się braku gości.

- Inni z pewnością dostrzegli pana nieobecność.

- Inni mnie nie obchodzą. Obchodzi mnie gospodarstwo. I nie muszę tłumaczyć się przed obcymi. To również wiem na pewno.

- Rozumiem - powiedziała Abigail. Dobrze. Skoro postanowił, że będzie się zachowywał okropnie... Odwróciła się do Cade'a plecami. - Proszę mi wybaczyć, panie Thompson. Kontynuujmy.

- Tak, oczywiście. - Prawnik bawił się na stole czymś, czego tam nie było. Kręcił palcami. W każdych innych okolicznościach Abigail zaproponowałaby mu coś do picia, wodę albo kawę. Ponieważ jednak nie zrobił tego gospodarz, ona mogła się tylko przyglądać.

I czekać.

W ubiegłym tygodniu dowiedziała się od prawnika tyle, że ma gdzie mieszkać; przyjechała tutaj, nie wiedząc nic ponad to. A teraz nawet tego nie była pewna.

Zabijały ją niepewność i napięcie. Zaciśnęła pięść i wbiła paznokcie w skórę.

- W takim razie dobrze. A więc, w największym skrócie. .. - Pan Thompson przerzucił kilka kartek, zmarszczył brwi i znalazł to, czego szukał.

- Abigail... Eliza chciała, żebyś dostała ten mały domek. I wszystko, co się w nim znajduje. Oraz ziemię, na której stoi. Cade zaś analogicznie: ziemię, na której stoi duży dom, sam dom oraz wszystko, co w środku. Również całe gospodarstwo. Z wyjątkiem ziemi pod domkiem Abigail.

- No, no... - Dziewczyna wypuściła powietrze z płuc. Cade otworzył szeroko usta, a następnie je zamknął;

wyglądało na to, że nie potrafi wydobyć z siebie ani jednego dźwięku. Odwrócił się twarzą do pieca. Odgłos wypuszczanego przez zęby oddechu sprawił, że Abigail spotniały dłonie.

- No to wspaniale. Teraz będziesz musiała dawać sobie z tym radę.

- Proszę posłuchać, panie MacArthur. Porozmawiajmy o tym.

- Ten domek... - powiedział Cade przez zaciśnięte zęby, wciąż odwrócony do Abigail plecami. - Ten domek absolutnie nie nadaje się do zamieszkania.

- Co takiego?

- Ta zwariowana starucha zagrabiła go pod sam sufit. Powtarzam: zagrabiła. Od podłogi po dach, od ściany do ściany. Przez lata gromadziła tam wszystko, co według niej mogło się przydać.

- No cóż, sam rozumiesz... - rozpoczął prawnik, ale Cade przerwał mu w pół słowa.

- Nikt nie jest w stanie tam zamieszkać. I jeszcze jedno. Nie zapominajmy o najważniejszym. - Odwrócił się gwałtownie. Odepchnął się dłońmi od pieca; pod dżinsową koszulą zagrały mięśnie. - Ja tutaj mieszkam. Na tej ziemi.

Kiedy na nią spojrzął, Abigail zobaczyła w jego oczach dwa sztylety. Gdyby Cade ich użył, pan Thompson mógłby od razu dzwonić po pogotowie.

- Ja tu mieszkam - powtórzył. - To mój dom. Nie mogę uwierzyć, że stara mi to zrobiła. Szlag by ją trafił! Zawsze mówiła, że wie, co dla mnie dobre. Ale ja tego nie rozumiem. Zajmowałem się jej gospodarstwem, ratowałem farmę tylko po to, żeby mogła pojechać na południe, by poznawać tam jakichś hochsztaplerów i krętaczy. - Rzucił Abigail krótkie spojrzenie. - Nawet nie próbowałem jej wykupić, żeby miała jakie takie poczucie, że wciąż ma tutaj dom, chociaż nigdy do niego nie przyjeżdżała... I co za to dostaję?

Abigail już otworzyła usta, żeby odpowiedzieć, ale mężczyzna uniósł dłoń.

- Proszę, nie. Uratowałem tę farmę. Była w ruinie, ledwo co starczało z niej na życie. Eliza wszystko by przetraciła... A teraz to miejsce cieszy się szacunkiem w całej dolinie. To moje miejsce i mój dom, a pani jest po prostu...

- Ja nie chcę pańskiego domu, panie MacArthur.

- Akurat. Chce pani wszystko. Ale ja będę walczyć.

- Niech pan posłucha. Pan mnie w ogóle nie zna. Nie jestem kimś, kto znajduje przyjemność w unieszczęśliwianiu innych. Dziś rano, kiedy się zbudziłam, nie byłam właścicielką jakiegokolwiek nieruchomości. Więc wejście w posiadanie nawet tak małego domku sprawia mi wielką radość.

Cade przyciągnął sobie krzesło i usiadł gwałtownie, zbyt blisko Abigail. Poczula zapach siana, słońca i czegoś męsko-szorstkiego. Mężczyzna położył na stole obok jej dłoni swoją dłoń. Była olbrzymia i spalona słońcem.

- To nie należy do pani - powiedział przez zęby. Odwrócił się do prawnika i dźgnął palcem w papiery. - John, na ile to wszystko jest realne?

- Masz to czarno na białym, Cade. Poświadczony i złożony u notariusza. Nic z tym nie zrobisz, nawet w sądzie. To jest wyłącznie moja opinia, przyjacielska. Ale jeśli tylko chcesz, możemy przejrzeć te dokumenty punkt po punkcie.

- To najgłupsza rzecz, jaką w życiu zrobiła ta zwariowana staruszka! Abigail poczuła, że jej serce zaczyna bić szybciej.

- Jak pan śmie! To była moja najbliższa przyjaciółka. O mnie może pan wygadywać, co panu ślina na język przyniesie, ale wypraszam sobie mówienie czegoś takiego o niej! Ja ją kochałam.

- A ja to nie? Jeśli już o to pani chodzi.

- Tak się mówi o kimś, kogo się kochało?

Cade odwrócił głowę i spojrzał; był tak blisko, że Abigail czuła na policzku jego oddech. Na chwilę sama wstrzymała w płucach powietrze. Wstała.

- To chyba na razie wszystko, prawda? - Odetchnęła głęboko, żeby udowodnić samej sobie, iż wciąż twardo stoi na ziemi. - Czy jest coś jeszcze, panie Thompson? Coś, co powinniśmy wiedzieć?

- Oczywiście. Jest podatek od spadku i formularze do wypełnienia, ale one mogą poczekać...

- I nic poza tym?

- Już nic.

- Rozumiem.

Abigail miała ochotę rzucić się biegiem do swojego samochodu, posiedzieć w nim przez chwilę, żeby poczuć ponownie ekscytację i śmiałość, które ją tu dzisiaj przywiodły, ale jakoś nie potrafiła. Musi to przetrzymać. Nawet jeżeli przez tego mężczyznę trzęsą się jej ręce.

- No więc... - Odwróciła się do kowboja. - Czy mogłabym dostać klucze do domku? Muszę się tam jakoś na dzisiaj urządzić. - We własnych słowach usłyszała zdecydowanie, ale w duszy nie ustawało drżenie.

Prawnik ponownie wyciągnął do niej przyjazną dłoń. Abigail była mu wdzięczna.

- Na górze są dwie sypialnie - powiedział. - Przecież może pani wybrać jedną i zacząć sprzątanie domku od jutra...

- Co takiego? To mój dom! - zaprotestował Cade.

- A ty, Thompson, bardzo proszę, nie wtrącaj się do moich spraw! Jeśli o mnie chodzi, możesz się związać od razu.

Prawnikowi opadła szczeka. Po chwili zebrał ze stołu dokumenty.

- Sądziłem, że mogę być pomocny. Ale chyba już sobie pójdę.

Abigail odprowadziła go do drzwi. Usłyszała, że Cade otwiera szufladę, w której zadźwięczały sztuce, a następnie zatrząskuje ją tak mocno, że dźwięczą wiszące nad kuchenką patelnie. Aż podskoczyła.

- Bardzo mi pan pomógł. - Zwróciła się do Thompsona przyciszonym głosem. - Nie spodziewałam się, że tak to będzie wyglądać, i nie bardzo wiem, co teraz robić, ale będę pana informować na bieżąco.

- Bardzo proszę - odparł i uśmiechnął się do niej; niewielki mężczyzna o uroczym, ciepłym uśmiechu.

- Jeśli będzie pani miała jakieś pytania albo będzie pani

potrzebowała, żeby ktoś pani pokazał miasto... Wie pani, wieczorami nie jestem aż tak zajęty, a mamy tu kilka dobrych restauracji. Chętnie pani wszystko pokażę.

- Dziękuję. - Abigail potrząsnęła jego dłonią. - Będę o tym pamiętać, ale chyba przez jakiś czas pozostanę zajęta domem. Chcę się tutaj jak najszybciej urządzić.

Gdzieś z tyłu z kuchni usłyszała ryk.

- To nie jest pani dom! - wrzasnął Cade. Po chwili gdzieś w głębi budynku trzasnęły drzwi.

Abigail zamknęła drzwi frontowe i oparła się o nie plecami. Zatrzęsała się na samą myśl o powrocie do kuchni. Wzięła głęboki oddech. Tu jest bezpiecznie. Ten okropny kowboj po prostu jest wściekły. Rozżalony, ale to przecież normalne, prawda? A ona dostała znacznie więcej, niż się spodziewała. Choć i tak musiała uciec z San Diego, i ten dom był jej potrzebny.

Wszystko się jakoś ułoży. Przecież musi. Eliza chciała, żeby jej przyjaciółka zamieszkała właśnie tutaj; zresztą podczas ucieczki z miasta (a miała wrażenie, że było to znacznie dawniej niż dzisiejszego poranka) Abigail spakowała tylko to, co zmieściło się do jej samochodu. Zabrała komputer, szkic ostatniej książki, cały poznaczony na czerwono, ubrania i najlepszą włóczkę - oczywiście alpakę i kaszmir. Resztę rozdała. Rozdawała, nawiasem mówiąc, na prawo i lewo zapasy wełny, większość książek i wszystkie meble. Teraz zaczyna od nowa. Ma w banku trochę pieniędzy i pikapa, który według właściciela rancza nie jest nic wart. I właściwie to tyle.

Nie było tego wiele, ale Abigail i tak nie miała pojęcia, jak pomieści swoje rzeczy w tych czterech ścianach. Mimo wszystko zasługiwała na dobry początek nowego życia.

Rozdział 3

Kiedy nabierzesz już oczka, nie przeliczaj ich w rządku więcej niż dwa razy. Jeżeli ich liczba się nie zgadza, pracuj z nadzieją, że jest dobrze, i przerabiaj ścieg francuski. Jeśli będziesz musiała dodać lub spuścić kilka oczek, to najlepszy moment. Nie bądź zbyt drobiazgowa.

E.C.

Cade słyszał kiedyś o ludziach, którzy z wściekłości nie potrafili rozsądnie myśleć, sam się jednak do nich nie zaliczał. Aż do dzisiaj uważał, że to tylko czcza gadanina. Że w rzeczywistości takie zaślepienie się nie zdarza.

Wychodząc jednak przez drzwi na tyłach domu, przez chwilę rzeczywiście widział na czerwono.

Oślepiła go furia. Bo okazało się, że to nie tylko przysłowie. Wściekłość potrafiła zamroczyć.

Po drodze do stodoły potknął się o własny but, bo nie zobaczył grudy ziemi. Po prostu jej nie zauważył.

Jak ciotka Eliza mogła mu to zrobić?

Płakała nad tą swoją robótką na drutach; kobieta, której nigdy nie podejrzewałby o przebiegłość. Prosiła go, żeby wszystko do końca pozostało jej własnością. „Nie wykupuj domu, Cade”, błagała go, a łzy spływały

z niebieskich oczu po policzkach. „Niech dom, mały domek i ziemia będą na mnie, żebym wiedziała, że wciąż są moje, nawet jeśli będę siedemset kilometrów stąd. A kiedy umrę, wszystko ułoży się samo”.

Wszystko ułoży się samo, pomyślał. Akurat.

Oddać domek? Komuś obcemu? Czy komukolwiek przyszłoby to do głowy? Kto by się zdecydował na taki podział ziemi, na wyrwanie jej kawałka z samego serca farmy? Kto by to zrobił własnej rodzinie?

Cade'a czekało jeszcze mnóstwo roboty. Tom pewnie jest w stodole. Nie, nie mógłby teraz spojrzeć w twarz przyjacielowi, zarządcy farmy, który by mu z pewnością powiedział, co myśli o ostatniej woli ciotki. Choć może Tom, który tutaj dorastał i doskonale znał Elizę, coś by Cade'owi poradził? Może poskładałby te rozrzucone kawałki puzzli i wszystko znowu byłoby jak dawniej?

Cade nie miał jednak ochoty na tę rozmowę. Niezależnie od tego, co mógłby Tomowi powiedzieć, to, co się działo, nie było w porządku. Zjawia się tu jakaś paniusia z miasta, w samochodzie, który nadaje się tylko do wożenia zakupów, i wyrywa człowiekowi spod nóg kawał jego własnej ziemi.

To już nie jest jego farma. Nie wyłącznie.

Choć, prawdę mówiąc, nigdy nie była.

Teraz należała również do niej. Cade nawet nie pamiętał, jak się nazywa ta panienka. Ani skąd pochodzi. Chociaż przypuszczał, a raczej miał nadzieję, że z San Diego. To właśnie tam Eliza spędziła ostatnie dziesięć lat swojego życia. A on nie miał pojęcia, co tam robiła.

Wiedział tylko, że dziewczyna jest prawnikiem. Wygląda zresztą na prawnika. I jest ładna, to trzeba przyznać. Na taki jakiś miejski, ulizany sposób.

No dobra. Więcej niż ładna.

Właściwie: zachwycająca. Co za strata! Gęste włosy koloru kawy, opadające do ramion, zjawiskowo jasne, niebieskie oczy, idealnie wykrojone usta. A to ciało! Składające się wyłącznie z piersi, bioder, krągłości i długich nóg, zestawionych w taki sposób, jakiego nie widuje się w prawdziwym życiu.

W innych okolicznościach byłby zainteresowany, na pewno. To pierwsze, co przyszło mu do głowy, kiedy zobaczył, jak szarpie się z bramą. Że jest w jego typie. Do diabła, jest w typie każdego normalnego faceta!

Wówczas, po kilku sekundach Cade zdał sobie sprawę, że to osoba, o której mówił mu przez telefon Thompson. Ta sama, która będzie dzielić z nim to, co zostało z majątku ciotki. I już chwilę później nienawidził jej z całego serca.

Wiedział, że on również wyprowadza ją z równowagi i dziewczyna nie potrafi sobie znaleźć miejsca. Jednocześnie nie lubił sam siebie za to, że zachowuje się jak palant, ale nie potrafił tego zmienić. Nawet jeżeli działania obcej nie trąciły wyrachowaniem, a ona sama nie była złodziejką.

Cade przeszedł obok stodoły, mając nadzieję, że Tom nie wyjrzy z okna kantorka. Ruszył w kierunku wzgórz. Tuż za tylną ścianą pomieszczenia teren się wznosił, a ścieżka prowadziła do miejsca, które Cade lubił bardziej niż inne na świecie - do porośniętego dębami pagórka z widokiem na ocean. Potrzebował go teraz, potrzebował wiatru, który wywieje mu z głowy gorące myśli, ustawi wszystko we właściwych proporcjach. Bo w przeciwnym razie na pewno nic go nie powstrzyma przed... Nie wiedział przed czym. Wolał jednak nie sprawdzać. Ruszył w górę zbocza.

Co ona w ogóle sobie wyobraża? Gdyby to jemu zostawiono jakąś nieruchomość, na pewno najpierw by sprawdził, czy jest do wzięcia, zanim położyłby na niej łapę. Na razie dziewczyna objęła w posiadanie tylko mały domek, dom i ziemia były jego. Dostała wszystko czyściutkie, bez hipoteki. Jakieś sto czterdzieści metrów kwadratowych historii Kalifornii. Kiedyś zajazd dla dyliżansów, a obecnie piękna chatka.

Chociaż zasadniczo nie do zamieszkania. Boże, ona w tej chwili na pewno nie da rady się tam wprowadzić. Na pewno nie przez jakiś czas.

Ale on jej tego nie powie. Niech się przekona sama. Cade był przyzwyczajony do własnej przestrzeni, której nie musiał z nikim dzielić. I lubił własne towarzystwo. Wiedział, że dzięki temu doskonale sobie radzi w interesach a jeszcze lepiej jako hodowca owiec na farmie. Przywykł do spokojnego życia. Prawdziwie pasterskiego i sielskiego.

Ta dziewczyna zniszczy jego szczęście. Już tego dokonała.

Cholerna Eliza! Cade wziął głęboki oddech i otarł czoło. Wchodząc na wzgórze, pocił się bardziej niż zwykle. Pewnie z gniewu.

I z poczucia, że został zdradzony.

Siostra jego babki, ciotka Eliza, była kobietą, do której uciekł jako nastolatek. A ona pozwoliła mu zostać i pracować na farmie, a później namówiła go, żeby zadzwonił do rodziców. Udawała, że pomysł, by Cade popracował tu przez kilka miesięcy - podczas gdy sporo się działo w małżeństwie jego rodziców, zanim jeszcze matka prysnęła z domu i znikła - jest jej własnym. To Eliza stworzyła mu miejsce na świecie, z dala od niekończących się domowych kłótni.

A on naprawdę pokochał tę kobietę. Urabiał sobie ręce po łokcie, chodził do szkoły, zdobył dyplom, więc

wiedział, jak należy postępować. Kiedy skończył dwadzieścia dwa lata, na dobre wprowadził się do ciotki i przejął prowadzenie farmy. Eliza była zachwycona, bowiem od śmierci Joshuy sama doglądała gospodarstwa. Owce były pasją jej męża, nie jej. Te Elizy zawsze wędrowały gdzieś daleko, na manowce; zapominała, że należy je strzyc na wiosnę, przypominała sobie o nich wyłącznie wtedy, kiedy brakowało jej wełny. Nie była dość silna fizycznie, by podnosić ciężary. Wolała siedzieć w domu, robić na drutach z przyjaciółkami i projektować wciąż nowe wzory. Kiedy Cade się do niej wprowadził, przyjęła go z otwartymi ramionami, składając związane z farmą (czy z tym, co jeszcze z niej zostało) obowiązki na męskie barki. Od tego czasu zarządzał wszystkim sam.

Zaczynał od małego stada, składającego się głównie z krzyżówek suffolków i kilku owiec rasy Corriedale. Rozpoczął tak, jak chciał, i stopniowo powiększał kierdel we właściwym kierunku. Kiedy już zyskał pewność, że robi to, co powinien, zwrócił się do banku o pożyczkę, żeby odkupić od ciotki gospodarstwo.

Ale Eliza odmówiła wzięcia pieniędzy i poprosiła tylko, żeby jej zaufał.

To nie było dobrze zainwestowane zaufanie.

Cade znalazł się niemal na szczycie wzgórza. Chwilę później doszedł do miejsca, skąd było widać ocean: długą, daleką kreskę błękitu, który przechodził w kolor srebra niemal zbyt jaskrawego, żeby patrzeć nań dłużej. Mężczyzna przysiadł na swoim ulubionym, starym pniaku. Było mu ciężko, próbował złapać oddech. Miał wrażenie, że powietrze jest gęste. Zaczął rozcierać ziemię czubkiem buta.

Trzeba będzie ją stąd spławić. I to szybko.

Rozdział 4

Jeżeli nie nauczyłaś się robić na drutach jako mała dziewczynka, to naturalne, że będziesz się czuła niezręcznie i nieswojo z robótką w dłoniach. Przekonanie, że wszystkim wokół jest łatwiej, jest zupełnie oczywiste.

E.C.

Abigail włożyła klucz od swojego wiejskiego domku do kieszeni i wyszła na zewnątrz. Cade przed odejściem praktycznie ją od siebie wyrzucił!

Doskonale. Da sobie z tym radę.

Nieśpieszny spacer z podwórza na tyłach posiadłości Cade'a do jej chatki zajął jej mniej niż minutę. Abigail ostrożnie weszła na schodek prowadzący na werandę wokół całego domku, nie mając pojęcia, czy konstrukcja nie jest doszczętnie zniszczona. Bała się, że zostawi nogę w spróchniałych deskach, te jednak wyglądały na zdrowe.

Zanim włożyła klucz do dziurki, zastukała, i od razu poczuła się głupio. Kiedy ostatnim razem weszła bez pukania do czyjegoś mieszkania, rzecz nie skończyła się dobrze.

W zamku coś zachrobotало i jęknęło, mechanizm poddał się niechętnie. Będzie musiała wstawić nowy,

i to jak najszybciej. Abigail wiedziała wprawdzie, że ludzie na wsi nie zawsze zamykają domy na klucz, ale ona do nich nie należała. Bezpieczeństwo przede wszystkim.

Wreszcie przekręciła klucz i otworzyła drzwi.

Wstrzymała oddech.

Poczuła się jak w samym środku scenografii do filmu dokumentalnego na temat niebezpieczeństw składowania zbyt wielu rzeczy pod jednym dachem. Ledwie uchyliła drzwi, bo skrzydło zahaczyło o coś w połowie drogi i nie chciało ruszyć z miejsca.

Wcisnęła się do środka, z trudem mieszcząc się w ciasnej przestrzeni. Było ciemno, więc widoczność nie była najlepsza, ale Abigail i bez tego zorientowała się, że nie jest dobrze.

Po lewej znajdowało się okno z zaciągniętą żaluzją, do którego dziewczyna zdołała sięgnąć ręką. Poluzowała zapadkę. Żaluzja pofrunęła do góry i do pokoju wdarło się słabe światło. Pomieszczenie wyglądało na przyzwoitych rozmiarów salon; Abigail oczami wyobraźni zobaczyła w nim meble, ale teraz pozostawał zawałony starymi, tekturowymi pudłami. Niektóre były tak zniszczone, że w każdej chwili mogły pęknąć, a na dodatek poustawiano je jedno na drugim aż po sam sufit, całkowicie wypełniając dostępną przestrzeń. Między pakami biegła jedynie wąska ścieżynka.

Abigail ruszyła naprzód. Tylko to mogła zrobić.

Wymacała drogę między pudłami, a kiedy już przeszła przez pierwsze pomieszczenie, znalazła się w czymś, co kiedyś mogło być kuchnią. Teraz wypełniało je mnóstwo czarnych worków na śmieci. I tutaj, wśród ich sterty, prowadziła wąska, rozdwanająca się na końcu dróżka.

Jedna jej odnoga wiodła do łazienki, również zawałonej mnóstwem worków, spod których widać było zaledwie

umywalkę i toaletkę. Kiedy Abigail odsunęła ciemną zasłonę, okazało się, że plastikowe torby spoczywają także w wannie.

Niech to szlag trafi! Czy jest tu chociaż woda? Abigail odkręciła kurek nad zlewem. Gdzieś pod podłogą rozległo się postukiwanie i syczenie, zadrżała jakaś rura, ale nie wydarzyło się nic więcej. Dziewczyna spojrzała w kierunku ubikacji. Tam też ani kropli.

Żeby się lepiej przyjrzeć, przekręciła włącznik światła. I znów nic. Cudownie.

Nad wanną widniało niewielkie okienko, zasłonięte grubą, zieloną storą. Kiedy Abigail ją przesunęła, do środka wpadło trochę światła, na tyle dużo, że dziewczyna mogła zajrzeć do rezerwuaru. Mechanizm wewnątrz był zardzewiały i zupełnie suchy.

Nie było wody.

Nie było prądu.

Gdzie, do cholery, będę dzisiaj spać?

Może w hotelu, w miasteczku? Nie, chyba nic z tego. We wszystkich motelach przy autostradzie widziała napis: „Brak miejsc”. W końcu to nadmorski kurort.

A u tego faceta nie zostanie! Nie ma takiej możliwości! Nawet jeśli by ją zaprosił. Przecież nie mogła mu ufać. Kto wie, do czego jest zdolny, zwłaszcza po tym swoim wybuchu wściekłości?

Żeby utrzymać równowagę, Abigail oparła dłoń na wieszaku na ręczniki. Nie podda się. Ruszy dalej. Znajdzie coś pozytywnego w tym domu, nawet jeśli miałyby się to skończyć fatalnie. Chatka była tak absolutnym przeciwieństwem wychuchanego, ascetycznego mieszkania Elizy w San Diego, że Abigail z trudem zwalczyła wszechogarniające poczucie nieszczęścia i niesprawiedliwości. Nie. Nie podda się, zanim nie zobaczy całości.

Kolejna ścieżka, zaczynająca się na progu łazienki, prowadziła do pomieszczenia, które było zapewne niewielką sypialnią, również zapchaną pudłami i workami.

Abigail z trudem przedzierała się z powrotem przez cały dom, próbując nie myśleć o dźwiękach czegoś uciekającego i szurającego po kuchennej podłodze. Wiedziała, że to tylko jakiś gryzoń, ale serce i tak skakało jej do gardła.

Wzięła głęboki oddech i zrobiła krok nad pudłem, po czym przecisnęła się obok trzech plastikowych worków.

W pokoju frontowym zabrała się do przesuwania pak, jednej za drugą, żeby poszerzyć przejście do szerokości swoich bioder. Kartony nie były ciężkie, choć wypełnione po brzegi. Abigail za bardzo się bała, żeby sprawdzać ich zawartość.

W narożniku dostrzegła wąskie, kręte schody. Ostrożnie pokonywała stopień za stopniem, próbując stanąć na każdym i sprawdzić, czy utrzyma jej ciężar. Kiedy dała już radę temu torowi przeszkód, wetknęła głowę do kolejnego niewielkiego pomieszczenia.

Ten pokój okazał się inny.

Przede wszystkim nadzwyczaj jasny. Ze wszystkich okien w ścianach staromodnej ośmiościennej kopuły padały promienie słońca. Abigail widziała stąd, ponad szczytami drzew, srebrzystą nitkę oceanu. Wszędzie unosiły się mgły, a niebo, upstrzone puszystymi, białymi chmurami, miało barwę srebrzystej szarości.

Na samym środku pokoju stał, jakby na straży, nieco podniszczony, zielony szezlong. Tuż obok, na bogato inkrustowanym stole, lampa z wielokolorowym kloszem. I tutaj nie było zbyt wiele miejsca, bo niemal każdy centymetr kwadratowy podłogi zajmowały czarne worki na śmieci. Oprócz nich stało tu jeszcze kilka mebli, ładnych i pełnych wdzięku. Takich w guście Elizy.

Drewnianą podłogę pomalowano w tym samym odcieniu zieleni co wykończenia na zewnątrz domu; sądząc po wytartej farbie, zrobiono to dawno temu. Abigail czuła się tak, jakby właśnie wdrapała się na stary dąb i nagle znalazła się w posadowionym w konarach magicznym domku.

Nie musiała o nic pytać Cade'a. Jego ciotka przesiadywała tu z pewnością godzinami, robiąc na drutach. W tym pokoju panował duch Elizy, odczuwało się obecność gospodyni. Abigail nie mogła się wprost doczekać, kiedy sama powróci do swojej robótki. Pracowała teraz nad męskim swetrem, który zaprojektowała. Takim ze złotobrazowej, ręcznie przedzionej wełny z merynosów, ze zwykłym, cienkim zygzakiem pnącym się po rękawach. A jeszcze lepiej byłoby, gdyby zdobyła gdzieś kołowrotek. Siedziałyby sobie tutaj i przędła, wyglądając przez okno na morze i drzewa. Najpierw jednak trzeba będzie przenieść wszystko przez ten okropny, przerażający parter, a później powalczyć o przestrzeń. I dopiero poustawiać swoje rzeczy.

Może powinna teraz otrąbić odwrot i gdzieś wyjechać? Żeby wszystko przemyśleć i zaplanować, jak się zabrać do dzieła?

Właściwie powinna zacząć od otwierania pudeł i worków. I posprzątać cały ten odziedziczony śmietnik.

Próbowała wzbudzić w sobie chęć do pracy, kiedy z dołu usłyszała pukanie. Ledwie się powstrzymała od wzbierającego w gardle krzyku.

- Wszystko w porządku? Tam na górze? - wrzasnął Cade od progu w kierunku salonu.

Abigail wzięła dwa głębokie oddechy i uspokoiła walące jak młotem serce.

-Jestem tutaj!

- Wszystko w porządku?

- Już idę.

Zeszła po schodach, przecisnęła się między pudłami i wyszła na ganek.

- Znalazłem klucz od dużego domu. Może pani sobie zrobić zapasowy. - Cade trzymał przedmiot w wyciągniętej dłoni, ale Abigail nie opuszczała podejrzliwości.

- Po co?

- Jeśli coś tutaj nie będzie działać. Sprawdziła pani wodę? Kranów nie odkręcano od lat. - Mężczyzna spuścił wzrok i spojrzał na swój but. - Może będzie pani musiała skorzystać z mojej łazienki - powiedział.

Abigail skinęła głową.

- Tak. Wody nie ma.

- Naprawdę chce pani tu spać?

- Oczywiście - odparła, próbując nadać głosowi nutę nonszalancji. - Zwłaszcza że będę mogła korzystać u pana z łazienki i prysznicza do czasu, kiedy wszystko tu ponaprawiam. To świetna propozycja.

- Ten domek to prawdziwa ruina. Eliza przyjeżdżała tu kilka razy do roku, przywożąc kolejne pudła albo worki. Sama je wносиła i sama ustawiała. Nie chciała mojej pomocy.

- A wie pan, co w nich jest? Nigdy pan nie sprawdzał?

- Nie. Zapewne jakieś śmieci. Jakies kolejne szaleństwo Elizy.

- Może i była ekscentryczna, ale nigdy nie była szalona. Jeżeli przywoziła tutaj te graty, z pewnością miała powód.

Cade wszedł do środka i otworzył stojące najbliżej pudło.

- Widzi pani? Same gazety. Może robiła zapasy na wypadek końca świata albo czegoś w tym guście?

Abigail, zobaczywszy poślizgnięty papier, poczuła, że opuszczają ją siły.

- Może i była lekko zwariowana... Ale bez przesady. Chociaż, prawdę mówiąc, chyba jednak nie.

- Jeśli pani tak twierdzi...

Abigail wyszła z domu na ganek, prosto w słońce. Cade ruszył za nią.

Oparł się o poręcz, a następnie uderzył obcasem w drewnianą podłogę werandy.

- Tę chatkę zbudowano jakieś trzydzieści lat po postawieniu większego domu, pewnie w tysiąc dziewięćset czwartym. Z tego, co wiem, drewno jest zdrowe i nigdy nie było problemu z wilgocią ani grzybem, ale powinna pani to sprawdzić. Komin jednak popękał i trzeba go wyczyścić. Na sedesie trzeba położyć nową deskę i ponaprawiać kafelki na podłodze w łazience i w kuchni. Ponoć pod całym tym śmieciem jest jakaś wykładzina dywanowa, ale nie mam pojęcia, kiedy ją położono. Nie wiem też, jak działają kuchenne instalacje, ale podejrzewam, że trzeba będzie nad nimi trochę popracować.

Abigail wzięła głęboki oddech i wyprostowała plecy.

- Więc chyba nie jest tak źle, prawda? - Próbowała zbagatelizować problem. - Pewnie wieczorem wszystko będzie już działać.

Cade spojrzał na nią bez uśmiechu. Później pochylił się i chwycił mocno za poręcz przy schodach.

- Eliza uwielbiała tę budę. Za każdym razem, kiedy tu przyjeżdżała, pytałem, czy już mam zacząć coś naprawiać, ale kazała mi trzymać łapy z daleka od tego domu. Jak gdyby chciała go zachować na jakąś szczególną okazję...

Zszedł z ganka na podwórko.

- Prawdę mówiąc, jeżeli ma pani go robić sama, to pewnie remont potrwa parę miesięcy - powiedział. - Powinna pani wynająć porządnych majstrów. Uporządkują ten dom i ponaprawiają wszystko, co wymaga naprawy. Znam tu paru ludzi.

- Sporo potrafię. I Elizie by się to spodobało.

Nie potrafił ukryć niedowierzania. Uniósł brew i zacisnął usta.

Abigail była zakłopotana.

- Wiem, że ona nie żyje - powiedziała. - Ale mam nadzieję, że część jej pozostała, choć jeszcze nie wiem jaka i gdzie. Muszę więc zachowywać się tak, jak gdyby mnie obserwowała. I pokazać jej, że ją naprawdę kochałam.

Odwrócił głowę.

- Co za sentymentalne bzdury! Będzie pani chciała okadzać ściany kadzidelkiem? - Znów unikał jej wzroku. I jeszcze ten ordynarny akcent!

Abigail odwróciła się na pięcie i odeszła w sposób, który miał pokazać, jak bardzo jest urażona; taką przynajmniej miała nadzieję. Nie zatrzymała się, dopóki nie znalazła się w środku.

Zatrzasnęła za sobą drzwi.

Następnie odsunęła starą, zakurzoną zasłonę i wyjrzała przez wąskie okno. Cade wciąż stał w tym samym miejscu. Wpatrywał się w ziemię, zatopiony we własnych myślach.

W każdym innym miejscu i czasie Abigail chciałaby zapewne porozmawiać z tym kowbojem. Musiała obiektywnie przyznać, że jest na swój nieokrzesany sposób przystojny. Pewnie pociągałyby ją jego długie nogi i szerokie, silne ramiona. Ale nie tutaj. I nie teraz.

Mimo to pozwoliła sobie na kolejną sekundę neodwracania wzroku.

A wtedy on uniósł głowę, bardzo szybko, i zerknął na nią z drugiej strony długiego podwórka. Ich oczy rozdzielone szybą okienną znalazły się w klinczu spojrzeń. Abigail wstrzymała oddech i zrobiła krok wstecz, uciekając z linii jego wzroku.

Teraz już mogła wypuścić powietrze i ponownie głęboko odetchnąć.

Rozdział 5

Zawsze zaczynaj od rękawów. Traktuj je jako próbki całości. Kiedy wreszcie z nimi skończysz, będziesz wreszcie mogła przejść do czegoś, co w robieniu na drutach jest prawdziwą przyjemnością.

E.C.

To było straszne. Okropne. Ohydne.

Abigail przewróciła się na bok w śpiworze, modląc się, żeby już nie usłyszeć, jak to coś się porusza. Usunąwszy uprzednio na boki plastikowe worki, położyła się wprost na podłodze w ośmiokątym pokoju na górze, tuż obok zakurzonej kanapy, na niewielkiej przestrzeni, na której zaledwie zmieściła ciało. Mimo braku zasłon było tu naprawdę ciemno. Żadnych ulicznych latarni, żadnego księżyca, który pozwoliłby się choć trochę rozejrzeć. Widoczne były zaledwie kontury poustawianych piętrowo pudeł. Abigail, zbyt przerażona, by otworzyć oczy, nie była pewna, skąd jeszcze kilka minut temu dobiegało drapanie.

Jeżeli uchyliłaby powiekę i zobaczyła wpatrzona w siebie dwa błyszczące paciorki, nieważne: gryzonia czy czegoś innego, na pewno dostałaby zawału. To nie

ulegało kwestii. Czy w jej życiu nie dość było lęku i przerażenia w zupełnie nieodległej przeszłości?

Miasteczko Cypress Hollow to nadmorski kurort, więc w promieniu czterdziestu kilometrów na pewno nie ma ani jednego wolnego pokoju. Z drugiej strony na dłuższą metę nie stać by mnie było na pokój w hotelu, pomyślała. Zupełnie niepotrzebny wydatek. A jednak. Fajnie byłoby choć jedną noc przespać w czystym łóżku, zanim jeszcze weźmie się człowiek do pracy w tym zapuszczonym, pełnym śmieci domu, w którym nie ma ani jednej niezardzewiałej rury.

Co ta Eliza sobie myślała?

Chociaż można byłoby to pytanie odwrócić: co myślała sobie ona, Abigail? Przewidywała jakiś uroczy prezent? Na przykład (na Boga!) hamak? Nie, jadąc tutaj dzisiaj, pozwoliła sobie na fantazjowanie - choć zaledwie przez chwilę - na temat pięknego domu na farmie.

W tej całkowicie zapuszczonej chatce na pewno nie będzie łatwo. Cóż, u diabła, jest w tych wszystkich pudłach? W tych wszystkich workach? Próbowwała wyrzucić z myśli niepokoje związane z gryzoniami. Nie chciała myśleć o pajakach. Starła się myśleć pozytywnie.

I zdawało jej się, że to pozytywne myślenie jest odległe o lata świetlne...

Owce, gdzieś na pastwiskach... Tak, to było szczęście. Co jeszcze? Jedwabna przędza tussah, jeszcze zanim zejdzie z kołowrotka. Para nowych drutów firmy Addi Turbo.

Abigail mocniej zacisnęła powieki i przewróciła się na plecy. Bez skutku.

Na pewno nie otworzy oczu. Mimo że gdzieś nad swoją głową wciąż słyszy to dziwaczne drapanie.

Cholera, przecież jest głodna! W całej tej krzątaninie zapomniała o jedzeniu. Nie jadła od rana, odkąd wyruszyła w drogę.

I jeszcze chce się jej siusiu. Oczywiście, zanim poszła spać, skorzystała z łazienki w wielkim domu Cade'a. Wzięła ze sobą szczoteczkę do zębów i przefrunęła przez jego kuchnię do umywalni, mając nadzieję, że mężczyzna jej nie zauważy. Ona go nie widziała, i była za to wdzięczna losowi.

A teraz, o tej dziwacznej porze w środku nocy, znów musi iść do toalety.

Nie, nie otworzy oczu. Nie przejdzie przez ten pokój pod kopułą, nie zejdzie w dół po schodach, ścieżką wijącą się pomiędzy pudłami, i nie wyjdzie na zewnątrz. Jej latarka, chociaż świeciła całkiem dobrze, tylko pogarszała sytuację, która i bez tego robiła się groźna.

Na pewno wytrzyma przez noc.

Abigail nagle pojęła, na czym polegał urok nocnika.

Wzięła głęboki oddech i nakazała ciału odprężenie. Tak lepiej. Wprawdzie podłoga nadal pozostawała twarda, ale dziewczyna pozwoliła sobie na wygodniejszą pozycję. Wszystko będzie dobrze. Ranek będzie wyglądał zupełnie inaczej.

Coś na kształt głuchego uderzenia sprawiło, że Abigail usiadła wyprężona jak struna. Rozpięła śpiwór i sięgnęła po latarkę. Odgłos dochodził z miejsca tuż nad jej głową. Dudnienie powtórzyło się kilka sekund później. Czy to... Trzepot skrzydeł? Cholera, cholera, cholera! Abigail spróbowała wymacać palcami włącznik na latarce. Miała wrażenie, że dusi ją własny oddech; ze strachu ledwie łapała powietrze.

Skierowała strumień światła na sufit.

Coś olbrzymiego. I skrzydlatego. Okrzyk, którego nie chciała wypuścić z gardła, nagle wyrwał się sam. Promień

latarki śledził nietoperza, który latał w oku zwężającego się jak bania cerkwi sufitu.

Nietoperz! Nietoperz, prawdopodobnie zarażony wścieklizną. Tuż nad jej głową.

Nie zastanawiając się nad tym, co robi, Abigail wydostała się ze śpiwora, odnalazła stopami pantofle i zbiegła po schodach. Później precyzyjnie się między pudłami i stanęła na zewnątrz.

Nie mogła złapać tchu. W chłodnym, nocnym powietrzu trzeba się było skupić na samej czynności wdychania i wydychania. Dziewczyna pochyliła się do przodu.

Nie, tutaj nie może spać. Po prostu nie może.

Łzy, które napłynęły jej do oczu, otarła wierzchem dłoni. Już ci się nie udało, głupia kobieto. A może po prostu kupisz plandekę na pakę ciężarówky i pośpisz sobie pod nią do czasu, aż dom będzie się nadawał do zamieszkania?

O ile kiedykolwiek będzie się nadawał.

Abigail wyprostowała się i spojrzała przez podwórze na dom Cade'a.

Na drugim piętrze, w prawym, górnym rogu zobaczyła zarys jego sylwetki na tle żółtego światła. Stał w oknie i patrzył w jej kierunku.

Tak samo przyglądał się po południu, ze szczytu wzgórza. Siedząc na koniu.

Boże, czy stamtąd widać, że ona płacze? A niech go szlag trafi!

Zmusiła się do uśmiechu i pomachania mężczyźnie ręką, po czym wróciła do siebie. Torebka. Potrzebne jej były torebka i śpiwór. Znalazła i jedno, i drugie, a później najszybciej, jak się dało, opuściła bałagan na parterze, złożony z pudeł i worków. Biegła po schodach, słysząc za sobą drapanie i szuranie. Pod kopułą pokoju na piętrze

nawet nie podniosła głowy. Nie sprawdzała, czy coś się jeszcze trzyma sufitu.

Zanim wyszła z domu, wyrzrzała przez okno. Teren był czysty. Światło w pokoju, w którym jeszcze przed chwilą widziała Cade'a, zostało zgaszone.

Abigail puściła się pędem przez podwórko, myśląc tylko o tym, żeby nie zmarznąć, wprost do swojej półciężarówki. Otworzyła drzwi i wpadła do środka. Przeklinała się w duchu za to, że jej umysł zabłądził ku scenie w „Cujo”, w której ludzie chowają się w samochodzie przed wściekłym psem.

Jeżeli nawet jakiś wściekły pies rzuciłby się teraz na karoserię, chyba nie przeraziłby jej bardziej niż nietoperz i gryzonie.

Wszystko będzie w porządku. Autko, oczywiście, to tylko pikap, więc nie da się w nim za bardzo odchylić kubelkowych siedzeń. Będzie musiała spać właściwie wyprostowana, ale da radę. Abigail jakoś wcisnęła się w śpiwór; nie chciało jej się nawet zdejmować pantofli. Sweter, który miała na sobie, złożyła i potraktowała jak poduszkę. Oparła głowę o szybę od strony kierowcy.

Westchnęła i zamknęła oczy. Nie najlepszy początek.

Minęło kilka chwil, zanim poczuła, że wreszcie rozluźniają się jej mięśnie. Wszystko będzie w porządku.

I wtedy coś uderzyło w szybę. W tę, na której oparła głowę.

Wściekły pies! Abigail wrzasnęła jak wtedy, kiedy zobaczyła nietoperza. Nie mogła przestać krzyczeć, nawet gdy zobaczyła stojącego przy oknie Cade'a; mężczyzna właśnie cofał dłoń od okna. Dziewczyna siłą woli zmusiła się, by zamilknąć. Czowała, że do oczu napływają jej łzy. To nie jest uczciwe! Ma serdecznie dosyć przerażenia i lęków.

Otworzyła drzwiczki i przekręciła się tak, by patrzeć intruzowi w twarz, sama pozostając zawinięta w śpiwór niczym mumia. Wyglądała jak idiotka.

Cade miał oczy szeroko otwarte ze zdumienia.

- Przepraszam. Nie wiedziałem, że aż tak panią przestraszę. Siedzi pani w samochodzie dopiero od kilku minut, więc nie sądziłem, że już pani zasnęła.

- Nie spałam. Po prostu napędził mi pan stracha. - Abigail przerwała i jedną ręką chwyciła za kierownicę. - O Boże! - Zaciśnęła mocniej dłoń. - Ale skoro już oboje wstaliśmy... Czy mogłabym skorzystać z pana łazienki?

Cade otworzył, a później zamknął usta; wyglądało na to, że chce coś powiedzieć. Abigail miała nadzieję, że mężczyzna nie powie „nie”. Teraz już naprawdę musiała iść do toalety.

- Bardzo proszę - dodała. Pokręcił głową.

- Oczywiście. Ja tylko...

Rozpięła zamek w śpiworze, przeklinając jednocześnie różową piżamę w białe owieczki. Dlaczego nie spała w dresie?

- Dziękuję. - Niewiele brakowało, a upadłaby, wychodząc z auta. Cade sięgnął, aby ją podtrzymać, ale zrobiła unik. Nie potrzebuje pomocy.

Szedł za nią do domu. Czy deptając jej po piętach, naśmiewa się z piżamy? Chichocze w duchu, widząc jej ciepłe papucie stąpające po żwirowym podjeździe? Wcale by się nie zdziwiła.

Kiedy wyszła z łazienki, zobaczyła go w kuchni opartego o kuchenny blat. Przyglądał się jej uważnie.

- Może pani spać na górze - powiedział. Powoli i wyraźnie.

Abigail nagle zdała sobie sprawę, że nie ma pojęcia, kim jest ten facet ani do czego jest zdolny. Ufała jednak Elizie, która na pewno nie naraziłaby jej na niebezpieczeństwo.

Ale teraz nie mogła być pewna niczego.

- Przecież pan mnie u siebie nie chce.

- To prawda, nie chcę. Ale zmuszanie pani do spania w samochodzie jest nie w porządku, niezależnie od tego, jak na to spojrzeć. Może pani zostać u mnie, dopóki nie doprowadzi wody do małego domku.

Abigail przez chwilę walczyła, żeby jakoś zracjonalizować te słowa. Nie chciała u niego zostawać. U mężczyzny, którego w ogóle nie знаła. Mężczyznom nie wolno ufać.

Ale przecież to siostrzeniec Elizy. Jeśli kogokolwiek ma obdarzyć zaufaniem, to chyba właśnie jego? Eliza mnie kochała i chyba nie wpuszczalaby mnie w maliny?

Abigail poczuła straszliwe zmęczenie, a myśl o łóżku była kusząca. Więcej, była cudowna. Dziewczyna oczami wyobraźni widziała się w pościeli, prostującą ciało, w pokoju, w którym nie ma nietoperzy. Eliza by tego chciała. Chciałaby, żeby ona, Abigail, była dzielna.

- W porządku. Przyjmuję zaproszenie. Cade skinął głową i spojrzał w podłogę.

- Tam był nietoperz - powiedziała Abigail.

- W małym domku?

- Dlatego poszłam do ciężarówki. Nie mogłam znieść trzepotu skrzydeł nad głową.

- To ma sens.

Postarała się, by jej głos zabrzmiał możliwie zdawkowo.

- Strasznie jestem głodna. Czy jest tu gdzieś jakiś sklep spożywczy?

- Wybiera się tam pani w pizamie? - Przez chwilę wyglądało na to, że Cade uśmiechnie się półgębkiem.

- Mogę się przebrać. Dopiero teraz zdałam sobie sprawę z tego, jak jestem głodna.

-Już po dziesiątej.

- No więc?

Mówił powoli, jak do dziecka.

- W miasteczku Cypress Hollow, jakieś siedem kilometrów stąd, jest sklep spożywczy. Ale zamknięty, bo już późno.

- Dopiero dziesiąta.

- Zycie na bulwarze zamiera około siódmej, sama się pani przekona. To nie jest miejsce, w którym ludzie balują przez całą noc. Myślę, że jakoś się pani do tego przyzwyczai, księżniczko.

- Wcale nie szukam imprezy, kowboju. Szukam czegoś do zjedzenia, ale będę chyba musiała poczekać do jutra.

Odwróciła się na pięcie na tyle wdzięcznie, na ile pozwalały jej kaptcie, ale zdała sobie sprawę, że nie wie ani dokąd ma iść, ani gdzie spać.

- Mam trochę jedzenia. Czekala na dalszy ciąg.

- Mógłbym panią poczęstować.

- Nie chcę pana fatygować. Zrobił pan dla mnie już wystarczająco wiele.

-I tak sam tego wszystkiego nie zjem. Może się pani poczęstować.

Jeśli sytuacja byłaby inna, a Abigail pozwoliłaby sobie na odrobinę poczucia humoru, z pewnością uśmiełaby się z tego pełnego pretensji tonu, wśród którego słowa mężczyzny uderzały ciężko jak podkute buciory żołdaka.

- Dziękuję, skorzystam. Kiedy przejeżdżałam rano przez miasto, zjadłam śniadanie w Santa Barbara, ale to

było dawno temu. Nie zdawałam sobie sprawy, że to aż tak daleko na północy, ani z tego, że tak długo będę jechać drogą nad samym morzem.

Otworzył lodówkę i zajrzał do środka.

- Zabawne. Wydawało mi się, że po drodze są jakieś przydrożne bary. Ale co, pewnie wszystko pozamykane?

Skoro wciąż chce udawać cwaniaczka, w porządku. Niech mu będzie. Z cwaniaczkami Abigail daje sobie radę.

- Są, oczywiście, przy każdym zjeździe. Tyle że byłam zbyt podekscytowana, aby się zatrzymywać. Tylko raz nabrałam benzyny. Wjechałam na autostradę wzdłuż wybrzeża Pacyfiku, i dopiero po paru godzinach przekonałam się, że tam nie ma żadnych przydrożnych knajp. Ale za to jakie widoki! Najwspanialsze, jakie...

- Widzę, że dzisiejszy dzień był udany? Fantastyczna przejażdżka i spadek, który odziera faceta z jego majątku, domu i tego, co mu się słuszenie należy. A później jeszcze ten sam facet, który na dodatek przyrządza pani kolację. A dokładnie mówiąc: enchilady.

Abigail, która zaledwie chwilę przedtem usiadła na wyplatany bujanym fotelu w rogu kuchni, wstała. To by było na tyle.

- Nie miałam o niczym pojęcia. Eliza mi o tym nie wspominała. I dziękuję za kolację.

- No tak... Kiedy ja już wszystko podgrzewam. Oczekała w milczeniu kilka sekund.

- Przyjmę tę pańską enchiladę, bo jeżeli ktoś jej zaraz nie zje, danie umrze ze starości - odparła.

Cade nacisnął jakiś przycisk na mikrofalówce, z której zaczął się wydobywać niski, basowy pomruk, a później odwrócił się i spojrzał na gościa.

Wytrzymała to spojrzenie.

Przez chwilę panowało milczenie. W kuchni zapachniało papryką chilli i czymś cięższym, czego Abigail nie chciała nazywać.

Wstrzymała oddech.

- Niech tam, wierzę pani - powiedział w końcu Cade, kiedy mikrofalówka pisnęła. Wyjął ze środka zapakowane danie, odwrócił je do góry dnem i włożył ponownie.

- Kiedy to prawda. Nie miałam pojęcia, gdzie pan mieszka. Słyszałam o panu, oczywiście, wiedziałam, że hoduje pan owce, wiedziałam też, że Eliza parę razy w roku przyjeżdża do pana w odwiedziny, ale nie przyszło mi do głowy, że to może być tu, na jej ziemi. Przysięgam na Boga.

- Już mówiłem, że pani wierzę. - Cade wyciągnął enchiladę z kuchenki i sięgnął do szuflady po widelec.

- A pan nie je?

- Jadłem o szóstej. Jak wszyscy normalni ludzie.

- Byłam tym wszystkim wytrącona z równowagi.

- Tak? A co ja mam powiedzieć? Ugryzła kawałek.

- No, no. To jest pyszne. - Była potwornie głodna. - Tu jest coś... Coś w środku.

- Papryczki chipotle.

- No właśnie. Jestem pod wrażeniem. - Uśmiechnęła się do gospodarza.

On jednak zmarszczył brwi.

- Niepotrzebnie. A jutro, jak pani wyjedzie z bramy, trzeba skrócić w lewo, siedem kilometrów autostradą do Cypress Hollow. Niech się pani kieruje prosto na główną ulicę. Tam jest duży sklep. Tylko proszę zrobić porządne zapasy, bo nie zamierzam pani karmić. Pokój jest na górze, pierwsze drzwi po lewej.

Cade wstał i wyszedł z kuchni.

Abigail westchnęła ciężko i przełknęła kawałek kukurydzianego
placka. Uda się jej. Jest dzielna. Tu jest bezpieczna.

Może, jeżeli zacznie to sobie powtarzać codziennie, w końcu uwierzy.

Rozdział 6

Na końcu do zszytych rękawów dołącz mankiety. I uważaj, żeby nie były poskręcane, bo skończy się to tylko potokiem łez i przypaleniem kolacji.

E.C.

Cade właśnie skończył oporządzanie zwierząt i roboty gospodarskie, którymi zajmowali się z Tomem, kiedy przez okno kuchenne zobaczył krzątającą się po domu Abigail. Prawie dziewiąta rano. Nie mógł sobie przypomnieć, kiedy ostatni raz spał do dziewiątej. Może pięć albo sześć lat temu, kiedy chodził z tamtą dziewczyną... Jakże ona miała na imię? Susie? Margie? Wszystko jedno. Założyła się z nim o pięćdziesiąt dolarów, że Cade nie będzie w stanie wyleżeć w łóżku do dziewiątej rano. A on jak idiota przystał na ten zakład i umówił się z Tomem, że przyjaciel ten jeden raz zajmie się gospodarstwem samodzielnie. Chciał udowodnić, że potrafi.

Został z nią w łóżku (jakże ona miała na imię?), a ona wdrapywała się na niego, robiła mu różne zwariowane rzeczy rękami, ustami, wszystko, co jej przyszło do głowy, aby tylko odwrócić uwagę Cade'a. Żeby skupił się na tym, co się dzieje w łóżku. Lecz on nie był w stanie

się skoncentrować. Wytrzymał do ósmej, po czym wstał, wręczył dziewczynie pięćdziesiąt dolarów i wylądował w stajni, jeszcze zanim wyjechała. I więcej jej nie zobaczył.

Ruszył powoli w kierunku domu. Było ciepło; jesienne światło padało ukosem na ziemię. Najlepsza pora roku. Wokół czuło się dominującą nutę dymu z drewna i liści, które palili sąsiedzi. Powietrze było chłodne, ale jeszcze nie przenikliwe, choć Cade mógł się założyć, że całkiem niedługo zrobi się rześko. Akurat na czas kocenia się owiec. Dobrze byłoby, żeby ta pora nastąpiła pod koniec listopada, wówczas wycelowałyby z młodymi prosto w wielkanocną gorączkę, kiedy właśnie u niego kupowano dla dzieci z całego kraju jagnięta na konkursy. Owce wyróżniały się zarówno harmonijną budową, jak i siłą.

Po niebie przesuwwały się białe chmury w odcieniu wełny pasących się na łące zwierząt.

Na łące za domem. Dobrze, że chociaż to miejsce było jego. Cade wziął głęboki oddech i położył dłoń na klamce od kuchennych drzwi. Znalazł je na jakimś wysypisku w zatoce Half Moon i poświęcił aż dwa dni na szlifowanie i lakierowanie.

Wolałby zostać na dworze. Do cholery, wolałby nawet zamieszkać na dworze, niż zacząć następną rozmowę, ale trzeba ją było odbyć. Pchnął drewniane skrzydło.

- Dzień dobry - powiedziała Abigail. W jej głosie brzmiała niepewność.

To dobrze. Nie powinna być zbyt pewna siebie.

- Widzę, że znalazła pani kawę. Jak będzie pani ją odkupywać, proszę pamiętać, że lubię tę z Etiopii, z oznaczeniem produkcji przyjaznej dla środowiska. Przy głównej ulicy jest sklep, gdzie sprzedają ją na wagę.

- Oczywiście. - Skinęła głową i usiadła przy stole. Przy jego stole. Wygrał ten srebrno-czerwony stół w karty

tamtej nocy, kiedy Lloyd Seelers wypił za dużo burbona Knob Creek i stracił całe kuchenne wyposażenie. Cade pogrzebał w szufladzie przy zlewie.

- Proszę. - Rzucił w kierunku gościa podstawkę, ale Abigail nie złapała i przedmiot wylądował na podłodze.

Dobrze jej tak. Pochyliła się i podniosła.

- Ładna rzecz. - Obróciła ją w palcach. - Przepięknie rzeźbiona.

- To orzech - odparł. - Z drzewa, które uschło trzy lata temu.

- Sam pan ją zrobił? Skinał głową.

Abigail wsunęła podstawkę pod swój kubek, a Cade nalał sobie kawy, mając nadzieję, że napar okaże się dostatecznie mocny.

- Musimy porozmawiać - powiedział.

- Dobrze. Jeszcze tylko wezmę parę łyków, bo nie obudziłam się do końca. A pan? O której godzinie pan się budzi?

- O wpół do piątej.

- O wpół do piątej rano?

- Tak pokazuje zegarek.

- Z wyboru?

- Są rzeczy, które trzeba zrobić wcześniej.

- Ale przecież ma pan owce, nie krowy. Zawsze myślałam, że to do krów się wstaje tak wcześniej.

- Znaczący, wie pani coś o gospodarce, tak?

- Widać niewiele.

Napił się kawy, spodziewając się smaku barwionej wody, ale okazało się, że jest mocna i aromatyczna. No proszę.

Nie sądził, że Abigail będzie z samego rana wyglądać tak seksownie. Był jej wdzięczny, że się ubrała. Ze-

nie zeszła do stołu w swojej głupiej różowej piżamce w owieczki.

Zastanowił się, czy dziewczyna zawsze śpi w piżamie. Może jednak w czymś innym? Może w koszulce? Albo w podkoszulku?

Albo nago?

Jeszcze jeden łyk kawy.

Teraz miała na sobie czerwoną tiszertkę i miękki, różowy sweter wyrzucony na błękitne dzinsy. Wyglądała, jak gdyby dopiero co wyszła spod prysznic. Cade, oprócz zapachu kawy, wyczuwał w kuchni niemal niedostrzegalny aromat mydła.

- Dobra kawa - powiedział. To może jej oddać.

- Cieszę się, że panu smakuje! - W głosie dziewczyny usłyszał nutę entuzjazmu i spostrzegł, że jego gość próbuje przejąć inicjatywę. - To znaczy... Chciałam powiedzieć, że słyszę od znajomych, iż moja kawa bywa zbyt mocna. Cieszę się.

- Musimy porozmawiać o tym, co dalej.

- Wiem. - Położyła dłoń na czole, a potem znów na kolanach. - Wie pan, Eliza w ogóle mi o tym nie mówiła.

- Powiedziałem pani już wczoraj, że pani wierzę. Ale to mi niczego nie ułatwia. Przecież tracę własną ziemię, tak?

- Tylko jej część, a ja już mówiłam...

- Nie wracajmy do tego.

- Pożyczam sobie ten pokój na górze tylko tymczasowo. Naprawdę. Raz-dwa doprowadzę domek do porządku. - Uśmiechnęła się szeroko. - Rozumie pan?

Cade przyglądał jej się bez słowa. Abigail zmarszczyła brwi.

- Co, uważa pan może, że powinnam się z tego wszystkiego wycofać?
- Przeszło mi to przez głowę.
- Z punktu widzenia prawa to ja tu utknęłam.
- Nie najgorsze miejsce, żeby utknąć. Chyba się pani zgodzi?
- Cóż, po prostu odziedziczyłam coś po kimś, kogo kochałam. Coś ogromnego i niespodziewanego. Jeszcze nie skończyłam opłakiwać Elizy, ale jakaś część mnie już się cieszy. Bo mam powód do radości. Mam dom.

Cade otworzył usta, żeby przerwać tę tyradę, ale nie dała mu dojść do słowa. Pyskata!, pomyślał.

- Nie mam na myśli pańskiego domu, tylko po prostu dom. Dom w ogóle. Nigdy nie miałam prawdziwego domu, a tutaj będę mogła go stworzyć.

- Ale tu jestem ja i to moje miejsce na ziemi.

- Proszę tylko posłuchać. Niech się pan postawi w mojej sytuacji - powiedziała. - Czuję się jak osioł, ale nie mam wielkiego wyboru, bo musiałam wyjechać z miasta, w którym mieszkałam. Tak czy inaczej, potrzebowałam nowego domu.

- Więc naprawdę i na poważnie chce pani tę chatkę? -Tak.

- Uważam, że nie wie pani, w co się pakuje.

- Duży dom nie jest mi potrzebny. Ten mały będzie idealny. Kiedyś. Potrzebuję miejsca tylko dla siebie. Na biurko, na moją włóczkę.

- Na włóczkę?

- Tak, na włóczkę. Na wełnę. Pełno tu owiec dokoła, prawda? Ja sama przędę, barwię nici i robię swetry. O, takie jak ten. - Chwyciła w palce brzeg różowego wdzianka. - A później opisuję wzory w książkach. I je sprzedaję.

- Tak samo jak ciotka Eliza.

- Nauczyła mnie wszystkiego, co wiem.
- Aha. - Cade nie potrafił sobie wyobrazić ciotki bez drutów i włóczki.
- Ona zawsze miała w rękach jakąś robótkę. I zawsze chciała o niej rozmawiać...

A on był zbyt zajęty, żeby słuchać.

Nawet wtedy, gdy się tu wprowadził, kiedy na samym początku pomagał jej w prowadzeniu gospodarstwa, Eliza podejmowała próby rozmowy o zaletach owczej wełny, o tym, jaka jest zdrowa. Chciała go ubierać w swetry z ich własnego runa, chciała chronić wełnę przed niszczącym wpływem promieni słonecznych.

A on się z niej śmiał i mówił wyłącznie o cenie mięsa.

Kiedy Eliza zachorowała, Cade zaopiekował się ciotką. Rak piersi ściał ją z nóg bardzo szybko. Nigdy przedtem jej takiej nie widział - słabej i cierpiącej z bólu. Kiedy nie doglądał Elizy, zajmował się gospodarstwem. Ona przesypiała całe godziny, a on nauczył się terminologii medycznej i gotowania niezbyt mocnego rosółu. Ciotka jakoś z tego wyszła, ale gdy parę lat później Cade osiągnął piękny wiek dwudziestu siedmiu lat, a nowotwór powrócił, podjęła decyzję o wyprowadzce na południe.

Zapytał ją dlaczego. Bo jej postanowienie zabolalo.

- Trzymała mnie przy tej ziemi wyłącznie pamięć o moim małżeństwie z Joshuą - odparła. - A później ty. Wreszcie chcę zamieszkać gdzieś, skąd będę wyraźnie widziała ocean.

- W takim razie przenieś się parę kilometrów na zachód. Przynajmniej będę miał blisko. Jeśli okażę się potrzebny.

- Tam, gdzie jadę, jest całe miasteczko dla emerytów takich jak ja. Mam tam przyjaciół, znajomych.

- Robiących na drutach?

- To raj dla pasjonatek szydełek i drutów. Tak mówią wszyscy. Na samym środku sklep z włóczką i już mnie tam znają. I wszyscy mnie chcą.

Z listów, które przysyłała Eliza, wynikało, że rzeczywiście jest tak, jak mówiła. Miała pod ręką pielęgniarki i prowadziła własne, niezależne życie. Była duszą towarzystwa i sądząc po Abigail, wciągała do kręgu robiących na drutach nawet młodsze kobiety.

Cade każdego dnia tęsknił za ciotką, ale nie odwiedzał jej nigdy. Obiecywał sobie, że kiedyś znajdzie na to czas i wówczas wybierze się na pewno, ale przyjazdy Elizy (co najmniej dwa razy w roku) pozbawiały go wyrzutów sumienia; polegał na jej odwiedzinach. Sam na południe nie wybrał się nigdy, wyłącznie z powodu lenistwa.

Teraz nie mógł sobie tego wybaczyć.

Nikt nie kochał go tak jak ona.

Odwrócił się twarzą w kierunku ściany nad zlewem, żeby Abigail nie zobaczyła jego oczu.

Eliza postąpiła tak, jak postąpiła. Cade zmusił się do powrotu do rzeczywistości. Odchrząknął.

Zapanowała cisza. Ciężka i gęsta.

Mężczyzna nie wiedział, co powiedzieć. Uczucie, którego niemal nie rozpoznawał, denerwowało go.

I doprowadzało do wściekłości.

No właśnie. Skup się, człowieku!

- Musimy porozmawiać, jak tymczasowo podzielimy ten dom - powiedział głośniejszym głosem, odwracając się w kierunku gościa. - Może pani zachować ten pokój, w którym teraz śpi. Ja mam swój. Proponuję zrobić tak: parter dla mnie do ósmej rano. Później wyruszam w pole, więc cały dom należy do pani aż do piątej po południu. Kiedy wracam, robię sobie kolację, bo jak ustaliliśmy ostatniego wieczoru, jadamy znacznie wcześniej. O wpół

do siódmej będzie już pozmywane i wtedy chciałbym zająć pokój telewizyjny na dole. Pani może w tym czasie coś dla siebie ugotować. O wpół do dziewiątej, gdy mnie już nie będzie przed telewizorem, proszę się rozgościć. Czy zrobić cokolwiek, co pani odpowiada. Pralnia jest z tyłu za gankiem, cały czas otwarta. Kto pierwszy, ten lepszy.

Podniosła na niego oczy.

- Trochę to skomplikowane.

- Ale konieczne. Nieco przechyliła głowę.

- Czy wiadomo, kto się kiedy kąpie? Cholera! O tym nie pomyślał.

- A kiedy pani chce? Proszę wybierać.

- Żartowałam. Do diabła.

- Ja mówię poważnie. Może pani korzystać z łazienki na dole. Ja będę się kąpał w górnej.

- W porządku.

Czyżby zauważył skrywany uśmiech? Dla niego to nie były żarty.

- To jedyny sposób, w jaki potrafię ogarnąć całość - powiedział. I nie spodobała mu się wymowa własnych słów.

- Proszę się nie gniewać, nie chciałam sobie stroić żartów. Ale wyartykułował pan propozycje tak sztywno, że prawie sobie wyobraziłam, jak maluje pan kredą linie na podłodze. Żebym tylko trzymała się po swojej stronie.

Prawdę mówiąc, on też tak pomyślał. I był zadowolony, że o tym nie wspomniał.

- No to wszystko ustalone. Myślałem, żeby jakoś podzielić się lodówką, ale to może okazać się trudne.

- A może świnka?

- Mam kota. Duncana zostawi pani w spokoju. On nie wchodzi w masę do podziału. Mówiłem pani przecież, że to poważna sprawa.

- Lubię koty, ale nie o Duncana mi chodzi. Mówiłam o śwince, takiej jak na uczelni. Niech pan zostawi na lodówce jakąś kopertę, do której każde z nas dorzuci co tydzień tyle samo pieniędzy. Zrobimy listę - jedno idzie po zakupy, ale każde gotuje dla siebie. W ten sposób nie będziemy mieli dwóch osobnych słoików majonezu i dwóch tuzinów jaj, które się zepsują.

- Mam własne kury. Uśmiechnęła się szeroko.

- Lubię świeże jajka. Chciałam tylko powiedzieć, że możemy się dzielić pewnymi rzeczami... - Przerwała. - Jak pan sądzi, ile czasu zajmie mi remont małego domku? - zapytała po chwili.

- Z ręką na sercu? Zdziwiłbym się, gdyby udało się pani w miesiąc. A i to, jeśli weźmie pani fachowców.

- To mogę tu zostać aż tak długo? - powiedziała to kryształowo czystym głosem, za którym kryła się kruchość niepewności.

- Chyba tak. - Na więcej nie było go stać.

- Damy sobie radę. - Uśmiechnęła się ponownie, ale Cade nie potrafił się odwzajemnić tym samym.

- Cóż, jeśli zrobimy tę zrzutkę na lodówce, może się pani częstować, czym pani chce. W zamrażalniku chyba jest chleb, jeśli ma pani ochotę na tosta.

- Już wcześniej zjadłam płatki, ale dziękuję.

- Bez pytania?

- Właśnie to omówiliśmy. Właśnie wypracowaliśmy sposób.

- Ale wzięła pani te płatki jeszcze przed rozmową.

- Mam zamiar je odkupić. I odkupię. Czy naprawdę kłócimy się o płatki?

- Co takiego?

- Wciąż jest pan wściekły.

- Cholera jasna! - powiedział, a ona aż podskoczyła. Była jak spłoszony koń. O co jej chodzi?

Cade westchnął ciężko. Musi się bardziej postarać.

- Niech się pani nie gniewa, ale to nie jest dobra sytuacja. To znaczy: niedobra dla mnie.

- Dla mnie być może trochę lepsza, ale niewiele. Jeszcze jakieś reguły? Jakies pokoje, do których nie wolno mi wchodzić?

Podeszła bliżej. Zapach jej skóry oszałamiał i Cade'a dopadło jeszcze większe zdenerwowanie. Zauważył, że dziewczyna pachnie czymś słodkim i lekkim, jakby kwiatowym. Ale zapach nie był duszący.

Pokręcił głową w milczeniu.

Abigail umyła miseczkę, łyżeczkę i kubek, i wstała, żeby położyć je na suszarce.

Cade stał na jej drodze, oparty plecami o blat kuchenny. Wiedział, co chce zrobić gość, ale nie ruszył się z miejsca.

- Przepraszam bardzo, czy mogę? A może je wytrzeć i odłożyć tak, żeby mógł pan udawać, że mnie tu wcale nie było?

Nie ruszył się z miejsca. Nie mógł. Stał tylko i patrzył. Sięgnęła za jego plecy i odłożyła na suszarkę umyte naczynia.

Cade odruchowo złapał dziewczynę za wolny nadgarstek. Skórę miała miękką i zadziwiająco ciepłą. Abigail wstrzymała oddech i odskoczyła.

- Przepraszam - powiedział. Co on sobie w ogóle myśli?

- Nie, to ja przepraszam za te przepychanki. Do diabła, a tak uważam, żeby postępować delikatnie. - Próbowała się uśmiechnąć, ale Cade widział, że nie przychodzi jej to łatwo. - Nawet mi się podoba ten pana plan. Dzięki niemu nie będę panu wchodzić w drogę.

- Może trochę przesadziłem.

Co on wygaduje? Przecież on jej tu nie chce.

- Nie, uważam, że jest całkiem dobry. Teraz idę wziąć prysznic i powiedzmy... - Uniosła lekko dłoń, przyglądała włosy i opuściła rękę. - Jest wprawdzie dopiero wpół do dziesiątej, a te godziny w domu należą do mnie, ale chętnie pójdę na górę. Do swojego pokoju.

Powinien ją trochę ustawić do pionu. Do jakiego swojego pokoju?

No nic, można jej przecież trochę odpuścić.

- Nie trzeba, już wychodzę. Muszę pojechać na północną stronę pastwiska i sprawdzić ogrodzenie.

Abigail po raz kolejny skinęła głową i po cichu wyszła z kuchni.

Cade wziął głęboki oddech i oparł się całym ciężarem o zlew, wyglądając przez okno na podwórze przed małym domkiem.

Coś się na pewno wydarzy. Nie wiedział tylko co.

Rozdział 7

Rękaw rób na drutach tak długi, jak chcesz, nie przejmując się opisem żadnego głupiego wzoru. Nawet jeśli to mój wzór. Jeżeli rękawy zawsze wychodzą ci zbyt długie, po prostu przerób mniej rzędów. Pamiętaj, że nie istnieją żadne służby kontroli rękawów.

E.C.

Abigail coraz lepiej wychodziło udawanie twardziela.

Nie miała pojęcia, jakim cudem jej ułańska fantazja wytrzymała spokojne spojrzenie gospodarza. Te czyste, zielone oczy patrzyły w samo jej wnętrze, wzrok mężczyzny przenikał ją na wskroś. A może Cade po prostu nie wierzy, że Abigail jest silna? Tak czy owak, konsekwentnie będzie próbowała mu to wmawiać. Poza tym miała już dosyć, po dziurki w nosie, lęku.

Trzeba zacząć wszystko od początku. Pokój, który tymczasowo zajmuje, jest w porządku. Przez jakiś czas może tam coś pisać, siedząc na łóżku z laptopem na kolanach, ale żeby naprawdę pomyśleć, musi mieć więcej przestrzeni. Maleńkie biurczko długo jej nie posłuży.

Wprawdzie z ciężkim sercem pozostawi włóczkę w plastikowych pojemnikach, ale chyba będzie musiała

poczekać, aż się zadomowi i naprawdę poczuje jak u siebie. Kiedy już zorganizuje miejsce do pracy, motki wełny znajdą swoje miejsce na półkach.

Tak właśnie będzie. Musi tak być.

Sypialnia, którą przydzielił jej Cade, była niewielka, ale urocza. Wąskie, dwuosobowe łóżko przykrywała zrobiona na drutach narzuta z afgańskiej wełny. Prześcieradła trochę pachniały kurzem, ale wyglądały na czyste. Dziś się je wypierze. Wczorajszego wieczoru Abigail nie miała ochoty szukać pralki ani suszarki, ani tym bardziej raz jeszcze natknąć się na Cade'a.

Szybko poprzestawiała meble w pokoju i przesunęła łóżko tak, że znalazło się pod oknem. Chciała nocą patrzeć w niebo. Niewielkie biurczko dopchnęła do drugiego okna, żeby pisząc, spoglądać na drzewa i owce.

Pociągnęła za narzutę i ułożyła ją równo na łóżku. We wzorze rozpoznawała dłoń Elizy. Poczowała się głupio, gdy wiedziona impulsem pochyliła się nad kapą i powąchała; wyczuła delikatny zapach kremu do rąk z lawendą i lanoliną, którego Eliza używała od zawsze. Wełna wydzielala subtelną woń i Abigail zrobiło się lżej na duszy.

Dom leżał głęboko między wzgórzami, za daleko, by widzieć z niego ocean, lecz wystarczająco blisko, by poczuć morską bryzę. Rozpakowując swój skromny bagaż i wieszając ubrania w starej szafie, Abigail wielokrotnie mijala okno, chłonąc widoki.

I wypatrywała Cade'a.

Dręczyło ją zbyt wiele pytań, a każde z nich stanowiło problem sam w sobie. I każde wymaga konsultacji z gospodarzem, a tego Abigail chciała uniknąć za wszelką cenę.

Raz jeszcze wyjrzała przez okno.

Nie wierzyła, że już nigdy nie zobaczy tam czarnego suwa z włączonym silnikiem, własności jej byłego

wielbiciela, zaparkowanego pod jakąś latarnią, i nie ujrzy skierowanej ku szybie twarzy Samuela. Ale przyzwyczajona do lęku, nauczyła się trzymać go na wodzy.

Nad drogą, po której jeszcze niedawno jechała poobijana półciężarówka, wznosił się kurz. Spod dębu wybiegła wiewiórka. Zwierzątko zawróciło gwałtownie i rzuciło się z powrotem tam, skąd przyszło.

Mijał pierwszy prawdziwy dzień pobytu Abigail w nowym miejscu. Do lunchu jeszcze sporo czasu, co tu robić? Nie ma powrotu do wycofania się i do dobrze znanego uczucia zamknięcia w czterech ścianach. Dosyć już świadomości, że nie można się nigdzie ruszyć!

Z determinacją ruszyła w kierunku drzwi, a później wyszła na zewnątrz i podążyła przez podwórko wprost do małego domku. Przekręciła klucz w zamku z nadzieją, że tym razem nic jej nie przeszkodzi. Jej przygoda z tym miejscem dopiero się zaczyna. To nowy początek.

Dzisiaj porządne sprzątanie. Im szybciej je skończy, tym szybciej będzie mogła się wynieść od Cade'a. Odciąć się od tych dziwnych napięć.

Pudło na samym wierzchu pierwszego stosu. Tak, zacnie od niego. Wyjęła kawałek pożółkłej gazety. Czy w środku jest coś jeszcze?

Dłonią wyczuła drewniany kształt. I jeszcze jeden.

Wyjęła pierwszy kawałek.

To niemożliwe. To wygląda jak...

Właśnie.

Abigail podniosła skrzydełko kołowrotka. Cudowne, ciemne, drewniane skrzydełko, wyglądające na bardzo stare. Albo doskonale skopiowane.

Zaczęła grzebać głębiej. Jeszcze więcej skrzydełek.

Wyniosła pudło na werandę, na słońce. Obok postawiła kolejne.

Szpulki. Całe mnóstwo. Z dopasowanego kolorystycznie drewna. Na twarzy Abigail zagościł uśmiech.

Otwierała pudła po kolei, aż znalazła wszystkie potrzebne części.

Później pobiegła do samochodu, skąd wyjęła niewielką skrzynkę z narzędziami. Cade pewnie by się tylko roześmiał na ten widok, bo skrzynka była malutka i pewnie według niego bezużyteczna, ale Abigail wiedziała, że jest w niej wszystko, co potrzebne.

Nie minęło pół godziny, a przed Abigail stał złożony w całość nożny kołowrotek.

Śnił się jej dziwny, dobry sen...

Kołowrotek był piękny. Wystarczyłoby samo koło, ręcznie rzeźbione, dekorowane kwiatami i winoroślą. Pedał napędowy zdobił ten sam wzór. Abigail trudno było sobie wyobrazić, że można postawić stopę na czymś tak subtelnym.

W pudłach znajdowały się wszystkie potrzebne części. A Abigail miała przecucie.

Weszła ponownie do domu i przeszła przez frontowy pokój aż do schodów. Podnosiła kolejne pudła i potrząsała nimi, aż znalazła to w odpowiednim rozmiarze i stosownej wagi. Takiego szukała.

Wyniosła je na ganek, otworzyła i wcale się nie zdziwiła, że na samym wierzchu znalazła gazetę. Pod nią, owinięta muślinem i pachnąca cedrem, znajdowała się kądziel z wełną o przepięknym kolorze ciemnej zieleni i wrzosu, przygotowana do przedzenia.

- Wiedziałam! Ale z ciebie numer, Elizo. To twoja gwarancja, że nigdzie się stąd nie ruszę, co? - Abigail roześmiała się w głos.

Sięgnęła do wełny, urwała kawałek, umieściła na skrzydełku wrzeczona pierwszą nitkę i usiadła na

zakurczonym, czerwonym krześle na werandzie. Zaczęła prząść. Cóż za radość! Tak właśnie miało być. Tego właśnie nauczyła ją Eliza, która odnalazła w palcach Abigail umiejętność wyciągania cienkiej nici, z której można było wykonać właściwy rodzaj włóczki.

Abigail przerwała i weszła do domu. Zaledwie parę minut zaglądania do pudeł wystarczyło, żeby zdała sobie sprawę, że jest w nich ze sto kół i setki kilogramów wełny.

- To mój sklep, mój kurs ręcznych robótek i moje narzędzia - szepnęła. Łzy napłynęły jej do oczu. - Moje marzenie... Kochana Elizo!

Rozdział 8

Jeżeli nie podoba ci się kierunek, w którym rozwija się twoja robótka, po prostu go zmień. Nie bądź niewolnicą raz obranego wzoru, a zwłaszcza któregoś z moich. Niech wzór będzie odzwierciedleniem twojej woli, a jeżeli tak nie jest, z uśmiechem wrzuć go do ognia i z uśmiechem rozrysuj nowy, lepszy.

E.C.

Co ona z nim wyczynia?

Na biurku Cade'a leżała chyba tona papierów do przejrzania. Musi jeszcze dziś rano pójść do zagród i zorientować się, czy owce są chore, czy nie. Miał już kiedyś do czynienia z dziwnie zachowującymi się zwierzętami, więc nie chciał tak od razu wzywać weterynarza. Farma stała finansowo całkiem nieźle, ale wyłącznie dlatego, że jej właściciel oszczędzał na drobnych rzeczach i nie trwonił pieniędzy.

Zupełnie inaczej niż Eliza. Ciotka nie pozwoliłaby zabić żadnego zwierzęcia, nawet jeśli zarażałoby inne. Co oznaczało, że zanimby się spostrzegła, chorowałoby całe stado.

Kantorek. Wprawdzie przez cały ranek Cade nie widział przyjaciela, ale Tom przyszedł już chyba do roboty?

Przy tak dużej liczbie owiec jeden człowiek ich nie obrobi. Ledwie dawali radę we dwóch.

Cade otworzył drzwi na tyłach stodoły i natychmiast poczuł kawowy aromat.

- Tom?

- Cześć, szefie. Może kawy? Na koszt firmy.

- Aleś ty hojny! Tyle że ta twoja kawa jest beznadziejna.

- I tak ją wypijesz.

- Prawda.

Tom sięgnął po kubek Cade'a, stojący na metalowej szafce, i napelnił go po brzegi.

- Dobra na wszystkie dolegliwości.

- Moja kawa na pewno. Twoja tylko parzy w podniebienie.

- Więc jej nie pij.

- Zaglądałeś do owiec w trzeciej zagrodzie? - zapytał Cade.

- Dzisiaj wyglądają już lepiej. Nie spuszczam ich z oka. To chyba zwykle przeziębienie. Wydaje mi się, że wszystkie są zdrowe, z wyjątkiem tej starszej, którą oglądaliśmy wczoraj. Sprowadziłem ją pod dach.

- Dzięki.

- W porządku.

Sam Cade, bez Toma nie dałby rady się obrobić. Oczywiście, nigdy nie powiedziałby mu o swojej wdzięczności wprost, bo mężczyzna tylko by go obśmiał. Na farmie nie rozmawiało się w ten sposób. Ani nie pracowało.

Nie było takiej potrzeby.

- Więc dziewczyna jednak się wprowadziła? - Tak.

- Co tak naprawdę zostawiła jej Eliza?

- Mały domek.

- A ziemia pod nim?
- Też jej zapisała. Tom gwizdnął.
- Szlag by to trafił. A to cię baba wyrolowała.
- No. To chyba jakaś kara. Za to, że się pokłóciliśmy.
- O oglądanie się za dziewczuchami?
- Nie o to jej chyba chodziło.
- Jak twoja ciotka nazywała twoje zachowanie? Coś o kocurze w marcu? - Tom uśmiechnął się krzywo.
- Wcale się nie zachowywałem jak marcujący kocur. To bzdura.
- Jeśli tak twierdzisz... Więc masz tę dziewczynę w swoim domu? Jak ona się nazywa?
- Abigail Durant.
- Tak po miastowemu?
- Bo jest z miasta.
- Widziałem tego jej pikapa. Wygląda jak podrasowany wózek z supermarketu.
- Cade skinął głową.
- To samo jej powiedziałem. Ale chyba się jej to nie spodobało.
- Tom usiadł na płóciennym krześle, które powinien już dawno wymienić na nowe, i oparł nogi na biurku.
- Przynajmniej jest ładna - rzucił. - Jeżeli mnie oczy nie mylą, bo dzisiaj rano ledwie mi mignęła w oddali.
- Nie jest w moim typie.
- Odkąd to nie podobają ci się ładne dziewczyny?
- Odkąd jedna z nich wprowadziła się do mojego domu - odparował Cade.
- Widzę, w czym problem...
- Właśnie.
- Na szczęście nie wprowadziła się do mnie - powiedział Tom z przewrotnym uśmiechem.

- Trzymaj się od niej z daleka. Nie flirtuj z nią. Jesteś za stary. Będę cię musiał zastrzelić, żeby skrócić twoje cierpienia.

- Jestem raptem o cztery lata starszy od ciebie. A co, zazdrość cię bierze? Wiesz, że bym się jej spodobał.

- Musiałbyś brać prysznic częściej niż dwa razy do roku.

- Przy tym braku wody i globalnym ociepleniu? Nie ma szans. Musiałaby mnie wziąć z dobrodziejstwem inwentarza.

- O tym możesz zapomnieć. Nic z tego. Zostanie pod moim dachem, dopóki nie skończy z remontem tej chatki. Wtedy się wyprowadzi.

- Lepiej, chłopcze, sam się weź za ten remont.

- To nie mój problem. Jej sprawa - powiedział Cade.

- Wiesz już, co jest w tych wszystkich pudłach?

- Stare gazety.

- Czuję, że niedługo ktoś tu zrobi wielkie ognisko. Ta myśl nieco rozweseliła Cade'a.

- Tak, wielkie ognisko - zgodził się. - Będą kiełbaski. - I whiskey - dorzucił Tom, rozpierając się na krześle.

Skinął głową. - Nie rozumiem tylko, dlaczego wszystko się tak poukładało. Przecież Eliza cię uwielbiała. A to, co zrobiła, jest do niej zupełnie niepodobne. Jesteś pewien, że ta dziewczyna nie robi cię w konia? Na pewno znała twoją ciotkę?

- Też się nad tym zastanawiałem. Pamiętam, że Eliza mówiła coś o jakiejś Abigail, która się nią opiekowała i z którą razem robiły na drutach. Tyle że w mojej wyobraźni ta baba jawiła się jako bezzębna, dziewięćdziesięcioletnia staruszka. Nigdy nie przypuszczałem, że moja ciotka może mieć tak młodą koleżankę, choć z drugiej strony... Która z jej rówieśniczek, jeśli nie ona?

- Niezły był z niej numer. Cade skinął głową.
 - Zawsze miała zajęte ręce drutami i robótką. A na podorędziu kołowrotek.
 - Albo to drugie. Jak ona to nazywała?
 - Ręczne wrzeciono. - Cade uniósł nogawkę spodni i pokazał wystające znad cholewki buta zielononiebieskie skarpety. - Są najcieplejsze i najbardziej miękkie, jakie miałem w życiu. Widziałem, jak Eliza, przędąc na nie wełnę jedną ręką, jednocześnie czytała magazyn dziewiarski i gotowała chilli. - Wziął w palce ołówek, ale odłożył go na biurko. - Nigdy jakoś nie doszliśmy do tematu wykorzystania wełny. I chyba dlatego Eliza wyjechała. Żeby być bliżej pasjonatek ręcznych robótek.
 - Hodowaliśmy jej owce...
 - A ona zawsze wybierała najlepsze runo, zanim sprzedaliśmy resztę.
 - Miała niezłego fioła - zauważył Tom.
 - Chociaż, prawdę mówiąc, wełna sprzedawała się i sprzedaje za grosze... - Cade przerwał na chwilę. - Cóż, Eliza wzięła mnie pod opiekę, kiedy bardzo chciałem coś w życiu osiągnąć. Właściwie zrobiła ze mnie mężczyznę. - Odchrząknął. - Wierzyła we mnie.
 - Ja też w ciebie wierzę - rzucił Tom. - Nie dostanę za to jakiegoś medalu?
 - Kopa w dupę możesz dostać.
 - Odkupisz od niej ten domek?
- Cade postukał w dno zardzewiałej metalowej szafki na dokumenty czubkiem kowbojskiego buta.
- Siedziałem tu wczoraj aż do północy, próbując sobie wszystko poukładać. Ta ziemia jest teraz tyle warta, że nie stać by mnie było na zaproponowanie tej Abigail czegokolwiek w zamian. Nie mówiąc o tym, że ona i tak

nie chciałyby słyszeć o niczym. - Wypił ostatni łyk gorzkiej kawy i zdjął kapelusz z wieszaka. - A może byśmy naprawili to ogrodzenie na północnym pastwisku, co?

- Ty tu jesteś szefem.

- Nie znoszę, jak mnie tak nazywasz.

-1 właśnie dlatego to robię - odparł Tom.

Rozdział 9

Kiedy rękaw ma już odpowiednią długość, odłóż go i natychmiast weź się za drugi. Nie ruszaj się z miejsca, w którym siedzisz, nawet po to, żeby nalać sobie kieliszek wina. Najpierw zacznij rękaw. Wierz mi, to ważne.

E.C.

Godzinę później, kiedy na werandzie stanęły trzy kolejne kołowrotki, a Abigail tonęła w przedzy, zadzwoniła komórka. Dziewczyna sięgnęła do kieszeni.

- Halo?

- Jesteś tam?

- Jestem.

- No, w końcu. Nie wierzę, że się przeprowadziłaś i mieszkasz teraz zaledwie siedemnaście kilometrów ode mnie! Zapraszam na obiad.

Najlepsza przyjaciółka Abigail, i jednocześnie najlepsza z szefowych. Janet nigdy nie traciła czasu na czcze gadanie.

- No nie wiem... Jestem właśnie w środku czegoś ważnego.

- Nie, wcale nie jesteś. To coś może poczekać. Dwadzieścia minut. Wjedziesz do miasta, później w lewo

i na głównej ulicy, po prawej, zobaczysz kawiarenkę Pod Ostami.

Pół godziny później, wciąż wyciągając z włosów resztki wełny, Abigail weszła do lokalu.

- Słoneczko moje! Naprawdę tu jesteś! Oczom nie wierzę! Siadaj. Już złożyłam zamówienie.

Janet zawsze zamawiała dla nich obu. Abigail przestało to przeszkadzać już dawno temu, bo zawsze kończyło się na czymś pysznym, czego - jeśli nie jadłyby we dwie - sama na pewno by nie wzięła.

- Nie, Abigail, naprawdę wciąż nie mogę uwierzyć, że cię przywiało w moje strony. To wprawdzie tylko półtorej godziny od San Francisco, ale jednak. Nikt jakoś nie przyjeżdża do mnie w odwiedziny ani nikt się nie przeprowadza, żeby być bliżej.

- Wszystko dla ciebie, moja droga.

- Kłamiesz, ale uroczo. Szkoda, że nie będę ci już mogła mówić, co masz robić.

Abigail zaśmiała się głośno.

- Z tym chyba nigdy nie miałaś większych problemów, prawda? Tyle że już u ciebie nie pracuję, więc się skończyło.

- Właśnie, że nie! Jak będziesz miała trochę czasu, opisz mi jakiś ładny wzór. Moje klientki będą wniebowzięte... Dobrze wiesz, że świetnie mi wychodzi rola szefowej. Spytaj choćby tego przerażonego kelnera, tam, pod drzwiami. Chciałam tylko parę plasterków cytryny, a on się chyba przestraszył, że go pożrę żywcem.

Janet była niezwykle wysoka i urodziwa. Miała kruczoczarne włosy, w których błyskało starannie pielęgnowane białe pasmo, lubiła rzeczy z guzikami jak dzety i długimi frędzlami. Trzymając się stylu lat czterdziestych, nieustannie nosiła kapelusze pasujące do torebki

i butów. Choć ten sposób ubierania się był nieco przestarzały, Janet korzystała ze stylu vintage lepiej niż myszkujące po sklepach ze starociami dwudziestokilkulatki. Zbliżała się do pięćdziesiątki, ale nikt poza nią nie wiedział, ile jeszcze zostało do przełomowej daty. Zachowywała się głośno, niekiedy bywała bezlitosna, ale pod tą maską kryła się osoba bardzo życzliwa ludziom. Abigail uwielbiała przyjaciółkę, jak żadną inną, nawet bliższą wiekiem. Janet nie była zwykłą sąsiadką, była kimś więcej. Przeszła już przez ogień i teraz tylko się śmiała na widok płomieni...

- Kiedy cię poznałam, bałam się, że i mnie zjesz na kolację.

- Oczywiście, moja droga, chciałam cię połknąć w całości. Ciebie, z tym twoim poważnym podejściem do robienia na drutach, zanim ktoś jeszcze wpadł na pomysł, że tak można! No, przynajmniej potrafisz rozróżnić dobry kaszmir od byle czego. - Janet podkreślała słowa płynnymi gestami urękawiczonej dłoni i perlistym śmiechem.

- Tylko dlatego, że importowałaś wyłącznie najlepsze gatunki.

- Importowałam same ciuchy. Dopiero ty, wiele lat później, poprosiłaś mnie o przedzę. Myślałam, że oszalałaś, bo zaproponowałaś mi płacenie za szmatki, które jeszcze nie istniały! Za to, co miałaś dopiero zrobić.

- Chyba było warto? Zbiłaś fortunę, sprzedając moje wzory i przedzę pasjonatom.

- Oczywiście, ale na początku nie miałam pojęcia, czy rzecz wypali. Ty za to zawsze myślałaś trzy ruchy do przodu, projektowałaś fantastyczne ciuszki. Te sweterki, które dziewczyny chciały mieć za wszelką cenę, te małe, seksowne kamizeleczyki i kapelusiki... Rzeczy,

których nie chowa się głęboko w szafie. Pojawiłaś się i jak burza przeszłaś przez świat motków, szydełek i drutów.

- To niezbyt wielki świat.

- Już nie. Ale zostałam jego prawdziwą królową.

- Prawdziwą królową była Eliza. Ja jestem zaledwie dworką.

- Tak mi przykro... - zamyśliła się Janet. - Na pogrzebie ledwie zdążyliśmy zamienić słowo.

- Nikt nie miał wtedy czasu. - Abigail dotknęła palcem wzoru na trzonku noża.

- Teraz mieszkasz w dawnym domu Elizy. Jak ci tam? Wszystko w porządku?

Kelner, wciąż z lekkim przerażeniem w oczach, postawił przed nimi talerze z wymyślnymi sałatkami. Janet spojrzała, otworzyła usta, jakby chciała coś powiedzieć, a później skinęła głową. Chłopak odetchnął z ulgą.

- Ser pleśniowy. Najlepszy sos do sałatek ma dodatek takiego właśnie sera.

- Świetne - powiedziała Abigail, próbując.

Janet przeniosła się na Środkowe Wybrzeże po bardzo nieprzyjemnym rozwodzie, który odbił się echem w wyższych sferach świata mody. Jej mężowi pozostał dom nad morzem, przy Rodeo Drive, który Janet kupiła za pieniądze z importu ekskluzywnych ubrań i ton luksusowej przędzy. Rozstanie było dla niej zarówno emocjonalnie, jak i finansowo bardzo ciężkim przeżyciem, ale wyniosła się z dotychczasowego miejsca zamieszkania i założyła własny sklep w sieci, który przyniósł jej znacznie więcej pieniędzy niż ten wcześniejszy, w realu. Szeptano po kątach, że Janet dorobiła się milionów, ale Abigail najbardziej cieszył fakt, że z oczu przyjaciółki zniknął smutek.

- Jak długo już tutaj mieszkasz?

- Pięć lat - westchnęła Janet.

- Naprawdę? Mam wrażenie, że minęła zaledwie chwila.

- Wiem. A Bill wciąż jest przekonany, że mi się nie uda. Wiesz, że mnie błagał o udostępnienie nazwiska, żeby posłużyć się nim przy jakiejś ważnej umowie? Oczywiście odmówiłam. Przysłał mi później liścik, w którym pisze, że nie może uwierzyć, iż już o nim zapomniałam

- zachichotała. - Odpowiedziałam kartką pocztową z prośbą o szczegółowe wyjaśnienie, skąd mogłabym go znać.

- Bardzo mi się to podoba. Jesteś z kimś teraz?

- Słoneczko, ja spotykam się z wieloma ludźmi, ale z nikim szczególnym. Jest taki jeden Richard, ale on dopiero co się rozwiódł i trudno z nim pójść do łóżka, żeby się nie rozplakał. To dość męczące. A ty, maleństwo? Co się stało z tamtym... Jak mu było? Teddy?

- Teddy, tak - roześmiała się Abigail. - Imię nawet do niego pasowało, był jak mały misiaczek. Ale się we mnie zakochał.

- To chyba nic złego.

Abigail sięgnęła do torebki. Wyjęła druty i robótkę.

- Co tam masz? Coś dobrego? - Janet nie potrafiła ukryć ciekawości.

- To tylko rękaw. - Abigail wykonała dwa okrągłe ruchy drutami w powietrzu. - Nie, to nic złego. Tyle że uczucie było jednostronne. Naprawdę próbowałam, wierz mi. Byłby dla mnie idealny. - Wzruszyła ramionami.

- Chyba nie jestem typem kobiety, która się zakochuje.

Janet sięgnęła ręką, żeby dotknąć włóczki.

- Świetne. Co to takiego?

- Merynosy. Sama przędłam.

- A to będzie...

- Nigdy się nie poddajesz? To męski sweter.

- Do twojej nowej książki z wzorami? Czy to coś osobistego? Albo jeszcze lepiej - może coś dla mnie?

- Przestań. Nie mam faceta, dla którego mogłabym coś zrobić na drutach. A ten wzór ci opiszę, skoro tak ci się podoba.

Janet wycelowała w przyjaciółkę widelcem.

- Dobrze. Nie rozstawaj się z drutami. I nie próbuj mydlić mi oczu. Oczywiście, że jesteś typem dziewczyny, która się zakochuje. Każda z nas potrafi się zakochać, to tylko kwestia wejrzenia w serce. A co z Jimem? To dopiero była miłość!

- Masz rację. Była. I nawet mam odwagę, by to powiedzieć. Tyle tylko, że z gatunku tych, które opróżniają konto bankowe i zabierają komputer, a z nim jedyny szkic mojego podręcznika z wzorami swetrów.

Janet jęknęła.

- Boże, zapomniałam! To było straszne.

-1 trochę głupie, prawda? Ale dzięki tobie jakoś z tego wyszłam.

- Szkoda, że nie widziałaś wyrazu twarzy Jima, kiedy otworzył drzwi i zobaczył na progu Tony'ego, ksywa Mafia.

- Twój kierowca rzeczywiście wygląda jak mafioso. -1 z lubością gra tę rolę zawsze, kiedy go o to proszę.

Jim nie zastanawiał się ani chwili. Odwrócił się na pięcie i poleciał po ten komputer. A kiedy go oddawał, płakał jak bóbr.

Abigail zmarszczyła brwi i spojrzała na robótkę, żeby się upewnić, że nie pomyliła ściegu.

- Kiedy otworzyłam laptopa, stwierdziłam, że w życiu nie widziałam tyle pornografii. Przegrałam podręcznik na dyskietkę, a później wyczyściłam twardy dysk. Po całym zabiegu musiałam wziąć prysznic. I to by było

na tyle w temacie miłości. Przynajmniej mogłam wrócić do pracy.

- A ten kolejny? Nie pamiętam już, jak mu było... Abigail ścisnęła druty w palcach mocniej niż trzeba.

- Nikogo innego nie było.

- Jak to? A ten brunet, o którym mi opowiadałaś? Ten, którego spotkałaś na targach ABA*. Poprosił cię o numer telefonu, a ty mu go dałaś bez chwili namysłu.

Abigail zbyt mocno szarpnęła jednym z okrągłych drutów i zgubiła kilka oczek.

- Cholera!

- Co się stało? -Nic.

- Widzę przecież. Opowiedz mi. - Janet nachyliła się w kierunku przyjaciółki. - W jednej sekundzie Tony może znaleźć się w San Diego.

- Nie chcę o tym mówić.

- Skrzywdził cię? - Janet nastroszyła się jak wygięty w kabłąk kocur.

- Nie dałam mu okazji.

- Dzielna dziewczyna.

Abigail oparła głowę o poduszkę krzesła i popatrzyła w górę, na wirujące powoli skrzydła wentylatora. Obracały się jednostajnie, przeciwnie niż wirujące w jej głowie myśli. Nie każdy musi znać jej tajemnicę, ale Janet to co innego.

- On tam był, na tych targach, bo jego siostra napisała jakąś książkę o zwierzętach. Wtedy myślałam, że to fantastyczne, że tak ją wspiera. Zadzwoił do mnie i zaprosił na marinę, na pokład firmowego jachtu. Wiesz,

*** ABA - American Booksellers Association - Stowarzyszenie Księgarzy Amerykańskich (przyp. tłum.).**

taka cudownie romantyczna pierwsza randka. Jednak pod koniec wieczoru zrobił się dziwny. Nalegał na spotkanie następnego dnia, ale miałam inne plany i odmówiłam. A to mu się nie spodobało.

- Aż mi skóra ścierpła. Mów dalej.

Abigail w końcu udało się złapać ostatnie oczko, które wcześniej uciekło na lewy drut. Miała wprawę, nie musiała patrzeć na robótkę, ale opowiadała, nie podnosząc wzroku.

- Okazuje się, że tamtego wieczoru szedł za mną aż pod dom. A potem było tylko coraz gorzej.

- Szkoda, że nic mi o tym nie mówiłaś.

- Było mi wstyd.

- Próbował czegoś?

- Tylko raz, ale dałam sobie z nim radę. - Abigail z mocą wypowiedziała tę kwestię, ale pod koniec załamał się jej głos. Przerazona, poczuła napływające do oczu łzy.

Zanim zdążyła się zorientować, Janet już wstała z krzesła. Abigail w jednej chwili znalazła się w wyperfumowanych ramionach przyjaciółki.

- Tak mi przykro.

Spowiedź skończyła się matczynym pocałunkiem w czoło. Goście restauracji przyglądali się obu kobietom z zainteresowaniem.

- Więc już po wszystkim?

- Jestem tutaj, prawda?

- Złożyłaś doniesienie do prokuratury?

- Tak, oczywiście. Dostał zakaz zbliżania się do mnie, ale nie spróbował ani razu, nawet w pracy. Policja sądzi, że wyjechał do innego stanu. To i fakt, że on nie ma pojęcia, gdzie jestem, trochę mnie uspokaja. Czuję się trochę lepiej.

Abigail uśmiechnęła się do przyjaciółki. Nie będzie się więcej zamartwiać.

- Jestem bezpieczna. A całą tę historię usłyszałaś wyłącznie dlatego, że zadawałaś pytania. Nie znalazłam miłości.

- Znajdziesz, moja droga. Popatrz na mnie. Jestem pomarszczona jak śliwka, a wciąż się na nią natykam!

- Tak to teraz nazywają dzieciaki? Janet zaśmiała się perliście.

- Boże, jak dobrze, że tu jesteś! Ciężko ci było wyjechać?

- Nie. Wiesz przecież, że nie znosiłam tamtego mieszkania. Za blisko autostrady i za głośno. Dałam ogłoszenie i pozbyłam się wszystkiego. Część rozdałam, a część sprzedawałam na wirtualnej wyprzedaży garażowej. Zabrałam ze sobą tylko to, co kocham, a to, prawdę mówiąc, nie zajęło dużo miejsca. Czuję się swobodniej niż kiedykolwiek.

- Wiedziałaś, że Eliza ma dom w okolicy, ale nigdy nie przypuszczałam, że historia potoczy się w taki sposób. Jak ci się wiedzie? Nie jesteś tym wszystkim przytłoczona? Co ona właściwie ci zostawiła?

- Niewielki domeczek i ziemię, na której stoi. I wszystko, co w środku.

- No proszę! Wiedziałaś, że cię kocha, ale... Czy jej siostrzeniec to ten wspaniały chłopiec? Taki wysoki, wyglądający jak chodząca fantazja erotyczna co drugiej dziewczyny?

- Znasz go? Znasz Cade'a?

- No właśnie, Cade. Słyszałam o nim. W zeszłym roku chodziła z nim moja koleżanka, ale z nią zerwał.

- Naprawdę?

- Była załamana. Wiem jeszcze, że później znienawidziła go straszliwie. Pokazała mi go kiedyś w restauracji, miesiąc po rozstaniu. Już z inną kobietą. Według mnie jest boski. I wart mszy.

- Długo ze sobą chodzili? - Abigail poczuła nagle silne zainteresowanie tematem, ale postanowiła nie analizować tego odczucia.

- Jakiś miesiąc albo dwa. - Janet nachyliła się nad stolikiem. - Mówiła mi, że w łóżku jest wspaniały! Jakoś mnie to nie dziwi. Wygląda jak seks na patyku albo na końskim grzbiecie. Albo jakoś tak, nie wiem, jak się tutaj o tym mówi. Na widelcu?

- Na widelcu to chyba nie...

- Dla mnie zawsze tak było, moja droga, ale to moje widelce. Tak czy inaczej, kochanie, podobno okazał się fantastycznym kochankiem, a moja koleżanka była zdruzgotana, bo w marzeniach widziała już pierścionek zaręczynowy na swoim palcu i muzyków ćwiczących weselnego marsza. Tyle że później Cade jednym ruchem wyrwał jej spod stóp czerwony dywan i biedna dziewczyna wylądowała zapłakana na moim progu. Czy to zawsze musi się tak kończyć?

- Rozumiem. Mnie on wydaje się raczej... szorstki.

- Hm. Czyżbym słyszała w twoim głosie nutkę zainteresowania, skarbeczku?

- Absolutnie nie. Przeciwnie. Wręcz go nie lubię, choć będę musiała pomieszkać z nim przez jakiś czas pod jednym dachem.

Janet podziękowała gestem dłoni kelnerowi, który przyszedł napełnić karafkę wodą, i znów nachyliła się nad stolikiem.

- To zaczyna się robić interesujące. Co masz na myśli?

- Dostałam od Elizy wiejski domek bez bieżącej wody.

- To straszne.

- Kto wie, może i ze szczurami... Janet pobladła.

- Kochanie...

- A już na pewno z nietoperzem.

- Abigail! Tam nie możesz zamieszkać!

- Racja. Nie wprowadzę się, zanim nie wysprzątam i nie doprowadzę tej stajni Augiasza do ładu. Kiedy już podłączę prąd i wodę, dam radę. Będzie cudownie. Tyle że nie mam pojęcia, jak długo to potrwa. Tymczasem mieszkam u Cade'a.

- To cudnie! - Janet aż klasnęła w dłonie. - Fantastycznie!

- Tak uważasz? - Zamyślona Abigail odłożyła robótkę. - Wiem, że Cade ma reputację psa na kobiety, ale...

Nie musiała nic mówić. Janet odezwała się przyciszonym głosem.

- Cade jest dobrym chłopakiem. Wszyscy go tu znają. Dobrze wygląda w dżinsach i owszem, złamał parę serc, ale nigdy nikogo nie skrzywdził celowo. Chodziłam swego czasu z zastępcą szeryfa, więc wiedziałabym, gdyby z Cade'a był łobuz. To przecież siostrzeniec Elizy!

Abigail skinęła głową.

- Tak właśnie sądziłam. Dobrze, zmieńmy temat. Dzisiaj znalazłam coś w moim domu.

- Mów, mów! Liny i łańcuchy?

- A tam. Po prostu jedna wielka kotłowanina różnych rzeczy, poukładanych jedna na drugiej, pospiętrzanych. Wszędzie tekturowe pudła pełne przędzy i kołowrotek. I Bóg jeden wie czego jeszcze.

Janet uniosła brwi.

- Tylko pomyśl! - powiedziała Abigail. - Sezam Ali Baby a la Eliza Carpenter! Wiesz, ile osób w tym kraju dostałoby kompletnego świra, jeśliby się dowiedziało, że można przyjechać do jej domu i posługiwać się przedmiotami, które były jej własnością? A może nawet nauczyć się robienia na drutach?

- Tak, rzeczywiście są ludzie kompletnie odjechani na tym punkcie. Przyznaję.

- Eliza jest jak obiekt kultu. Myślę, że jej dom mógłby stanowić załączek mojego warsztatu. Albo szkoły robótek. Ona chyba miała wobec mnie takie zamiary...

- I to wszystko należy do ciebie?

- Tak. Nie jestem tylko pewna, jak poczuje się Cade ze świadomością, że pod bokiem rośnie mu coś takiego.

- Spójrz tylko na siebie, moja droga. On ci odda, co tylko zechcesz.

- Chyba jednak nie. Spodziewał się, że odziedziczy wszystko.

- Nie powinien był tak myśleć.

- Ja na jego miejscu myślałabym podobnie. Trochę mi go żal.

Janet sięgnęła ponad stolikiem i poklepała Abigail po policzku.

- I właśnie dlatego ja jestem kobietą interesu, a ty, moja droga, zajmujesz się pisaniem książek. A teraz powiedz mi, kiedy mogę przyjechać i obejrzeć to ranczo.

Rozdział 10

Kiedy nabierasz oczka na przód i tył swetra, niech ktoś opowiada ci jakąś zabawną historię. A jeszcze lepiej, jeśli nakłonisz go do liczenia oczek.

E.C.

Cały następny tydzień Abigail spędziła, powtarzając te same czynności dzień po dniu. Godzinowy plan podziału domu okazał się skuteczny. Rzadko widywała Cade'a, a jeżeli już gdzieś przemykał, to raczej w oddali. Miała wrażenie, że mężczyzna w ogóle jej nie zauważa. Kiedy była przy zlewie, przechodził przez kuchnię, nie patrząc w jej kierunku. Kładł się znacznie wcześniej, a Abigail ze zdziwieniem stwierdzała, siedząc w salonie i czytając lub robiąc na drutach, że czuje się dobrze pod tym dachem, podczas gdy gospodarz śpi na górze. Ten dom był prawdziwszy niż wszystkie domy, w których mieszkała od śmierci matki. I chociaż Cade najwyraźniej nie mógł ścierpieć damskiego towarzystwa, jego kot Duncan chyba polubił gościa, bo wskakiwał wieczorami na kolana Abigail i mruczał zadowolony.

A ona nie śpieszyła się z przetrząsaniem zawartości pudeł po Elizie; będzie z nimi wprawdzie dużo pracy, ale

zadanie nie wyglądało na tak beznadziejne, jak sądziła na początku. Teraz wiedziała już, że tekturowe i plastikowe sterty to wcale nie śmieci. Najpierw trzeba porządnie posprzątać, a później zabrać się do odnawiania wnętrza. Prawda, że poza tym przed zimą należy wymienić dach i naprawić kilka okien, ale kiedy na sedesie załśni nowa deska i popłynie w nim woda, będzie można korzystać z łazienki. A kuchnia wydaje się w całkiem dobrym stanie.

Zjawił się już fachowiec od gryzoni i innych niechcianych gości. I od nietoperza. Zamurowawszy dziurę w ścianie, z której wylazł gacek, stwierdził, że to załatwia problem. Abigail pomodliła się w duchu, żeby miał rację.

Pojechała do Cypress Hollow, by porozmawiać z hydraulikiem o łazience. Umówiła się z nim wcześniej, więc przywitał ją ciepło; miała wrażenie, że całkiem szczerze. Jego żona zaprosiła Abigail do uczestnictwa w grupie czytelniczej, która zawiązywała się właśnie w bibliotece miejskiej. Taki początek napawał optymizmem.

W drodze powrotnej Abigail minęła ogłoszenie, na którym wyczytała: „Alpaki. Ostateczna wyprzedaż. Urocze zwierzęta”.

Alpaka.

Najlepsza, najdelikatniejsza i najbardziej miękka przędza. Jedna z jej ulubionych. Może sprzedają tu wełnę?

Podążając za strzałkami, zjechała z szosy wprost w otwartą bramę.

Pomachał do niej starszy mężczyzna w roboczym ubraniu i płaskiej czapce z daszkiem.

- Chce pani parkę?

Pokręciła głową i uśmiechnęła się.

- Interesuje mnie wyłącznie runo. Były ostatnio strzyżone?

- Nie, nie można przecież mieć wszystkiego. Podcinałem je tylko, a wełnę wyrzucałem. Mieliśmy zarobić na młodych. Jej nie chodziło o pieniądze.

Abigail próbowała nie okazać przerażenia. On wyrzucał wełnę!

Mężczyzna nie przestawał mówić.

- Te zwierzaki należały do mojej nieboszczki żony. Jej nie ma już wśród żywych, a ja muszę sprzedać alpaki. Oddam niedrogo.

- Nie mam ich gdzie trzymać.

Mężczyzna przyjrzał się gościowi uważniej, a później odwrócił się i spojrzał na auto.

- Czy to nie pani jest tą dziewczyną, która się wprowadziła do Cade'a MacArthura? Do tego starego domku po Elizie?

- No proszę, tam-tamy już o tym bębnią. Tak, to ja.

- Cade ma dużo przestrzeni. I mówił mi kiedyś, że uwielbia alpaki, i że chciałby parkę. Ma trochę miejsca z tyłu za szopą. Dla nich idealnie. - Nie spuszczał z Abigail oka. - Cade pewnie by się ucieszył z takiego prezentu.

Zmrużyła oczy. Czy ten facet próbuje ją naciągnąć? Rzeczywiście, za domkiem stoi szopa. Do tej pory Abigail jakoś nie miała czasu się jej przyjrzeć.

- Jeżeli weźmie pani samca i samiczkę, dorzucę jeszcze psa.

- Psa? - Abigail już od dłuższego czasu myślała o psie, ale czy to odpowiedni moment?

- Tę tam. Suczkę. - Mężczyzna wskazał palcem na werandę. - Jeśli nikt jej nie zechce, będę musiał ją oddać do uśpienia. I na to się zanosí. To border collie. Wie pani, że nie ma lepszych psów?

- Jeżeli rzeczywiście jest najlepsza, dlaczego pan jej nie zatrzyma?

- Żona umarła niedawno... - Jego głos się załamał. - Wyjeżdżam stąd. Płynę na Hawaje. Pies mi niepotrzebny. A przy alpakach jak znalazł.

- Naprawdę?

- Cóż, może rzeczywiście nie... Choć to dobre stworzenie i ciche. Cóż, w takim razie trzeba je uśpić.

Abigail poczuła, że rozmowa wymyka się spod kontroli. Westchnęła.

- Obejrzę tego psa.

Rozdział 11

Robienia na drutach nie trzeba traktować ze śmiertelną powagą. Nie zapominaj, że to przyjemność.

E.C.

Cade usłyszał, że Abigail woła go po imieniu. I usłyszał w jej głosie przerażenie. Coś się stało? Wybiegł ze stajni i ruszył w kierunku domu.

- Cade! Pomocy!

Puścił się biegiem. Przewróciła się? A może na coś choruje, a on o tym nie wie? Gdzie ona jest, do diabła?

Kiedy wybiegł zza stajni, zobaczył ją przy samochodzie zaparkowanym obok domku Elizy. Z podjazdu właśnie zniknęła stara półciężarówka. Czy to czasem nie wóz Morta?

Wciąż biegł, ale już wolniej, bo zauważył, że Abigail się uśmiecha. A właściwie szczyrzy zęby od ucha do ucha.

A cóż to takiego? Dobry Boże, tylko nie to!

- Alpaki. Proszę spojrzeć!

- Czy pani ze mnie żartuje?

- Nie. To urocze stworzenia.

- A ja myślałem, że coś się pani stało...
- Przepraszam - powiedziała tonem usprawiedliwienia. - Myślałam, że jedna z nich ucieka. Ale Mort zrobił jeszcze jeden węzeł na sznurze, a później przywiązał zwierzaki do ogrodzenia.
- Ma pani alpaki.
- Nie podobają się panu... - Uśmiech znikł z jej twarzy.
- Wiele to ja o nich nie wiem. Ale przynajmniej tyle, że nie chcę ich na swoim terenie.
- Będę je mogła trzymać w tej małej szopie? Nawet pan nie zauważył ich obecności.
- A co pani wie o hodowli zwierząt?
- Niewiele. Mort powiedział, że muszę je karmić, i na początek dał mi trochę paszy. Mówił, że są bardzo łagodne. I że mogę sama je strzyc.
- Co takiego?
- Żeby mieć wełnę do przedzenia! Delikatniejszej nie ma na całym świecie. Zrobię panu skarpetki na drutach.
- Cade nie mógł powstrzymać prychnięcia.
- Skarpetki z alpaki? Trudno mi to sobie wyobrazić. Usłyszał dochodzący z pikapa odgłos i odwrócił się, żeby sprawdzić, co to takiego.
- Ma pani psa.
- Ta dziewczyna niczego nie robiła na pół gwizdka.
- To nie jakiś tam zwykły kundel. To border collie.
- Niech zgadnę. Niewiele pani wie o tej rasie.
- A pan? Niech mnie pan oświeci. To urocze stworzenie.
- I zapewne inteligentne. Mam takie dwa. Trzymam je w stajni. Pilnują owiec. Są tak bystre, że nie zostawiłbym ich sam na sam z puszką tuńczyka i otwieraczem do konserw.

- Mort mówił, że to naprawdę mądry zwierzak.

- Jak on panią na to wszystko namówił?

Abigail wyciągnęła rękę, żeby poklepać jedną z alpaka, ale zwierzę odsunęło się od niej na całą długość powrozu.

- Zona mu zmarła... - zaczęła.

- Trzy lata temu - stwierdził Cade.

- Naprawdę? Opowiadał tak, jakby się to zdarzyło wczoraj. Aha i niedługo płynie na Hawaje, więc musiał pozbyć się psa.

- Z niego taki żeglarz jak z koziej... Poza tym dopiero co kupił nowy ciągnik. On się nigdzie nie wybiera. A tych alpaka próbuje się pozbyć, odkąd odeszła Mary.

- Mówił mi, że zawsze chciał pan mieć alpaki i że uważa pan je za bardzo ładne zwierzęta.

Cade nie mógł już dłużej powstrzymać śmiechu. To było naprawdę zabawne. Te pałające szczerością oczy i zaczerwienione z ekscytacji policzki! Mort cudnie ją zrobił w balona.

- Prezent? Dla mnie? Naśmiewałem się z Morta od dnia, kiedy pozwolił żonie je kupić. One bez przerwy urywają się ze sznurka i wybiegają na autostradę. Mary mówiła, że będzie je hodować i sprzedawać młode, a tymczasem nie zarobiła na nich ani centa. Gdzie chce pani trzymać maluchy? W tej tam szopie nie zmieści się więcej niż dwójka.

Spojrzała niechętnie.

- Nie potrzebuję małych alpaka. W każdym razie jeszcze nie teraz. Dwie mi wystarczą w zupełności. Będę je strzygła na wełnę. Są urocze. Cudowne. Uwielbiam je.

Cade zdziwił się, że po tej deklaracji nie nastąpiło tupnięcie nogą.

- Nazywają się jakoś?

- Owszem.

- Powie mi pani?

- Jeżeli nie będzie się pan śmiał.

- Jakżebym mógł?

- Wiem, będzie się pan śmiał, ale i tak panu powiem. Ten ciemniejszy ma na imię Merino, a ta jaśniejsza to Tussah. Samica. Jest urocza. Ale i jedno, i drugie jest cudowne. A ja je kocham.

- Merino? Jak rasa owiec? A Tussah to chyba jakieś pojęcie z pani świata?

- To taki jedwabnik.

- Nazwała pani alpaki imionami owcy i jedwabnika?

- Miał się pan nie śmiać. - Odwróciła się i zaczęła odwiązywać samca od płotu.

- Gdzie je pani będzie trzymać?

- Już mówiłam. W mojej szopie.

- Jest przygotowana?

- Mort mówił, że one nie muszą mieć dużo przestrzeni, tylko jakąś osłonę przed deszczem.

- Abigail, czy sprawdzała pani ogrodzenie za pastwiskiem? Ja od dawna nie korzystam z tego kawałka ziemi.

Dziewczyna wbiła wzrok w ziemię, czując, że płoną jej policzki. Cade nie wiedział czy rumieniec oznacza gniew, czy nie, ale wcale mu się nie podobał. Kiedyś potrafił w mgnieniu oka odczytywać damskie emocje. Kobiety nie miały dla niego tajemnic. Lecz ta tutaj - przeciwnie.

Z drugiej strony nie była to szarada nie do rozwikłania.

- Patrzyłam - odparła. - W ogrodzeniu nie było żadnych dziur.

- Czy chce pani, żebym ja się temu przyjrzał? Zmarszczyła mocno brwi i Cade poczuł satysfakcję.

W końcu jakoś do niej dotarł.

Nie odmówi. Tego był pewien.

- W porządku, jeśli pan chce. Ale uważam, że ogrodzenie jest nienaruszone.

Mężczyzna uśmiechnął się i poszedł za szopę, pozostawiając Abigail w towarzystwie alpak i zamkniętego w samochodzie psa, który szczekał teraz jak oszalały. Od strony stajni dochodziło ujadanie jego collie Cade'a.

Boże, jeszcze ta szopa! Kiedy mieszkała tu Eliza, trzymała w niej kury, chociaż po przejściu gospodarstwa Cade postawił kurnik z prawdziwego zdarzenia nieco dalej, u stóp wzgórza. Nie lubił ani gdakania, ani odoru ptactwa, a już zwłaszcza porannego piania kogutów. Wolał trzymać je na dystans.

Choć, jeśliby się nad tym głębiej zastanowić, koguty nie budziły się wcześniej od niego...

Barak miał wystarczający rozmiar; Cade trochę bajerował Abigail, bo było tam dość miejsca dla dwóch alpak, ale obecność więcej niż trzech sztuk zakrawała już na przesadę. A tego należało się spodziewać, bo nie było raczej sposobu rozdzielenia samca i samicy na tak małej przestrzeni.

Ogrodzenie wygląda solidnie, pomyślał, badając je w kilku miejscach ręką, a następnie obcasem buta. To zasługa Toma, nie moja. Cade kontrolował wszystkie obszary gospodarstwa i zarządzał całością, ale o miejscach takich jak to zdarzało mu się zapominać.

Zwierzątka-przytulanki. Na jego farmie. Cóż, chyba będzie musiał się z tym pogodzić, a na pewno do czasu, kiedy jej się to znudzi, kiedy dziewczyna podda się i wyjedzie. Miał nadzieję, że dojdzie do tego wcześniej niż później, ale alpaki? Na jego ziemi?

Boże jedyny. Każdemu, kto będzie przejeżdżał szczytem wzgórza i spoglądał w dół, Cade wyda się idiotą,

który dał się nabrać. Jak jakiś uczestnik podejrzanej kombinacji z piramidą finansową.

Obszedł szopę i znalazł Abigail przy samochodzie.

- Wygląda solidnie.

- Aha - odparła.

W uszach Cade'a zabrzmiało to jak: „A nie mówiłam?”.

- Gdzie będzie pani trzymała paszę?

- W tej samej komórce co alpaki - powiedziała, słabo jakoś i niepewnie.

- To się do niej dobiorą.

- Aha. No, tak. To może tam, w tamtym pomieszczeniu. - Abigail wskazała stojący sto metrów dalej stary, drewniany składzik w kolorze przyblakłej purpury. Kolor wybrała Eliza, jeszcze jako nastolatka, i własnoręcznie pomalowała ściany.

- Tam nie ma miejsca. Sam złom, żelastwo i narzędzia. A poza tym nie należy do pani, tylko do mnie.

- A w dużych plastikowych pojemnikach? Dałoby radę?

Cade w milczeniu przechylił głowę. To całkiem możliwe. Jeśli pojemniki byłyby dostatecznie duże...

- Więc jednak zamierza pani rozmnażać swoją trzódkę?

Był to cios poniżej pasa i Cade zdawał sobie z tego sprawę. Abigail i tak wyglądała na kompletnie przerażoną rozwojem sytuacji. W obu dłoniach trzymała sznurki, na końcu których uwiązano alpaki, oglądając się przez ramię w kierunku samochodu i coraz bardziej rozszalałego psa.

- Nie! A przynajmniej nie od razu.

- Powiedzmy: nie do jutra.

- O Boże, naprawdę?

- Owulacja samic jest indukowana.

- To nie brzmi dobrze.

- Dojrzałe wchodzą w ruję podczas spółkowania. Dzięki temu, że są wyczulone na obecność samców, stają się płodne. Za jakieś jedenaście miesięcy będzie tu biegać maleństwo.

- Za jedenaście miesięcy od jutra...

- Od dzisiaj, przy odrobinie szczęścia.

- Mort trzymał je oddzielnie?

- Może ujmę to tak: nigdy nie widziałem ich razem.

- Ale ja nie mam jak ich rozdzielić!

- Może zarobi coś pani na jagnięciu i uzyska fundusze na...

- Wiem, wiem, ten mój nadmierny entuzjazm... Jestem do tego przyzwyczajona, proszę się nie martwić. - Abigail spojrzała na Cade'a i odgarnęła z twarzy kosmyk gęstych włosów. Jej niebieskie oczy pojaśniały.

- No, dobrze - powiedział w końcu Cade zbolalym głosem.

- Dziękuję. Pójdę je odprowadzić.

Okręciła się na pięcie i ruszyła, zabierając ze sobą Me-rina; samicę zostawiła za ogrodzeniem. Alpaka patrzyła za odchodzącymi tęsknym wzrokiem.

To rzeczywiście urocze stworzenia. Mają wielkie oczy i śmieszne grzywki, ale Cade nigdy nie powiedziałby tego na głos. Nigdy by się nie przyznał, że mu się podobają.

Ma jeszcze mnóstwo roboty tego dnia.

Opuścił głowę i odszedł, nie oglądając się choćby przez ramię, żeby sprawdzić, jak radzi sobie dziewczyna.

Rozdział 12

Przód i plecy swetra sprawiają największą rozkosz. Można się w nich zanurzyć i poczuć, jak charakter wzoru i wełna łączą się w jedno w twoich utalentowanych dłoniach.

E.C.

Abigail zaprowadziła zwierzęta na ogrodzoną część podwórza, znajdującą się niedaleko stajni. Poszły za nią bez oporu i chociaż nie wykazywały ochoty na poklepywanie po głowie i pieszczoty, raczej się nie bały. Bardziej niepokoiło je szczekanie psa, ale kiedy już znalazły się za płotem, z dala od samochodu, uspokoiły się trochę.

Niechętnie, nie wiedząc, czy kiedykolwiek zdoła je opanować, Abigail spuściła alpaki z uwięzi.

- Jesteście wolne! - Rozejrzała się dokoła. - Tak jakby. Wróciła do pikapa i uśmiechnęła się do psa, który właśnie przeżuwał kawałek fotela.

- Za chwilę! Za chwilę wracam! - zawołała.

Mort mówił, że wyposażył ją we wszystko, co trzeba: w suplementy witaminowe („Daję to pani, bo panią polubiłem”) i wiadra do karmienia. Na pakę wrzucił siano, za darmo, żeby uczcić pamięć zmarłej żony. „Trzeba je

karmić zwykłym sianem, a nie lucerną, bo jest dla nich zbyt sycąca", powiedział.

Abigail odeszła o krok od półciązarówki i z satysfakcją spojrzała na zawartość bagażnika. Nie miała pojęcia, czym się różni siano od lucerny ani nawet czy Mort nie wpuścił jej w maliny, ale była zadowolona, że po raz pierwszy przewozi swym małym pikapem coś innego niż kanapę. Jak to zgrabnie ujął Cade.

Chciała wyjąć balot, żeby zanieść siano zwierzętom, na pewno głodnym po przejściach. Pociągnęła. Cholera! Nie wiedziała, że to takie ciężkie! Przeciągnęła belę tak, żeby ta łatwiej dała się zsunąć. Siano okazało się szorstkie. Będą mi potrzebne rękawiczki, pomyślała. Będą mi potrzebne różne rzeczy.

Zrobiła, co mogła: ułożyła paszę na niższej półce w szopie i sprawdziwszy, czy wiadra są czyste, napełniła je wodą. Trzeba kupić książkę o alpakach. A może odpowiedź na wszystkie wątpliwości znajdzie w sieci? Czy oni tu w ogóle mają dostęp do Internetu? Od przyjazdu Abigail ani razu nie zajrzała do komputera; teraz zdała sobie sprawę, że jeszcze nigdy w życiu nie wytrzymała tak długo bez otwierania laptopa.

I wcale nie czuła się z tym źle.

Raz jeszcze się upewniła, czy z Merinem i Tussah wszystko w porządku, i ponownie spróbowała dotknąć ich sierści. Ponieważ jednak alpaki wyglądały na spłoszone, poszła się zająć psem.

Już podczas jazdy Abigail miała wrażenie, że psina pokochała ją od pierwszego wejrzenia. Błyskawicznie się zaprzyjaźniły; zwierzak ślinił się i w ekstazie lizał nową panią po policzkach. A ona wiedziała, że to dobrze, że w porządku i że właśnie zyskuje nową najlepszą przyjaciółkę. Sunia dotrzyma jej towarzystwa,

gdy ona, w miarę możliwości, będzie próbowała unikać Cade'a.

Pies obronny. Taki, który będzie szczekał, warczał i gryzł, jeśli zajdzie potrzeba. Abigail przypomniała sobie, jak kiedyś, w San Diego, zasypiała, słuchając dobiegających z ulicy odgłosów. Leżała przerażona, przekonana, że gdzieś tam czai się i skrada Samuel, że próbuje zaglądać w okna, ale za bardzo się bała, aby przejść do drugiego pokoju i zadzwonić na policję. Nie mówiąc już o wyglądaniu na zewnątrz. Żałowała wtedy, że nie ma przy sobie psa, takiego silnego, ujadającego głośno i odstrasającego obcych.

Teraz jednak, kiedy sunia dostała radosnego świra, Abigail zdała sobie sprawę, że jej marzenia nie nadały się za rzeczywistością. Za każdym razem, kiedy podchodziła do drzwi samochodu, border collie obłąkańczo szczekał, warczał i odsłaniał zęby.

- Już dobrze, dobrze. Pamiętasz? To ja. Jeszcze kilka minut temu byliśmy przyjaciółkami. Naprawdę.

Abigail oparła dłoń na klamce od strony pasażera i odskoczyła dwa kroki, bo spieniony psi pysk uderzył o szybę.

- Nie! Przestań!

Na pewno nie tak miało być. Pies, którego jeszcze nie nazwała (Mort zresztą też nie nadał suce imienia), miał ją kochać. Tak jak w drodze na farmę. Ujadanie i szamotanina jednak nie ustawały i Abigail czuła, że zwierzak zaraz zrobi sobie krzywdę.

- Co się dzieje z tym twoim psem?

Zdziwiona Abigail wrzasnęła, podskoczyła, potknęła się o własną nogę i wyładowała na tyłku. Boże, musi przestać wrzeszczeć za każdym razem, kiedy on ją straszy!

- Przeraził mnie pan. Co pan tu robi? Nie potrzebuję pomocy!

- Właśnie widzę. - Cade musiał podnieść głos, żeby przekrzyczeć psa, który był teraz jak opętany. - Może jednak na coś się przydam.

Abigail wstała, otrzepując ubranie, i wygięła szyję, żeby sprawdzić, czy wciąż ma brudną pupę. Strzepywała kurz z dżinsów dłońmi porysowanymi ostrym sianem.

- Nie potrzebuję pomocy byle kowboja - mruknęła pod nosem. - Daję sobie radę. Dziękuję bardzo.

Gadała do siebie, a Cade tymczasem obszedł samochód, otworzył drzwi od strony kierowcy i uwolnił psa.

- Nie! - wrzasnęła Abigail.

- No chodź, maleńka. Dobry piesek.

Suka, która okazała się zdrajczynią, próbowała wdrapać się na Cade'a, wyrazić mu swoją wdzięczność i koniecznie polizać go po twarzy. Przed chwilą wyglądała, jakby się wściekła, a teraz zachowuje się jak rasowy pochlebca! Abigail przyglądała się, jak mężczyzna przykłęka na jedno kolano, a pies rzuca się w jego otwarte ramiona.

- To jakiś żart?

- Naprawdę bała się pani tego szczeniaka? Przecież jest uroczy. - Cade pogłaskał zwierzę po głowie i podrapał je za uszami. - Kto mógłby się przestraszyć czegoś takiego? Co?

Spojrzał na Abigail, a później poświęcił uwagę wyłącznie suni.

- A tak w ogóle, to jak ona się nazywa?

- Jeszcze nie ma imienia.

- To chyba jest Clara.

- Nie, na pewno nie.

- Clarabelle. Clarabellerina. - Pies tańczył przed nim, odbiegał i wracał po pieszczoty. - Czy to ty? Nazywasz się Clara? - Uszczęśliwiony zwierzak zaszczekał. - Tak - powiedział Cade, drapiąc go za uchem. - Wiedziałem.

- Jezus, Maria, niechże pan przestanie. I proszę mi oddać mojego owczarka!

Abigail wyrwała Cade'owi z ręki smycz i ruszyła po schodkach na własną werandę, zadowolona, że wcześniej schowała do środka wszystkie rozpakowane z pudeł skarby. Jej gospodarz jeszcze nie musiał wiedzieć, co znalazła.

- Ma pani dla niej jakieś psie żarcie?

Abigail potknęła się na schodku i żeby nie upaść, chwyciła się balustrady.

- Marne te stopnie - zauważyła. - Oczywiście.

- I miski na wodę? I na jedzenie.

Nie odpowiedziała. Nie potrafiła się przyznać do własnej bezmyślności. Cholera. Trzeba będzie ponownie pojechać do miasteczka i znaleźć sklep z akcesoriami dla zwierząt! Abigail czuła się tak, jakby przy bramie zostawiła część mózgu albo wykorzystała wszystkie siły umysłowe i jeszcze nie zdołała ich zebrać.

Cade odezwał się, cedząc słowa.

- Jestem pewien, że wszystko pani ma i jest przygotowana, ale jeżeli się okaże, że o czymś jednak pani zapomniała... Za stajnią, przy małym silosie zbożowym, są zapasowe psie miski i sucha karma w plastikowym pojemniku. Proszę śmiało korzystać.

No tak. Psa to powitał serdecznie! Szkoda, że ja nie jestem psem, bo zapewne wówczas Cade byłby znacznie szczęśliwszy. Na pewno. A teraz znów się ulotnił i zostawił mnie z suką, która ciągnie za smycz i próbuje za nim pobiec!

I z dwiema alpakami w szopie, o których hodowli Abigail nie miała pojęcia, i domem, który zawali się chyba jakoś niedługo...

Wcale nie chciała reagować przesadnie. Dla kogoś z zewnątrz wszystko wyglądało wspaniale. Spadek.

Własny dom z dala od San Diego. Wprawdzie Cade nie chce jej tutaj, ale ona jest twardsza niż ten facet i potrafi to udowodnić.

Nawet wtedy, kiedy miała jeszcze małe mieszkanie, które spaliło się całe lata temu, kiedy była jeszcze na uniwersytecie i spała u koleżanek, a jedynym jej majątkiem była trzymana w plecaku szczoteczka do zębów, kiedy nie musiała sprawdzać w skrzynce, czy są do niej jakieś listy, nie czuła się tak bezdomna jak teraz. Dla Abigail dom był wszystkim. Gdy budziła się nie u siebie, musiała wiedzieć, gdzie co ma i w którym kierunku do łazienki. Kiedy rozpakowywała się w hotelach, rozkładała rzeczy po wszystkich szufladach. Kiedy w namiotach - przygotowywała wieczorem ciuchy na następny dzień. Nawet jako nastolatka, po śmierci matki, gdy ojciec rok w rok przenosił się z miejsca na miejsce w poszukiwaniu pracy, pakowała się i rozpakowywała cierpliwie. Bo to lubiła. A jeśli były jej pisane podróże, musiała przynajmniej wiedzieć, gdzie co leży.

Tutaj, w tym wielkim domu, ma na piętrze śliczny pokoik. W domu, który nie jest jej, który dzieli z kimś, kto polubił obcego psa bardziej niż ją. Szczerze? Jeśli to ona musiałaby nagle i bez zapowiedzi dzielić z kimś zupełnie obcym swój dom, też potrafiłaby znienawidzić tego ktosia.

Ale na pewno byłaby dla niego miłsza.

No cóż... Z drugiej strony zaproponował przecież miski dla psa i karmę.

Choć właściwie zaproponował je suni, która teraz ciągnęła swoją panią między rzędami pudeł.

- Clara! Przestań się szarpać!

Psica spojrzała z ciekawością i zadowolona podskoczyła w miejscu.

No tak. Świetnie. Teraz i ona zawołała ją po imieniu. Przyjęło się.

- Clara? - Odpowiedzią było liźnięcie po ręce. - Naprawdę chciałam ci wymyślić imię. Prawdę mówiąc, bardzo się na to cieszyłam.

Abigail przerwała przemowę do psa i rozejrzała się po pokoju. Wciąż było tu ciemno, nawet przy odsłoniętych zasłonach. Okna domagały się mycia. Pachniało czymś dziwnym, starym i przykurzonym.

Jak z tego zrobić dom?

- Chodź, pokażę ci coś - powiedziała, zwracając się do psa. - Na górze.

Poprowadziła Clarę wąskimi schodami do pokoju na górze; pies dyszał i prychał z podniecenia. Bez dodatkowej zachęty przebiegł między poustawianymi wszędzie pudłami, trafił na środek pokoju, rzucił się na małą sofę i zaciekawiony zabrał się do wyglądania przez okno. Abigail usiadła obok.

- Przyjemnie tu, prawda? - Rozejrzała się po pokoiku. - Żadnych nietoperzy. - Wzięła głęboki oddech. - Poza tym ten dom jest mój. Należy do mnie.

Clara polizała ją po policzku.

Przed zachodem słońca Abigail spędziła jeszcze kilka godzin w szopie, próbując zapewnić wszelkie wygody alpakom. Zwierzaki były trochę nieswoje, więc zostawiła Clarę uwiązaną po drugiej stronie ogrodzenia, skąd zafascynowana sunia obserwowała każdy ruch nowych mieszkańców. Abigail, która wozila w samochodzie podstawowy zestaw narzędzi, odkryła ogromną satysfakcję, jaką daje przybijanie desek ogrodzenia. Chociaż Cade sprawdził płot na całej długości, przeszła wzdłuż krok za krokiem, popychając i pociągając pojedyncze sztachety. Kiedy znajdowała jakąś niepewnie trzymającą

się słupka, dobijała mocno młotkiem, aż stare gwoździe wchodziły w wysmagane wiatrem i deszczem drewno po same główki.

Tylko raz uderzyła się w palec, ale nawet wtedy nie krzyknęła z bólu. Teraz mieszka na wsi, ma własne zwierzęta. Będzie silna i się nie da.

Uda jej się.

Podeszła do Tussah na tyle blisko, że zdołała poklepać ją po boku; miękkość alpaki odpowiadała wyglądowi jej runa. Ani ona, ani Merino chyba od dawna nie były strzyżone. I dobrze. Szybciej się uda pozyskać z nich wełnę. Tyle że trzeba się będzie nauczyć strzyży...

Za wcześnie, by o tym myśleć.

Abigail upewniła się jeszcze dwukrotnie, że jej nowy inwentarz nigdzie nocą nie wywędruje, i zaprowadziła Clare do dużego domu. Szybko pokonały schody; sunia weszła po narożnikach.

- Wiem, wiem... Wywąchamy wszystko, kiedy go nie będzie. Chodź, maleńka.

Co prawda, dziś po południu Cade był wyłącznie miły. Udzielił jej informacji na temat zachowań seksualnych alpaki i pomógł wydostać psa z samochodu...

Nie, on się z niej naśmiewał! Teraz była już pewna. Bawiły go własne uwagi o zakupie pary zwierząt, na których Abigail się nie znała, i opiece nad ich potencjalnym potomstwem. Wspaniale.

Parzące się alpaki. Abigail nawet nie próbowała sobie wyobrazić, jak to może wyglądać.

A jak triumfował, kiedy wypuścił Clare z samochodu! Na twarzy Abigail musiało się wtedy malować przerażenie. Jakże była głupia! A Clara? Suka okazywała wyłącznie podekscytowanie nową sytuacją. W innych okolicznościach nie byłoby co do tego wątpliwości, ale

dzisiaj? No cóż, dziś wydarzyło się dużo różnych rzeczy. Wywołujących niepotrzebne zdenerwowanie.

Normalnie Abigail pamiętałaby o kupieniu jedzenia dla psa. Głupio jej było, że nie pomyślała o tym wcześniej. Mimo wszystko propozycja Cade'a była miła. Facet po prostu ma miękkie serce dla zwierząt, to wszystko...

Przyniosła trochę karmy i miskę z wodą. Clara jadła tak, jak gdyby głodowała przez całe życie. Później wskoczyła na łóżko. Nie minęło kilka minut, a leżała na grzbiecie i pochrapywała.

Jej właścicielka weszła pod koldrę i przepchnęła sunię ku krawędzi łóżka. Prawdę mówiąc, nie bardzo się mieściły we dwie, ale przynajmniej było miło. Ciepło. Abigail oparła ramię na ciele śpiącego psa i zaczęła, aż Morfeusz weźmie ją w objęcia.

Rozdział 13

Prowadzenie ściegów obok siebie czy prowadzenie warkocza po swetrze to alchemia pracy z wełną.

E.C.

Poranek, chłodny i czysty, doskonale nadawał się na przejażdżkę. Mgła wisiała już tylko nad wodą, jak gdyby niechętna perspektywie rozciągnięcia się nad stałym lądem.

Cade nie zachodził do jadalni u Tillie już od dwóch tygodni. Nie chciał zostawiać tej dziewczyny samo-pas na farmie, bo nie miał pojęcia, co może strzelić jej do głowy. Potrzebował aż tyle czasu, aby się przekonać, że potrafi jedynie unikać go każdego ranka, a resztę dnia spędza na sprzątaniu bałaganu po Elizie u siebie. Wieczorami zresztą też go unikała. Cade był świadomy jej obecności, ale czuł się tak, jakby mieszkał pod jednym dachem z duchem. Abigail zawsze przemykała gdzieś za rogiem albo dopiero co wyszła, a on pozostawał sam na sam z zapachem jej perfum. Tam, gdzie dziewczyna znajdowała się jeszcze przed chwilą.

Dobrze będzie znów zajść do Tillie. Cade'owi brakowało atmosfery tego miejsca. Kiedy przejeżdżał przez

długi most, skręcający ostrym łukiem nad rzeką, zabębnił palcami po kierownicy. Jakiś głupi turysta w wynajętej terenówce jechał zbyt wolno; wszyscy zawsze jeżdżą tu jak za pogrzebem, pomyślał zirytowany. Most Mills przedstawiał sobą obraz przerażający i wspaniały zarazem. Jadąc po nim, widziało się jego węzowaty, odbijający ostro w prawo kształt i jednocześnie rzekę, która burzliwym nurtem toczyła się pod pylonami. A niżej i znacznie dalej - ocean.

Cade zauważył, że ocean jest dzisiaj wzburzony, co mimo bezchmurnego nieba zapowiadało pogorszenie pogody, i poczuł wewnętrzne zadowolenie. Przynajmniej aura dopasuje się do jego stanu ducha.

Dopadła go huśtawka nastrojów, rozkołysanych teraz jak rowery przypięte do bagażnika jadącego przed nim samochodu. Utrata części ziemi na rzecz tej dziewczyny naprawdę nie była miła, ale próbował się z tym pogodzić. Nie miał wyboru. Tylko czy wyjeżdżając na drogę, musiał minąć te cholerne alpaki? Alpaki!

Zaraz dojedzie do Tillie i tam poczuje się lepiej.

Na samym początku, kiedy zaczął tu przychodzić piętnaście lat temu, miejscowi hodowcy w ogóle go nie zauważali. Nikt nawet nie fatygował się, by skłonić głowę w odpowiedzi na powitanie w magazynie paszowym. Cade trzymał więc swoją uniesioną równie wysoko, zwłaszcza podczas popijania kawy u Tillie. Nigdy nie wtrącał się do rozmów, skupiony na słuchaniu, i po kilku latach milczącego uporu farmerzy ustąpili nieco. Zamiast uparcie ignorować nowego, zaczęli nieznacznie kiwać głowami.

Ostateczna pewność, że jest jednym z nich, nadeszła jednak dopiero wówczas, gdy zaczęto się z niego nabijać. Ten i ów, przechodząc, odłamywał kęs z grzanki Cade'a albo podśmiewał się z tej czy tamtej kelnerki, z którą ten

akurat chodził. Wesołość wzbudzały zwłaszcza miłosne podboje MacArthura. Farmerzy śmiali się, kiedy rzucała go któraś dziewczyna (co, prawdę mówiąc, zdarzało się rzadko), ale chwalili jego stado i nadstawiali uszu, kiedy dyskusja schodziła na rasę Corriedale, bo w dolinie tylko Cade hodował ten gatunek owiec.

Przy pierwszej nadarzającej się okazji Cade wcisnął gaz do dechy i z rykiem silnika wyprzedził marudnego turystę; popędził w dół doliną, wprost ku łukowato skreślającemu fragmentowi autostrady. W końcu zjechał do miasta. Na ulicach zrobiło się nagle gęsto od samochodów i mężczyznę po raz nie wiadomo który dopadło zdziwienie, że Cypress Hollow to przede wszystkim nadmorski kurort. Tutaj ludzie przyjeżdżali przede wszystkim po odpoczynek i relaks, a nie po codzienne zakupy i paszę dla zwierząt.

Jadłodajnia Tillie znajdowała się przy głównej ulicy, za ledwie przecnicę od plaży. Lubili tu przychodzić zarówno surferzy, jak i hodowcy czy farmerzy, bo jedzenie serwowano tanie i smaczne, a i dobrej, mocnej kawy było pod dostatkiem. Dla starego Billa, od niepamiętnych czasów prowadzącego tę knajpkę, czas się zatrzymał, a niektórzy ze stałych, regularnie odwiedzających lokal gości utrzymywali, że już w czasach ich młodości pochylony mężczyzna ciężko wspierał się o kasę. Siedział przy niej od rana do wieczora i wyglądało na to, że nie rusza się nawet do toalety. Nie był żonaty, nie miał dzieci, mieszkał na pięterku nad jadłodajnią. Okna jego mieszkania wychodziły na ocean i plażę.

- To nie najgorsze życie - mawiał, gdy go ktoś zagadnął. - Całkiem niezłe.

Cade zaparkował i nieśpiesznie wszedł do środka.

- Cześć, Bill - zaczął. - Chłopaki są tam gdzie zawsze?

- Oczywiście - odparł stary, opierając się o kasę.
- Pewnie się zdziwią na twój widok.
- Jakiś czas do ciebie nie zachodziłem, ale przecież nie przez całe wieki.

Bill tylko wzruszył ramionami.

- Przecież nie wyjeżdżałem na koniec świata. Stary sięgnął po szmatkę i wziął się do wycierania szklanego kontuaru.

Cade przeszedł powoli przez główną salę do pomieszczenia na tyłach, w którym wieczorami odbywały się przyjęcia, a które rano nieoficjalnie anektowali farmerzy. W salce, gdzie znad ustawionych czterech stolików widać było ulicę, stał osobny dzbanek z kawą, często dopełniany przez Shirley. Jeżeli kobieta akurat była zbyt zajęta, chłopcy sami parzyli sobie kawę, narzekając przy tym zawsze na fatalną obsługę.

Dziś większość stałych klientów dyżurowała na swoich miejscach. Pora na spotkanie też była odpowiednia. Wpół do dziesiątej, poranna robota na farmach zakończona. Niektórzy hodowcy do cięższych prac zatrudniali pomocników (bo wreszcie było ich na to stać), ale ich dzień wciąż zaczynał się, jak dawniej, o wpół do piątej. U Tillie spotykali się przy posiłku, który wyglądał na śniadanie, ale zasadniczo był lunchem.

Pete, Jesse, Landers, Hooper i Stephens - trzon grupy

- od rana trwał na posterunku.

Mężczyźni wyglądali na mocno zaskoczonych widokiem wchodzącego Cade'a.

Usiadł tam gdzie zwykle, obok Stephensa. Zapanowała cisza. Cade milczał uporczywie. Kiedy Shirley przyszła odebrać od niego zamówienie, wskazał palcem na zdjęcie talerza z jajkami i kielbaskami w plastikowej karcie dań.

- Do tego jagodziankę - rzucił.

Shirley kiwnęła głową, odwróciła się na pięcie i energicznie ruszyła w kierunku dużej sali.

W końcu, po dłuższej chwili, odezwał się Pete.

- Alpaki?

Mężczyźni przy stolikach prychnęli tłumionym śmiechem. Później gruchnęło na dobre. Zaczęli ryczeć i zaśmiewać się do łez. A im głośniejsze śmiali, tym mocniej Cade'owi czerwieniały policzki.

- Czekaliście na to, co?

- Człowieku, myśleliśmy, że już nigdy nie przyjdiesz. Umieraliśmy z tęsknoty. Nie było cię od tygodni. - Stephens uniósł kubek z kawą, jak gdyby chciał wygłosić toast na cześć rzadkiego gościa.

- Więc Mort w końcu cię dopadł, tak? - odezwał się Landers.

Ledwie skończył, wtrącił się Hooper.

- Wiedziałem, że wciśnie komuś te ślicznotki, ale nigdy bym nie przypuszczał, że tobie, synku.

Jesse śmiał się tak głośno, że aż dostał ataku kaszlu. Zakrył twarz niebieską bandaną. Cade pokręcił głową.

- Posłuchajcie, do cholery! To nie ja! Mężczyźni zebrani przy stolikach znów zanieśli się śmiechem.

- Naprawdę! To nie ja! Mort zrobił w konia tę dziewczynę, która przejmuje domek po Elizie.

Śmiech ucichł. Tylko Jesse nie przestawał się krztusić.

- Słyszeliśmy to i owo, ale nie wierzyliśmy. Czy Eliza rzeczywiście oddała całe gospodarstwo w obce ręce?

- Nie całe, tylko tę małą chatkę. I ziemię, na której stoi.

- Ale to na samym środku twojej parceli...

- Jest moja dopiero od dnia jej śmierci. Przecież gospodarstwo nie należało do mnie.

Pete z impetem postawił kubek z kawą na stole, ochlapując blat czarnym płynem.

- To przecież twoja ziemia. Od dziesięciu lat. Odkąd ona wyjechała. Wszyscy wiedzieliśmy, że nie wróci. A teraz masz alpaki... - dorzucił Landers.

- Już mówiłem, że to tej dziewczyny. Ja się nie tykam. Jeśli zwierzaki zdechną, będzie musiała kogoś zatrudnić, żeby je wywiózł.

- Podobno jest śliczna - powiedział Stephens. Cade skinął głową.

- Samica alpaki rzeczywiście jest bardzo ładna, przyznaję. Ale tak czy inaczej, to wszystko mi się nie podoba.

Jesse złożył na pół chusteczkę do nosa.

- Ale dziewczyna i owszem? Widziałem ją w pralni. Jest w moim typie, nie ma co gadać.

Landers szturchnął Jessego trzonkiem widelca.

- W twoim typie? No, jeśli jeszcze gustuje w osiemdziesięcioletnich starcach z gruźlicą...

- Mam zaledwie sześćdziesiąt pięć. A ten kaszel to astma.

- No, to gadaj, Cade - przerwał im Stephens. - Jest ładna?

Cade pochylił lekko głowę, jakby chciał przytaknąć. Chłopaki nie odpuszczają, więc nie zaszkodzi spotkać się z nimi w pół drogi.

- Jest ładna, można nawet powiedzieć, że bardzo, ale wkurzająca. Wszystko ją tu ekscytuje jak cholera. I po co chodzi do miejskiej pralni? Przecież ja mam i pralkę, i suszarkę.

- Ekscytuje? To całkiem nieźle, synku.

- Nie o to chodzi. Ona jest, na mój gust, taka za bardzo... entuzjastyczna. I wcale jej u siebie nie chcę.

- Więc wprowadza się do tego małego domku?

- Kiedy tylko go odremontuje.
- A pomagasz? - Landers puścił oko do Cade'a.
- Nie, kolego. Unikam jej jak plagi. Jesse westchnął głęboko.
- A gdyby ta twoja dziewczyna wyglądała jak ta tutaj? - Wskazał łyżką na okno.

Dwóch siedzących przy stole mężczyzn gwizdnęło z podziwu. Abigail właśnie przechodziła ulicą obok kafejki. Jej upięte w długi kucyk włosy unosiły się i opadały.

- To dopiero laska!

Cade zapadł się głębiej w krzesło. Pete pierwszy zauważył tę reakcję.

- To ona? Naprawdę?

Cade potarł nos i zamknął oczy. A niech to trafi szlag!

- O Maryjo i Jezusie. W takim razie zabieram się do rzeczy. - Stephens wypadł jak strzała przez główną salę i drzwi frontowe, nie dając Cade'owi szansy na reakcję.

Pół minuty później eskortowana przez farmera Abigail znalazła się w pomieszczeniu na tyłach kafejki. Oczy miała szeroko otwarte.

- Tak, rzeczywiście, jestem tu dopiero od paru tygodni... Czy to jest porwanie?

- Chyba nie miała pani jeszcze okazji poznać miejscowych hodowców. Pozwoli pani, że przedstawię... - Stephens oprowadzał Abigail po sali i prezentował siedzących przy stolikach mężczyzn, a Cade zastanawiał się, czy ma szansę ulotnić się po angielsku. Za późno. Wiedział, że został zauważony. Choć nie pochwycił spojrzenia dziewczyny, zauważył czerwone, rozpalone policzki. Kiedy Stephens powiedział: „Ale naszego chłopaka, Cade'a, to już chyba pani zna”, twarz Abigail zrobiła się pałowa jak róża.

- To zabawne. Naprawdę zabawne, Stephens - odparł Cade.

- A wie pani co? - mówił dalej Stephens. - Ja już skończyłem śniadanie. Może pani usiąść tutaj, obok Cade'a.

- Nie, dziękuję. Nie trzeba.

- Daj spokój - rzucił Cade. - Abigail na pewno jest zajęta.

- Nie bądź niegrzeczny, synku.

Cade się poddał. Wróg miał przewagę liczebną.

- Proszę, niechże pani siada.

- Co za uprzejme zaproszenie. Jakże mogłabym odmówić?

Czy ona z niego kpi?

- Właśnie rozmawialiśmy o pani alpakach - powiedział Cade.

- O, Boże! - odparła, pochylając się nad stołem w kierunku Jessego i Pete'a. - Czy wiecie, panowie, że one pomrukują?

Brwi Pete'a powędrowały ku linii włosów.

- Co takiego?

- Myślałam, że mruczą wyłącznie matki, żeby uspokoić swoje młode. Tyle się doczytałam. Ale trzy dni temu usłyszałam, jak pomrukują moje zwierzątka. Jedno do drugiego. Szykowały się do snu i coś tam mruczały, jakby sobie podśpiewywały pod nosem. To było takie urocze. Teraz nasłuchuję codziennie, ale na razie bez efektów.

Żaden z mężczyzn nie miał na ten temat nic do powiedzenia. Uśmiechali się zaskoczeni.

- Cade nigdy wam się do tego nie przyzna... Ale on zawsze pragnął mieć alpaki.

- Co takiego? - Jesse znów zaczął krztusić się ze śmiechu.

- Tak mówił Mort, kiedy je od niego kupowałam. Mówił jeszcze, że to będzie świetny prezent, ale chyba mam

lepszy pomysł. Tę parkę zatrzymam dla siebie, a Cade'owi podaruję maleństwa. Kiedy już przyjdą na świat.

Farmerom bardzo się spodobała ta idea. Spodobała im się również sama Abigail; Cade zauważył, że jeden z nich robi do nawet niej maślane oczy. Owszem, dziewczyna była czarująca, musiał to przyznać. Uśmiechała się po kolei do każdego i na każdym zatrzymywała na chwilę wzrok.

- Nie, na pewno nie - zaproponował. - To domowe przytulanki. Z oszukańczej piramidy.

Abigail rzuciła mu zdziwione spojrzenie.

- Jak to możliwe, żeby zwierzaki zostały wplątane w jakieś piramidalne oszustwo?

- Niektórzy hodują je tylko po to, żeby małe sprzedawać komuś, kto też będzie je hodował i odsprzedawał następnym frajerom. Takie alpaki nie nadają się do niczego innego.

Abigail pokręciła głową, aż podskoczył jej kucyk na plecach. Cade pożałował, że dziewczyna pachnie tak ładnie, bo jej zapach go rozpraszał.

- Czy pan oszalał? Wełna z alpaki jest absolutnie niepowtarzalna! Już się nie mogę doczekać, żeby ją uprząć z runa moich własnych zwierząt. - Rzuciła uśmiech w kierunku Landersa. - Czy na pewno mówi się jedna alpaka i dwie alpaki? To poprawna liczba pojedyncza i mnoga?

Mężczyźni kiwali głowami, przytakując, choć Cade wiedział doskonale, że nie mają zielonego pojęcia, o czym plecie dziewczyna. Byli całkowicie zdruzgotani jej urodą.

Do stolika wróciła Shirley, żeby dolać kawy do dzbanka, ale kiedy zobaczyła Abigail, rozchlapała czarny płyn na blacie.

- Ojej, nie miałam pojęcia, że jesteście tu w towarzystwie damy. Przepraszam. Co mogę pani podać? - Mówiąc to, zbierała jednocześnie ze stołu talerze Stephensa.

Abigail wzruszyła ramionami.

- Nie jestem głodna. Nie mam ochoty na jedzenie. Może latte?

Cade tylko na to czekał. Shirley i chłopaki zawsze się naśmiewali z turystów, którzy wchodzili do jadłodajni i zamawiali jakąś wymyślną kawę z ekspresu, jak gdyby zwykła filtrowana nie była dość dobra.

- Niestety, paniusiu, mamy tylko tę kawę. Ale mogę poprosić w kuchni Emilia, żeby napowietrzył trochę gorącego mleka, jeżeli pani ma ochotę.

Abigail rzeczywiście wyglądała uroczo w zielono-białej bawełnianej bluzeczce i nowiuteńkich wranglerach, ale czy rzeczywiście na tyle, żeby złapać Shirley w sieć uroku? Cade prychnął.

- Nie, proszę sobie nie robić kłopotu.

- Emilio chętnie przygotuje to mleko - wtrącił Landers.

- Wystarczy zwykła kawa.

- Dobrze. Coś do niej? - dopytywała się Shirley.

- Może jagodziankę?

- Nie trafiłaś, złotko. Ostatnią dowiezioną z cukierni dostał Cade.

Pete, którego ramię wystrzeliło jak grzechotnik, jednym ruchem zmiotł muffinkę z talerzyka Cade'a i położył ją przed Abigail.

- Proszę bardzo. On wcale nie miał ochoty.

- Właśnie, że miałem.

- Przyniosę ci ciasto cytrynowe, Cade. A ty się trzymaj i nie daj się im, skarbie. - Shirley zwróciła się do Abigail. - Należę ci w kuchni świeżej kawy, bo ta w dzbanku już pewnie zwiędziała.

- Ciasto cytrynowe? Co to jest ciasto cytrynowe? - marudził Cade, ale nikt go nie słuchał. Farmerzy

jeden przez drugiego zasypywali Abigail pytaniami o alpaki.

A on słuchał, jak dziewczyna ich czaruje. Prawdę mówiąc, naprawdę trudno było nie poddać się jej urokowi. Każdemu z mężczyzn poświęcała uwagę i na słowa każdego reagowała równie szybko, co entuzjastycznie.

I wcale nie udawała zainteresowania. Cade rozparł się wygodnie i obserwował. Abigail rzeczywiście wyglądała na uszczęśliwioną perspektywą wizyty u Pete'a i zobaczenia jego pawi, i naprawdę chciała przepis na konfiturę morelową od żony Jessego. Uśmiechnęła się do Shirley, kiedy ta napełniała jej kubek kawą, a Shirley odpłaciła jej równie promiennym uśmiechem. Dziewczyna ożywiała się za każdym razem, kiedy któryś z rozmówców poruszał nowy temat, a ona dowiadywała się czegoś nowego o dolinie.

Odwróciła się do Cade'a.

- Wiesz, gdzie to jest?

Zapatrzony, nie zwracał uwagi na przebieg rozmowy.

- A o co chodzi?

- Wodospad? Ten przy gorących źródłach?

- Wodospad Smythe? Tak, oczywiście. To między miasteczkiem a farmą, tuż za mostem Mills. Jeżeli się skreśli w gruntową drogę w prawo, zaraz za domem Morta...

- Moglibyśmy tam pojechać? - Abigail przerwała mu w pół słowa.

- Może.

- A moglibyśmy teraz?

Cade omal nie zachłysnął się kawą.

- Teraz? Wykluczone.

Wsunęła do ust ostatni kęs jego jagodzianki i powróciła do przepytywania.

- A dlaczego nie? Dzisiaj jest tak ślicznie.

- Mam robotę.
- To chyba nic ważnego - wtrącił się Pete.
- Nic, co by nie mogło poczekać godzinę albo dwie
- dorzucił Landers.
- Zwariowałaś? - zapytał Jesse. - Pokaż jej ten wodospad, kretynie.
- Ja cię tam zabiorę, Abigail - zaoferował się Stephens.

Co to, to nie! Nie będzie mu się wcinał facet, który nie dość, że ma siódmy krzyżyk na karku, to jeszcze gotów skorzystać z okazji i zrzucić robocze ciuchy.

Cade się zgodził.

- Dobrze, zabiorę cię - powiedział zrezygnowany.
- Ktoś musi cię przed nim chronić. - Wskazał palcem na Stephensa, który posłał Abigail krzywy uśmiešek.

Dziewczyna wstała, uśmiechnęła się do wszystkich zgromadzonych przy stolikach, a później nachyliła się i pocałowała Stephensa w policzek.

- Aż tak silnej ochrony nie potrzebuję. Stephens był w siódmym niebie.

Rozdział 14

Znajdź spokój w ściegach. Znajdź spokój w przędzy. Znajdź spokój w ruchu.

E.C.

Cade musiał przyznać, że nie odstawała. Jechała za nim, nie trzymając się kurczowo zderzaka, ale też nie na tyle daleko, żeby się zgubić po drodze. Półciężarówka Cade'a toczyła się po dziurawej, polnej drodze w kierunku wodospadu Smythe, a on sam po raz dwudziesty zastanawiał się, co mu właściwie strzeliło do głowy.

Wycieczka nad wodospad? W samym środku dnia? Dnia, w którym zaplanował przesunięcie rur nawadniających na nowe pastwiska, zanim przyjdą deszcze? I w którym chciał zobaczyć, co się dzieje w kurniku? Ostatnio kury nie dawały tylu jajek, ile powinny, więc trzeba sprawdzić, czy pod grzędy nie zakradają się kojoty i nie płoszą niosek. Jeśli te psiogłowce są tak bezczelne, by zakradać się do kurnika, lada dzień zaczną zakradać się do owiec.

A on sobie jedzie nad wodospad. Z Abigail.

Cade zaparkował na zaimprovizowanym parkingu - okrągłym, otoczonym drzewami placu pokrytym

ziemią i kurzem, który w weekendy bywał tak pełny, że igły nie można wcisnąć. Teraz nie było tu nikogo.

Wskazał dziewczynie kierunek. To potrwa nie dłużej niż minutę i można wracać do pracy.

Abigail wyskoczyła ze swojego samochodu. Za jej plecami podskoczył ciężki kucyk.

- W tę stronę? - Pokazała ręką.

- Tu jest tylko jedna ścieżka.

- To chodźmy!

- Hm. Nie. Ja chyba muszę wracać. Chciałem się tylko upewnić, czy trafisz. Teraz musisz pójść tą dróżką jakieś dwieście metrów, skręcić w lewo przy ławeczce i już będziesz na miejscu. Baw się dobrze.

Cade odwrócił się i w tym samym momencie poczuł na ramieniu jej dłoń.

- Proszę - usłyszał. - Chodź ze mną. Uwielbiam wodospady, a w towarzystwie zawsze milej.

Ton zgoła odmienny od przyjaznego, którym zwracała się do chłopaków u Tillie. Głos Abigail brzmiał tak, jakby dziewczyna próbowała zebrać się na odwagę. A to oznaczało, że czegoś się boi.

Zapewne właśnie jego, Cade'a. W domu unikała go jak zadżumionego, a on nie pozostawał jej dłużny.

Nie, nie chciał jej ani w swoim domu, ani na swojej ziemi. Ale przecież nie był potworem.

- W porządku. Pójdę za tobą. Twarz dziewczyny rozjaśnił uśmiech.

Szlak do wodospadu była krótki, ale piął się pod górę. Wśród drzew panował mrok, więc Cade ostrzegął Abigail przed wystającymi korzeniami. Za każdym razem dziękowała mu, starając się być wyłącznie uprzejma, ale nie potrafiła ukryć radości w głosie.

Wzdłuż ścieżki szemrał strumyk, a w powietrzu unosił się zapach mokrych liści i przegniłej ściółki.

- Już prawie jesteśmy.

Cade odruchowo wyciągnął rękę, żeby podciągnąć dziewczynę na pień olbrzymiego, powalonego drzewa, które od lat przegradzało tę część szlaku.

Wsunęła dłoń w jego dłoń.

Do diabła, ależ ona ma miękką skórę! Na potężnym pniu stali teraz oboje, starając się utrzymać równowagę. Wiedział, że powinien puścić tę rękę, że to byłoby najrozsądniejsze... Powstrzymał się jednak, a ona nie przestawała ścisnąć jego palców.

Cade poczuł, że mocniej bije mu serce. Przełamał się wreszcie i zeskokczył z powalonego drzewa. Co za głupi pomysł!

Zaprowadzi ją tylko do tego wodospadu i od razu wraca na farmę.

- Zaraz będziemy na miejscu.

Usłyszał, jak Abigail gramoli się na ziemię, ale nie odwrócił głowy.

Skręcił w lewo. Wąska ścieżka otwierała się na oświetloną słońcem przecinkę. Wodospad spływał ze skał gdzieś nad ich głowami. Woda rozbijała się o taflę okazałego jeziora.

Abigail, która znów stała tuż obok, aż westchnęła z zachwytem.

- To niewiarygodnie piękne.

Wysunęła się przed Cade'a, ocierając się ramieniem o jego ramię, a on zareagował na ten dotyk całym ciałem. Czuł się jak napalony piętnastolatek. Wziął głęboki oddech.

- Możemy popływać? Jak na listopad jest dzisiaj niesamowicie ciepło. Żal byłoby stracić taki dzień. Czy tutaj się pływa?

- Pływa się. Znasz już drogę, więc możesz tu wrócić sama.

- A teraz? Nie masz ochoty?

Cade nie wierzył własnym uszom. Chciała się kąpać? Nago? Pomysł zaskoczył go i podniecił jednocześnie.

- Bez ubrania? Dzisiaj?

Abigail wyglądała na przerażoną; nerwowe ruchy zdradzały, że była równie spięta w jego towarzystwie jak on w jej.

- Nie, nie. Chodziło mi o to, że bielizna wygląda prawie jak bikini, ale... Nie, przepraszam. Palnęłam głupstwo.

Żarty sobie stroi czy co? Jest okazja, żeby popływać prawie nago z oszłamiającą piękną dziewczyną, to trzeba korzystać.

Cade zdjął koszulę.

- Dlaczego nie?

Abigail ponownie nabrała powietrza w płuca i wstrzymała je przez chwilę.

Cade ściągnął jeszcze buty i skarpetki, zrzucił dzinsy. Został w samych bokserkach i kowbojskim kapeluszu.

- Mogę go zdjąć, ale nikomu o tym nie mów. - Odłożył ostrożnie stetsona na buty.

Dźwięczny śmiech dziewczyny rozbrzmiał wśród drzew i Cade rzucił się do biegu. Po kilku krokach odbił się od krawędzi skały, wyskoczył w powietrze jak kula armatnia i spadł w sam środek jeziora. Wiedział, że właśnie w tym punkcie spływająca z gór lodowata woda miesza się z gorącą, z bijącego źródła.

Wypłynął z okrzykiem radości i odwrócił się, żeby spojrzeć na Abigail. I zatkało go, choć nie dlatego, że zachłysnął się wodą.

Dziewczyna rozbierała się pośpiesznie, chcąc zapewne znaleźć się w wodzie, zanim jeszcze pokaże Cade'owi,

co ma na sobie. Ale on zobaczył wszystko. Różowe majteczki ozdobione zawiązaną na kokardkę wstążką i dopasowany kolorystycznie koronkowy biustonosz.

Może myślała, że jej desusy wyglądają jak bikini, bo z pewnością okrywały te same części ciała, ale wyglądały one zdecydowanie jak bielizna. Nie, wymazać gumką. Inaczej. Jak elegancka bielizna.

Cade próbował się nie gapić, chociaż widok był zachwycający. Dlaczego właściwie jej unikam?, myślał. Dlaczego nie próbuję częściej się z nią spotykać w podobnych sytuacjach?

Może nawet przypomniałby sobie, gdyby nie ten zamęt w głowie.

Podczas gdy on próbował opanować mimikę, Abigail spojrzała zdziwiona. No tak, pewnie wyglądam jak Stephens, szczerzący do niej u Tillie zęby w uśmiechu od ucha do ucha.

Abigail pobiegła i podobnie jak Cade runęła do jeziora jak kula, ale skoczyła w złym kierunku. Tam, gdzie wpadła, było głęboko i skok był bezpieczny, ale dziewczyna wylądowała w znacznie chłodniejszej wodzie. Prawdę mówiąc, w najchłodniejszej. Nikt nigdy nie pływał w tej części zbiornika, do której nie docierała gorąca woda z podziemnego źródła.

Wynurzyła się z piskiem.

- Ojej! Boże, jak tu zimno! Jak ty to wytrzymujesz? Sapiąc, podpływała do niego pieskiem.

- Dlaczego nic mi nie powiedziałeś? - zapytała, ale po chwili odezwała się zupełnie innym tonem. - O!

Widocznie dotarła do cieplejszego obszaru. Cade widział, jak z twarzy Abigail znika napięcie, ale sam za nic nie mógł się odprężyć. A właściwie nie mogła się rozluźnić bardzo konkretna część jego ciała.

- Tutaj jest cudownie. - Abigail wykonała parę gwałtowniejszych ruchów, zanurkowała i wynurzyła się ponownie. Woda spływała po jej twarzy, po przymkniętych powiekach i ustach. Pełnych, namiętych, bardzo mokrych.

Cade ze smutkiem skonstatował, że chyba będzie musiał pozostać w jezioru przez dłuższy czas, dopóki dziewczyna nie wróci na farmę. Albo może i na zawsze. Bo gdyby wyszedł teraz, ona bez wątpienia zobaczyłaby efekty swego oddziaływania.

Podpłynęła bliżej.

- Jak się płynie w tę stronę, robi się coraz cieplejsza. Cade skinął głową, nie mogąc wykrztusić z siebie słowa.

- To niesamowite.

To ona jest niesamowita. Musi przestać myśleć o niej w ten sposób! Abigail przepłynęła obok, wyszła na brzeg i wspięła się na sporych rozmiarów skałkę tuż nad taflą wody.

- Czy ktoś stąd skacze? - Wskazała na górujący nad nimi kamień.

Cade z trudem oderwał wzrok od jej bielizny, przez którą teraz widać było wszystko jak na dłoni. Spojrzał w górę. Wydało mu się, że Abigail teraz jakby mniej się przejmuje tym, co tu się odbywa, i nawet się ucieszył. Był naprawdę zadowolony.

- Tak, niektórzy.

- A ty skakałeś?

- Oczywiście.

- Ja też bym chciała. -No, to śmiało!

- Ale mam lęk wysokości.

- To żadna wysokość - zaśmiał się. - Wszystko będzie w porządku, bez obawy. To nie więcej niż dwa i pół, może trzy metry.

- Dla mnie to za wysoko. - Abigail wyglądała na przejętą i podenerwowaną.

- Jeżeli chcesz skoczyć, nie wahaj się, tylko to zrób.

- Nie jestem mistrzynią w pokonywaniu lęków. Nienawidzę rollercoasterów. I nigdy nie skoczyłabym na bungee, nawet gdyby mi zapłacono.

- Ale przeprowadziłaś się tutaj z własnej woli i teraz musisz mieszkać ze mną, a ja mam niełatwy charakter. I twierdzę, że wcale nie jesteś taka lękliwa.

Dziewczyna się uśmiechnęła.

- To prawda, ale przerażasz mnie tylko trochę. Może to oznacza, że doszłam już do swojej granicy lęków? Wyczerpałam miesięczny limit.

- Trzeba sobie powiedzieć bez ogródek, że jeżeli nie ma się dość odwagi, to nie ma się jej wcale.

Zadziałało. Abigail oblała się rumieńcem i wstała; woda spływająca po jej skórze kapłała na skałę. Przez chwilę przyglądała się wąskiej ścieżce prowadzącej wokół jeziora, w górę, do skalnej półki, aż wreszcie ruszyła przed siebie. Z jej włosów wciąż ciekła woda. Krople spadały na pośladki i ciurkały wąskimi strumyczkami po nogach.

Cade nie wiedział, że podniecenie może być tak bolesne. Przesunął się w chłodniejszy kraniec jeziora, licząc, że to coś da.

- Cade? - Abigail była już na półce. - To chyba nie jest dobry pomysł.

- Głos jej drżał.

Dobrze. Niech ona trochę pomarudzi, a tymczasem on dojdzie do siebie.

- Dasz radę!

Zamiast, jak inne dziewczyny, przekomarzać się i czekać, aż ją namówi, Abigail skinęła głową, zamknęła oczy i skoczyła. Jej krzyk urwał się nagle, kiedy

zamknęło się nad nią lustro wody. Wynurzyła się ze śmiechem.

Nic nie mówiła, tylko płynęła, nie przestając się śmiać przez całą drogę, aż do szerokiej, płaskiej skałki. Położyła się na niej z chichotem.

W ciszy, jaka zapadła, Cade przesunął się ku całkiem zimnej wodzie. Z przyjemnością unosił się teraz na powierzchni jeziora.

Po niespełna półgodzinie Abigail poruszyła się; przekreśliła się na bok i spojrzała uważnie.

- Pewnie namokłeś i jesteś pomarszczony jak suszona śliwka.

- Owszem.

- Jest ci zimno.

- Dzięki Bogu tak. Jest mi zimno.

- Musiałam zasnąć. - Przeciągnęła się. - Wracamy? Cade skinął głową.

To był dobry moment. Dopóki

ona nie przeciągnęła się ponownie. Wyskoczył z wody i pośpiesznie ruszył na stromy brzeg. Wciąż odwrócony do Abigail plecami, chwycił ubranie. Kiedy naciągał nogawki dżinsów na wciąż mokre nogi, poczuł, że wreszcie może na nią spojrzeć.

- Nie znoszę wkładać suchych ciuchów na mokre ciało - zamarudził pod nosem.

- Powinieneś był przyjść do mnie na skałkę.

- To nie byłby dobry pomysł - odparł przyciszonym głosem.

- Dlaczego? Odchrząknął.

- Aha - powiedziała. Zamilkła i odwróciła się, żeby włożyć wranglery.

Pozostała w tej pozycji, dopóki nie zapięła ostatniego guzika przy bluzce.

- Dziękuję, że mnie tu zabrałeś.

- Nie ma za co.
- Na pewno miałeś na farmie coś ważniejszego do roboty.
- Nie przejmuj się.

Nastrój jednak prysł jak bańka mydlana i wypowiedziane słowa zawisły w próżni. Kiedy wracali do samochodów, Cade musiał stawiać naprawdę duże kroki, żeby nadążyć za dziewczyną. Zanim wyciągnął rękę, była już po drugiej stronie zwalonego drzewa.

A na parkingu zaledwie skinęła mu głową. Uśmiechnęła się leciutko, ale Cade nie wiedział, jak zareagować. Powinien może coś powiedzieć, lecz zanim pozbierał myśli i złożył je w sensowne słowa, ona już była w aucie i wycofywała je na drogę.

Piętnaście lat? Czuł się raczej jak dwunastolatek. Jak kompletny dureń.

Rozdział 15

Jakże jesteś utalentowana! I jaka bystra!

E.C.

W domu Cade'a znajdowały się dwie łazienki. Przez ostatnie dwa tygodnie Abigail korzystała z tej na dole, nawet kiedy musiała chodzić tam po cichu, na paluszkach, w środku nocy. Starła się ostrożnie stawiać kroki, żeby nie skrzypiały deski, a hałas nie budził gospodarza.

Dzisiaj jednak naprawdę (naprawdę!) chciała wziąć kąpiel, a jedyna wanna była w łazience na górze. Abigail nie opuszczało wrażenie, że wciąż ma w uszach wodę z jeziora. Teraz się wykąpie, ale zanim wejdzie na piętro, upewni się, czy nie ma tam Cade'a.

O tej godzinie kuchnia i dół należały do niego. Początkowo uważała pomysł z podziałem domu za dziwaczny, ale teraz była wdzięczna Cade'owi za taki rozkład dnia. Za każdym razem, gdy go widziała, targały nią emocje. Chciała zachowywać się wobec niego przyjaźnie, być sobą, ale jednocześnie trzymać go... Jak by to ująć? Aha, trzymać na dystans. Czekają ich lata zamieszkiwania na tej samej ziemi, dzielenie podjazdu i wspólnej

przeestrzeni, więc podtrzymanie dobrosąsiedzkich stosunków wcale nie jest od rzeczy.

Czy przyjaźń między nimi jest w ogóle możliwa? Wszystko, co mówi Cade, ma jakieś drugie dno. Abigail przysięgłaby, że dzisiaj nad jeziorkiem był o krok od powiedzenia jej, że jest atrakcyjna. Nie, chyba nie całkiem tak... Teraz, choć tylko zastanawiała się nad całą sytuacją, czuła się jak kretynka.

A jego wygląd przez tę krótką chwilę, gdy jeszcze miał na sobie kowbojski kapelusz i urzędował w samych bokserkach? Abigail zaparło dech w piersiach i odetchnęła z ulgą, kiedy Cade wreszcie wskoczył do wody. Zyskała na czasie, żeby zdobyć się na odwagę i zrzucić ciuchy.

Myliła się. Bielizna to nie bikini. Na pewno. Choć jeżeli zapomnieć o tym okropnym napięciu, które między nimi zawisło, przedpołudnie minęło naprawdę zabawnie.. . Ekscytująco. A ona, Abigail, czuła taką radość, gdy skoczyła z tej skały! Kiedyś taki skok byłby niemożliwy, za trudny, lecz dziś było inaczej. A ten jego głos! Spokojny i mocny, kiedy mówił, że da sobie radę... Uwierzyła mu. Okazało się, że miał rację.

Abigail spojrzała na zegarek. Po wpół do dziewiątej. Zgodnie z harmonogramem Cade'a, od wpół do siódmej powinna być w kuchni i zajmować się kolacją, ale rzecz była zbyt ryzykowna. Widzieli się dzisiaj wystarczająco długo i to powinno im wystarczyć na jakiś czas.

Odczekała jeszcze chwilę, a później zwinęła się w kłębek na łóżku i oparła ramię o bok Clary.

Nie wiedziała, kto bardziej potrzebuje kąpieli: ona czy pies. I pewnie się trochę zdrzemnęła, bo kiedy otworzyła oczy, w pokoju było już ciemno. Psica pod jej ręką wierciła się nieco, ale nie przestawała pochrapywać.

Abigail usłyszała zamykające się drzwi do sypialni Cade'a.

Zamarła w oczekiwaniu. Poczekaj jeszcze chwilę. Nic.

Dziewczyna rozebrała się i włożyła szlafroczek. Zgarnęła kosmetyki i na palcach przemaszerowała przez hol do łazienki.

To był męski dom, więc spodziewała się tam czarnych ręczników i chromowanych detali, papieru toaletowego na podłodze i nierdzewnej wanny. Mimo to musiała się wykapać, nawet jeśli najpierw będzie musiała tę wannę porządnie wyszorować.

Lecz kiedy weszła do łazienki, zobaczyła bardzo ładne pomieszczenie. Nie kobiece, ale i nie całkiem zaanektowane przez mężczyznę. Wyczuwała tu rękę Elizy. Staromodną, wolno stojącą, żeliwną wannę ustawiono na wygiętych nóżkach w kształcie lwich łap; wprawdzie emalia poodpryskiwała tu i ówdzie, lecz Abigail stwierdziła, że za ciemnozieloną, plastikową zasłonką jest wystarczająco czysto. Umywalkę obudowano drewnianą szafką z zieloną obwódką, w tym samym odcieniu zieleni co wykończenia wokół domu.

Na twarzy Abigail pojawił się uśmiech. Zdecydowanie ręka Elizy.

Dziewczyna odkręciła kran i czekała. Co za wspaniale gorąca woda! Teraz doda trochę zimnej.

Przyjemnie byłoby napić się herbaty. A może zjeść grzanek?

Abigail nie lubiła sięgać po zapasy Cade'a. Tylko ten ostatni raz, rozgrzeszyła się w duchu. Chyba gospodarz nie będzie miał nic przeciwko? Zeszła na dół. Nastawiła wodę na herbatę i wsunęła kromkę chleba do tosterka.

Czekając, aż grzanka wyskoczy, usiadła na bujanym fotelu.

Z góry usłyszała ryk, a później wściekłe ujadanie.

Abigail wbiegła po schodach tak szybko, jak potrafiła. Czy Clara straciła rozum i zaatakowała Cade'a? Czy trzeba zadzwonić na pogotowie? Nie wiadomo nawet, gdzie tu jest telefon!

Na samym szczycie schodów dziewczyna pośliznęła się w ciepłej wodzie. Zamachała rękami i w ostatniej chwili chwyciła za poręcz, żeby tylko nie upaść do tyłu. Kiedy wreszcie dotarła do drzwi łazienki, ponownie usłyszała ryk Cade'a.

- Co się stało?

- Podłoga jest zalana! Jak ty to zrobiłaś? Przynieś ręczniki!

- Skąd?

- Są w szafce, w holu. Pośpiesz się.

Chwyciła naręczce ręczników i ponownie przebiegła przez wodę. Nie była głęboka, ale płynęła wartkim nurtem.

- Zakręć kurek! - wrzasnęła, wbiegając do łazienki. Cade miał na sobie tylko niebieskie dżinsy. Klęczał

na podłodze. Spojrzał z niedowierzaniem.

- Już zakręcony. Naprawdę myślisz, że zostawiłbym otwarty?

- Jak to się mogło stać? Dopiero co stąd wyszłam. Czy ta wanna przecieka?

- Tak, gorą. Kiedy woda przelewa się nad jej krawędzią. Zaczniźże wreszcie wycierać! Za chwilę nasiąkną deski.

- A co z przelewem? Cade spojrzał niechętnie.

- To sprzęt wolno stojący. Jak niby miałby wypływać z niego nadmiar wody?

Abigail otworzyła i zamknęła usta. -Aha.

Rzuciła się na kolana, jednocześnie przytrzymując pasek szlafrocza, żeby się nie rozwiązał. Wystarczy, że Cade jest niemal nagi. Ona nie zamierza z nim konkurować.

Już wcześniej miała pewne wyobrażenie, jak może wyglądać jego pierś (nie żeby się nad tym zastanawiała jakoś przesadnie), a nad wodospadem okazało się, że jej fantazje nie są wcale dalekie od prawdy. Ale tego, co zobaczyła teraz, wcześniej nie widziała. Nie zauważyła gry mięśni.

Praca na farmie musiała być chyba lepsza niż ćwiczenie w siłowni. Abigail patrzyła na nagie plecy gospodarza, gdy ten zgarniał wodę z podłogi ociekającym ręcznikiem. Mięśnie przesuwwały się pod skórą jak fale na wodzie. Nie miała pojęcia, że tak to może wyglądać... Ale wyglądało.

- Proszę - powiedziała cichutko. - Ten jest suchy.

- Lepiej weź jakiś dla siebie.

- Już mam.

- Więc bierz się za wycieranie.

Abigail wyszła na korytarz i zabrała się do roboty. Zaczęła od linii, do której doszła woda, i cofała się stopniowo w kierunku łazienki. Zanim dotarła do miejsca, gdzie pracował Cade, zamoczyła cztery ręczniki.

Posuwała się na czworakach, ścierając jedną po drugiej kałuże i kontrolując jednocześnie wiązanie szlafrocza. Cade dokładnie, wciąż na kolanach, robił porządek z podłogą w łazience. Żeby uspokoić sumienie, Abigail powinna tam wejść i mu pomóc, ale pomieszczenie było zbyt małe dla dwojga.

Mimo to zaryzykowała. Gospodarz ledwie na nią spojrzał. Po chwili wskazał na podłogę pod wanną.

- Zetrzyj tam. Jesteś drobniejsza, będzie ci łatwiej. W tej ciasnocie Abigail musiała się nachylić bardzo

nisko, starając się jednocześnie nie wystawiać na widok publiczny niczego, czego nie chciałyby pokazywać. Ręcznik nasiąkł wodą do tego stopnia, że nie nadawał się do dalszej pracy.

- Masz, weź ten - powiedział Cade, podając jej suchy. Mokry rzucił na stos innych w pustej już wannie.

Później usiadł na podłodze przy drzwiach. Patrzył, jak dziewczyna wyciera podłogę między lwimi łapami, cofa się i robi to samo pod zlewem.

Przyglądał się, jak próbuje chyłkiem poprawić szlafroczek, tak żeby nic nie było widać.

I nie było. Mimo to nie przestawał się na nią gapić.

Siedział na posadzce z ramionami skrzyżowanymi na piersi, z niechętnym wyrazem twarzy, ale oczy miał ciemniejsze niż kiedykolwiek.

A może to tylko wrażenie? Gra światła i cienia?

Abigail skończyła robotę i rozejrzała się dokoła.

- Chyba już wszystko.

Wrzuciła ostatni mokry ręcznik do wanny i przesunęła się ostrożnie, tak by usiąść na podłodze na wprost Cade'a. Wyprostowała nogi, starając się go nie dotykać. Jedną ręką zaciskała na szyi kołnierz szlafrocza.

- Przepraszam.

Odchrząknął i nieznacznie pokręcił głową.

- Jak ty to zrobiłaś?

- Nie mam pojęcia. Zeszłam na dół tylko na chwilę, żeby zaparzyć sobie herbaty. Nie było mnie najwyżej minutę.

- Słyszałem, jak przechodzisz obok moich drzwi, a później skrzypienie schodów. Potem przez dobry kwadrans panowała cisza. Aż wreszcie rozległo się kapanie wody.

- To niemożliwe. W kuchni byłam zaledwie... - Abigail urwała w pół słowa. - Musiałam przysnąć na bujanym fotelu. Zmogło mnie.

Cade westchnął głęboko i oparł się o ścianę. Wciąż siedząc, rozkrzyżował ramiona. Wyglądał na zmęczonego.

- Przepraszam, naprawdę mi przykro. Czy narobiłam dużo szkód?

Mężczyzna na chwilę otworzył półprzymknięte powieki, spojrzał i zamknął ponownie.

- Nie, w łazience nie.

- A deski podłogowe?

- Wszystko wyschnie. Sam nieraz przelałem wodę w tej wannie.

- Kąpiesz się tutaj? Zmarszczył brwi.

- Nawet tutaj, na farmie, bierzemy czasem kąpiel. A co, zdziwiona?

- Nie to miałam na myśli...

- Na tym polega twój problem. Zawsze robisz lub mówisz coś, czego nie chcesz. Nie chciałaś mi wchodzić w drogę, zalewać łazienki, odbierać domu... Nie chcesz, żebym słyszał twoje kroki i czuł twój zapach. To trochę bez sensu.

- Ja bardzo...

- Tylko nie mów, że bardzo przepraszasz. Gdybym był na twoim miejscu, też by mi było przykro, ale bym się nie kajał. Nie powtarzaj w kółko przeprosin, bo robisz się nudna.

Abigail milczała. Nie przychodziła jej do głowy żadna riposta.

A Cade siedział z półprzymkniętymi powiekami. Dziewczyna chciała wstać i zejść mu z oczu, ale tarasował drzwi. Żeby wyjść z łazienki w swym kusym szlafrocuku,

musiałaby przekroczyć jego nogi i pokazać mu więcej, niż chciała.

Okej. Jeżeli facet nie chce przeprosin, trzeba go wziąć na przeczekanie.

Zatem posiedzą sobie.

Po kilku minutach Abigail poczuła, że robi się jej zimno. Czy on bawi się z nią w jakieś gierki? Odczekała jeszcze chwilę.

Sytuacja zaczęła ją nudzić. Jak długo jeszcze będzie tkwił w tych drzwiach...?

I wtedy zauważyła, że pierś Cade'a porusza się bardziej równomiernie i jakby głębiej.

Z każdym oddechem przerwy stawały się coraz dłuższe. Abigail przyjrzała się dokładniej i stwierdziła, że mężczyzna całkowicie rozluźnił ramiona. Głowa, która jeszcze przed momentem była oparta o ścianę, teraz opadła lekko.

Cade spał.

Wstała cicho, starając się niczego w łazience nie poruszyć, i pomaszerowała na palcach w kierunku drzwi. Zrobiła krok tuż nad leżącym. Bardzo ostrożnie. Najpierw jedna noga, później druga...

Już prawie była na zewnątrz.

Wokół jej nadgarstka owinęła się dłoń i pociągnęła ją w dół. Abigail straciła równowagę i poleciała do tyłu. Uniesione ramię objęło ją w pasie. Upadła.

Ale nie na podłogę. Wylądowała na kolanach Cade'a, dokładnie tak, jak najwidoczniej sobie zaplanował. Przytrzymał ją w miejscu. Abigail otworzyła usta, żeby coś powiedzieć albo choćby zaprotestować, ale nie mogła wydusić z siebie słowa.

- Musiałam się potknąć - stwierdziła głosem znacznie słabszym, niż zamierzała.

- Na pewno. Dobrze, że akurat tu byłem i mogłem cię złapać.
- Tak. - Podjęła próbę wyplątania się z jego uchwytu.
- Powinniśmy chyba odczekać chwilę i sprawdzić, czy nic ci się nie stało.

- Nic mi nie jest - szepnęła.
- Jesteś pewna? Skinęła głową.

Przytaknął, a później mocno przyciągnął ją do siebie. Jego dłoń wypuściła nadgarstek dziewczyny i uniosła się w kierunku głowy. Cade nachylił się nad twarzą Abigail, a jego usta znalazły się przy jej ustach. Gorące, szorstkie, nieustępliwe.

A ona oddawała mu pocałunki! Dobry Boże! Jej ręka, ta, którą uwolnił, wędrowała jak poruszana własną wolą ku tyłowi jego karku, ściągając go w dół i domagając się mocniejszych pieścizot. Język Cade'a poruszał się wewnątrz jej ust, prosząc, pytając i penetrując, zanim jeszcze otrzymał odpowiedź, czy mu wolno.

Ich wargi pozostawały złączone; on pytał, ona godziła się na żądania i prośby. Nikt jeszcze nie całował Abigail w ten sposób. To było coś więcej niż pocałunek. Pieścizotą warg Cade kochał się z nią, a jej ciało reagowało szokiem, nie robiąc nic, by go powstrzymać.

Wręcz przeciwnie, przytulało się mocniej.

I nie chciało, by ta chwila się skończyła.

Cade, nie przestając jej całować, przesunął się nieco. Miał ciepłe usta; jego język naciskał nieustannie, droczył się z nią, smakował. Ona również się przesunęła i teraz było wygodniej im obojgu. Abigail nie znała wprawdzie zamiarów mężczyzny, ale jednego była pewna - że nie potrafi się oderwać od jego ust.

Męskie ramię, które już jej nie podtrzymywało, znalazło się między nimi i Abigail poczuła u szczytu

szlafrocza dotknięcie palców. Cade przesunął dłonią w dół i jedwabna tkanina rozsunała się z ledwie słyszalnym szelestem.

Wstrzymał oddech przy jej ustach, a ona wiedziała, czując jego twardość na biodrze, że już dawno przekroczył granicę zwykłego podniecenia.

Piersi Abigail, które teraz owiewało chłodne powietrze, były wrażliwsze na dotyk niż kiedykolwiek. Sutki stwardniały i wskazywały niebo.

Musi mnie dotknąć! Umrę, jeśli nie poczuję jego dotyku!

Palec Cade'a przesunął się po różowym wzniesieniu na piersi jak czubek pędzelka, tak delikatnie, że Abigail zastanawiała się, czy to aby nie podszept wyobraźni. Gardłowy jęk. Czyj? Trudno powiedzieć.

I wtedy, bez ostrzeżenia, podczas gdy ona wciąż siedziała na zimnej podłodze łazienki, Cade wstał. Popatrzył z góry.

- Co jest? - spytała.

- Boże, przecież ja wcale tego nie chciałem... - odparł. Odwrócił się i już go nie było. Drzwi do sypialni trzasnęły głośno.

Abigail złapała płytki oddech i poprawiła włosy. Zacisnęła mocno zdradziecki szlafrok. Wstała. Drżały jej kolana. Zauważyła trzęsące się ręce.

Ona też tego nie chciała. Jednak teraz nie pragnęła niczego innego.

Będzie miała kłopoty.

Rozdział 16

Jeżeli wiara w to, że całkowicie panujesz nad włóczęką, poprawi ci nastrój, myśl tak dalej. Bo prawdy i tak to nie zmieni.

E.C.

Następnego ranka Cade otworzył oczy w cichej, nieruchomej ciemności przedświt z wrażeniem, że coś się wydarzyło. Walczył przez chwilę, by sobie przypomnieć to, co wyparowało mu z pamięci podczas snu. I wtedy do niego dotarło.

Całował Abigail w łazience! Jęknął głucho, przewrócił się na bok i wcisnął twarz w poduszkę. Wystarczyła sama myśl o tej dziewczynie, by stwardniał. Znowu.

Tak, była atrakcyjna. Gorąca jak samo piekło. A on nie mógł wyrzucić jej z głowy, mimo że za wszelką cenę chciał ją wykurzyć ze swojej ziemi.

W najśmielszych snach nie przypuszczał, że będzie ją trzymał w objęciach, że chwyci ją w ramiona i posadzi sobie na kolanach!

I nie potrafił nad sobą zapanować. Ba, na godzinę przed tym pocałunkiem nie uwierzyłby, że pocałuje ją kiedykolwiek! Nawet na dziesięć minut wcześniej, kiedy

wściekał się, że dom jest cały zalany wodą, że to ona go zalała, bo zasnęła w fotelu, odkręciwszy uprzednio kran przy wannie. Kretynka!

Nie, to on jest kretynem. Przecież Abigail nie miała zamiaru zalewać łazienki. A on chciał ją pocałować. Pragnął tego całym sobą, a wczorajszego wieczoru pragnienie się ziściło.

Oddawała mu pocałunki; czuł to, wiedział na pewno. Chwycił ją, ściągnął w dół, ale jej napiętości nie dawało się powstrzymać. Palce dziewczyny wplątywały się w jego włosy, skręcały je i burzyły, przyciągając jego głowę wciąż bliżej i bliżej... Ich przemieszane Oddechy, gwałtowne i zdyszane, jak po biegu!

Boże, co za cierpienie! Musi wyjść z łóżka, a potem z domu. Zanim jeszcze ją spotka.

Czy wzajemne unikanie się na jego terenie będzie jeszcze w ogóle możliwe?

Zadanie może się okazać niewykonalne, ale spróbuję, postanowił. Wziął prysznic, ubrał się, zjadł płatki owsiane i niecałe dwanaście minut później był już na dworze. Skończył oporządzać zwierzęta w stajni przed wpół do siódmej, kiedy słońce zaczęło przezierać przez okna, a Tom otworzył drzwi.

- Wyglądasz, jakby cię przejechał walec - powiedział do Cade'a.

- Masz dzisiaj sprawdzić, co z tymi owcami. I zadzwoń po weterynarza, żebyśmy wiedzieli na pewno.

- Żadnego „dzień dobry”, stary przyjacielu?

Cade nie był w nastroju do żartów. Skrzywił się tylko.

- No dobrze. Rozumiem, że mam sobie sam zaparzyć kawę?

- Jest gotowa. W kantorku.

- Chcesz o czymś porozmawiać?

- Nie - odburknął Cade.

Wygrabiał właśnie słomę z boksu, w którym trzymał niemłoda już owcę walczącą z zapaleniem płuc. Zwierzak zdechł w nocy, a on rano pozbył się ciała.

- Nie dała rady? -Nie.

- A wczoraj wydawało się, że już z nią lepiej.

- Też tak myślałem. Najwyraźniej myliliśmy się obaj.

- Jesteś czymś zdenerwowany?

- To zwierzę kosztowało mnie trochę pieniędzy...

- Czy twój nastrój ma coś wspólnego z tą dziewczyną? Cade przerwał grabienie i obrzucił Toma niechętnym

spojrzeniem. -Nie.

- W porządku. - Tom uniósł ręce do góry i rozpoczął odwrót.

- A dlaczego pytasz?

- Zapomnij o tej rozmowie.

- Tu nie chodzi o nią.

- Wierzę.

- To dlaczego tak o nią wypytujesz?

- Zaczynam podejrzewać, że możesz mieć do powiedzenia o wiele więcej na ten temat, ale teraz idę po kawę. Jeżeli chcesz pogadać, proszę bardzo. W przeciwnym razie biorę się do roboty.

Skąd on wiedział? Dlaczego nie pomyślał, że irytacja Cade'a mogła wynikać na przykład z padnięcia owcy? Przecież utrzymują się z ich hodowli. Takie wydarzenie obeszłoby każdego właściciela stada...

Przyjaciel miał jednak rację, a Cade wiedział, że obaj myślą o tym samym. Tom znał swego szefa doskonale i radził sobie ze śmiercią zwierząt na farmie podobnie jak on: z żalem, a jednocześnie ze świadomością, że pewnych

rzeczy nie da się uniknąć. Ze stoickim przekonaniem, że ludzkie traktowanie stada i dbałość o jego zdrowie to najlepsza recepta na sukces.

Fakt, śmierć owcy z powodu zwykłej choroby lub podeszłego wieku nie poruszyłaby go do tego stopnia. Cade wiedział, że ma twarz, na której dokładnie odbijają się jego uczucia; Eliza nie bez powodu regularnie dawała mu wycisk w pokera. Skutek był taki, że później już z nikim nie grał na pieniądze, bo z góry znał rezultat. Dzisiaj po prostu będzie Toma unikać. To chyba nie okaże się trudne, bo jeżeli weźmie się za rury nawadniające, które miał przenieść już wczoraj, podjedzie na szczyt wzgórza i tam popracuje, a później uprzątnie jeszcze suche gałęzie, nie powinni sobie wchodzić w drogę... Trzeba tylko sprawdzić, czy dzisiaj przypada dzień wyznaczony przez lokalnych urzędników na palenie chrustu i być może poprawić sobie nastrój porządnym ogniskiem.

I trzeba jakoś unikać Abigail. I dzisiaj, i już zawsze. To chyba też nie okaże się trudne? Cade przypomniał sobie, jak w nocy drżała w tym swoim kusym szlafrocuku. Niech no tylko poczeka, a przekona się, że tutaj naprawdę potrafi być zimno! Kilka porządnych zimowych burz na pewno wykurzy ją stąd na dobre. Oczywiście, farma znajduje się zbyt blisko oceanu na porządny śnieg, ale w nocy temperatura spada poniżej zera. A mały domek nie ma dobrej izolacji, a komin jest zatkany i wymaga wyczyszczenia.

Kierując się ludzkim odruchem, Cade powinien powiedzieć dziewczynie, żeby zajęła się przynajmniej kominem, ale jest, jak jest. Powinna sama o tym pomyśleć i ocieplić chatkę.

Ale z drugiej strony, im później ona to zrobi, tym dłużej on będzie musiał ją gościć. Ją i ten jej pożałowania

godny szlafroczek. Szlag by to trafił! Muszę się czymś zająć, pomyślał.

Wcześniej, kiedy jechał półciązarówką w kierunku grani, zauważył zbierające się na północy ciężkie chmury. Teraz wysiadł, włożył skórzane rękawiczki i zaczął ładować chrust na pakę. Kilka godzin później zrobił sobie przerwę i podszedł wyżej, do miejsca, z którego pomiędzy drzewami przeziarał ocean. Dzisiaj był ciemny; nawet stąd Cade widział wzburzoną wodę i łamiące się grzywacze.

Tutaj, w górze, miał poczucie obcowania z czystą przyrodą - z drzewami i oceanem. Widoku nie psuła na szczęście linia wysokiego napięcia, chociaż Cade wiedział, że gdyby skierował wzrok na wschód, zobaczyłby siatkę linii rozciągniętych od słupa do słupa, przecinającą pośrodku niski pagórek należący do sąsiada, pana Tuttle'a.

Mieszka się tutaj wspaniale, pomyślał. Dostatecznie blisko miasta; jeśli człowiek potrzebuje, ma w zasięgu San Francisco. Jeżeli czuje się samotny, ma wokół siebie mnóstwo ludzi, z którymi może pogadać. I dziewczyny, z którymi się da się umówić, nawet całe mnóstwo. Cade lubił randki.

Odkąd jednak Eliza przeniosła się na południe i powierzyła mu pieczę nad farmą, doskwierała mu samotność.

Gdyby się nad tym głębiej zastanowił, doszedłby do wniosku, że to dlatego, iż nigdy nie mieszkał z nikim pod jednym dachem. Kiedy opuścił dom rodziców, tułał się od mieszkania do mieszkania, aż w końcu trafił na to gospodarstwo, unikając w ten sposób wplątania się w niemało trudnych życiowych sytuacji.

Nie żeby kobiety nie próbowały z Cade'em różnych sztuczek. A to ukradkiem chowały szminkę do szuflady

w jego nocnej szafce, a to majteczki na zmianę tam, gdzie trzymał skarpetki. Za każdym razem jednak, gdy któraś rozpoczynała manewry, nie tylko oddawał jej rzeczy, ale pozbywał się z domu samej zainteresowanej. Nie miał czasu na związki. Nie miał czasu na miłość. Obchodził więc i jedno, i drugie wielkim łukiem. Tak doskonałe uczucie jak to między Elizą a Joshuą zdarza się wyłącznie na filmach. Związek jego rodziców na pewno taki nie był, a Cade nie chciał iść w ich ślady.

A już na pewno nie chciał pozwolić jakiegś zupełnie obcej osobie, choćby nie wiadomo jak pięknej, wchodzić w jego życie z butami i niweczyć spokojne szczęście samotnika.

Wolał już raczej przebywać na wzgórzu, spoglądając w dół, w doliny, ze świadomością, że w każdej chwili może tam zejść. Ale wolał tu pozostać. Ukląkł i zdjął rękawiczkę. Dotknął ziemi. Joshua, mąż Elizy, właśnie w ten sposób wyrażał miłość do tego miejsca, bo kochał je tak samo. Zmarł na zawał, kiedy Cade miał jedenaście lat, ale zanim odszedł, chłopak nieraz widywał, jak mężczyzna przykłęka i smakuje ziemię. Cade też jej spróbował. Uśmiechnęli się wtedy do siebie i stwierdzili, że to najsmaczniejsza ziemia na świecie.

Uderzył go w twarz nagły powiew zimnego wiatru, wilgotnego od podniesionych z powierzchni oceanu kropel, a gdzieś za jego plecami zaszeleściły dębowe liście. Chmury nad głową Cade'a przesuwały się powoli, ociężale, zwierając szeregi. Dziś w nocy będzie burza. Nieuchronnie.

Kiedy Cade wrócił do domu, żeby sobie zrobić kolację, był wykończony. Wcześniej tak się zawiązał na zbieranie chrustu i czyszczenie polany, i rozpałił takie ognisko, że zauważyła je nawet miejscowa straż pożarna. Dzwonili

sąsiedzi przekonani, że pożar się rozprzestrzenił i wymknął spod kontroli.

Terenowy wóz strażacki podjechał gruntową drogą, ale ponieważ Cade chodził do szkoły z Timem, dowódcą jednostki, afera uszła mu płazem. Strażacy stali tylko i patrzyli, podobnie jak on, w ogień. Jak zahipnotyzowani. Nie odzywali się, rzucili jedynie kilka uwag na temat zbliżającej się burzy. Cade był jak uwędzony; w gardle i oskrzelach wciąż czuł gorzki zapach dymu. Bolały go wszystkie mięśnie, był brudny jak sto nieszczęść. Musi wziąć prysznic, zjeść coś i napić się czegoś mocniejszego... Dokładnie w takiej kolejności.

Prysznic wziął.

Zrobił sobie coś do jedzenia. Wrzucił stek na ruszt, a z resztek warzyw zrobił sałatkę. Jadł przy kuchennym stole, w myślach prowokując Abigail, żeby weszła i złamała ustalone reguły.

Nie przyszła. Oczywiście. Pewnie go unika, podobnie jak on jej.

W rynnę za oknem uderzyły pierwsze krople deszczu. Srebrzyste kuleczki rozbijały się, wciąż jeszcze lekko, i spadały powoli. Z czasem będzie ich coraz więcej i będą spadać coraz gwałtowniej.

Dzisiejszej nocy będzie ulewa.

Cade nalał sobie szkockiej z lodem, chwycił w przelocie zaczęty kryminał i poszedł do salonu.

Dziś po raz pierwszy o tej porze roku zapalił ognisko i po raz pierwszy napalił w kominku. Wszystko się zgadza. Może ten ogień przegna obraz nagich piersi i nabrzmiątych ust...? Wykurzy je z pamięci?

Jak na razie nic nie skutkowało.

Kiedy rozpałił w kominku podpałką i drewnem przyniesionymi z ganku na tyłach domu, rozsiadł się

wygodnie w fotelu i z satysfakcją zatarł dłonie. Ilekroć w salonie buzował porządny ogień, Cade nie mógł się oprzeć wrażeniu, że oto spełnił dobry harcerski uczynek.

Uczynek godny prawdziwego mężczyzny. Który czuł się teraz lepiej niż w jakiegokolwiek chwili mijającego dnia.

Ulubionym fotelem Cade'a było przesadnie obłożone poduszkami purpurowe monstrum, obok którego stała podobnie tonąca w poduszkach miękka otomana. Eliza uwielbiała przesiadywać przed kominkiem i robić na drutach. On sam nigdy by nie wybrał dla siebie podobnego fotela, ale trzeba przyznać, że mebel pasuje do starego wnętrza. Dom pod koniec dziewiętnastego wieku służył jako zajazd dla dylizansów, a dzisiejszy salon służył niegdyś jako poczekalnia dla dam; przez olbrzymie szyby z ołowiowego szkła, osadzone we frontowych oknach, można było zobaczyć pozostałe z tamtych czasów dwa słupki do wiązania koni. Cade miał cztery konie pociągowe i konie do zaganiania owiec, ale jakoś nigdy nie czuł potrzeby wiązania ich przed domem. Lubił jednak świadomość, że słupki tam są, i kiedy spoglądał w ciemność, wiedząc, że sto lat temu siadywali tu inni ludzie, czuł związek z przeszłością tego miejsca.

Energicznym ruchem otworzył książkę. Tekturowy grzbiet zatrzeszczał głośno. Cade pociągnął łyk szkockiej, zanurzył się w powieść. Doskonale.

Prawie. Bo umówiona pora, o której ma się stąd wynieść, mija za kwadrans.

A może wcale stąd nie wychodzić? To chyba wciąż jego dom, tak czy nie? To ona może sobie pójść gdzie indziej. Albo się stąd wynieść zaraz po przyjściu, bo on nie ruszy się z miejsca.

Cade wypchnął z myśli obraz dziewczyny. Po raz kolejny.

Rozdział 17

Zawsze dodaj kilka centymetrów do swetra, zanim zaczniesz wyrabiać podcięcie na rękawy. Wkrótce się okaże, że jednak były potrzebne.

E.C.

Abigail wstała z bolącymi kolanami. Tak się kończy dwugodzinne tkwienie w tym samym miejscu. Sięgnęła do kieszeni, żeby sprawdzić czas, i znalazła w telefonie sześć nieodebranych połączeń, wszystkie z zastrzeżonego numeru. Wiadomości żadnych. Najwyższa pora zmienić numer.

Nadchodzi jej czas objęcia kuchni na wyłączność.

Dzisiejszego ranka pojechała do miasta po zakupy. Załatwiła je szybko (dwie torby najniezbędniejszych produktów, takich jak masło orzechowe i lody) i postanowiła przejść się bulwarem. Większość sklepików i knajp była pozamykana, bo to już koniec sezonu, ale ludzie wciąż spacerowali grupkami, pili kawę, przyglądali się surferom i łowili ryby na końcu mola.

Abigail niemal wszędzie widziała akceptujące uśmiechy. Wreszcie nie musiała oglądać się przez ramię, ale kiedy już to robiła, jej wzrok napotykał same przyjazne spojrzenia i radosne twarze.

Teraz przekręciła klucz w drzwiach swojego domu, wynosząc potężny stos tekturowych pudeł do pojemnika na papier. Pracowała od dobrych kilku godzin, rozpakowując części do kołowrotek, otwierając pudła z wełną, ustawiając wszystko na pustych półkach, które udało jej się odnaleźć. Jeśli musiała, robiła prowizoryczne półki z pudeł. Chciała wysprzątać wszystkie pokoje, żeby lepiej oszacować przestrzeń, ale choć spędziła na tej pracy niemal cały dzień, salon nie opustoszał nawet w połowie.

Im więcej pudeł rozpakowywała, tym wyraźniej dostrzegła zamiary Elizy. Subtelnie wszystko kontrolując, przyjaciółka nawet teraz popychała Abigail do otwarcia się na świat. Delikatne sugestie. Kursy robótek. Sklep.

Przeglądając karton po kartonie, dziewczyna znajdowała wszystko, co potrzebne, żeby rozkręcić wymarzony biznes. Miała już wystarczająco dużo kołowrotek, by wystartować z grupową nauką przedzenia. Może nawet zbyt wiele, więc część będzie można sprzedać. Na wrzecionach i szpulach było dość gotowej przędzy, by wyprodukować z niej setki motków. Abigail odkryła pudła ze zwykłą, mocną wełną we wszystkich kolorach tęczy, z danymi producenta na każdym opakowaniu, na wypadek gdyby czegoś chciała zamówić więcej (choć liczba odkrytych skarbów przeszła jej najśmielsze oczekiwania). Znalazła nawet antyczną kasę i starą księgę przychodów i rozchodów. Zawartość każdego otwartego kartonu odpowiadała na kolejne rodzące się w jej głowie pytanie. Bo Abigail jeszcze sama przed sobą nie przyznawała się, że chce tu otworzyć sklep. Nie przepracowała tego świadomą częścią umysłu, przefiltrowała zaledwie przez podświadomość, tam gdzie naprawdę podejmuje się decyzje, ale w zasadzie wiedziała, że zrobi właśnie tak.

Ziści się jej marzenie.

Ni mniej, ni więcej. Z przystojnym kowbojem u boku...

Przez cały dzień nie poświęciła Cade'owi ani jednej myśli. W niemyśleniu o nim okazała się fantastyczna. W niemyśleniu w ogóle również. Za każdym razem, gdy coś się jej przypominało - a to usta, a to jego duże, silne i wszechwiedzące dłonie - wracała do marzeń o przyszłym sklepie. O swoim domu. O zajęciach, które będzie prowadzić. O alpakach.

O wszystkim, tylko nie o nim.

Wyrzuciła tekturę z porozcinanych pudeł do plastikowego pojemnika stojącego między stajnią a domem i klasnęła w dłonie, żeby przywołać Clare. Suka siedziała pod jej samochodem, coś przeżuwał.

Na dworze robiło się zimno i wietrznie. Abigail czuła, że podmuchy wiatru unoszą jej włosy, które smagają ją po policzkach. Czy to krople deszczu? Jeszcze raz zawołała Clare, ale uparty pies tylko popatrzył na nią spod auta i postanowił nie zwracać na panią uwagi.

W porządku. Sprawdzę tylko, czy wyciągnęłam już wszystkie torby z zakupami, pomyślała. Zerknęła przez okno do wnętrza nissana. W środku było pusto, ale Abigail zauważyła otwartą skrytkę pod deską rozdzielczą. Zmarszczyła brwi, pewna, że wcześniej zamknęła samochód. Używanie klucza było zwyczajem, którego dwa tygodnie na wsi jeszcze nie dały rady zniweczyć.

Drzwiczki były zamknięte. Otworzyła je, przekręcając kluczyk w zamku od strony pasażera.

Schówek był otwarty na oścież. Mechanizm skrytki miał chytrą konstrukcję: łatwą do zamknięcia, ale jego przypadkowe otwarcie było niemal niemożliwe (Abigail prawie zawsze musiała walić w tym celu w zamkniętą skrytkę dłonią). Kiedy wcześniej wyciągała z samochodu

torby z zakupami, klapka na pewno nie była otwarta. Abigail nie trzymała zresztą w skrytce niczego ważnego właśnie dlatego, że tak trudno było ją otworzyć. Dowód rejestracyjny, książka wozu, próbnik ciśnienia w oponach, dwa okrągłe druty na szesnastocalowej żyłce i mały motek włóczki na skarpetki, gdyby trzeba było coś awaryjnie zszyć. Nic innego. I niczego nie brakowało.

To oczywiste. Nikt by się przecież nie włamywał do samochodu tylko po to, żeby otworzyć schowek. Pewnie tym razem uparty zatrzask puścił sam z siebie. Abigail zamknęła skrytkę i spróbowała otrząsnąć się z nieprzyjemnego odczucia, które nagle usztywniło jej ramiona. Spojrzała na zwirowy podjazd. Nic. Po drugiej stronie podwórza tylko stajnia. Na drodze dojazdowej też nic.

Pustka. To wszystko. Przywyknie.

Kiedy deszcz rozpadał się na dobre, ukłękła obok samochodu i zaczęła błagać psa, kusząc go przygotowanymi wcześniej smakołykami. Clara, połknąwszy najpierw trzy smakowite kąski, wyszła wreszcie, ciągnąc za sobą coś, co wyglądało na część auta. Pysk miała umazany smarem.

Fantastycznie. Pies zjadający samochody! Wchodząc do domu, Abigail pomodliła się w duchu, żeby w kuchni nie spotkać Cade'a. Uff, nie ma go... Czysto.

Szybko zrobiła kanapkę. Po całym dniu pracy u siebie i niemyśleniu o gospodarzu nie miała zamiaru zaprzętać sobie nim głowy.

Siedziała przy stole, jadła i przyglądała się, jak pada deszcz.

Clara przysiadła obok na podłodze i oparła się ciężko o nogę swej pani.

Abigail planowała przede wszystkim zasiąść z robótką w rękę. Na drutach robiło jej się najlepiej właśnie przy takiej pogodzie. Gdy było wietrznie i zimno, i padał

deszcz. A rozpada się jeszcze mocniej. Dobrze jest wtedy siedzieć w cieple i czuć się bezpiecznie. Szkoda, że w kuchni nie ma kominka...

No przecież jest w salonie! Abigail spojrzała na wyświetlacz telefonu komórkowego i sprawdziła, która godzina. Czy to nie jej pora na przebywanie w bawialni? Cade powinien się już stamtąd zbierać. Nawet jeżeli nie zrobił tego do tej pory, na pewno się zwinie na jej widok.

Poszła na górę po druty i włóczkę i chwilę później była już z powrotem. Clara nie odstępowała swej pani na krok. U stóp schodów, zamiast zawrócić do kuchni, Abigail skręciła w prawo. Do salonu.

Znalazła tam Cade'a z książką w ręce, siedzącego w przepastnym, miękkim fotelu na wprost płonącego kominka. Na kolanach mężczyzny rozłożył się Duncan, olbrzymi żółty kocur. Jakim cudem z tego purpurowego fotela udało się Cade'owi zrobić męski, wiejski mebel?

Cholera.

Przecież to jej pora. I to on wyznaczył reguły. Ona zaś będzie ich twardo przestrzegać, nawet jeśli Cade nie ma na to ochoty. Abigail weszła do bawialni z wysoko uniesioną głową, ignorując pytające spojrzenie. Może mu skinie na przywitanie, kiedy już usiądzie na kanapie. Ale minutę odczeka.

To hollywoodzkie wejście zepsuła Clara, rzucając się ku Cade'owi jak oszalała; zawijała się wokół jego nóg, lizała mu ręce, krążyła w ekstazie dokoła niego, jakby był kawałkiem soczystego steku.

Kot eksplodował żółtym obłokiem. Wrzeszcząc i protestując, wybiegł z pokoju.

- Duncan! - rzucił za nim Cade.

- Clara! - Abigail była przerażona. Takiego scenariusza nie przewidziała. Czy on sobie pomyśli, że specjalnie przyprowadziła tu psa? Żeby go poszczuć na kota?

Cade uśmiechnął się szeroko i odłożył książkę. Chwycił psi łeb w obie dłonie.

- A cóż to za śliczny piesek? - Tarmosił zwierzę za uszy. - Czy to Clarabelle? Dobra psina.

Judasz, nie pies. Abigail niechętnym spojrzeniem obrzuciła zdradzieckie stworzenie, Clara jednak była zbyt zajęta wyrażaniem swojej miłości do Cade'a, by zauważyć taki drobiazg.

Dziewczyna westchnęła i zajęła miejsce na długiej otomanie. Mebel wyglądał na niewygodny antyk, lecz nic bardziej mylnego. Eliza nigdy nie pozwoliłaby, żeby w jej domu znalazło się cokolwiek, co nie byłoby balsamem dla duszy i ciała. Abigail rozsiadła się wygodnie wśród przepastnych poduszek. Dobre miejsce na robótkę.

Lepszym byłby wprowadzić fotel na wprost kominka, lecz teraz zajmował go facet, który powinien był już pójść spać.

- Ciężki dzień - rzuciła zdawkowo.

- Nie bardzo - odparł Cade. Głosem był o dziesięć stopni chłodniejszy niż podczas przemowy do psa.

- To dobrze.

Abigail wyjęła rękaw, nad którym właśnie pracowała. Był prawie gotowy, a ona w wyobraźni tworzyła już pomysł następnego. Czy zachować motyw delikatnego zygzaka, czy pozostawić rękaw gładki, bez warkocza? To miał być męski sweter (kto wie, może posłuży jako nowy projekt do kolejnej książki?), a Abigail przypomniawszy sobie, że niektórych mężczyzn zraża asymetria. Za duże ryzyko.

Podejmowanie tego rodzaju decyzji było przyjemnością. Cieszyła się nimi, wykorzystując chwile niepewności do ostatniej sekundy.

Patrzyła na włóczkę, która przesuwiała się między jej palcami i owijała na drutach.

Czy on nie rozumie aluzji?

Najwyraźniej nie. Wciąż bawił się z psem, który przetaczał się teraz z brzucha na grzbiet.

- Leżeć! - Clara położyła się grzecznie.

- Turlaj się! - Suka ochoczo wykonała polecenie, niemal wywracając mały stolik tuż obok sofy.

- A teraz siad! - Pies usiadł. Cade wycelował w niego palcami złożonymi w kształt pistoletu. - Pif-paf!

Clara w ekstazie wywróciła oczami, po czym rzuciła się na ziemię jak martwa.

Abigail przyglądała się spektaklowi w milczeniu. Nie miała zielonego pojęcia, jak on to robił, ale przecież nie mogła nic po sobie pokazać.

- Co ona jeszcze potrafi? - zapytał.

- Potrafi... Hm. Podawać łapę - zgadywała Abigail.

- Clara, łapa! - powiedział, na co psica uniosła lewe przednie odnóże. Cade nim potrząsnął.

Dobry piesek!, pomyślała Abigail.

- Trafił ci się dobry egzemplarz - stwierdził Cade i zaśmiał się, bo Clara spróbowała wejść na jego kolana i polizać go po twarzy. Zupełnie jak szczeniak.

- Wygląda, że cię polubiła.

- Bo i ja ją lubię. Zawsze ją lubiłem, nawet kiedy była jeszcze własnością Morta.

- Aha. - Abigail spróbowała zapanować nad wyrazem twarzy. - Stąd znasz te sztuczki...

Uśmiechnął się szelmowsko.

- Być może.

Dała się nabrać jak blondynka. Ale na niego chyba już czas?

- W takim razie... Jutro znów wstajesz o wpół do piątej?

Cade spojrzał na nią dziwnie, jakby nagle wyrosło Abigail trzecie ramię. -Tak.

- Hm. Jakoś długo dzisiaj siedzisz. A tak w ogóle, to która godzina? - Dziewczyna uniosła nagi nadgarstek. - Nie noszę zegarka.

- Ani ja - odparł chłodno.

Niech to szlag trafi! On też się bawi w tę grę.

Abigail spędziła kolejne pół godziny w stanie frustracji. Tak bardzo chciała, żeby Cade się wreszcie wyniósł! Chciała zacząć robić na drutach, posłuchać padającego deszczu. To był cudowny wieczór na zanurzenie się głęboko w powtarzalne ruchy współgrających z wełną drutów. Chciała w spokoju pomyśleć o planach na przyszłość. Tych związanych z jej nowym domem.

Chciała posiedzieć na wprost kominka. Na fotelu mocno osadzonym na swoim miejscu, jak gdyby zakotwiczonym korzeniami, które przebiwszy się przez deski podłogowe i fundament, wrastały w ziemię.

No, idźże wreszcie do łóżka!, pogoniła Cade'a w duchu. Ziewnęła. Przyjrzała się natarczywie.

Nic. On po prostu odwrócił kolejną stronę i pociągnął łyk ze szklaneczki, która chyba potrafiła napęłniać się sama. A może tylko udaje? Udaje, że pije, po to, żeby zyskać na czasie?

Kiedy jednak po raz kolejny zbliżył szklanekę do ust, Abigail przyjrzała się jej dokładniej i stwierdziła, że poziom płynu jednak się obniżył. Poczula się głupio. Cade po prostu siedział sobie w fotelu i jak ona cieszył

się odgłosem kropli deszczu dzwoniących o okienne szyby.

Ją też powinny cieszyć tak proste rzeczy! W końcu jest przecież dorosła, a Cade to nie chłopiec w krótkich spodenkach, który zabiera jej słodycze. Oboje są dorośli i mogą w tej sytuacji dojść do porozumienia. Tak czy nie?

Tak.

Abigail wsłuchiwała się w szum deszczu. Odłożyła robótkę na kanapę i podeszła do jednego z ogromnych okien. Nic nie widziała przez szybę - ani światła, ani deszczu. Tylko swoje odbicie na szkle. Twarz z dziwnie wielkimi oczami.

Ujęła tę twarz w dłonie, przyciskając ich zewnętrzne krawędzie do szyby i zobaczyła, co się dzieje na dworze. Wiatr i deszcz targały drzewami rosnącymi powyżej domu, a w tworzące się wszędzie kałuże były tysiące kropel. Ściany deszczu szły jedna za drugą.

- Leje - powiedziała, żeby przerwać milczenie, a nie po to, by zacząć rozmowę.

Cade skinął głową, nie podnosząc wzroku znad książki.

Uparty jak osioł.

Abigail była zmęczona tym pojedyńkiem.

- Czy to aby nie moja pora na salon?

Wzruszył ramionami i uniósł nadgarstek bez zegarka.

- Nie wiem.

- Jest dziewiąta. -Już?

- Nie mam pojęcia, w co się bawisz, ale ja się stąd nigdzie nie ruszam.

Chcę dzisiaj robić na drutach. I nie mam zamiaru przekradać się na paluszkach do pokoju, unikając za wszelką cenę twojej osoby.

- Ani ja. Dlaczego miałbym się skradać?

- No, przecież postanowiłeś mnie unikać. Po to ustanowiłeś reguły.

- Nie - odparł przeciągle i odłożył książkę na kolana. Nie patrzył na Abigail, lecz w ogień. - Ustanowiłem je, bo sądziłem, że tutaj, w moim domu, możesz się w mojej obecności czuć skrepowana. Taktownie usunąłem się z drogi.

- A teraz?

- Już mi przeszło. Uważam, że pozwalając ci tu zostać, wyświadczam ci grzeczność. Przecież możemy się jakoś podzielić przestrzenią, prawda? Jesteśmy dorośli.

Abigail wróciła na kanapę. Nie miała ochoty na kłótnię. Nie dzisiaj. Nie tutaj. Nie w miejscu, w którym mieszkała sama, pozbawiona większości przyjaciół. Nie w domu, w którym czuła się jak złapana w pułapkę przez mężczyznę, który z niewiadomych powodów nie mógł jej znieść, mimo że poprzedniego wieczoru ją całował. Ten pocałunek...

Wspomnienie wywołało rumieniec. Do tego momentu, mimo bliskości Cade'a, wyrzucanie wczorajszego zdarzenia z pamięci szło jej doskonale.

Cade odchrząknął i poprawił się w fotelu, a Abigail spiekła jeszcze większego raka. Modliła się, żeby teraz na nią nie spojrzął i nie patrzył, dopóki z jej policzków nie zniknie czerwień.

Jedynymi dźwiękami, które przerywały martwą ciszę w salonie, były trzask polan w kominku i szum deszczu na dworze. Niski pomruk ulewy przeplatał się z pojedynczymi odgłosami wielkich kropel rozbijających się o coś metalowego za oknem.

Co się z nią dzieje? I dlaczego odłożyła robótkę? Abigail usiadła na kanapie. Druty są dobre na wszystko. Taką ma dewizę. I taką miała Eliza. Zawsze miej zajęte ręce.

Robótka to medytacja, rozrywka i pocieszenie. Nie ma nic ważniejszego. Druty rozmawiały ze sobą. Ich delikatny, metaliczny szcęk poprawiał samopoczucie.

Abigail odetchnęła głęboko.

Cade przewracał kolejne strony.

Dziewczyna uniosła do oczu rozpisany na papierze wzór, przyjrzała mu się dokładnie i powróciła do pracy.

Deszcz nie ustawał.

Abigail tak wsiąkła w panującą w salonie ciszę, że kiedy Cade się odezwał, aż podskoczyła na otomanie i zgubiła oczko na końcu rządka.

- Ktoś cię tego uczył?

- Chwileczkę. - Abigail skupiła się na robótce i złapała oczko, które chciało się wyrwać spod kontroli. - Dobrze, już je mam. O co chodzi?

- O moją ciotkę. To ona cię nauczyła?

- Robienia na drutach? Nie. Nauczyła mnie moja mama.

- A gdzie ona teraz jest?

- Umarła, kiedy miałam dziesięć lat.

- To kto cię wychowywał?

Cade pytał trochę obcesowo. Jeszcze nigdy nikt nie wypytywał Abigail o sprawy rodzinne takim tonem. Tak wyzywająco.

Odpowiedziała jednak.

- Głównie mój tata. Jeśli akurat nie pracował. Przenosiliśmy się z miejsca na miejsce, bo jeździł za pracą. A ja dużo czasu spędzałam sama w domu i robiłam na drutach.

- Musiałaś być super.

Czy w tonie Cade'a słysząc było nutę szyderstwa?

- Rzeczywiście, byłam superdzieckiem. Szła okularów jak denka od butelek, plecy pochylone nad robótką.

Miałam raptem siedem lat, a dzieciaki nazywały mnie babcią. - Uśmiechnęła się. - Ale drutów i włóczki nie wypuszczałam z rąk. To największy prezent, jaki dostałam od matki.

- A gdzie jest teraz twój ojciec?

- Zmarł jakieś pięć lat temu. Spadł z drabiny. Pracował na dachu. Zleciał i wylądował na głowie.

- Przykro mi.

- Mnie również. Był wszystkim, co miałam na świecie. Nie licząc Elizy.

- Nie masz przyjaciół ani znajomych? - Cade sam wyglądał na zdziwionego, że w ogóle zadał to pytanie. - To jest... Chciałem zapytać, czy trudno ci było wyjechać?

- Nie martw się - zaśmiała się Abigail. - Mam mnóstwo przyjaciół. Ale po śmierci Elizy, oprócz Janet, nie mam takich, których mogłabym zaliczyć do rodziny. Tylko z nią jestem blisko.

- Nie miałaś domu? Korzeni?

- Nigdzie nie zapuściłam korzeni. Ojciec często się przeprowadzał, a ja musiałam za nim nadążyć. Najdłużej mieszkałam w San Diego, a i to wyłącznie z uwagi na Elizę. Ponieważ ona była poniekąd moją rodziną, więc tam miałam dom. - Abigail dotknęła opuszkami palców siedziska otomany. Nie powie przecież Cade'owi, że czuje się tutaj jak w domu, że razem z chatką dostała szansę na zapuszczenie korzeni. Ze to wszystko z powodu Elizy i jej obecności. Tutaj, na tej ziemi. On tego nie zrozumie.

Spojrzała. Mężczyzna wpatrywał się w ogień spod półprzymkniętych powiek.

- A ty robisz na drutach?

Cade zaniósł się śmiechem. Drzemiąca u jego stóp Clara podskoczyła, stanęła na równe nogi, ale już chwilę

później położyła uszy po sobie, uspokoiła się i zamknęła oczy.

-Nie, nie robię. Wprawdzie Eliza od zawsze odgrażała się, że mnie nauczy, ale jakoś się jej nie udało.

- To smutne. Pewnie teraz żałujesz.

- Nie, raczej nie.

- Twoja stryjeczna ciotka była geniuszem dziergania i szydełkowania. Uwielbianym przez pokolenia. Jej książki ukazały się w kilkunastu językach. Była legendą.

- To była tylko moja ciotka.

No, proszę. Abigail nie potrafiła zrozumieć, jak można traktować Elizę jak kogoś, kto jest „tylko” kimś.

- Nie zrozum mnie źle. Ona rzeczywiście była niesamowita. Mało kogo tak lubiłem. Tu, na tej farmie, potrafiła zrealizować każdy, najbardziej szalony pomysł. Gołymi rękami umiała wepchnąć słupek od płotu do ziemi, odwinąć drut kolczasty z bębna, asystować przy narodzinach jagnięcia i ścinać drzewa siekierą. Kiedy sobie przypominała, że trzeba coś zrobić, po prostu to robiła. A resztę czasu spędzała nad robótką.

Abigail uśmiechnęła się do swoich myśli.

- Wyobrażam to sobie.

- A ty? Jak ją pamiętasz?

- Pamiętam wszystko - westchnęła. - Pamiętam, jak się poznałyśmy. Jakieś sześć, może siedem lat temu. Robiłam coś na drutach w kawiarni i nie obchodziło mnie, że patrzą na mnie ludzie. Zdarzenie miało miejsce w czasach, kiedy robótki były niemodne i nikt się z nimi nie obnosił. Niektórych wręcz irytowało moje hobby. Zastanawiałam się nawet, czy nie odłożyć drutów, ale w końcu tego nie zrobiłam. Wtedy podeszła do mnie jakaś kobieta. Wysoka, o oszałamiającej urodzie, z fantastycznie długimi siwymi włosami. Byłam pewna, że każe mi przestać, ale

zamiast tego wyciągnęła rękę i dotknęła palcami mojego dzieła. Zapytała: „Wełna z angorą?“, a po chwili przysiadła, wyciągnęła własną robótkę i zaczęła ze mną rozmawiać. - Abigail wypuściła powietrze z płuc. - Była moją prawdziwą przyjaciółką.

- Często się spotykałyście?

Twarz Cade'a miała wyraz łagodniejszy niż kiedykolwiek przedtem. Abigail była gotowa iść o zakład, że mężczyzna nie zdaje sobie z tego sprawy.

- Codziennie. Wprowadziła mnie w świat drutów i wełny i podpowiedziała, że mogę sprzedawać własne wzory. To ona wzięła na siebie jednoosobową odpowiedzialność za to, że zostawiłam pracę biurową i zaczęłam się utrzymywać z pisania książek o robótkach. Miałam wtedy czas, by dzień w dzień, każdego popołudnia odwiedzać Elizę w jej mieszkaniu i opowiadać jej, nad czym aktualnie pracuję.

- To był chyba dom opieki, a nie mieszkanie?

- Oficjalnie tak. Eliza miała w nim jednak własny kąt. Była niezależna i bardzo mocno to podkreślała. - Abigail spojrzała na Cade'a. - A ja słuchałam jej uważnie i nazywałam to miejsce tak, jak ona sobie życzyła. Eliza nie miała całodobowej pielęgniarce. Po prostu obsługa od czasu do czasu sprawdzała, jak się czuje, czy wszystko w porządku i czy bierze leki.

- To mimo wszystko był dom opieki.

- Nic w tym guście. Wiedziałbyś, gdybyś ją choć raz odwiedził.

- Przecież mówiła, że wystarczy, jeśli to ona przyjedzie do mnie dwa razy w roku, odwiedzi i zobaczy dom.

- A ty uwierzyłeś?

Cade opuścił oczy na książkę i przez chwilę bawił się zagiętym rogiem strony.

- Nie przyszło mi do głowy, żeby nie wierzyć.

- Eliza mówiła mi, że nie zna nikogo bardziej zajętego od ciebie... Co było nawet zabawne, bo ja z kolei nie znałam nikogo bardziej zajętego od niej. Wstawała wcześnie rano, siadała przy kawie i robiła na drutach. Pisała listy. Robiła notatki do kolejnej książki, znów trochę pisała, a później wsiadała do swojego małego volkswagena i jechała na jogę albo do sklepu z przędzą.

- Ćwiczyła jogę?

- Pasjami. I mnie wyciągała na ćwiczenia.

- Nie do wiary.

- W pasmanterii zawsze ktoś ją rozpoznawał, a później zaczynało się wypytywanie. Choć Eliza nigdy nie czuła się dobrze wśród ludzi, którzy uważali ją za kogoś wyjątkowego, uwielbiali czy nawet otaczali czcią...

Cade zmarszczył brwi.

- Poważnie? Wiedziałem, że jej książki cieszą się powodzeniem, ale żeby aż do tego stopnia?

- W obecności Elizy niektóre panie nie potrafiły wydobyć z siebie głosu, jękały się, a słowa więzły im w gardłach. Widziałam kobietę, która wyszła na ulicę ze łzami w oczach, bo dostała autograf.

- Więc była w świecie dziergania i szydełkowania kimś w rodzaju gwiazdy rocka?

- Tak, była prawdziwą gwiazdą. W rzeczy samej.

- A ty byłaś jej fanką.

Abigail skinęła głową. Pracowała nad ścięciem, próbując nie patrzeć na Cade'a. Jego zasłuchana twarz hipnotyzowała. Miał wspaniałe, zielone oczy, w których jak iskry z krzesiwa mienił się odblask ognia w kominku. Spojrzała na robótkę. Coraz trudniej było się jej skupić na odejmowaniu oczek.

- Na początku rzeczywiście byłam jej fanką i nie odstępowałam jej na krok. Właśnie wtedy się zaprzyjaźniłyśmy.

- Chciałaś po niej dziedziczyć?

Te słowa były jak kończący walkę nokautujący cios. Abigail upuściła robótkę na kolana.

- Wygrałeś. Dzisiaj ty rządzisz w salonie. Próbowала, ale na tym koniec. Nie udało się.

- Przepraszam - pośpiesznie powiedział Cade. Abigail schowała motek i druty do płóciennego woreczka, który leżał tuż przy jej kolanach. Milczała przez chwilę.

- Kiedy umarła, przepłakałam dwa dni i dwie noce - powiedziała. - Nie potrafiłam wstać z łóżka. Byłam zwyczajnie chora. Nigdy nikogo nie kochałam bardziej niż jej. Oprócz własnej matki. I Eliza mnie kochała. Tyle wiem i nie obchodzi mnie, co ty o tym myślisz.

Wstał. Książka upadła na podłogę.

- Nie miałem zamiaru...

- Wiem, co zamierzałeś. Ale nie zmienię zdania. Dobranoc.

- Przestań.

- Przestań co? Masz, czego chciałeś. A teraz wybacz. Przesunął się w bok i zatarasował drzwi.

- Przepraszam, chcę przejść. Nie ruszał się z miejsca.

Ona chciała tylko wyjść z salonu. On chciał wyrzucić ją z domu.

Abigail uniosła głowę, by spojrzeć Cade'owi w oczy, i zobaczyła w nich pragnienie pocałunku.

Zakrawało to na szaleństwo, bo była na niego wściekła, lecz wiedziała, że jeśli ta chwila potrwa sekundę dłużej, ona ulegnie.

Wiedziała, że płoną jej policzki, a oczy palą niewypłakane łzy.

- Proszę, przepuść mnie... - Wypowiedziała te słowa na resztkach oddechu, tak cicho, że musiał się pochylić, aby je usłyszeć. A potem pochylił się jeszcze bardziej i złożył na ustach dziewczyny delikatny pocałunek.

- Przepraszam - wyszeptał tuż przy jej twarzy. - Nie chciałem tego powiedzieć.

Zrobił krok wstecz, a Abigail wiedziała, że nadszedł ten moment. Teraz Cade pozwoli jej przejść i nie wykorzysta sytuacji. Tak właśnie wyglądają jego przeprosiny. Nie ma szans, żeby usłyszeć od niego coś więcej.

Mimo to spojrzała na Cade'a i podeszła, zmniejszając dystans między nimi do kilku centymetrów, zamykając przestrzeń między ich ciałami, przyciągana jak magnesem.

Jego oczy były zieleńsze niż kiedykolwiek, nagle pełne ciepła. I czego jeszcze? Pożądania? Przyjaźni?

- Nie wiem, co się ze mną dzieje - powiedziała.

- Ani ja - odparł.

Położyła dłoń na jego piersi, wspięła się na palce i pocałowała go w usta. Teraz była jej kolej na delikatne muśnięcie.

- Dobranoc - szepnęła. Lecz zamiast zrobić krok do tyłu, pocałowała go jeszcze raz.

W tej samej chwili zdała sobie sprawę, że popełnia błąd. To, co zaczęło się basowym dudnieniem gdzieś w głębi jej ciała, dławiącym uczuciem gorąca, buchnęło niepoohamowanym płomieniem. Abigail wiedziała już, że nie ugasi tego ognia pojedynczym pocałunkiem...

Fizycznie odczuwała wzrastającą temperaturę ich ciał. Trzymała rękę na jego ramieniu, czując na dłoni i skórze falę gorąca, jakby nagle zaczęła się pocić. Walczyła o oddech, o zwykłe panowanie nad sobą. Czowała obejmujące ją ramię Cade'a, który wsunął rękę pod jej bluzkę, dotknął

pleców i tego niewielkiego zagłębienia między łopatkami, które zwilgotniało gwałtownie. Oddech miał urywany, podobnie jak ona. Usta obojga poruszały się, smakowały się nawzajem, języki mieszały się i dotykały... Kiedy Abigail odchyliła głowę, żeby na niego spojrzeć, zielone oczy pociemniały. Usta miał wilgotne i rozchylone.

- Nie chcesz, żebym tu mieszkała... Jęknął i przyciągnął ją do siebie.

- Nie, nie chcę. Chcę ciebie.

Pocałował ją ponownie i skierował jej dłoń ku przodowi swoich dzinsów, w miejsce gdzie materiał był napięty do granic wytrzymałości. Abigail wstrzymała oddech. Przepelniało ją dawno zapomniane pożądanie.

Cade zrobił kilka kroków naprzód, prowadząc ją jak w tańcu; jego usta nie opuszczały jej warg ani na chwilę. Ona również go pragnęła. To był wyłącznie seks, zestresowane ciało szukało ulgi. Mogło samo wybierać, gdzie i kiedy. I nic w tym złego.

Abigail zadrżała. Zamknęła oczy i zobaczyła Samuela. Przez chwilę poczuła jego zapach.

Nie.

Czuła, że jej łydka dotknęła brzegu sofy. Da radę.

Usiadła, a Cade przyklęknął. Nachyliła się nad nim, obie dłonie sięgnęły ku jego głowie, prowadząc go do następnego pocałunku. Mężczyzna całował każdy centymetr jej twarzy, policzki, brodę, i podążał dalej. Jego dłonie szukały skraju bluzki. Abigail wstrzymała oddech i poruszyła rękami, by go powstrzymać. Choć przez chwilę. Nie potrafiła. Lęk chwycił ją za gardło. Nagle usta Cade'a na jej ustach stały się zbyt szorstkie, zbyt brutalne. Zesztywniała pod ich dotykiem.

- Przestań.

Zareagował natychmiast.

- Co się stało?

- Nic. - Oddech Abigail wciąż był urywany. Nie wiedziała, czy to z powodu Cade'a, czy wspomnienia, które pojawiło się nagle i które próbowała zdławić.

- Coś się stało — powiedział.

- Właściwie...

- Za szybko?

Abigail roześmiała się, ale śmiech urwał się po sekundzie.

- Nie. Wcale nie chodzi o tempo.

Uniosła dłoń i przycisnęła do jego ust. Gdyby tylko potrafiła zwolnić bicie serca, choć na chwilę, żeby pomyśleć, zorientować się, kim naprawdę jest... Mroczne fale paniki nieustannie groziły, że wzbiorą, zaleją ją i oślepią. Byle tylko złapać oddech...

- Cała drzysz. - Cade, wciąż klęcząc u jej stóp, ujął dłoń Abigail i zatrzymał w swoich dłoniach. Były ciepłe, szerokie i solidne. Jak coś, czego można się chwycić. Złapała się ich kurczowo i nie miała zamiaru puszczać. Zamknęła oczy.

Pod powiekami ponownie zobaczyła Samuela. Aha. W takim razie nie będzie zamykać oczu! Uniosła powieki, lecz unikała spojrzenia Cade'a. Patrzyła ponad jego ramieniem, wprost w palenisko kominka, z którego wciąż strzelały pojedyncze iskry.

- Co się dzieje? - Cade dotknął jej twarzy.

- Przepraszam. Jest mi po prostu ciężko.

- Przeze mnie? Z powodu czegoś, co zrobiłem? Próbując zwalczyć piekące ciepło pod powiekami,

Abigail przecząco potrząsnęła głową. Nie będzie płakać.

- Nie przez ciebie.

- A przez kogo?

Mocniej ścisnęła jego dłonie.

- Skrzywdził cię?

O, Boże!

- Aż tak nie - odparła.

- Skurczysyn. - Cade wstał i usiadł obok. Objął ją, lecz w inny sposób niż jeszcze kilka chwil wcześniej. Ciasno i mocno. Nie oczekując niczego.

Odezwał się chwilę później, choć Abigail nie potrafiłaby powiedzieć po jak długim czasie.

- Chciałabyś mi o tym opowiedzieć? Próbowała się odezwać, ale słowa uwieźły jej w gardle. Spróbowała ponownie.

- To nie było nic wielkiego... - Odchrząknęła. - Nie wiem, czemu tak reaguję. To wariat, prawdziwy psychol. - Kilka razy mocno zacisnęła powieki. - On i te jego cholerne paśowe róże! Próbował... Ale mu nie pozwoliłam.

- I przypomniał ci o tym mój pocałunek?

- Nie całowałam się z nikim od czasu, gdy ten drań znikł z mojego życia.

- Nie ma się co przejmować. Głos Cade'a był cichy i spokojny.

Abigail wtuliła się głębiej w ramiona mężczyzny, a on objął ją jeszcze ciaśniej. Szeptał coś w jej włosy, ale nie zwracała uwagi na słowa. Z tonu zgadywała, co próbuje jej powiedzieć. To niby on, ten kowboj? Ten wariat? Facet, który chciał ją stąd wykurzyć?

To zupełnie ktoś inny. Abigail nigdy nie czuła się tak jak teraz. Pasowała do niego. Do jego siły. Odpreżała się, współgrała z nim, jak gdyby wtapiała się w jego ciało...

Ciche słowa jak lekki deszcz spadały na włosy Abigail, opływały jej policzki. Czowała, że wnikają w jej skórę i znajdują dla siebie właściwe miejsce. To, z którego istnienia ona sama nie zdawała sobie sprawy.

Burza za oknem zelżała, ulewa zamieniła się w kapuśniaczek.

Rozdział 18

Jeżeli potrafisz w coś uwierzyć, uwierz w to. Później nikt i tak nie zauważy twoich błędów.

E.C.

Strasznie boli go ramię. I plecy. I dlaczego właściwie leży na sofie?

Coś się pod nim poruszyło. Coś ciepłego i miękkiego, co kazało mu raptownie otworzyć oczy.

To nie był sen.

Pod nim leżała Abigail. Spała jak suseł, z głową odwróconą na bok, przyłożoną do dzierganej poduszki, z powiekami zaciśniętymi przed przezierającym przez okno porannym brzaskiem.

Bo właśnie wschodziło słońce.

Cade od lat nie obserwował wschodzącego słońca z pozycji horyzontalnej. Musi być dawno po szóstej.

Zamiast jednak wyrwać ramię, przetoczyć się na swoją stronę i zdjąć z dziewczyny ciężar swego ciała, postanowił jeszcze chwilę odczekać. Abigail była cudowna, nawet we śnie. Z potarganymi włosami i zatopionym w poduszkę nosem. Ten widok zapierał dech w piersiach.

Oczywiście, że zauważył już wcześniej jej urodę, ale nadal pozostawał pod jej urokiem. Cudowne ciało, które tak doskonale pasowało do jego ciała, jak gdyby ktoś ulepił oba z jednego kawałka gliny... Te biodra, które mieściły się w jego dłoniach, usta, które całowały, jak gdyby stworzono je wyłącznie do pocałunków. I te oczy.

Zapragnął, żeby Abigail uchyliła powieki. Zażęknął za widokiem jej źrenic. Wyteżył wolę, jak gdyby mógł sprowokować jej spojrzenie siłą umysłu.

Nic.

Potrząsnął ramieniem dziewczyny. Westchnęła.

Pocałował delikatnie, muskając ustami jej usta.

Otworzyła oczy. Ten delikatny błękit, kolor nieba...

Abigail wrzasnęła. Wyplątywała się spod niego, nie zauważając chyba, że w pośpiechu spycha Cade'a z kanapy.

- No nie! - krzyknął, lądując na podłodze.

- Co myśmy tutaj, do diabła, robili? I czy my...? Nie, wróć. Skąd ja się tu wzięłam? Nic nie pamiętam! - W głosie dziewczyny zabrzmiała nuta paniki.

- Popatrz na mnie - powiedział Cade, mając nadzieję na tamto spojrzenie. To z zeszłej nocy.

Nie popatrzyła w ten sposób. Rzuciła mu zaledwie spojrzenie z ukosa, a później odwróciła oczy do okna. Rozglądała się, unikając jego wzroku.

- Czy to trochę nie za późno na wstawanie, Cade?

- Nie obchodzi mnie to.

Dziwne, ale rzeczywiście nie obchodziło go to ani trochę.

Przyglądał się, jak dziewczyna walczy o odzyskanie godności.

- Może byś poszła na górę i przebrała się, a ja zrobię jakieś śniadanie...

- Dobrze. - Wypadła z salonu jak błyskawica.

Jajka, pomyślał. Na bekonie. A może tosty? Czy wystarczy czasu, żeby zrobić sos? W końcu trzeba będzie wyjść i oporządzić zwierzęta, ale po raz pierwszy, odkąd pamiętał, Cade stwierdził, że owce mogą poczekać. Podśpiewując pod nosem, ruszył do kuchni. Od czego ma Toma?

Robienie śniadania to nie najlepsza metoda na wykurzenie tej kobiety z domu.

Tyle Cade wiedział na pewno. Nadal jej tu nie chciał.

Ale może... Może istniała niewielka szansa, że jej obecność pod nosem, w tym małym domku, wcale nie byłaby taka najgorsza?

Ten facet... Ten dupek, który zrobił jej krzywdę. Cade poczuł pulsowanie krwi w szyi i skroniach. Tacy goście tylko szargają dobre imię męskiego rodu. Dzięki Bogu, że Abigail wyrwała się z tego związku czy jak go tam nazwać.

Kiedy Cade przygotowywał śniadanie, postukując naczyniami, cieszył się odgłosami rozbijanych skorupki i skwierczącego na żeliwnej patelni bekonu, było mu lekko na duszy. Zdziwiająco lekko. Rano nigdy nie był radosny jak skowronek, chyba że poprzedni wieczór kończył z kobietą. Ale tej nocy właściwie nic się nie stało. A już na pewno nie chciał, by wydarzyło się cokolwiek, ale kiedy Abigail się przestraszyła, wystarczyło ją po prostu objąć. Cóż, może nie było to zachowanie godne macho, ale lekkość trwała i nie zamierzała odpuścić.

Śniadanie było gotowe w mgnieniu oka. Cade nie słyszał już odgłosów spod prysznic. Nie słyszał w ogóle niczego. Po dwóch minutach jajka zrobiły się zimne. Zawołał ją po imieniu.

Żadnej reakcji. Stał u stóp schodów.

- Abigail? Nic.

Zaczynał się właśnie wspinać na górę, kiedy usłyszał jej głos.

-Już schodzę! - zawołała.

- Tylko się pośpiesz!

Abigail weszła do kuchni. Miała na sobie wykrojoną w serek czarną koszulkę, czarne spodnie i czarne buty na wysokim obcasie. Włosy uczesała w niski, gładki węzeł, opadający na nasadę szyi. Jej usta wyglądały jak użądłone przez pszczołę. Cade pomyślał, że tę zasługę może przypisać sobie.

- Dzień dobry, moja piękna. - Uśmiechnął się.

- Zapomnijmy o tym, co było wczoraj. To znaczy... - Przerwała. - Wiem, że nie będzie łatwo, ale lepiej, abyśmy nie poruszali tego tematu w rozmowie. Wiedz, proszę, że drugi raz się to nie powtórzy. Ja ze swojej strony... Bardzo przepraszam.

- Nie chcę twoich przeprosin - powiedział Cade, wykładając usmażone jajka na talerze. - Możesz je sobie schować. Chcę tylko, żebyś coś zjadła.

Uniosła dumnie głowę. Wyglądała jak dyrektorka banku. Prześliczna pani dyrektor.

- To kuszące, ale prawdę mówiąc, nie jestem głodna. Dzisiaj rano muszę pojechać do miasta.

- O, zaczynasz już mówić jak dziewczyna z prowincji. „Jadę do miasta”. Nie rób fochów, tylko jedz. - Postawił przed nią talerz.

Odepchnęła naczynie w jego kierunku. Cade delikatnie podsunął je znowu.

Tym razem zareagowała z większą siłą, niż się spodziewał, i wszystko poleciało z łoskotem pod stół. Talerz

rozbił się na setki kawałków, a jajka, bekon i tosty rozmazały się po podłodze.

- A niech to szlag! Nie chciałam... - powiedziała Abigail i przyklękła.

- Zaczekaj. - Przerwał. - Ostrożnie, nie zrób sobie krzywdy. Nie skalecz się.

- Nie skaleczę. Jestem przyzwyczajona. Ciągle coś tłukę. - Przykucnęła na piętach. - Przepraszam. Naprawdę nie chciałam.

Była tak zdenerwowana, że niemal promieniowała nieszczęściem, a Cade nie wiedział, jak sobie z tym poradzić. Nie znał jej i nie potrafił odgadnąć magicznych słów, które pozwoliłyby Abigail poczuć się lepiej.

- Nie obchodzi mnie ten talerz. Mam na górze w pudłach milion talerzy. Nie wiem, po co Elizie było aż tyle. A jedzenia też jest pod dostatkiem. No, przestań już.

- Chwycił dziewczynę delikatnie pod łokieć i poprowadził powoli w kierunku stołu. Podsunął jej krzesło. - Nie chcę, żebyś upaprała te eleganckie ciuchy jedzeniem. Posprzątam tu i jeszcze raz wezmę się za śniadanie.

- Dlaczego jesteś dla mnie taki dobry? Czy chodzi o wczorajszy wieczór? Wystarczy, że dziewczyna zachowa się żałośnie?

- Cóż... Powiedzmy, że ten wieczór nie był taki głupi.

- Cade uśmiechnął się półgębkiem, chcąc przejść w lżejsze rejestry, ale nie trafił. Abigail spuściła wzrok i popatrzyła na swoje dłonie.

- Nie gniewaj się. Mam po prostu dobry nastrój.

- Ale ja wciąż pozostaję u ciebie w domu, pod twoim dachem. A to cię irytuje.

Skinął głową.

- Tak, irytuje mnie. Bo to jest mój dom, bo mam wrażenie, że Eliza wpuściła mnie w maliny. A jednak...

- Postawił przed Abigail talerz z jajkami na bekonie.

- A jednak - podjął - ten akurat pomysł mojej ciotki okazał się udany. Umieściła tu wspaniałą kobietę, a mogło być znacznie gorzej.

Abigail aż się wzdrygnęła.

- Ubiegły wieczór był...

- Mówiłam już, że nie chcę o tym rozmawiać.

- W porządku. Jedz. I mów, o czym chcesz.

- Muszę... Powinnam była wcześniej poruszyć ten temat. Jadę do miasta, żeby zarejestrować działalność gospodarczą. - Abigail ugryzła kawałek bekonu.

- Nie wiem, jak jest w San Diego - powiedział Cade, nakładając sobie jajka na talerz. - Ale tutaj chyba nie potrzebujesz rejestrować działalności, jeżeli zamierzasz pisać książki. To znaczy, zapewne będziesz musiała to zgłosić w urzędzie skarbowym, ale przecież nie ma pośpiechu.

- Nie chodzi o pisanie książek. Pomyślałam, że sama ci powiem... Żebyś tego nie usłyszał z obcych ust.

W jej głosie wyraźnie pobrzmiwało zdenerwowanie. Czyżby lekko drżał?

- O co w takim razie?

- Chcę otworzyć własny biznes.

Cade spróbował przetrwać wiadomość.

- Biznes? Dla pisarzy? A co to takiego?

- Warsztaty. Kurs, na którym będę uczyć wszystkiego, co wiem o wełnie, przędzy, kołowrotkach, robieniu na drutach. Miejsce prowadzenia zajęć.

- Gdzie?

- W moim domu.

Cade podjął próbę przemyślenia tego, co usłyszał. Szybko przeanalizował słowa, ale nie potrafił uwierzyć we wnioski.

- Nie możesz. Nie na mojej ziemi.

- Z punktu widzenia prawa jest moja.
 - Nie masz drogi dojazdowej, a podjazd należy do mnie.
 - Mogę sama zrobić podjazd z tyłu, przez wybieg dla alpak, aż do szosy, jeśli będzie trzeba. Byłoby jednak miło, gdybyś mi pozwolił korzystać z tego, co już jest. Mogłabym ci płacić.
 - Nie masz planu zagospodarowania przestrzennego.
 - Cade oparł się o blat kuchenny i chwycił mocno dłońmi za jego krawędź. Zbielały mu kłyckie.
 - Ale jest nim objęta twoja ziemia, bo przecież twój sąsiad ma jakiś stragan z produktami rolnymi czy coś. To chyba nie problem? Cały obszar jest rozrysowany geodezyjnie.
 - Nie możesz.
 - Mogę. Wierz mi, to wcale nie będzie takie złe. - Głos Abigail nabrał teraz siły, a słowa tempa, które Cade już rozpoznawał. - Nie będzie ci przeszkadzało. Kobiety robiące na drutach są cudowne. Będą siedziały cichutko jak myszy pod miotłą. A obejrzenie hodowli owiec będzie dla nich przeżyciem. Żywej, funkcjonującej hodowli. Wszystkie to fanki twojej ciotki.
- Dziewczyna uniosła do ust kolejny kęs.
- Pyszne, naprawdę. To twoje własne? To znaczy: od twoich kur? Nie gniewaj się za ten strącony talerz.
 - Mówiła teraz zbyt szybko i nerwowo. Bo miała powód.
- O nie. On, Cade, za nic w świecie nie pozwoli na to, żeby na jego ziemi powstała szkółka dziergania i ręcznych robótek!
- Fanki Elizy to pasjonatki. Nie masz pojęcia - ciągnęła Abigail. - A wśród nich są również moje, chociaż trudno w to uwierzyć. Lubią moje książki. Będą przyjeżdżać, uczyć się i oglądać twoje owce.

- Nie. Nie będą!

- Może jednak dasz się przekonać? Bo wiesz, kiedy już zobaczą zwierzaki i poznają ich imiona, to każda z nich, zakręcona na punkcie swojego hobby, będzie chciała wełnę z tej, a nie innej owcy. I zapłaci każde pieniądze. Więc jeżeli na pastwisku zobaczą taką na przykład Różyczkę, będziesz im mógł sprzedawać różyczkowe runo po wspaniałej cenie!

- Czy ty mnie w ogóle słuchasz? Żadnych kursów. Żadnych Różyczek. Moje owce nie mają imion. Nie mają, na Boga!

- Więc pozwól mi je ponazywać! Zrobię to z przyjemnością!

- Żadnego sklepu. Żadnych lekcji.

- Ale to przecież moje marzenie! Wiem, że dla ciebie to jak grom z jasnego nieba, Cade, ale...

- A więc tak działasz? Teraz rozumiem. - Pokiwał głową.

- Co rozumiesz?

- Najpierw mnie całujesz, później postępujesz tak, by wzbudzić moje współczucie, więc całą noc spędzam z tobą ubrany. A ty od początku do końca wiesz, jak zachowasz się rano. I jeszcze wmawiasz mi, że to dlatego, żebym nie usłyszał tej nowiny od obcych! Wczoraj wieczorem po prostu mnie wykorzystałaś. Utorowałaś sobie drogę. A może nawet podjazd...

- To wcale nie tak! Nawet mi to przez myśl nie przeszło.

- Bystra z ciebie panienka, Abigail. Bystrzejsza, niż sądziłem. Myślałem, że jesteś lalunią z miasta, na tyle głupią i naiwną, by dać sobie wcisnąć dwie alpaki i psa pasterskiego i zamieszkać w starej ruderze na farmie, na jakimś zadupiu. - Cade kiwał głową, zrzucając resztki

jedzenia z talerza do kosza na śmieci. To nie miało sensu. Dławiła go wściekłość. Stracił apetyt. - Ale nie, ty sprowadzasz alpaki celowo, żeby urządzić hodowlę i żeby twoje kursantki mogły chodzić po farmie i gapić się na moje zwierzęta. I jeszcze zamierzasz sprzedawać im przędzę! Suczka collie też pasuje do obrazka. Chcesz tym babom wepchnąć cały pakiet! Urządzić tu pułapkę na turystki, które nie będą wiedziały, z której strony obrywają. Wydawało ci się zapewne, że mnie przeciągniesz na swoją stronę, tak? Że jeśli trochę popłaczesz, opowiesz mi jakąś smętną historię, nie zauważę, że powiesiłaś na bramie wjazdowej ogłoszenie i wybrukowałaś moje podwórko, żeby było łatwiej parkować samochody?

- Nie planowałam niczego podobnego! A wczoraj wieczorem to ty pierwszy mnie pocałowałeś! I w łazience też!

- To znaczy tylko tyle, że jesteś dobra w te klocki.

- Uważasz, że to ukartowałam?

- Oczywiście. Wpuściłaś mnie w maliny. Ale nic z tego, paniusiu.

Oczy Abigail nagle wypełniły się łzami. Wstała, poprawiła spodnie i obróciła się na pięcie. Na progu jeszcze się odwróciła.

- Eliza... Kiedy tu przyjeżdżała w odwiedziny... Te wszystkie torby i pudła...

Przerwała w pół słowa i otworzyła drzwi. Wyszła z opuszczoną głową. Tuż za nią wyszła Clara; pies również trzymał łeb nisko, jakby przeczuwając kłopoty.

Szlag by to trafił! Przyłapał ją. Była dobrą aktorką. Naprawdę dobrą. Cade'a zadziwiło, jak ta dziewczyna potrafi grać. I to, że tak łatwo dał się podejść. Zupełnie jak dziecko.

Doprowadził się do porządku, poszedł do stajni, omówił z Tomem prace do wykonania na dziś. Czuł się

tak, jakby oberwał prosto w splot słoneczny. Wziął się do swojej roboty, cały czas jednak czuł płomień wściekłości, który palił go coraz silniej. Gdzieś w głębi piersi potężniał gniew.

Im głębiej Cade osadzał w ziemi słupki ogrodzenia i energiczniej najeżdżał ciągnikiem na stertę plantowanej ziemi, tym ogarniała go większa gorączka. Pod zapachem własnego potu wciąż czuł delikatny, słodki aromat kobiety, który służył wyłącznie maskowaniu jej prawdziwej natury. Abigail manipulowała nim, pociągała za sznurki. A ten facet, ten, który niby ją skrzywdził... Czy istniał naprawdę? Cade nie zdziwiłby się, gdyby się okazało, że historia jest wymyślona. Żeby wzbudzić współczucie.

Dziewczyna, z którą wczoraj leżał na kanapie... Kim ona jest? Kim się dopiero stanie? Kompletnie nie miał pojęcia.

Poranna akcja Abigail tylko potwierdzała jego wiedzę na temat kobiet. Cade skrzywił się, wyciągając kolec z dłoni. Przy ładowaniu suchych gałęzi na samochód powinien włożyć rękawice, ale mu się nie chciało.

Kobiety. Wszystkie siebie warte.

Jak choćby jego matka. Zostawiła ojca, ale najpierw wycisnęła go jak cytrynę. Wspięła się po jego plecach, wyszła z rynsztoka, z jakiejś przyczepy kempingowej, w której mieszkała całe życie, i wprowadziła się do jego domu. Urodziła mu Cade'a, ale później zostawiła, zabierając wszystkie pieniądze i odzierając ojca z godności. Co kilka lat wracała jak zły szeląg, wprowadzała się cała we łzach i przepraszała. A on się w niej zakochiwał na nowo... Kłótnie zaczynały się później. Cade krył się przed nimi pod kołdrą, aż do dnia, kiedy dorósł na tyle, żeby uciec do Elizy. Za każdym razem, kiedy matka zniknęła, zabierała ze sobą kawałek ojca, aż w końcu nie było już

nic do wzięcia; w chwili śmierci z mężczyzny pozostała żalosna skorupa.

Niewiele brakowało, a Cade wyszedłby na takiego samego frajera!

Ta chwila, tamta noc, kiedy tonął w oczach Abigail jak w dwóch jeziorach, rozpływał się w jej duszy... Wszystko to gra pozorów. Dobrze odegrana rola.

Dał się nabrać.

Takiego błędu nie popełni już nigdy więcej.

Rozdział 19

Kiedy przyszywasz rękawy do przodu i pleców swetra, rób to w skupieniu. Zapomnij na moment o zabawie oczkami i ściegami, skoncentruj się na pojedynczym rządku. To ważne.

E.C.

Czarny, miejski samochód Janet, który zawsze kojarzył się Abigail z limuzyną, zatrzymał się z chrzęstem opon na żwirowym podejździe. Zanim Abigail zdążyła się do niego zbliżyć, Janet już wysiadła i stała, rozglądając się dokoła i zasłaniając dłonią usta.

Nachyliła się i zapytała teatralnym szeptem:

- Czy ja śnię?

- Nie. To wszystko prawda.

- A to jest ten dom? Twoje nowe miejsce na ziemi? Tu będziesz prowadzić sklep? U siebie?

- Teoretycznie tak. Chociaż, jak cię znam, i tak mi zaraz powiesz, czy ten dom się nadaje, czy nie.

Janet energicznie chwyciła przyjaciółkę za ramię.

Abigail zareagowała gwałtownie, przytulając się do niej tak mocno, że kobieta na chwilę straciła oddech.

- Coś nie tak, skarbie? - Cofnęła się o krok i spojrzała uważnie. - Coś nie tak? Wszystko z tobą w porządku w tej dziczy? Minęły dwa tygodnie od naszego obiadku, a ty się nie odzywałaś. Lada dzień pewnie zaczniesz robić zacier i pędzić księżycówkę, co? Wiedziałam, że tak się to skończy.

Abigail przecząco pokręciła głową.

- Stąd do twojego miasta jest tylko dwadzieścia minut.

- Ale to zaledwie prowincjonalna dziura, a nie metropolia.

- Metropolię zostawiłaś lata temu. Najwyższy czas się z tym pogodzić i przyzwyczaić do tego, co masz.

- Do miasteczka chyba przywykłam, ale do tego tutaj jeszcze nie. No ale teraz opowiadaj. I wszystko mi pokaż. Boże, ty masz psa?

Clara próbowała wskoczyć na Janet, ale ta wyćwiczonym ruchem zrobiła unik i uniknęła bliskiego kontaktu.

Włożyła dzisiaj przylegającą do wszystkich krągłości bluzkę w kolorze pomarańczy i fuksji, ze śmiałym dekoltem, ukazującą światu z najlepszej strony biust, za który Janet zapłaciła przed wielu laty. Stroju dopełniała opięta, brązowa spódnica z długim rozcięciem na udzie i sięgające do kolan kozaki na wysokim obcasie.

- Wszystkiego nie mogę ci pokazać. Wierz mi, na takich obcasach nie dasz rady chodzić po zagrodach. Ja ledwie utrzymuję równowagę w tenisówkach.

- Na wysokich obcasach potrafię chodzić wszędzie, moja droga. Prowadź.

- W takim razie najpierw do mnie. Tam jest w miarę bezpiecznie dla twoich nóg.

Idealnie zarysowane brwi Janet uniosły się lekko, ale nie padło ani jedno słowo. Gdy weszły po schodach

na ganek, kobieta wydała z siebie pełen zachwytu okrzyk. Abigail otworzyła drzwi.

- O! - powiedziała Janet. - Proszę, proszę!

- Mam tu jeszcze sporo pracy.

- Delikatnie mówiąc. To chyba niedopowiedzenie? Co to, u licha, jest?

Teraz Abigail radośniej opowiadała przyjaciółce o spadku po Elizie. Pokazywała jej częściowo poskładane kołowrotki, otwierała pudła z przędzą.

- Kołowrotki! - Gospodyni odsunęła na bok cztery pudła i zaprezentowała zmontowany już kołowrotek marki Lendrum. - Mnóstwo wszelkich typów kół, przędza w motkach i na szpulach, wszystko wspaniale przygotowane. I wełna. Całe kilogramy wełny od dostawcy z Maine. Barwniki, wszystkie naturalne. Chodź, zobacz! Mam tu nawet staromodną kasę. Gdzieś tutaj... Czy to nie fantastyczne?

Janet przechyliła głowę.

- To na pewno coś - powiedziała.

- Musisz przyznać, że to niezwykle, prawda? Nie dość, że Eliza podarowała mi dom, to postarała się spełnić moje marzenia!

- Czy naprawdę marzyłeś w dzieciństwie o sprzedawaniu przędzy przy wiejskiej drodze, dwadzieścia minut od przyzwoitej kawiarni?

- Kawę będę robiła sobie sama.

- A co na to wszystko kowboj?

Abigail spiekła raka. Wiedziała, że Janet nie umykają takie rzeczy, więc odwróciła się, żeby zamknąć pudło.

- Kowboj nie skacze z tego powodu pod niebo...

- Przywyknie?

- Będzie musiał. Nie ma wyboru. To moja ziemia, mój dom i moja własność. A jeżeli zostanę zmuszona, zbuduję

kawałek drogi dojazdowej. Od szosy, przez pastwisko, które również należy do mnie. Dzisiaj rano dostałam pozwolenie na działalność, zarejestrowałam się, więc wszystko jest legalne. Kiedy będę gotowa, mogę otwierać sklep.

Janet przyłożyła palec do policzka.

- To ty masz pastwisko? Kochanie, musisz mi je pokazać.

- Mam też alpaki.

Janet lekko opadła szczęką. Chyba na moment odebrało jej mowę.

Abigail, oprowadzając przyjaciółkę przez następne pół godziny po włościach, stwierdziła, że ta radzi sobie całkiem nieźle. Dawał sobie radę na szpilkach na podwórzu, zajrzała nawet do szopy, gdzie bardzo spodobały się jej alpaki, mimo że nie reagowały właściwie na gościa. Płoszyły się za każdym razem, kiedy Janet próbowała do nich podejść.

Tussah, samica, poruszała się wielkimi susami, ale pozwoliła właścicielce poklepać się po grzbiecie. Merino też nie wyglądał na specjalnie przerażonego. Abigail doszła do wniosku, że jej wizyty z paszą dwa razy dziennie zrobiły swoje.

Upewniła się, że w pobliżu nie widać półciężarówki Cade'a, i pokazała Janet duży dom. Przyjaciółce najbardziej spodobał się salon.

Oczywiście, pomyślała Abigail. Miejsce, do którego wcale nie chciała wchodzić. Ale Janet była zachwycona.

- Ta lampa! I te okna! I pianino. Cały pokój jak wymarzony. Wygląda jak scenografia z „Domku na prerii”!

- Przestań, proszę.

- Spójrz tylko na ten kominek! Trudno sobie wyobrazić coś bardziej romantycznego. Musisz tutaj, kochanie,

któregoś wieczoru sprowadzić tego Cade'a, nalać mu trochę whisky, czy co tam piją kowboje. Trochę się do niego powdzięczysz, puścisz jakiś wolny kawałek, no i wiesz... Cza, cza, cza... - Janet przerwała i rozejrzała się uważniej. - Mhm. Tam, na sofie.

Abigail wzniosła oczy ku niebu.

- Przestań. - Próbowала być nonszalancka.

- Słodziutka, ja się tylko z tobą przekomarzam.

- A nie chcesz przypadkiem zobaczyć stajni?

- Oczywiście, że chcę. Prowadź.

Wyszły na dwór. Abigail rozejrzała się ponownie, ale po starym pikapie Cade'a nie było śladu.

Dziewczyna zupełnie niedawno się przekonała, że pomieszczenia stajni mogą być cudownym miejscem, sprzyjającym cichej kontemplacji.

W zagrodach zawsze przebywało kilka owiec trzymanyh poza stadem. Mieszkały tutaj również dwa psy pasterskie, doszczętnie zdruzgotane faktem, że Clara nie ma pojęcia o zaganianiu, i cztery konie, na których Cade jeździł doglądać pasących się zwierząt. Trzymał wierzchowce na pastwisku, tuż za stajnią, albo w środku, w boksach.

Zanim tu przyjechała, Abigail nie miała pojęcia, jaką przyjemność może sprawiać odgłos parskających końskich oddechów. Żeby je usłyszeć, zakradała się pod drewniane wrota już kilka razy.

- Konie! Bosko! - powiedziała zachwycona Janet. Cóż, przynajmniej ona mnie rozumie...

- Popatrz tylko na te wielkie bestie! - ciągnęła. - Aleś ty przystojny! - zwróciła się do rumaka. - Jak malowanie. Wielkie, miękkie chrapy. Abigail, popatrz tylko w te przepastne oczy...

- Dziękuję. Uwielbiam komplementy od pięknych kobiet.

„Kobiety” obróciły się na pięcie i zobaczyły stojącego za nimi mężczyznę. Ramiona miał skrzyżowane na piersi. Jego twarz zdobił uśmiech, a głowę kowbojski kapelusz.

- O, ten też boski! - powiedziała zachwycona Janet.

- Jestem Abigail. A ty to pewnie Tom. Cade opowiadał mi o tobie. - Abigail wyciągnęła rękę na powitanie. Dłoń Toma była wielka jak bochen, szorstka i twarda.

- Widziałem cię kiedyś z daleka, przy domu. Chciałem się przedstawić, ale jakoś nie wyszło. Mamy ostatnio z Cade'em dużo roboty.

Zanim Abigail zdążyła otworzyć usta, Janet postąpiła krok naprzód.

- Jestem Janet - powiedziała, trzepocząc powiekami. Abigail patrzyła zdumiona. Nigdy w życiu nie widziała takiego pokazu wdzięku.

Tom też chyba był pod wrażeniem. Rzęsy poruszały się jak skrzydła motyla.

- J... jestem Tom - wydusił w końcu. Odchrząknął. - Czy ty i Abigail jesteście siostrami?

- Ależ on słodziutki! Nie, przyjaciółkami. Pracuję w modzie. Import. Tom wyglądał na zdezorientowanego.

- Luksusowa przędza, mój drogi. Stąd znam naszą Abigail. I ponoć ponoszę odpowiedzialność za napisanie przez nią pierwszej książki. A ty... Ty też mi wyglądasz na kogoś, kto nosi w sobie powieść. Kto wie, może ta historia lada chwila ujrzy światło dzienne?

Tom uśmiechnął się szeroko i wcisnął dłonie w kieszenie.

- Myślałem o tym ostatnio dość sporo. I może rzeczywiście przyjdzie taki dzień, w którym coś

napiszę. Może powieść o Dzikim Zachodzie? Jak Louis UAmour*.

- Pokaż mi swoje konie, to może wymyślimy coś wspólnie.

Tom uśmiechnął się jeszcze szerzej. Ruszyli z Janet w kierunku pozostałych boksów.

- Ja w takim razie będę u siebie! - zawołała za nimi Abigail. - Wezmę się za sprzątanie!

Żadne nawet się nie odwróciło.

- Dam sobie radę! Nie przejmujcie się mną zanadto! Janet tylko uniosła dłoń.

Godzinę później skórę Abigail pokrywała warstwa kurzu, lepkiego brudu i potu. Pudła zostały przesunięte na jedną stronę salonu. Dziewczyna wyciągnęła z nich to, co będzie przechowywane w magazynie zapasów, a na pozostałych wypisała flamastrem zawartość. Chciała wynieść wszystkie graty z holu i z kuchni. Odwalała brudną robotę, planując jednocześnie, jak będzie wyglądała jej sypialnia (albo gabinet) na górze. Pod kopułą.

O Cadzie udawało się jej niemal nie myśleć.

Podjęła decyzję, że poświęci stojące na górze małżeńskie łóżce na rzecz mniejszego. Wygrała koncepcja zwiększenia powierzchni biurka, które zostanie ustawione na wprost jednego z wielu okien otaczających wielościennie pomieszczenie ze wszystkich stron. Abigail postanowiła, że ściany pod kopułą pomaluje na żółto i zawiesi w pokoju kraciaste, czerwone zasłony. Czerwień, kolor równie radosny jak krajobraz za oknami, pomoże rankiem utrzymać półmrok.

Może zza biurka będzie widywać Cade'a?

*** Louis UAmour - amerykański pisarz, autor ponad 80 powieści o Dzikim Zachodzie (przyp. tłum.).**

Przypadkowo, naturalnie. Nie miała zamiaru się za nim rozglądać.

Na parterze Abigail postanowiła urządzić warsztaty dziewiarskie, nie była jednak pewna, jak one właściwie mają wyglądać. Jak magazyn? A może sklep? Jak klasa? Chciała mieć pod ręką ograniczoną ilość towaru na sprzedaż: koła do kołowrotek, olej, części zamienne, takie jak pasy napędowe i szpule. Oczami wyobraźni widziała już w pomieszczeniu kosze z drewnianymi szpulami i morkami, w których klientki będą mogły przebierać do woli. Luźne kawałki przędzy, wyciągane, zwijane w kłębki i przynoszone na wagę, która stanie na biurku z ciemnego drewna... Biurka Abigail także jeszcze nie posiadała, ale potrafiła je sobie wyobrazić.

Prawdę mówiąc, chciała urządzić coś więcej niż sklep. Chciała uczynić swój dom miejscem, w którym mogłyby się gromadzić robiące na drutach kobiety i dziewczyny, dziergające swetry i w pięknych okolicznościach przyrody przędące wełnę. Na pewno chciała mieć kanapy. I stoły ze stosami książek. I filizanki, i kolorowe ściany. Mnóstwo światła i kwiatów. Pragnęła zrobić z tego miejsca coś szczególnego.

Tak, zamieni sypialnię na dole w małą klasę. Nie będzie tworzyła wielkich grup, góra siedmio-, może ośmioosobowe. Miejsca było dość. Wstawi stół i wygodne krzesła. Wczoraj podczas sprzątania odkryła zdziwiona, za starymi, ciężkimi draperiami, drzwi balkonowe otwierające się na małe taras, z którego widać było pastwisko dla alpaka. Te drzwi i trzy okna wpuszczały do pokoju dość światła, by dało się przy nim prząść nawet z najcieńszej i najdelikatniejszej wełny.

Abigail zastanawiała się, czy Cade kiedykolwiek oglądał tę czynność. Czy Eliza uprzedła przy nim cokolwiek?

Nie, chyba jednak nie. Eliza nie miała zwyczaju obdarowywać kogoś, kto nie docenia prezentu. Nie zrobiłaby czapki ani skarpetek z ręcznie przędzianej na kołowrotku wełny, a już tym bardziej swetra, dla osobnika, który bezmyślnie wrzuciłby go do pralki.

A jednak ciotka kochała Cade'a. Być może nawet kupiła włóczkę w sklepie i zrobiła mu sweter czy dwa... Kiedy mówiła o swoim bratanku, spojrzenie Elizy jaśniało, a jej twarz promieniała. Tak, na pewno była z niego dumna, z jego dokonań, z tego, co zrobił z tą ziemią i jak żył. Szczyciła się, że Cade bardziej przypomina ojca niż matkę, z której było - sądząc z opowieści - niezłe ziółko.

Co Eliza powiedziała na to, co teraz się dzieje w jej domu?

- Gdzie jesteś? - szeptała Abigail, wędrując po pokojach między stosami tekturowych pudeł. - Wciąż się tutaj błąkasz?

Zdecydowanym ruchem otworzyła przeszkłone drzwi i wyszła na mały taras. Aż podskoczyła, gdy usłyszała od strony drzwi frontowych głos Janet.

- Tu jestem! - zawołała. - Wejdz przez sypialnię.

Wkrótce na drewnianym tarasie pojawiła się jej przyjaciółka, za którą krok w krok podążał Tom. Wyglądał na nieco zdezorientowanego. Jakby właśnie oberwał po głowie czymś ciężkim.

Albo raczej jak oczarowany. Nie spuszczał z Janet oka.

- Abigail, jedziemy na obiad. Chcieliśmy ci tylko powiedzieć, na wypadek gdybyś mnie szukała albo gdyby Cade szukał Toma.

Abigail odnotowała, że zaproszenie nie dotyczy jej osoby.

- Będziemy kontynuować rozmowę o literaturze - dorzucił mężczyzna.

Janet posłała przyjaciółce porozumiewawczy pół-uśmiezek i po chwili zniknęła wraz z Tomem za balkonowymi drzwiami. Bez śladu.

Oto nagroda za pokazanie stajni, pomyślała Abigail. Lepiej pójde sprawdzić, jak się mają zwierzęta.

To zawsze poprawiało jej humor.

Rozdział 20

Okazuje się, że lepiej, kiedy palce są w ruchu i zawsze dziergają kolejny ścieg. Dzięki robótce nie pakujesz się w tarapaty.

E.C.

Abigail zawołała Clare, a sunia wyłoniła się zza stosu pudeł. Wyglądało, jakby przeżuwała jakąś gąbkę. Cudownie. Tylko tego brakuje, żeby pies się gdzieś porzygał!

Wyszły obie na pastwisko i zrobiły rundkę dokoła. Wcześniej Abigail zostawiła drzwi do szopy otwarte, tak by alpaki mogły swobodnie wyjść na pole, popaść się, napić wody i zaznać odrobiny wolności. Była święcie przekonana, że tak właśnie ma być.

Kiedy teraz weszła do stajni, Tussah uniosła łeb, rzuciła nim i zrobiła parę kroków do tyłu. Pozwoliła jednak do siebie podejść. Nie płoszyła się jak poprzedniego dnia.

- Kochane zwierzątko. - Abigail rozejrzała się dokoła. - A gdzie Merino? Pewnie w szopie, co? Ucina sobie drzemkę?

W środku było ciemno i trzeba było wysilić wzrok. Abigail zajrzała we wszystkie kąty. W świetle zwisającej

z sufitu gołej żarówki spenetrowała każdy zakamarek. Drugiej alpaki nie było. - Tussah, gdzie Merino?

No tak, pytanie alpaki o drugą alpaka to nadzwyczaj rozsądne zachowanie! Clara, już po drugiej stronie ogrodzenia, przechyliła łeb i przyjrzała się uważnie swej pani.

I właśnie wtedy Abigail zauważyła ziejącą w ogrodzeniu wyrwę. Cholera! Wielka, wyglądająca na zrobioną przecinakiem do drutu. Dziewczyna nie była pewna, czy to nowe uszkodzenie, czy po prostu nie zauważyła go wcześniej. Ale przecież Cade wszystko sprawdzał! Czyżby przeoczył? A może nic nie powiedział specjalnie? Bo zapewne niewiele by go obeszło, gdyby Abigail straciła alpaki.

Nie wiedziała, co robić. Kiedyś ginęły z jej domu koty, ale poza przeszukaniem podwórka i nawoływaniem zwierzaka po imieniu niewiele można było zrobić. Gdy była dzieckiem, uciekł jej pies. Stało się to tuż po śmierci matki, więc Abigail miała podwójnie złamane serce. Gdyby mama żyła, na pewno odnalazłyby zgubę; matki bywają w takich razach niezastąpione. Dziewczyna przypomniała sobie wściekłość na ojca, że ten nie potrafi znaleźć psiaka...

To wspaniale, że Clara trzyma się tak blisko i nie odstępuje jej na krok, chyba że akurat przeżuwa coś, czego nie powinna. Na przykład gąbkę.

Co teraz? Co zrobić z całkiem rzeczywistym problemem? Jak szukać alpaki? Czy od razu wsiąść do samochodu, czy może rozejrzeć się za śladami?

No tak. Czy nie tak właśnie postępuje się na farmie? Nie szuka się tropów? Abigail nie miała pojęcia, za czym się rozglądać, ale sądziła, że odciski kopyt nie powinny być trudne do znalezienia.

Przebiegła obok Tussah, która wyglądała na zdziwioną obrotem sprawy, i znalazła się w miejscu, w którym ktoś zrobił wyrwę w ogrodzeniu. Owszem, znalazła ślady. Wyraźne i trudne do przeoczenia. Wąskie, owalne pieczętki, odcisnięte po obu stronach płotu. Abigail pożałowała, że Tom pojechał z Janet i nie może uczestniczyć w poszukiwaniach.

Trudno i darmo, stwierdziła, ruszając w górę zbocza po ścieżce. Tom na pewno opowiedziałby tę historię Cade'owi, który miałby z niej niezły ubaw. Usiedliby sobie jeden obok drugiego, zadowoleni z siebie faceci, i rzeliby ze śmiechu. Pluliby na ziemię z werandy.

Nie. Zrobi to sama.

Dzień był wspaniały, rześki i mglisty, a ziemia lekko wilgotna. I dzięki Bogu. Nietrudno będzie wytropić Merina.

A może ona, Abigail, okaże się po prostu dobrym tropicielem? Mimo że pochodzi z miasta i nie jest wiejskim dziewczyskiem? Ślady nietrudno przecież odczytać. Merino najwyraźniej wyznaczył sobie cel i szedł, nie zbaczając, w jednym kierunku; klarowne odciski kopyt prowadziły naprzód, ku kępie dębów. Ale kiedy Abigail znalazła się między drzewami, tropienie zrobiło się jakby trudniejsze. Mimo to dziewczyny nie opuszczało przekonanie, że sobie poradzi. Za każdym razem, gdy znajdowała miejsce, w którym zostały poruszone liście, była z siebie coraz bardziej dumna. Przecież to oznaczało, że właśnie tędy podążała jej alpaka.

Zeschnięte dębowe liście szeleściły pod jej stopami. Abigail, oglądając się za siebie, stwierdzała z dumą, że rozpoznaje również swoje własne ślady. Człowiek dużo potrafi, jeśli tylko się skupi...

Podniosła wzrok, żeby się zorientować w terenie. Nie była pewna, czy wciąż jeszcze przebywa na ziemi Cade'a,

ale przypuszczała, że tak. Jak dotąd nie musiała pokonywać żadnego ogrodzenia.

Ślady prowadziły teraz nieco bardziej w lewo i w dół zbocza. Dziewczyna pośliznęła się na mokrych liściach i omal nie upadła.

Ostrożnie. To nie miejsce na salta.

Trop zrobił się niewyraźny. Abigail bardzo się starała, przez długie minuty próbując rozróżnić ślady Merina od innych, zostawionych przez zwierzęta, o których nie miała pojęcia. Pozostawała nadzieja, że nie przez te, które na kolację lubią jadać alpaki... Czy w tych lasach żyją rysie?, pomyślała.

I wtedy zupełnie zgubiła trop. Ślad urywał się nagle na stwardniałej ziemi. A podściółka z liści zrobiła się zbyt gruba, żeby cokolwiek z niej odczytać.

Abigail westchnęła głęboko i odgarnęła włosy z czoła. Pewnie i tak przez ostatnie pół kilometra szła za jakimś jeleniem...

Teraz trzeba się zorientować, jak wrócić do domu. Postąpiła chwilę w miejscu, a później ruszyła pod górę. Tak. Stąd, skąd przyszła.

Czy aby na pewno widziała po drodze pniak ze śladami czerwonej farby? Był, czy go nie było?

Bo właściwie po co ktoś miałby oznaczyć pniak czerwoną farbą? Abigail raz jeszcze okręciła się dokoła własnej osi i spojrzała do tyłu.

Nie poznawała już niczego. To śmieszne! Zebrała się i poszła dalej. Stawiała krok za krokiem, nie zatrzymując się, przelażąc przez pnie zwalonych drzew i modląc się w duchu, żeby nie trafić na rosnące tu trujące dęby*. Nie

*** Łac. *Toxicodendron diversilobum* - trująca roślina rosnąca na Zachodnim Wybrzeżu Stanów Zjednoczonych (przyp. tłum.).**

dostrzegała wokół siebie niczego, co przypominałoby jej drogę w tę stronę. Bo i jakim cudem? Drzewa są wszędzie takie same. Kiedy tropiła Merina, nie zwracała uwagi na roślinność. Wzrok miała przyklejony do ziemi, oczy skupione na śladach.

Może, jeżeli zdoła wejść wyżej, zobaczy coś z góry i dzięki temu zorientuje się w okolicy? Przedtem przez dłuższy czas schodziła w dół zbocza, więc jeśli wdrapie się teraz wystarczająco wysoko, ujrzy dom albo farmę. Albo cokolwiek.

Zdyszana, z obolałymi i poobcieranymi stopami, Abigail wspinała się uparcie. Kiedy jednak znalazła się na szczycie, okazało się, że widok przesłaniają drzewa.

Nic z tego. Dziewczyna nie miała zielonego pojęcia, gdzie się znajduje. Wiedziała, że od północy ziemia Cade'a graniczy z parkiem narodowym, który ciągnie się kilometrami i w którym z łatwością można zabłądzić.

No dobrze. Przecież to nie prawdziwy las, tylko pozarastane dębami i eukaliptusami pagórki. Sekwoje! Abigail przypomniała sobie, że po którejś ze stron farmy Cade'a jest niewielki sekwojowy zagajnik. Gdyby dała radę wspiąć się dostatecznie wysoko, może by go zauważyła. Na przykład z któregoś z tych dębów. Jeden z nich miał szeroko rozrośnięte konary i wyglądał jak drzewo, na które Abigail uwielbiała się wspinać jako dziecko. Oczywiście, było to wieki temu, ale takich rzeczy się nie zapomina. Jak jazdy na rowerze.

A na rowerze też nie jeździła od lat. Abigail zdjęła buty, bo zawsze lepiej jej się wdrapywało na drzewa z gołymi nogami, i ruszyła w górę.

Najtrudniej było na samym początku. Musiała podskoczyć i chwycić za najniższą gałąź, a później rozkołysać się tak, by dosięść grubego konaru jak końskiego grzbietu.

Później z minuty na minutę szło łatwiej, jak gdyby jej ciało przypominało sobie, co należy robić. Jak pochylić się ku następnej gałęzi, jak zaufać, że utrzyma jej ciężar... Wspięcie się na sam szczyt zajęło Abigail zaledwie chwilę. Blisko wierzchołka pomyślała jeszcze, że stamtąd będzie najlepszy widok.

W dole, tam gdzie kręgi w powietrzu zataczało stado wron, zobaczyła sekwoje.

Dzięki Bogu! Teraz przynajmniej wiadomo, którądy wracać. Z westchnieniem ulgi Abigail zaczęła schodzić.

I wtedy się pośliznęła.

Stopa zjechała nagle wraz z oderwanym płatem kory, a dziewczyna nie utrzymała równowagi. Kurczowo chwyciła się gałęzi i zawisała na samych rękach, czując pod stopami pustkę. Teraz nie mogła się puścić. Niecały metr niżej sterczał kolejny konar, ale jeśli Abigail nań spadnie, złamie się na pewno. Miękka ściółka znajdowała się dobre trzy metry w dole... Próba wymachu w górę i dosięgnięcia stopą gałęzi okazała się fatalna w skutkach. Konar pękł i spadł na ziemię.

Abigail nadal więc zwisała z drzewa na samych rękach, ze świadomością, że w końcu będzie musiała się puścić i skoczyć. Trzeba to zrobić tak, żeby nie uderzyć w gałąź pode mną, pomyślała. Serce biło jej jak szalone, w ruch wprzegła cały strach. Rozkołysała się ze wszystkich sił, jak kiedyś na lekcjach gimnastyki, gdy ćwiczyła na drążkach. Kiedy jej stopy wychyliły się dostatecznie daleko, z krzykiem puściła konar.

Ułamek sekundy później poczuła ulgę, bo udało jej się ominąć ten poniżej, i niemal w tym samym momencie uderzyła o ziemię. Abigail zamortyzowała upadek ugięciem kolan, przetoczyła się przez ramię i turlała dalej, aż do zatrzymania. Cała była poobijana. Leżała na plecach

i wpatrywała się w błękit prześwitującego między liśćmi dębu nieba.

Oceniała szkody. Nie skrzyła karku i to była dobra wiadomość. Wyglądało, że kręgosłup jest nienaruszony. Dłonie miała wprawdzie poobcierane od kurczowego trzymania się gałęzi, ale bez trudu poruszała palcami.

Lewa stopa i kostka... Części ciała, o których na razie wołała nie myśleć.

Abigail poruszyła palcami i syknęła z bólu. Przynajmniej to potrafiła zrobić. Jednak nie była w stanie ruszyć stopą. Powoli usiadła i pomacała staw skokowy. Nie wyglądał na skrzycony pod dziwnym kątem, więc dziewczyna kontynuowała badanie, dotykając kości śródstopia. Z bólu zatrzymała powietrze w płucach. Boli, ale to pewnie zwykłe zwichnięcie.

Znajdowała się cholernie daleko od domu. Spróbowała wstać, opierając ciężar ciała na prawej nodze i oszczędzając lewą. Zrobiła krok do przodu, delikatnie testując stan bolącej kostki, i niemal się rozplakała, czując nagły przyływ ostrego bólu. Szok po upadku powoli mijał, staw skokowy zaczynał pulsować. Spokojnie, dam sobie radę. Jestem silna. Jestem twarda. Przecież nieraz bywało gorzej. Abigail zrobiła parę kroków. Nie, takiego cierpienia nie doświadczyła jeszcze nigdy. Usiadła na chwilę i poczuła, że ostry ból przechodzi w tępe pulsowanie. Wstała ponownie.

Nie ma cudów, to się nie uda.

Dobrze, że Janet jest z Tomem. To wszystko uprości. Abigail wyjęła z kieszeni telefon komórkowy. Cztery kreski, nawet tutaj. Dzięki Bogu za zasięg!

- Mój skarbie. - Janet odebrała po pierwszym sygnale. - Nie gniewaj się, że jeszcze nas nie ma. Chcesz, żebyśmy ci coś przywieźli na obiad?

- Potrzebuję pomocy. Skręciłam sobie nogę. Na wzgórzu, gdzieś nad farmą. Ktoś musi po mnie przyjechać. Może Tom dałby radę? Sama już nie wiem, ale ktoś powinien mnie stąd zabrać. - Dziewczyna z trudem powstrzymywała się od płaczu. Za wszelką cenę. W telefonie usłyszała jakiś szum i trzaski, a po chwili głos Toma.

- Jesteś ranna? - Brzmiał metalicznie. - Co się stało? Mam wzywać pogotowie?

- Nie, to chyba tylko mocne zwichnięcie. Ale nie mogę chodzić.

- Na pewno? Możemy posłać po ciebie helikopter.

- Co takiego? Helikopter? To nie ma sensu. Po prostu przyjeźdź i zabierz mnie stąd.

- A gdzie dokładnie jesteś?

- Hm. Gdzieś powyżej farmy.

- To znaczy?

- Wlazłam na drzewo, bo się zgubiłam w lesie. Mogę ci powiedzieć tylko tyle, że jeżeli otworzysz drzwi od kuchni i pójdziesz prosto w górę, znajdziesz mnie na pewno.

- Zero szczegółów?

- Jestem na szczycie jakiegoś wzgórza. Rośnie tu mnóstwo dębów. I mniej eukaliptusów niż gdzie indziej.

- W porządku. Ja jestem zbyt daleko, ale zadzwonię i wyślę do ciebie Cade'a.

-Nie!

- Nie przejmuj się. On cię znajdzie.

Tom się rozłączył i w słuchawce zapanowała głucha cisza. Gdyby teraz Abigail odkryła sposób na to, żeby wstać i pokuśtykać przed siebie albo ruszyć naprzód kangurzymi susami, nie wahałaby się ani sekundy! Jednak każde poruszenie stopą, nawet najdelikatniejsze, wywoływało słabość, a ból promieniował przez całe ciało aż do głowy.

Komórka odezwała się dwie minuty później. Abigail nie rozpoznała numeru, ale i tak wiedziała, kto dzwoni.

- Nie, nie wiem, gdzie jestem.

- To brzmi głupawo. A jak ci się udało tam dostać?

- Wrodzony talent.

- Pomóż mi choć trochę, kobieto.

- Wyjdź z domu przez drzwi kuchenne i idź w kierunku wzgórz. A potem prosto.

- Jak to: prosto? Na północ? Na północny wschód? Na północny zachód?

- Zaczekaj, zerknę na kompas. Ale to chwilę potrwa, bo muszę go sobie zrobić z liści i żołądzi.

- Dobrze, cwaniaro. Tom mówił, że jesteś na szczycie jakiegoś wzniesienia.

-Tak.

- Czy dokoła są wzgórza wyższe niż to, na którym stoisz?

- Tak. Tyle że teraz stoję pod drzewami i nic nie widzę.

- Przypomnij sobie, co widziałaś, kiedy wlałaś na to drzewo. Coś szczególnego.

- Drzewa. Wokół są same drzewa. Aha, po drodze tutaj przechodziłam obok pomalowanego na czerwono pniaka. Więc chyba nie przepadłam zupełnie?

- Wiesz co, trudno z tobą wytrzymać. O pniaku teraz nie myśl. Widziałaś wieżę radiostacji? Stację przekaźnikową telefonii komórkowej? Widziałaś sekwoje?

Abigail milczała przez chwilę, próbując sobie coś przypomnieć.

- Widziałam sekwoje przy domu. A po lewej było ich chyba jeszcze więcej. Bardzo wysokie. Mniej więcej pół kilometra stąd. Po prawej, mniej więcej między farmą a dolinką pomiędzy wzgórzami, tam gdzie prześwituje

ocean, rzeczywiście widziałam metalową wieżę. Nie wiem tylko czy to radiostacja, czy wieża operatora komórek.

- Wysoka i trójkątna? -Tak.

- Już po ciebie jadę. Nie ruszaj się stamtąd. Abigail nie mogła zrobić wiele więcej, więc tylko

przemieściła się, szorując tyłkiem po ziemi, aż do feralnego drzewa i oparła się plecami o pień. Wywaliła język na cały świat i natychmiast poczuła się głupio. Dobrze, że nikt jej nie widzi. Chyba teraz już można się rozplakać? Tak króciutko... Pozwoliła, by z jej oczu wypłynęły łzy, nabrzmiałe i gorące. To nie powinno było się zdarzyć! Przecież wyszła po to, by poszukać zbłąkanej alpaki. A wspięcie się na drzewo w poszukiwaniu drogi powrotnej to przecież całkiem niezły pomysł! Zejście okazało się trudniejsze, fakt, ale ono nie należało do planu, który wcześniej wyraźnie rozrysowała w swojej głowie...

Chociaż Abigail miała wrażenie, że minęły wieki, po niecałej godzinie usłyszała w oddali nawoływanie.

- Tu jestem! - wrzasnęła co sił w płucach. - Tu jestem! Głos Cade'a zbliżał się z każdą chwilą.

Nagła ulga sprawiła, że Abigail zakręciło się w głowie. Jest ocalona! Za nic w świecie nie chciałyby się znaleźć teraz gdzie indziej. „Gdzie indziej” oznaczało, że nie dokładnie tutaj, w tym miejscu, gdzie uratuje ją kowboj, który jej zasadniczo nie znosi... Dziewczyna nadstawiła uszu, pewna, że za chwilę dobiegnie ją odgłos silnika półciągarówki, zamiast tego usłyszała jednak warkot awionetki. Wysoko ponad swoją głowę.

I zaraz potem trzask miażdżonej gałązki i rozgniatanego suchego liścia. Odgłosy były coraz bliżej.

- Tu jestem! Tutaj! - wydarła się ponownie.

Ale przecież nie... A może jednak? Tak, właśnie tak.

Szeleszcząco-trzaskające dźwięki zbliżały się z każdą chwilą. Dobiegały zza pleców Abigail. Dziewczyna odwróciła się i zobaczyła dwie postacie. Cade'a i jego wierzchowca.

Przybył jej na ratunek na końskim grzbiecie! Cóż za ironia losu! Mężczyzna najwyraźniej myślał tak samo, co potwierdzała jego kwaśna mina.

- Dzięki, że wpadłeś.

- Nie mam już dzisiaj nic do roboty. Nie licząc zaganiania stada owiec w pojedynkę, bo mój pomocnik postanowił pójść na obiad. - Cade podjechał i stanął tuż obok. - Co mu się raczej nie zdarza.

W pierwszej chwili Abigail przestraszyła się górującego nad nią wielkiego zwierzęcia, chociaż wiedziała, że lęk jest irracjonalny.

- Ten koń... On mnie nie strąca, prawda?

Miała ochotę usunąć nogi spod końskich kopyt, ale każdy ruch sprawiał jej ból. Abigail cierpiała nawet wtedy, gdy nie próbowała kuśtykać. Cade tylko wzniosł oczy ku niebu, zeskoczył z siodła i wylądował niemal u jej stóp.

- Dasz radę go dosiąść?

- Oczywiście.

- Jeździłaś już konno, prawda?

- Chyba żartujesz? -Nie.

- Nie jeździłam. - Poddawa się niechętnie. - Ale to chyba nietrudne?

- W takim razie będę musiał jechać razem z tobą...

- W jednym siodle? Nie bardzo mi się to uśmiecha.

- Przecież sama nie umiesz.

- Jakoś dam radę.

- Nie będę ryzykował zdrowia jednego z moich najlepszych koni tylko dlatego, że nie umiesz właściwie ocenić sytuacji. Potrafisz wstać? Skręciłaś sobie nogę, czy może coś jeszcze cię boli, a Tom nic mi nie powiedział?

- Tylko nogę. W kostce. Potrafię sama wstać.

Skąd ta idiotyczna potrzeba, żeby zrobić na nim wrażenie?

Abigail wstała szybko i zdecydowanie, przytrzymując się pnia drzewa za plecami i opierając całym ciężarem ciała na zdrowej nodze. Napięła mięśnie uda i stanęła prosto. Jak na razie w porządku. I wtedy lewa stopa zahaczyła o ziemię. Dziewczyna poczuła, że blednie, że krew odpływa jej z twarzy. Straciła energię. Wzięła krótki oddech i zdławiła ból.

Cade natychmiast objął ją ramionami i podtrzymał, żeby nie upadła.

- Nic mi nie jest. - Odkaszlnęła. - Nie potrzebuję pomocy.

Bez słowa wzmocnił uchwyt, przekładając sobie jej ramię przez kark.

- Będzie dobrze, jeśli tylko damy radę wsadzić cię na tego cholernego konia. A teraz przestań gadać i rób, co mówię.

Abigail już otwierała usta, żeby się odciąć, ale zdała sobie sprawę, że Cade ma rację. W życiu nie wlezie na tę bestię bez jego pomocy i pozostanie na tym wzgórzu na zawsze.

- A teraz spróbuj przekicać na tę stronę.

Cade przytrzymał dziewczynę jednym ramieniem. Drugim uspokajał konia.

- Nie mam pojęcia, jak wejść na to zwierzę - przyznała.

- Wrzucę cię na siodło.

- Co takiego?

Dłonie Cade'a spoczęły powyżej bioder Abigail, uniosły ją i przekreśliły w powietrzu, tak że zdrowa noga poszybowała ponad końskim grzbietem. Pod koniec ruchu mężczyzna chwycił tę skreconą w kolanie i zaasekurował. Później przesunął dłoń na łydkę, którą przytulił do końskiego boku.

Abigail gwałtownie wstrzymała oddech.

- Wiem, że boli, ale inaczej się nie dało. -Aha.

W zasadzie Abigail powinna mu podziękować, ale z bólu nie mogła wydusić słowa.

- Będzie ciężko, ale tylko przez chwilę, dopóki stąd nie wyjedziemy. Pochyl się, jeżeli możesz, i przytrzymaj czegoś.

Czego niby? Chwycić za wodze? Abigail nie rozumiała, jak działają. Czy pociągnięcie z jednej strony oznacza, że koń ma jechać, a z drugiej, że stanąć? A może przytrzymać się grzywy? Nie, na pewno nie. Postępowali tak wprawdzie oglądani w kinie jeźdźcy na oklep, ale obecna sytuacja w niczym nie przypominała filmowego seansu. Koń był jak potężna, ciepła skała, na której siedziała okrakiem, wczepiona palcami w skórę na szyi zwierzęcia, podczas gdy Cade sadowił się w siodle. Za nią.

Uderzona czymś w stopę, Abigail ponownie syknęła z bólu. To chyba kowbojski but Cade'a? Przed oczami dziewczyny zawirowały gwiazdy i w tej samej chwili poczuła męskie ramiona zaciskające się lekko wokół jej pasa.

- Przepraszam, naprawdę nie chciałem cię urazić. A teraz posłuchaj. Trzymaj nogi przed strzemionami, a ja się postaram, żeby nami za bardzo nie trzęsło. To nie będzie droga gładka jak stół.

- Nie wsadzisz mi kołka w zęby? Albo kuli? Żebym mogła coś zagryźć? - zapytała Abigail zduszonym głosem.

Mężczyzna zaśmiał się, a ona poczuła ten śmiech w głębi swojej piersi. Nie, był to raczej odgłos przypominający warknięcie. Jakby zaskoczony niespodzianą wesołością Cade usiłował stłumić jej objawy. Po chwili odchrząknął.

- A co ty w ogóle robiłaś na tych wzgórzach? Spacerowałaś?

- Właśnie. - Abigail odwróciła głowę, żeby odpowiedzieć, ale on nie przestawał mówić. Prosto do jej ucha.

- A zabrałaś poradnik, jak się zachować w dziczy? Następnym razem weź ze sobą mapę, dobrze? Strasznie trudno było cię znaleźć. Godzinę włączyłem się po tym lesie i nawoływałem. Jeździłem od grani do grani, zanim znalazłem właściwą.

- Szukałam tego głupiego Merina.

- Co takiego?

- Samca alpaki. Uciekł.

- Mort mówił, że ma do tego talent.

- Alpaki ponoć nie uciekają.

- W takim razie Merino jest wyjątkiem. Ale skąd się wzięłaś aż tutaj?

- Szłam po jego śladach.

Abigail czekała na kolejny wybuch śmiechu. I po raz kolejny się nie rozczarowała.

- Tropiłaś alpake? Tutaj? Moja panno, nawet ja miałbym z tym trudności, a tropię zwierzęta od dziecka. Alpaki są za lekkie. Prawie nic nie ważą. A zeschnięte liście dębu porusza każdy powiew wiatru. Może gdyby w błocie... Nie wierzę, że doszłaś za Merinem aż tutaj. I trudno mi uwierzyć, że on tutaj dotarł.

- Wydawało mi się, że idzie mi całkiem dobrze. Naprawdę.

- Pewnie. Myśl tak dalej.

Wyjechali pomiędzy drzew i ruszyli zboczem wzgórza. Daleko w dole Abigail zobaczyła dom, stajnię, swoją chatkę, a jeszcze dalej - pobłyskujący ocean.

- Jaki piękny widok! - powiedziała.

- Nie ma piękniejszego na całym świecie - usłyszała uśmiech rozjaśniający głos Cade'a.

Abigail, starając się trzymać obolałą kostkę jak najdalej od kowbojskiego buta, przesunęła biodra do tyłu i dotknęła Cade'a pupą. Właśnie zaczął coś mówić, ale przerwał w pół słowa.

- Co jest? - zapytała. - Nic.

I nagle, całkiem jasno, Abigail zrozumiała, na czym polega problem. Poczula z tyłu za sobą coś, co nie było wyłącznie gładzią dzinsów. Coś twardego i napiętego. Zaszło jej w ustach.

To się może przytrafić każdemu, pomyślała. Każdemu, kto siedzi w ten sposób na koniu, kołysze się z boku na bok, gdy ciało ociera się o ciało... To całkiem naturalne.

Ale i jej ciało... A przecież nie była mężczyzną.

Może dałoby się zrzucić winę za tę reakcję na konia? Na siodło? Abigail aż do dzisiaj nie wiedziała, co to znaczy siedzieć okrakiem na poruszającym się przedmiocie. Ale dokładnie wiedziała, dlaczego jej ciało zaczyna płonąć, dlaczego w żyłach tak mocno pulsuje krew. Te ogarniające ją ramiona, ten męski tors tuż za jej plecami, jego usta i głos tuż za jej uchem...

Próbowała przesunąć się nieco do przodu, by uniknąć bezpośredniej bliskości, ale kopnęła nogą w złym

kierunku i skrzywiła się z bólu. Cade instynktownie wychwycił ten ruch i przesunął swą dłoń ku talii dziewczyny.

Pociągnął ją zdecydowanie do tyłu. Do siebie.

- Trzeba cię unieruchomić, bo w przeciwnym razie później będzie bolało jeszcze bardziej - powiedział tak blisko płatka jej ucha, że Abigail poczuła ciarki na grzbiecie.

Zaczerwieniła się ze wstydu. Reakcje jej ciała wywoływała bliskość mężczyzny. Abigail pożałowała, że nie może się odsunąć, ale jednocześnie całą sobą pragnęła pozostać na miejscu. Ręka Cade'a nie opuszczała zagłębienia jej kibici, a jego dłoń wspierała się na jej biodrze. Przesunął ją leciutko ku górze, tak że opuszki palców delikatnie drażniły skórę na żebrach. Przez buźkę.

Czy on to robi celowo?

Nie było już bolącej kostki. Oprócz obecności Cade'a tuż za plecami Abigail nie było niczego.

Mężczyzna wyciągnął bluzkę z jej dzinsów i dotknął skóry tuż powyżej biodra.

- Nie przeszkadza ci to chyba? - mruknął pytająco. - Będziesz lepiej usadowiona. Przecież nie chcemy, żeby coś ci się stało, prawda?

Dziewczyna z niedowierzaniem pokręciła głową. Czy jego usta dotknęły jej policzka? Odwróciła głowę.

- Dobry pomysł - powiedziała.

Co jest? Czyżby przeszła mu poranna nienawiść?

Abigail oparła głowę na ramieniu Cade'a i przymknęła powieki. Nie chciało jej się o tym myśleć.

Jego dłoń delikatnie muskała jej skórę. Palce przesuwwały się po wrażliwych krągłościach ciała, wędrowały do przodu, dochodząc do pępka, a później znów wracały na biodro. Uwrażliwiły ją do granic. Nie czuła łaskotek, lecz dreszcze.

Opuszki bawiły się, rysując delikatnie okręgi na boku Abigail, to zbliżając się, to oddalając od jej piersi, a ona mocniej wparła się w Cade'a. Męska dłoń powędrowała wyżej, uniosła stanik i delikatnie przesunęła się po szczycie piersi.

Dotykała skóry, ścisnęła delikatnie i tarła sutek. Podniecona dziewczyna miała wrażenie, że czuje dotyk palców nie na biuście, lecz w swym wnętrzu. Powieki miała mocno zaciśnięte, a oddech tak samo nierówny jak oddech Cade'a na płatku jej ucha.

- Cholera!

Cade znienacka wyrwał dłoń spod jej bluzki, wyprostował się w siodle i chwycił za wodze obiema rękami; chcąc nie chcąc, Abigail zrobiła to samo. Otworzyła oczy i zorientowała się, zaskoczona i rozczarowana zarazem, że nagle znaleźli się przed samą stajnią. Z półciężarówki Cade'a wysiadali właśnie Tom i Janet.

- O, wrócił syn marnotrawny - powiedział Cade, podprowadzając konia do pikapa. Mówił głośno, by Tom go usłyszał.

- Co, nie mam nawet prawa do przerwy na obiad? Nie pozwala mi się na posiłek regeneracyjny? Muszę zawiadomić związku zawodowe.

Janet zaśmiała się głośno i dźwięcznie śmiechem, który rozświetlił oczy Toma. Wzięło go na dobre. Oto wpływ Janet na mężczyznę, pomyślała Abigail.

Po chwili jednak radość na twarzy przyjaciółki zastąpił niepokój.

- Jak się czujesz, złotko? Mów. Spadłeś z drzewa?

- Musimy cię zawieźć do lekarza - wtrącił Tom.

- Nie. Nic mi nie jest.

Obecni jak na komendę pokręcili głowami.

- Wiesz co? - zapytała Janet. - Wszyscy z tobą pojedziemy. Ruszamy! Ale przygoda! Oczywiście, dla ciebie

to piekielne przeżycie, ale dla nas... Uczcijmy fakt, że zostaliśmy bohaterami, którzy uratowali cię z opresji! A Cade nawet bohaterem dnia. Nie! - Poprawiła się. - Bohaterem roku! No, ściągnijże ją z tego konia, kowboju, żebym mogła twój szlachetny postępek wynagrodzić pocałunkiem.

Cade przytrzymał Abigail obiema rękami, a ona na próżno próbowała zapomnieć, gdzie jeszcze przed chwilą błędziła jego dłoń. Nie było to łatwe, bo wciąż czuła palący dotyk jego palców na skórze. A zwłaszcza na piersi.

Dziewczyna wzięła głęboki oddech i zebrała całą siłę woli, by się nie zarumienić. Co z tego, jeśli jej twarz i tak była czerwona jak burak. Może obecni zrzucą to na karb urazu? Już ona im to zasugeruje...

Cade bez wysiłku zeskoczył z siodła, niemal nie dotykając Abigail. Później, stojąc już pewnie na ziemi, uniósł ramiona i poinstruował Abigail, jak ma się zsunąć z konia wprost w jego objęcia.

- Przytrzymam ci stopę i nogę. Zaufaj mi.

I chociaż stał przed nią ten sam facet, który dzisiejszego ranka powiedział, że z jego zaufania nici, Abigail postanowiła zdać się na niego mimo wszystko. Przesunęła się i opadając na bok, uniosła zdrową nogę i płynnie przeniosła ją nad końskim grzbietem. Wylądowała prosto w ramionach Cade'a, który w ostatniej chwili okręcił się tak, żeby boląca stopa nie dotknęła ziemi.

Mimo to paroksyzm bólu sprawił, że Abigail puściła szpetną wiązanę. U Toma wywołała ona uniesienie brwi, a u Janet napad urywanego śmiechu.

- Klniesz jak woźnica - powiedziała przyjaciółka. - No, a teraz ładujemy ją do samochodu - zakomenderowała. - Pojedziemy moim, bo inaczej musiałybyś

podróżować na pace. Na tej wsi nie ma najwyraźniej porządnych aut, tylko same wynalazki!

Cade zaczął przekonywać Janet, że wystarczy, jeśli sam zabierze Abigail w szoferce, ale kobieta przerwała mu w pół słowa.

- My też jedziemy. Ją będą prześwietlać, a ty będziesz potrzebował towarzystwa.

Mężczyzna bez słowa pokręcił głową i oparł Abigail o drzwi półciężarówki Toma. Jakby była snopkiem zboża.

- Cade, chyba powinniśmy pojechać. To niezły pomysł. A co, jeśli trzeba będzie jej pomóc? Albo poczuje się samotna?

Cade spojrział na przyjaciela z niedowierzaniem.

- Tom, pamiętasz, jak ci wycinali ślepą kiszkę? Najpierw zrobiłeś sobie zastrzyk z końskiej penicyliny w udo

1 przez cały tydzień nie pozwalałeś się zabrać do szpitala. Niedużo brakowało. Dwanaście godzin po operacji byłeś już z powrotem w domu, a dzień później chodziłeś przy stadzie. Ty nie jeździsz po szpitalach.

Janet była pod wrażeniem.

- Tylko dlatego, że jestem uparty jak osioł, ale to wcale nie znaczy, że Abigail jest taka sama. A może wyciągnąłem z tej historii jakieś wnioski? Zawsze lepiej zgłosić się do lekarza wcześniej niż później. Tak czy nie?

-Nie wiem, co zrobiłaś z Tomem, ale proszę, zwróć mi go w takim stanie, w jakim go dostałaś - powiedział Cade do Janet.

Ta tylko strzeliła palcami.

- Posadźcie naszą dziewczynkę w moim samochodzie. Auto jest za domem.

Cade westchnął ciężko.

- Czy wszyscy zawsze robią to, co ona zechce?

- Wszyscy - odparła Abigail. - Zawsze.

- Boże jedyny. Trzymaj się. Zarzucił ją sobie na ramiona.
- Jestem za ciężka!
- Balot siana waży więcej.
- Na pewno?
- Po piętnastu latach przrzucania mogę z całą odpowiedzialnością stwierdzić, że tak. I przestań kopać, bo zrobisz sobie krzywdę.

Abigail odprężyła się i pozwoliła się nieść.

To dziwne, ale czuła się całkiem miło. I bezpiecznie. Kostka wprawdzie bolała jak nie wiadomo co, ale cała reszta była w jak najlepszym porządku.

Rozdział 21

Magia robienia na drutach polega na tym, że niekiedy niemal niewidoczne czynności dodają się i sumują, tworząc coś dotykającego, pożytecznego i pięknego.

E.C.

Cade nie przekraczał progu szpitala od dnia, w którym Tom poprosił, aby zabrać go do domu po operacji usunięcia wyrostka. Drogę do lecznicy znał jednak doskonale. Jechał teraz za samochodem Janet, psiocząc i marudząc Tomowi przez całą drogę.

Janet jechała szybciej niż karetka pogotowia wioząca pacjenta z zawałem. Z piskiem opon zatrzymała się na parkingu przed izbą przyjęć i rzuciła biegiem przez otwarte drzwi.

- Szybka jest na tych obcasach. - Tom nie krył podziwu.

Po chwili obok wybiegającej ze szpitala na parking Janet pojawiła się zaniepokojona pielęgniarka, rzuciła okiem na Abigail, pokręciła głową i weszła z powrotem.

- Widzisz? To tylko skrzyżowanie. Nie wiem, po co przyjechaliśmy tu wszyscy - skomentował Cade.

Zanim wysiadł z półciężarówki, Tom spojrzał na niego wymownie. Pochylił się do przodu i ściszył ukaefkę odbierającą rozmowy dyspozytora z wozami patrolowymi policji, przez którą Cade słuchał doniesień o pożarach lasu.

- Ja wiem, dlaczego tu jestem. I założę się, że ty też. Kiedy znaleźli się już wewnątrz budynku, personel

szpitalny zareagował z zadziwiającą werwą. Abigail została natychmiast przewieziona do rentgena.

- Chyba zostaliśmy tu sami, panowie. - Janet wyglądała na zadowoloną z obrotu sprawy, a przynajmniej takie sprawiała wrażenie. Po chwili Cade zorientował się, że Tom ma podobny wyraz twarzy.

- Czy mi się tylko wydaje, czy jestem piątym kołem u wozu?

- Musisz mnie teraz zabawiać rozmową - odparła Janet. Poklepała dłonią siedzenie krzesła stojącego w poczekalni na wprost niej. - A teraz mi wszystko opowiedz, kowboju. Tom mówił, że jesteś fantastycznym szefem. A moja kumpela, że świetnie całujesz.

Cade niemal się potknął o wykładzinę.

- Abigail?

Tom prychnął przez nos, a później roześmiał się głośno, unikając spojrzenia Cade'a.

- Dusty Diego. Chyba ją znasz?

- Imię jak pseudonim sceniczny striptizerki - skomentował Tom.

- Bardzo mi pomogłeś - odpalił Cade. - Stokrotne dzięki.

Ale odetchnął z ulgą. Może jednak Janet nie wie wszystkiego.

Kobieta uniosła brwi.

- Nie pamiętasz jej?

- Oczywiście, że pamiętam. Chodziliśmy ze sobą przez jakiś czas.

- Chodziliście ze sobą dwa miesiące. Uważasz, że to krótko?

- Jak na niego to całe wieki - wtrącił Tom.

Janet podwinęła pod siebie stopę w bucie na wysokim obcasie.

- Ja cię nie atakuję - powiedziała do Cade'a. - Próbuję ci tylko powiedzieć, że wiem o twoich dawnych podbojach.

- Zupełnie się nie znamy. To po pierwsze. Po drugie, nie wiem, skąd mogłabyś wiedzieć o mnie cokolwiek. I zupełnie mnie to nie obchodzi.

- Wiem, że czasem chadzasz w czwartki na drinka do Larry's Grill i że poznajesz tam kobiety. I umawiasz się z nimi. One się w tobie nie zakochają, a ty je rzucasz.

- To nic o mnie nie wiesz.

- Ja cię nie oceniam, uwierz. Ale teraz, kiedy tak sobie tutaj siedzimy i nie mamy dokąd pójść, możemy porozmawiać i poznać się lepiej.

Kim jest ta kobieta? I dlaczego on musi wysłuchiwać tych bzdur?

- Tom, idę po coś do picia.

Nawet nie spojrzał na Janet. Wstał, obrócił się na pięcie i odszedł na sztywnych nogach.

- Dla mnie czarna, złociutki - zawołała. - I kostka cukru. Najlepiej trzciniowego, jeżeli mają.

Prędzej go szlag trafi, zanim jej coś przyniesie! Cade czuł, że w jego żyłach gotuje się krew.

Poszedł do szpitalnego bufetu, zamówił sobie (i tylko sobie!) kawę i zaczął się przechadzać po korytarzach. Nie śpieszyło mu się z powrotem do Janet i Toma. Wcale mu się nie śpieszyło. Za którymś rogiem niemal wpadł

na siedzącą na wózku przy drzwiach do rentgena Abigail. Z sufitu było ostre światło jarzeniówek. Dziewczyna miała na sobie cienką, szpitalną koszulkę. Robiła na drutach coś czerwonego. Czyżby Janet przywiozła tu jej robótkę? A może to jakaś magia? Może podobnie jak Eliza, Abigail też zawsze nosiła przy sobie druty i motek włóczki? Uniosła w górę druty i pomachała nimi wesoło.

- Robótka jest dobra na wszystko - powiedziała i odłożyła ją na kolana. Pośpiesznie przeczesła dłonią włosy. - Cześć - powiedziała ciszej, z wzrokiem wbitym w podłogę.

- Jak się czujesz?

- Już po zdjęciu. Czekam na wynik.

- I każą ci tu tkwić? Na korytarzu?

- Wszystko mi jedno.

Nawet w tej szpitalnej koszulinie była pociągająca. Cade tu i teraz miał ochotę wyciągnąć do niej dłoń.

Tyle że ona próbuje właśnie zorganizować warsztaty dziergania swetrów, napomniał się po raz setny. Na jego posesji, która już nie była całkiem jego. W domu, który już nie był jego własnością.

Abigail popatrzyła na Cade'a swoimi ogromnymi, niebieskimi oczami, a mężczyzna przez chwilę o wszystkim zapomniał. Potrafił tylko myśleć o kształcie jej ust i o tym, jak są miękkie przy pocałunku.

Dosyć tego. Znaleźli się tutaj dlatego, że skreśliła nogę. Miała wypadek na jego ziemi. A on jest, tylko i wyłącznie, zaniepokojonym właścicielem farmy, który próbuje uniknąć procesu.

Proces. To by dopiero było coś! Być pozwanym przez kogoś zamieszkującego pod tym samym dachem!

Trzeba się jej pozbyć. Wyprowadzić ją z domu. I to jak najszybciej.

- Wyglądasz już znacznie lepiej. I nie jesteś taka szara na twarzy.

- Zapewne przedstawiałam sobą wspaniały widok... - Znów przeczesła dłonią włosy. Czy to jakiś tik?

Na pewno nie boi się o swój wygląd, jest na to zbyt ładna. Cade był pewien, że mówiono jej to już miliony razy, powtarzały jej to setki mężczyzn. Była tego świadoma. Niewiele myśląc, otworzył usta.

- Wyglądasz oszałamiająco - palnął. Popatrzyła na niego i uniosła brew.

- Wiesz, że wcale nie musiałeś?

Nie musiał, nie chciał rozwijać tematu, nie miał pojęcia, dlaczego wyrwał się nagle z komplementem. Uroda Abigail oszałamiała go wprawdzie, ale powinien pozostać przy milczącej konstatacji tego faktu.

Dziewczyna zwilżyła językiem usta, a jemu od razu skoczyło ciśnienie.

No tak. Być może jego jedyną szansą jest zniknięcie z pola jej oddziaływania?

A może nie? Może ponowne zamknięcie jej w ramionach, takiej miękkiej i chętniej, przyciśniętej ciężarem jego ciała, poruszającej się razem z nim w jednym rytmie, reagującej na wszystko, co robi...

Jeszcze chwila, a Cade'owi wyrwałby się głośny jęk.

- Wszystko w porządku? - zainteresowała się Abigail. - Jak najbardziej. Posłuchaj, czy ty musisz tu siedzieć?

A może chciałabyś się przenieść do poczekalni? Do Toma i Janet?

Skinęła głową.

- To mnie weź.

I natychmiast spiekła raka.

Gdyby nie gwałtowna chęć rozważania przypadkowej propozycji, Cade zapewne by się roześmiał.

Gdy przywiózł im Abigail, Janet i Tom wyglądali na zadowolonych, chociaż przez chwilę Cade miał wrażenie, że para zapomniała, gdzie i po co się znajduje. Oboje popatrzyli zaskoczeni.

-1 co powiedział doktor, kochanie?

- Jeszcze nic, bo czeka na opis zdjęcia. - Abigail machnęła dłonią, jakby chciała ich odpędzić. - Właściwie nie wiem, po co tu wszyscy tkwicie. Może byście już sobie poszli? Na zakupy? Albo do pracy? Na Boga! To tylko skręcona kostka.

Janet pokręciła głową.

- Nie mam zamiaru słuchać tego dłużej, moja droga

- stwierdziła. - Rozsiądź się na tym krzeselku i wyglądaj pięknie. A ja tymczasem dokończę rozmowę z Cade'em.

- Poczekaj. Jedną chwilę. - Mężczyzna wcale nie miał ochoty na przesłuchanie. - Kim ty właściwie jesteś? Nawet nie wiem, skąd znasz Abigail.

- Aha! Nie przedstawiłam się? Pracuję w branży tekstylnej. Jestem najlepszą przyjaciółką Abigail i poniekąd jej menedżerką. A wiem, kim ty jesteś, bo...

- Mało mnie to obchodzi - przerwał. Kompletnie go nie obchodziło, jak kobieta przyjmie tę impertynencję.

- Jesteś jej szefową?

- Nie, tak mi się tylko powiedziało. Mam skłonność do rozstawiania ludzi po kątach.

- Przyznaję, jestem w szoku.

- Czy istnieje jakiś szczególny powód, dla którego mnie nie lubisz, Cade? A może po prostu nie lubisz, jak nabieram wiatru w żagle? Ewentualnie podstaw w to miejsce jakieś powiedzonko rodem z owczej farmy. Ja używam właśnie tego, bo się wychowałam na wodzie. Chyba powinniśmy porozmawiać. Inaczej staniemy się wrogami.

Cade ponownie poczuł, że rośnie mu ciśnienie, ale tym razem z innego powodu niż na korytarzu przed rentgenem. Co Abigail widzi w tej kobiecie?

I co widzi w niej Tom? Facet robi do niej maślane oczy. Cade miał ochotę kopnąć go w tyłek.

Janet podjęła temat.

- Kochany. Ja nie jestem złą kobietą. - Zaśmiała się i pomachała do Toma. - Może jestem niegrzeczną dziewczynką, ale nie o to teraz chodzi. Zaczęliśmy tę rozmowę od niewłaściwych akcentów. Mam wrażenie, że wsadzam nos w nie swoje sprawy. Niestety, taka już jestem.

- Ona już taka jest - potwierdziła Abigail.

- Mój ósmy cud świata, moja ulubiona pisarka, moja przyjaciółka... Sprowadziła się tutaj z daleka i zamieszkała tuż za miedzą. Co lepszego mogło mnie spotkać? Nie znam cię, Cade, zbyt dobrze, a to, co o tobie słyszałam, brzmiało dość osobliwie. Abigail dość miała kłopotów przez mężczyzn, zwłaszcza ostatnio, więc to chyba naturalne, że próbuję się czegoś o tobie dowiedzieć. Muszę się upewnić, że nie jesteś seryjnym mordercą.

- Dobrze. - Zrezygnowany Cade opadł na metalowe krzeselko. - Strzelaj.

- Masz dzieci? Aż się zadławił.

- Nie mam.

- Byłeś żonaty?

- Nigdy nie byłem nawet bliski ożenku.

- Dlaczego?

- Tak jakoś wyszło.

- A byłeś kiedyś zakochany?

- Oczywiście.

Ciekawe, kiedy ta baba się odczepi?

- Kiedy? I w kim?

- Czuję się jak na randce. Kto stawia kolację?
- Złociutki, nie martw się. Ja płacę. Ale powiesz mi to, co chcę wiedzieć, dobrze? Więc kiedy byłeś zakochany?
- Nie pamiętam.
- Wiedziałaś! Nigdy!
- Żywię wobec kobiet ciepłe uczucia.
- Mówiły ci, że cię kochają?
- Tak, wysoki sędzie.
- A co odpowiadałeś?
- Mówiłem: „Dziękuję”.
- Nigdy nie odpowiadałeś podobnym wyznaniem?
- Nie lubię kłamać.
- A chciałbyś się zakochać? - A ty?
- Oczywiście. Pasjami uwielbiam ten stan. W zakochiwaniu się jestem wprost fantastyczna. - Janet zatrzepotała rękami w kierunku rozmówcy.
- Tracisz czas. Poślij to w drugą stronę. - Cade gestem głowy wskazał na Toma.
- A ta cała historia? Z tym, że Abigail mieszka w twoim domu? Jak się z tym czujesz?
- Janet! - przerwała jej Abigail.
- Jesteś agentką rządową? A może psychoterapeutką? - zapytał Cade. Nie pozwoli, by ta kobieta przeczołgiwała go dłużej. Chociaż na swój sposób była interesująca...
- Nie masz nic przeciwko temu, że ona mieszka pod twoim dachem? A może po prostu jesteś wygodny?
- Co chcesz przez to powiedzieć?
- Że kiedy się płaczesz wieczorami po tym swoim domiszczu, nie czujesz się samotny.
- Bardzo lubię przebywać sam pod własnym dachem. Janet westchnęła.

- Na pewno się nie oszukujesz? A może jednak? Tak troszkę?

Cade pokręcił głową, czując, że na jego wargi wypływa delikatny uśmiezek. Nie miał odwagi spojrzeć na Abigail.

- Chyba nie. Lubię być sam. Lubię dla siebie gotować. Lubię chodzić po domu nago, kiedy mam na to ochotę.

- Posłuchaj, słodziutki. Jestem pewna, że Abigail nie byłaby obrażona, gdybyś i dla niej ugotował coś od czasu do czasu. Może jest nawet jakaś szansa, że by się nie obraziła, gdybyś chodził po domu na golasa.

- Hola! - Nie wytrzymała Abigail.

- Widzisz? - zapytał Cade. - A jednak miałyby coś przeciwko temu.

Co Abigail naopowiadała tej kobiecie? Czy Janet wie o tamtej nocy na sofie?

I o tym, jak wywaliło mu bezpieczniki, kiedy się zorientował, że Abigail od początku może wpuszczać go w maliny?

Założyłyby się, że wypaplała jej wszystko.

Cade wypił łyk kawy i wyprostował plecy.

- Jak długo trzeba czekać na wyniki rentgena? Janet nie zwróciła na to uwagi. Pytała dalej.

- A co z małym domkiem? Nie wygląda na często odwiedzane miejsce. Nie masz chyba nic przeciwko temu, że Abigail dostała go w spadku?

- Mam. Tylko nie wiem dlaczego. Zdziwiła go własna szczerłość.

- A czego tu można nie wiedzieć? Po prostu skręca cię z zazdrości, że nie dostałeś wszystkiego. W twoim przypadku chyba właśnie o to chodzi.

- Janet nie zostawiła mu czasu na odpowiedź. - Ale ja na twoim miejscu, gdybym mieszkała sama w tej starej stodole i zobaczyła

na swoim podjeździe taką ślicznotkę jak ta, która tu siedzi, zaczęłabym się zastanawiać, czy nie urodziłam się pod szczęśliwą gwiazdą. A może to wszystko sprawka naszej Elizy, która kochała Abigail bezgranicznie?

- Nie mieszkam w stodole. I naszej co...? To ty znałaś Elizę?

- Była jednym z moich najulubieńszych mieszkańców tej planety.

- No, oczywiście! - westchnął Cade. - Powinienem był się poddać od razu.

Janet podskoczyła na krześle, jak owładnięta nową myślą. Odwróciła się do Abigail.

- A wiesz, że ona właśnie tutaj zaprojektowała nordic curtsey? Może i ty byś zaprojektowała współczesną interpretację tego wzoru? W końcu mieszkasz teraz w tym samym miejscu.

- Klasyka nie wymaga uwspółcześniania. Wzór ciągle jest na fali, śliczny jak zawsze. I słynny.

- To swetry bywają słynne? - zdziwił się Tom. - Niby dlaczego?

- Te zrobione przez sławnych ludzi tak. A Eliza była znaną postacią - wyjaśniła Abigail.

- Z powodu swetrów? - W głosie Toma było słycać nutę niedowierzania.

- Te kobiety od drutów mają lekkiego bzika - skomentował Cade.

- Mają największego bzika ze wszystkich! - potwierdziła Janet. - A teraz, kiedy w okolicy objawi się nowy sklep, dostaną prawdziwego fioła. Najbliższy porządny jest na wybrzeżu, dobre półtorej godziny jazdy stąd. A dla niektórych to trochę za daleko.

- Nowy sklep? - zdziwił się Tom, z wyrazem twarzy człowieka, którego co chwila spotyka coś nieoczekiwanego.

- Sklep Abigail.

Cade zamrugał. Sklep? Janet na pewno coś pokręciła. To chyba miała być jakaś szkółka...

- Nie wiedziałeś o tym, Tom? Jestem pewna, że mówiłam ci przy obiedzie.

- To właściwie nie jest sklep... - wtrąciła Abigail

- A jaka jest różnica między sklepem a miejscem, w którym się coś wystawia na sprzedaż?

- Na farmie? - Tom aż się cofnął kilka kroków.

- Pomyślałam, że będę mogła u siebie prowadzić zajęcia z robienia na drutach. Może jeszcze lekcje przedzenia... A przy okazji coś sprzedam. Jakies kilka kołowrotek, trochę przędzy, parę motków wełny.

- Sklep - skonkludował Cade. W swoim głosie usłyszał więcej jadu, niż chciał. Z drugiej strony jednak wcale nie żałował, że wypowiedział to słowo tak, jakby słuwał.

- Chyba tak.

- Już go jakoś nazwałaś?

Abigail zamilkła, intensywnie wpatrzona we własne kolana. Pobladła jak ściana, ale Cade nie pozwolił się zbić z tropu. Był jak najdalszy od współczucia.

- To co, ma już nazwę czy nie?

- Myślałam, że nazwę go U Elizy, ale chciałam najpierw poprosić cię o zgodę... Zanim zamówię szyld.

- Szyld? Pewnie taki, który będzie widać z autostrady?

- Skromny. Widoczny tylko z bocznej drogi.

- Więc farma MacArthura, na której harowałam jak niewolnik przez ostatnie piętnaście lat, żeby przynosiła pieniądze, żeby ludzie mnie szanowali, farma bez jakiegokolwiek szyldu, nagle zasłynie wełną i przędzą? Kołowrotekami? I parą alpaka?

- Możemy sprawić szyld i tobie. Sama ci go kupię.

- Stać mnie jeszcze. Tyle że nigdy mi nie wpadło do głowy, że będę go potrzebował.

Cade wstał. Na takie rzeczy nie może pozwolić! I nieważne, jak bardzo pociąga go Abigail.

- Na mojej ziemi na pewno nie otworzysz sklepu. Dziewczyna wsparła się łokciami o wózek i podniosła

wzrok. Spodziewał się, że zobaczy w jej oczach wahanie, a ujrzał płomień, którego się nie spodziewał i nigdy wcześniej nie widział. Może zaledwie jego przebłysk... Tamtej nocy, w salonie.

- Masz rację. Otworzę go na własnej ziemi.

- Podważę sądownie testament. I doprowadzę do zmiany planu zagospodarowania przestrzennego.

- Wolna wola i skrzypce! Ja tymczasem zrobię swoje.

- To lepiej rób tak, żebym tego nie widział. Bo nie ręczę za siebie.

- To groźba? - spytała Abigail cicho, lecz wyraźnie.

- Nie mówię niczego, czego nie będę chciał podtrzymać. Nie pozwolę ci na otwarcie żadnego sklepu. I kropka. Tom, idziemy.

Jego przyjaciel, który jakoś nie mógł zamknąć opadniętej szczęki, stał całkowicie dezorientowany i nie ruszał się z miejsca.

Janet wyciągnęła rękę i położyła ją Tomowi na ramieniu.

- A może jednak zostałbyś tutaj z nami? Na pewno... na coś się przydasz.

- Odbiło ci? On jest ze mną. Chodź, Tom.

- No, wiesz... Ktoś chyba powinien dotrzymać paniom towarzystwa - odparł Tom niepewnie. - To znaczy... A co, jeśli...

- Jak sobie chcesz. Ja wychodzę. - Cade poczuł, że dłużej tego nie zniesie. - Nie będzie żadnego sklepu. A ty,

kiedy już wrócisz do domu, nie pokazuj mi się na oczy - zwrócił się do Abigail.

Dziewczyna wstała. Wiedziała, że nie powinna podnosić się z wózka, ale skrzywiła się tylko i spojrzała Cade'owi prosto w oczy.

- Nie boję się ciebie.

Coś było w tych oczach. Coś jak okopanie się na z góry upatrzonej pozycji. Usztywnienie stanowiska. Nie on to spowodował. Ale on był temu winien.

Jechał do domu szybko, zdziwiony, że koła pikapa trzymają się drogi.

Rozdział 22

A teraz ciesz się najdłuższymi rządkami. Żegluj swobodnie przez robótkę, moja ty najbardziej zadziwiająca ze wszystkich artystko dwóch drutów!

E.C.

Abigail całą sobą pragnęła kąpieli. Brud dosłownie ją oblepiał. W nozdrzach wciąż miała zapach ziemi ze zbocza tamtego wzgórza, a gdzieś w tle błąkał się zapach końskiego potu, którym przesiąknięte były dzinsy. Janet odwiozła ją ze szpitala do domu, pozostawiając z pocałunkiem w policzek i z obietnicą niedalekiej wizyty. Zadumany Tom odprowadził wzrokiem odjeżdżające auto, a później zapytał Abigail, czy może jej w czymś pomóc. Może przy kolacji albo przy wchodzeniu po schodach w nowej ortezie (założonej na szczęście tylko na parę dni)? Stało na krótkiej przechadzce i sprawdzeniu ogrodzenia na tyłach domu.

Merino, ta głupia alpaka, stała sobie pod płotem jak gdyby nigdy nic. Po prostu stała i gapiała się na Abigail tym swoim głupim spojrzeniem, jakby jej pani spóźniła się z kolacją. Sądząc po strzępkach wełny na drucie, zwierzę wróciło tak samo łatwo, jak się wydostało. Abigail

niemal się rozpląkała z ulgi i irytacji, gdy zobaczyła w zagrodzie Merina tuż obok Tussah. Nakarmiła zwierzęta. I udało jej się podejść na tyle blisko, by pogłodzić samca po boku.

Wcześniej była pewna, że ogrodzenie jest całe, przecież wszystko posprawdzała, wprowadzając tu alpaki. Teraz jednak ziała w nim wyrwa wielkości dorosłego mężczyzny. Tom spojrzął i pokręcił głową.

- Ktoś poprzecinał druty.

Abigail nie miała pojęcia, jak to się stało, że ani ona, ani Cade nie zauważyli tak potężnego uszkodzenia, ale cóż, było faktem. Kolejna rzecz do naprawy. Tom najpierw pokazał jej, jak uzupełnić drutem braki, ale później zobaczył, że dziewczyna jest wykończona, i zrobił wszystko za nią.

Abigail, kuśtykając, zawróciła do domu.

Kiedy weszła do środka, zdała sobie sprawę, że trochę skłamała, gdy powiedziała, że nie obawia się Cade'a. Okej, poradził jej, żeby go unikać, więc trzeba zastosować się do tej rady. Jutro Abigail będzie silna i będzie bronić swoich praw, ale dzisiaj przycupnie w swoim pokoju i nie wystawi nosa na korytarz, dopóki nie usłyszy, że on już poszedł spać. A wtedy się wykąpie.

Abigail ucięła więc sobie drzemkę z Clarą u boku, odczekała, aż usłyszy zamykające się drzwi do sypialni Cade'a, i dopiero wtedy weszła do łazienki. Żałowała, że nie może wziąć prysznicza na dole. Czułaby się bezpieczniej, bo chociaż lekarz pozwolił jej zdejmować ortezę do mycia i na noc, kostka i stopa pozostawały zabandażowane, a opatrunku nie wolno było ruszyć przed kontrolą. Wizytę wyznaczono dopiero za trzy dni.

Czekając, aż wanna napełni się wodą, Abigail przysiadła na podłodze, nie spuszczać oka z kurka. Woda się nie

przeleje po raz kolejny, a już na pewno nie na jej wachcie. Łazienka znajdowała się tuż obok pokoju Cade'a i Abigail wcale się nie podobało, że znalazła się tak blisko. Nie mogła się nawet porządnie zabarykadować, bo wprawdzie drzwi się domykały, ale zasuwka, która powinna wchodzić w otwór w futrynie, nie chciała zaskoczyć. Wystarczyłoby lekkie pchnięcie... W drzwiach nie było klucza, lecz Abigail uspokajała się myślą, że wcale jej to nie przeszkadza. Cade w końcu także nie chciał jej oglądać.

Wanna była już prawie pełna. Abigail wstała powoli, podciągając się i przytrzymując jej krawędzi, zakręciła kurki i zdjęła szlafroczek. Posługując się kombinacją gimnastycznych ruchów, których zapewne nigdy nie powtórzyłaby w tej samej sekwencji, dała radę jakoś wejść do wody i pozostawić nad jej powierzchnią stopę opartą o brzeg wanny.

Przymknęła oczy. Uczucie było fantastyczne.

Westchnęła głęboko i zanurzyła się w wodzie po szyję.

I wtedy usłyszała ciche skrzypnięcie.

W panice otworzyła oczy. Czyżby Cade nie usłyszał, że ona tu weszła? Na pewno zostawi ją w spokoju. Abigail odkaszlnęła ostrzegawczo, na wypadek gdyby jednak nie zdawał sobie sprawy z jej obecności, ale podłoga zaskrzypiała ponownie. Pod samymi drzwiami.

A drzwi się poruszyły. Uchyliły o włos. Przesunęły na zawiasach. Delikatnie, jak pchnięte podmuchem wiatru.

- Tak? - rzuciła Abigail. Nic. Drzwi znieruchomiały.

- Posłuchaj, jestem w łazience. Odpowiedziała jej cisza.

Abigail usiadła prosto, z obandażowaną stopą nad wodą. Czowała się jak podczas wykonywania asanów, chociaż w jodze nigdy nie odnosiła wielkich sukcesów.

- Cade? - Drzwi ponownie uchyliły się o centymetr. Czy to powiew wiatru? Abigail nie słyszała już skrzypienia desek. Czy to Cade przemknął obok, a skrzydło otworzył podmuch powietrza?

Szpara miała już prawie pięć centymetrów. Drzwi otwierały się do wewnątrz, więc Abigail nie miała pojęcia, kto za nimi stoi.

Serce biło jej jak oszalałe. Jeśli na korytarzu tkwił Cade, sytuacja wyglądała fatalnie, ale co, jeśli to nie on? Broń! Czy naprawdę potrzebna jest mi broń? A może wystarczy szczotka do przepychania toalety? Abigail musiałaby jednak szybko do niej dobiec, a nie miała szans na sprawne wygramolenie się z wanny.

Nakazała sobie opanowanie i wygłosiła kwestię mocnym, nieugiętym głosem.

- Nie otwieraj tych drzwi.

Zakaz wywołał efekt przeciwny do spodziewanego. Drzwi uchyliły się o kolejny centymetr. Abigail wstrzymała oddech.

Do łazienki wśliznęło się wielkie, żółte kocisko. Duncan.

- O, mój Boże! O, Boże. - Abigail ponownie zanurzyła się w wodzie z ciężkim westchnieniem. Nigdy jeszcze nie odczuwała takiej ulgi na widok jakiegokolwiek zwierzęcia. Dobry Boże, ta jej reakcja na skrzypienie podłogi! Zabawna, ale przede wszystkim przesadna. To jest bezpieczny dom. I tego trzeba się trzymać, choć rzecz nie jest łatwa.

Szlag by to trafił! Przez prawie dwa dni Abigail udawało się nie myśleć o Samuelu, a teraz nie potrafiła opędzić się od wspomnień. Za nic nie chciała, żeby zburzyły spokój tego miejsca.

Cały rok w związku. Czy to za krótko na poznanie człowieka? Tak właśnie sądziła, dopóki nie spotkała Sama.

Poznali się podczas zlotu ABA, w kolejce po kawę. On ją zagadnął, a ona wyznała, że porzuciła wyznaczone jej miejsce spragniona kofeiny.

- Ja jestem tutaj z powodu mojej siostry, która napisała książkę o antropomorficznej wiewiórcie. Czy przy pani stole też nie ma kolejki? - Mężczyzna miał sympatyczny głos, podobnie jak oczy. Był w jej typie; taki wysoki, barczysty brunet. Abigail bezwiednie wyprostowała plecy z nadzieją, że wciąż ma na ustach choć trochę szminki. To był długi, męczący dzień.

- Nie. Kolejka jest, i to spora. Ja po prostu stamtąd zwałam.

- A o czym pani pisze?

- O swetrach i robótkach na drutach.

- Proszę sobie ze mnie nie żartować. Babcie nie bywają tak piękne.

Abigail uniosła brwi.

- Dobry gambit. Już to pan komuś mówił?

- Nie. Czekałem na swoją szansę. A co, działa? - Nachylił ku niej głowę, jakby to, co za chwilę powie Abigail, miało się okazać czymś niezwykłym.

- Sądziłam, że zadziałał, ale nie jestem do końca pewna - odparła, zadziwiona własną śmiałością.

- Da mi pani swój numer telefonu? Wzięła od barmana filiżankę z kawą.

- Zastanowię się. Proszę podejść później do mojego stolika. Jestem w części ekspozycji z książkami o rzemiośle.

Abigail próbowała nie zaprzętać sobie głowy nowym znajomym, bo w miarę upływu tamtego popołudnia nabierała pewności, że mężczyzna jej nie odnajdzie. A jednak pod koniec dnia, kiedy wydawca dał znak, że czas już zamykać kolejkę po autograf, nieznajomy zjawiał się

z naręczem pąsowych róż. Czytelniczki spojrzały z uznaniem.

A on uniósł kwiaty w stronę Abigail.

- Naprawdę sporo do pani kolejka. Dłuższej chyba nie widziałem...

- Oczywiście nic pan nie wie o świecie robótek, przędzy i motków?

- Do dzisiaj nie miałem o nim pojęcia. Mężczyzna przyglądał się przez chwilę jej rozmowom

z czytelniczkami, słuchał śmiechu, patrzył, jak dotyka zrobionych na drutach swetrów i skarpetek. Abigail czuła na sobie jego palący wzrok.

Poszeptał o czymś z wydawcą, na chwilę zniknął i wrócił. Był ostatni w kolejce. Podał Abigail egzemplarz jej ostatniej książki.

- Czy teraz mogę już prosić o numer telefonu? - zapytał.

Uśmiechnęła się w odpowiedzi.

- Jak panu na imię?

- Samuel.

Na tytułowej stronie Abigail napisała: „Dla Samuela. Niech od dziś robótki nie kojarzą się Panu wyłącznie z babcią”. Złożyła podpis, poniżej wpisała numer i oddała mu książkę.

- Zadzwoń jutro - powiedział.

Kiedy odchodził, Samantha z wydawnictwa aż jęknęła.

- Kto to jest? - Odprowadziła go wzrokiem. - Mniemam. Ale ciacho!

- Nie mam pojęcia.

Zadzwoił następnego dnia, zgodnie z obietnicą, a na pierwszą randkę umówili się dwa dni później. Samuel był prawnikiem. Na wieczór wypożyczył od firmy

zaczumowany w marinie jacht. Wyprowadził łódź pewną ręką na spokojne, otwarte wody, a później zarzucił kotwicę. Obserwowali z pokładu nocne światła San Diego, przejeżdżające autostradą samochody i podchodzące do lądowania tuż nad horyzontem samoloty. On smażył steki, karmił Abigail homarami, dolewał jej wina. Tańczyli pod gwiazdami przy dźwiękach cudownej muzyki, której nie słyszała nigdy przedtem. Wtedy pocałował ją po raz pierwszy pięknym, pełnym radości pocałunkiem. Abigail zapragnęła, by ta chwila trwała wiecznie. Miała ochotę stać tak bez końca w jego ramionach, pod księżycem, ale Sam podniósł kotwicę, włączył silnik i skierował dziób jachtu ku brzegowi.

- Jutro będzie jeszcze lepiej - obiecał. Abigail się roześmiała.

- Chciałabym, ale jutro jem kolację ze znajomymi. Może w poniedziałek wieczorem?

Samuel zmarszczył brwi. Pomógł jej zejść po trapie i wyciągnął rękę, żeby ułatwić zeskok na nabrzeże.

- Odwołaj.

- Nie ma mowy. Cieszę się na to spotkanie. Przyjeżdżają spoza miasta. Ale w poniedziałek jestem wolna.

Przytrzymał jej dłoń w swoich dłoniach.

- Proszę cię, Abigail. Chcę się z tobą zobaczyć. Jutro. Bardzo proszę. Zastanowisz się?

Abigail z niejakim trudem wycofała rękę. Co się tutaj dzieje? Próbowała rzecz potraktować zdawkowo, jakby się nic nie stało.

- Przepraszam, ale nie mogę - odparła. - Zadzwoń do mnie w poniedziałek rano. Wtedy porozmawiamy.

Następnego dnia, tuż przed kolacją z przyjaciółmi, Sam czekał na nią na ulicy, oparty o jej samochód.

- No, no! - Abigail nic innego nie przyszło do głowy. Nie wiedziała, co o tym myśleć.

Samuel natomiast uśmiechnął się rozbrajająco i spojrzał wzrokiem niewiniątka.

- Pomyślałem, że może mimo wszystko się zdecydujesz. Mam bilety na mecz. Chcesz pójść?

Abigail pokręciła przecząco głową i sięgnęła po kluczyki.

- Skąd wiedziałeś, gdzie mieszkam?

- Słyszałem, że to może być świetny mecz. - Wyciągnął rękę, żeby nie mogła przekreślić kluczyka.

- Jechałeś za mną wczoraj wieczorem?

- A na końcu ma być pokaz fajerwerków. To najlepsze miejsca na całym stadionie. Kosztowały majątek. Musisz ze mną pojechać - mówił miękko głosem.

Abigail odwróciła się tyłem do auta i spojrzała na Samuela. Wzięła głęboki oddech.

- Posłuchaj, bo to ważne. To, co teraz robisz, jest dość osobliwe. Nikt jeszcze nigdy za mną nie łąził, a ja takiej namolności nie cierpię. I nie mam pojęcia, co musiałoby mnie opętać, żebym dzisiaj poszła z tobą gdziekolwiek. I w ogóle kiedykolwiek.

Samuel opuścił ramiona.

- Przepraszam cię. Po prostu nie wiedziałem, jak się zachować. Wczorajszy wieczór był fantastyczny; nie mogłem przestać o tobie myśleć. To, co zrobiłem, jest niewybaczalne. Miałem po prostu nadzieję... - Ściszył głos i popatrzył żałośnie.

Nie wiadomo dlaczego, bo przecież wiedziała, że nie powinna, Abigail zaczęła mu współczuć. Czy naprawdę aż tak mu na niej zależy? Czy to z tego powodu za nią pojechał? Nie, nie powinna świrować. W końcu sytuacja bardziej jej schlebiała, niż niepokoiła.

- Jeżeli teraz sobie pójde... Czy będę mógł zadzwonić jutro? Zaplanować coś, dostać szansę na rehabilitację?

Abigail milczała przez chwilę, a później skinęła głową. Dobrze, Samuel dostanie jeszcze jedną szansę. Jest tak ujmujący, kiedy tak stoi i przeczesuje palcami gęste włosy... Z tym swoim lękiem w oczach. Naprawdę wzbudzał współczucie.

To było mniej więcej na rok przed fatalnym wieczorem. Rok, który Abigail chciała dostać od losu z powrotem. Rok stracony.

Liczy się terażniejszość. Abigail nakazała sobie powrót. Zamknęła oczy, policzyła do pięciu i wzięła głęboki oddech. Następnie znów policzyła do pięciu i wypuściła powietrze z płuc.

Uchyliła powieki i ponownie znalazła się w łazience na piętrze. W domu Cade'a. Woda w wannie zrobiła się letnia, więc Abigail zdrową stopą odkręciła kurek z gorącą. Duncan, który myszkował po kątach, wyszedł zza lwiej nogi i wskoczył na brzeg wanny. Jakoś wcale nie przeszkadzało mu, że lecąca z kranu woda rozchlapuje się po zaokrąglonej, emaliowanej krawędzi.

- Cześć. - Abigail wyciągnęła do zwierzaka mokrą dłoń. Jeśli go dotknie, kocur na pewno ucieknie.

Nie dość, że nie uciekł, to jeszcze wyciągnął szyję po pieśczętę. Abigail miała wrażenie, że Duncanowi spodobały się spadające na łebek krople. Koci ogon zawędrował do wody, ale zwierzę ani tego nie zauważyło, ani mu to nie przeszkadzało. Abigail jeszcze raz sięgnęła stopą i zakręciła kurek.

- Uwielbiasz wodę, co? Ja też.

Duncan zamruczał głośno, a Abigail roześmiała się serdecznie. Podłoga za drzwiami łazienki zaskrzypiała ponownie, więc dziewczyna wyprostowała się i spojrzała przez ramię. Tym razem otwarcie nastąpiło gwałtownie. Do środka łazienki wepchnęła się Clara.

- Clara! Nie!

Ciche dotąd pomieszczenie zniecka eksplodowało hałasem. Suka dostrzegła przyczajonego na wannie Duncana i powitała go radosnym poszczekiwaniem. Kocur napuszył się, nadymając jak indor, i zaczął się rozglądać za drogą ewakuacji. Ponieważ Clara ruszyła do niego w podskokach, rudzielec wskoczył do wody. Wprost na brzuch Abigail.

Dziewczyna już wcześniej przygotowała się psychicznie na bliskie spotkanie z pazurami, ale wiedziała, że nie może się ono skończyć dobrze.

Duncan wylądował i wczepił się w skórę Abigail, rozglądając się jednocześnie, gdzie by tu uciec. Wybił się z całych sił i przeskoczył nad psem.

Abigail wrzasnęła z bólu w tym samym momencie, w którym przemoczony do suchej nitki kot opuszczał łazienkę. Zalekniona Clara przypadła do podłogi.

- Cholera! Niech to szlag trafi! - W całym tym rozgardiaszu Abigail całkowicie zapomniała o skróconej kostce, która teraz znalazła się pod wodą. Opatrunek nasiąkł, noga pulsowała przeszywającym bólem. - Cholera jasna!

Jakby tego było mało, nastąpił ciąg dalszy. Skrzypnęły drzwi w sypialni Cade'a i na korytarzu rozległy się kroki. Nie było czasu krzyknąć.

- Wszystko w porządku? Co tu się dzieje?

Clara podwinęła ogon i przycupnęła za nogą mężczyzny.

- Odwróć się! - wrzasnęła Abigail, ale on nie posłuchał. Stał pośrodku łazienki, przestraszony i wściekły, i gapił się na nią bezceremonialnie.

Sięgnęła do wieszaka i ściągnęła do wody ręcznik. Przykryła się najlepiej, jak umiała, ale mleko już się wylało. Wszystko, co Cade mógł zobaczyć, zobaczył i tak.

- Mógłbyś się łaskawie odwrócić?! - wrzasnęła ponownie. Krawędź ręcznika pływała tuż przy szyi Abigail, a ona obiema dłońmi usiłowała wcisnąć materiał do wody.

- Co się tutaj wyprawia? Mogłabyś mi wyjaśnić? Dlaczego drzesz się jak opętana i każesz mi się zrywać w środku nocy? I dlaczego się wykrwawiasz w mojej łazience? Dlaczego... Dobra, zacznijmy od początku.

- Podrapał mnie twój kot.

Cade przeczesał dłońią włosy. Abigail trudno było odwrócić wzrok od nagiego, męskiego ciała w samych bokserkach.

- Bierzesz kąpiel z moim kotem?

- Najpierw przypętał się pod drzwi rudzielec, tuż za nim Clara, i wkrótce się okazało, że łazienka jest dla obojga za mała. Później Duncan wskoczył na mój brzuch i wybił się z niego w powietrze.

Abigail wciąż jeszcze czuła ból. Chciała obejrzeć podrapaną skórę, ale nie pozwalała na to obecność Cade'a. Mężczyzna ukląkł przy wannie.

- Niechże to obejrzę...

- Czy ty zupełnie oszalałeś? - Abigail przestało zależeć na uprzejmościach. - Przecież ja w tej wannie jestem kompletnie naga!

- Sądzisz, że o tym nie wiem? I myślisz, że nie widzę, że trzymasz nogę w wodzie, choć nie powinnaś? Jak niby masz zamiar wstać?

- Mam jeszcze jedną nogę, jeśli o niej zapomniałeś.

- Budzisz mnie w środku nocy i straszysz. Muszę zobaczyć, czy to bardzo źle wygląda...

Pociągnął za ręcznik, ale Abigail trzymała mocno.

- Przecież mnie nie lubisz. Przypomnij sobie, co mówiłeś. Mam się trzymać od ciebie z daleka.

- Wciąż jestem wściekły za ten twój sklepik. Ale, na Boga, potrafię nad sobą zapanować. Nie jestem zwierzęciem.

Cade odchylił ręcznik tylko na tyle, żeby odsłonić brzuch dziewczyny, podczas gdy ona ze wszystkich sił starała się nie pokazać niczego więcej.

- No ładnie - powiedział.

Abigail rzuciła okiem na zadrapania. Siedem czy osiem maleńkich nakłuć i cztery grube, czerwone krechy. Woda w wannie poróżwiała.

- Trzeba cię stąd wyciągnąć.

- Sama potrafię wyjść. Odwróć się.

Cade wznosił oczy ku niebu, ale posłusznie wykonał polecenie. Abigail jedną ręką wsparła się o krawędź wanny, drugą przytrzymując mokry ręcznik. Podciągnęła nogi, przytrzymała się łazienkowego wieszaka i wyprostowała zdrową kończynę. Stała w wannie, próbując zignorować ból. Nasiąknięty ręcznik ważył chyba z tonę. Żeby się czegoś uchwycić drugą ręką, Abigail będzie musiała go zrzucić.

- Musisz wyjść - powiedziała do Cade'a.

- Na pewno nie potrzebujesz pomocy? W porządku, idę. - Cade opuścił maleńkie pomieszczenie i zamknął za sobą drzwi, ale Abigail wiedziała, że nie odszedł daleko. Podłoga zaskrzypiała zaledwie raz.

Zrzuciła ręcznik do wody. Podciągnęła się teraz na obu rękach i chciała wyjść z wanny, ale położenie posadzki nie odpowiadało pobieżnym obliczeniom. Abigail pośliznęła się i uderzyła bolącą nogą w bok wanny. Syknęła z bólu.

Cade najwyraźniej nasłuchiwał pod drzwiami.

- Słyszałem! Gotowa? Wchodzę. Trzy... Dwa... - Dziewczyna chwyciła za szlafroczek i szczelnie owinęła nim ciało. Wstrzymywała oddech, próbując opanować ból.

- Jeden. - Cade pchnął drzwi.

- Ostrożnie. - Abigail wyciągnęła rękę, żeby nie oberwać. - Nie mogę się ruszyć. Jeszcze nie teraz. Daj mi kilka sekund. - Zacisnęła dłonie na krawędzi umywalki tak mocno, że aż pobielwały kłykcie.

- Idiotka z ciebie, wiesz? - Głos Cade'a był łagodniejszy niż zwykle. Mężczyzna obszedł Abigail ostrożnie, uważając, żeby jej nie urazić. Podsunął dziewczynie stołek, który wcześniej stał w rogu łazienki. Chwytał ją pod ramiona. - Jesteś zielona z bólu. Siadaj.

Czując podtrzymujące ją dłonie, Abigail posłusznie spełniła polecenie.

- Dobrze, że przynajmniej to, co Duncan ze mnie wyrwał, już nie boli...

Jedną ręką Cade'a spoczywała na ramieniu dziewczyny, podczas gdy druga grzebała w szafce z lekami. Mężczyzna wyjmował stamtąd najróżniejsze przedmioty.

- Plastry, tribiotyc, woda utleniona... - Spojrzał z góry. - Bandaż. A jeszcze lepiej - dwa.

- Masz dobrze zaopatrzoną apteczkę.

- Nigdy nic nie wiadomo. Już. Zaczniemy od stopy.

- Nie dotykaj. Boli. Cade przyklęknął.

- Wszystko będzie dobrze. - Położył dłoń na łydce Abigail.

- Boli!

- Jesteś dużą dziewczynką...

- Wcale nie!

- ...więc wstrzymaj oddech.

Ton głosu był znacznie łagodniejszy niż słowa.

- I oddychaj spokojnie. Postaram się zrobić to jak najszybciej.

Zdjął mokry bandaż i wytarł stopę suchym ręcznikiem. Dotykając, nie naciskał, postępował ostrożnie. Zabandażował zwichnięcie ponownie, zaczynając od podbicia. Bandaż rozwijał niespiesznie, palcami prostując zagięcia.

Abigail oddychała powoli. Prawdę mówiąc, bolało znacznie mniej, niż się spodziewała. Jeśli sama zmieniałaby sobie opatrunek, ścisnęłaby go za mocno. Na pewno. Ale Cade miał wprawę i delikatność lekarza. Ruchy jego dłoni łagodziły ból, a widok męskich palców przesuwających się od podbicia w kierunku łydki sam w sobie dostatecznie rozpraszał pacjentkę, która zapomniała o bólu.

- A teraz krew.

- Co takiego? Aha. - Abigail poluzowała pasek przy szlafroku i spojrzała na swój brzuch.

Już niemal nie pamiętała o zadrapaniach.

- Nic się nie stało. Już prawie nie ma krwawienia. Cade trzymał w ręce tubkę kremu aseptycznego.

- Tak czy inaczej, zaaplikujemy tego trochę.

Czy jemu to sprawia przyjemność? Abigail przyjrzała się uważnie twarzy Cade'a. Tak, niewątpliwie miał frajdę.

A czy mnie to sprawia przyjemność?, zadała sobie pytanie. I zaskoczona stwierdziła, że nie ma nic przeciwko temu, żeby zabiegi potrwały jeszcze chwilę. O genezę tych odczuć pomartwi się później.

- Jak chcesz mi zaaplikować ten krem? - Abigail spróbowała zatrzepotać powiekami, jak wcześniej Janet, ale poczuła się dziwnie głupio.

- Pan doktor zaleca, żebyś jeszcze odrobinę rozchyliła szlafroczek. Trzeba się przyjrzeć ranie i ocenić skalę zniszczeń. - Był lepszy od niej w te klocki. No tak, miał praktykę.

Abigail poczuła wypływający na policzki rumieniec.

Rozchyliła poły szlafroka, ale piersi i uda pozostały zakryte.

- Tak dobrze? - zapytała.

- Jak najbardziej - usłyszała nieco chrapliwy głos Cade'a.

Mężczyzna rozcierał krem w miejscach zadrapań i nakłuć. Lekarstwo było chłodne, a palce ciepłe.

- Przepraszam za to, co powiedziałem w szpitalu. Zaskoczyła mnie trochę ta historia ze sklepem. Byłem zdezorientowany i zbyt szorstki.

- Rzeczywiście. Przepraszam przyjęte, ale... Abigail nie dokończyła zdania. Zamknęła oczy, głos

uwiązł jej w gardle. To, co powinno boleć, nie bolało wcale, a ona czuła lekkie zawroty głowy. Chciała, żeby Cade znalazł na jej ciele jeszcze więcej zadrapań, więcej miejsc, których mógłby dotknąć. Z trudnością łapała oddech.

A on klęczał i patrzył na nią z niemym pytaniem w oczach. Abigail nie potrafiła odpowiedzieć na nie słowami.

Dłoń Cade'a zatrzymała się, a później przesunęła się w kierunku talii dziewczyny. Druga wsparła się o jej biodro. Mężczyzna wstał powoli, jednocześnie podnosząc Abigail ze stołeczka. Dotknął skóry pod jej piersią.

- Coś jest na rzeczy. Z tobą, ze mną i z tą łazienką - powiedział.

Do szczęścia Abigail brakowało wyłącznie pocałunku. Spojrzała na Cade'a, ale nie potrafiła wykrztusić słowa. Odpowiedź wyczytała w jego oczach.

Nachylił się i musnął ustami jej usta. Jego dłonie przytrzymały ją delikatnie, a język rozpoczął penetrację. Abigail jęknęła. Odchyliła się i przesunęła jego rękę na swoją pierś. Cade wstrzymał oddech i odsunął się nieco.

- Chwilę - powiedział. - Powinnaś chyba pójść do łóżka i odpocząć. Tak, to dobra myśl. Trzeba cię tylko tam zanieść i zostawić. Tak?

Słowa płynęły jedno po drugim, zlewając się ze sobą.

- Nie powinienesz zostawiać mnie samej.

- Co takiego?

Abigail czuła, że go potrzebuje. Bardziej niż powietrza. Przesunęła jego lewą dłoń na pierś pod szlafroczykiem.

- Powinienesz mnie zanieść do łóżka. Ale nie odchodzić.

Cade pocałował ją ponownie. Mocno i gorąco. Sprawdził, czy drzwi są uchylone.

- Pójdziemy powoli. Trzymaj się.

- Tylko się pośpiesz - szepnęła mu do ucha. Kiedy znaleźli się w pokoju, Cade spędził z łóżka Clare. Abigail próbowała myśleć jasno, zastanawiać się, czego naprawdę chce, choć nie miała wątpliwości.

- Potrzebna nam...

- ...prezerwatywa - dokończyła. - Czy ty...? Skinął głową i wyszedł z pokoju. Abigail westchnęła.

To przecież facet, który kazał jej trzymać się od siebie z daleka. Gość, który za nic w świecie nie chciał widzieć w swoim otoczeniu wełny i który nie mógł ścierpieć myśli, że pod jego nosem rozpanoszy się pasmanteria. Ten sam, który dzisiaj już dwa razy zdążył się z nią pokłócić. Facet, który odgryzał się i powarkiwał.

Ale również mężczyzna, który ją przytulił tamtej nocy. Który zrobił jej śniadanie. Jeździec, który ją uratował. I delikatnie opatrzył stopę, by nie bolała.

I patrzył na nią tak jak jeszcze nikt. Nigdy.

Abigail rozwiązała pasek i rzuciła go na podłogę. Gdy Cade wszedł, uśmiechnęła się promiennie. Poczowała przepływającą przez ciało falę szczęścia.

Poczuła, że drżą jej dłonie.

Cade zaśmiał się niskim, gardłowym śmiechem.

- Chciałem zapytać, czy nie zmieniałaś zdania, ale chyba właśnie mi odpowiedziałaś...

- Skoro tak mówisz...

Wyciągnęła ręce, a on do nich przypadł. Znów poczuła jego usta na swoich. Powoli, ostrożnie, przesunęli się oboje ku wezgowiu łóżka, tak żeby chronić jej stopę. Abigail obiema rękami ściągnęła z Cade'a bokserki; pomógł jej, skopując je na podłogę. Uśmiechnęła się, widząc jego twarz tuż przy swojej.

- Nie bardzo wiem, jak to się stało, ale chyba oboje jesteśmy nadzy.

- Zaraz się przekonasz, jak bardzo...

Cade musnął ustami szyję Abigail, delikatnie pieszcząc językiem i zębami wrażliwą skórę wokół ucha. Ona zaś na wpół chichotała, na wpół dyszała. Oddech mężczyzny wywoływał w niej cudowne dreszcze.

Chciała więcej. Chciała Cade'a.

- Proszę - powiedziała ponownie i przytuliła jego głowę do piersi.

Był posłuszny. Jego usta, gorące i nieustające w pieszczotach, dotykały sutka. Czubkiem języka rysował wokół niego kółka, brał między zęby i ciągnął delikatnie. I trochę mocniej. Drugą dłoń położył na drugiej piersi Abigail, palcami naśladowując ruch ust.

Myśli dziewczyny powróciły na chwilę do Samuela. Nie, właśnie, że się nie przestraszy! I będzie myśleć wyłącznie o tym, co robi Cade. I czerpać rozkosz płynącą z jego bliskości.

Usta mężczyzny nie opuszczały jej piersi, drażniły się z nią, smakowały i kąsały delikatnie, a jego dłoń powoli wędrowała w dół, w kierunku centrum największego

żaru, gdzie wszystko pulsowało napięciem. Abigail zaśmiała się głośno i znów wstrzymała oddech.

- Kręci mi się w głowie. Więcej, proszę o więcej. Jeszcze. I jeszcze. Roześmiał się.

- Na pewno? - wyszeptał.

- Do diabła, tak! - odparła. - Ale musisz... Odnalazła dłoń Cade'a i poprowadziła ją po swoim

ciele, dysząc pod jej dotykiem. Ułożyła ją dokładnie tam, gdzie chciała.

Cade okazał się zdyscyplinowanym facetem. Nieśpiesznie poruszał palcami i przesuwał je, badając terytorium, podczas gdy Abigail wiła się i jęczała. Skupił się na centrum rozkoszy, obrysowując je delikatnie opuszkami. Pomagała mu wilgoć.

Oddech Abigail stał się szybszy, urywany. Wiedziała, że jest blisko.

- Nie przerywaj - błagała.

- Teraz na pewno nie - szepnął. Usta wciąż miał blisko jej ust. - Jestem tutaj. Przy tobie.

Jego palce dotykały, krążyły, droczyły się, robiąc dokładnie to, czego chciała.

Abigail wstrząsnął silny dreszcz; wyprężyła się i jęknęła. Jeszcze tylko sekunda, jeden oddech... Tak, potrzebuje tego dotyku jeszcze przez chwilę. Teraz.

- Pragnę cię. Już. Proszę, Cade. Proszę. Teraz.

Nie dał się długo namawiać. Sekundę później zawisł nad nią, rozsunął jej nogi biodrami i jednym pchnięciem, które pozbawiło dziewczynę oddechu, znalazł się w niej, nie przestając dotykać tego idealnego miejsca, które ją wyzwoliło, wyniosło na szczyty... O Boże, to było cudowne! Abigail nie mogła oddychać, nie mogła myśleć. Czuła jedynie, że on ją wypełnia i nie ustaje w ruchu...

Dochodziła falami, coraz potężniejszymi, które okręzały ją spiralnym ruchem zrodzonym wokół jego twardej męskości.

Cade jęczał, wyrzucał z siebie przekleństwa, całował i gryzł ją w szyję, wciąż płynnie nawracając do wnętrza.

- Czuję, że to już zaraz... - Tylko tyle zdołał powiedzieć, ale to wystarczyło, by Abigail napała mocniej. Poruszała się pod nim, ku niemu, czerpiąc z niego, jak on czerpał z niej. Cade oddychał coraz szybciej i szybciej, aż nagle westchnął i zatrzymał się, ściskając ją mocno. W ostatniej chwili, kiedy ruchy obojga stały się gwałtowne i niecierpliwe, ujął twarz Abigail w swoje dłonie.

A ona rozwarła powieki i natrafiła na jego spojrzenie. Widziała, jak Cade sięga zenitu. Jak ciemnieją jego oczy i rozszerzają się źrenice. Abigail poczuła, że unosi się w kierunku kochanka. Ten moment, tych kilka sekund zapadania się w jego przepastnym spojrzeniu podczas szczytowania, był równie intymny jak wszystko, co działo się wcześniej. Dziewczyna poczuła trzepotanie serca. Jej oddech przyśpieszył.

- Abigail... - wy dyszał Cade i legł na niej całym ciężarem. A objęła go ramionami i trwali tak przez chwilę w milczeniu, aż Abigail nagle poczuła, że uda i ręce mężczyzny rozluźniają się, a on sam robi się coraz cięższy. Przesunęła się, wyciągając spod niego biodro, on prześliznął się na bok. Patrzyła teraz wprost w jego twarz, oświetloną padającą z korytarza poświatą. Czowała, że jej powieki robią się coraz cięższe i cięższe, ale nie przestawała się przyglądać...

Moment pasji. Taki, w którym można wszystko ukryć albo wszystko pokazać.

Abigail ziewnęła. Jakże wygodne było ciało Cade'a, jak wygodnie można się było o niego oprzeć, kiedy tak

leżał z nogą przerzuconą przez jej nogę. Dziewczyna, wsparta plecami o poduszkę, złożyła głowę na jego piersi. Zanim zdążyła przymknąć powieki, Cade otworzył oczy. Spojrzał, a Abigail odkryła w tym spojrzeniu echo ostatnich namiętności i uniesień. Zatonęła. Mężczyzna nachylił się nad jej ustami i pocałował ją niekończącym się, najslodszy z pocałunków... Nie zapamiętała niczego więcej.

Rozdział 23

Kiedy się zastanawiasz, po jaki wykrój sięgnąć, jeszcze zanim wybierzesz raglan, wzór z rękawem przechodzącym w pagon lub wszywanym na okrągło, pomyśl, dla kogo robisz na drutach. Jesteś szczęściarą, jeśli on ma szerokie ramiona. Wtedy możesz sięgnąć po swój ukochany fason.

E.C.

Pierwszą myślą Cade'a po przebudzeniu były jagodzianki. Wiedział, że Abigail je lubi, w końcu poprosiła o nie w zeszłym tygodniu u Tillie. A kiedy zobaczyła przed sobą muffinkę, wgryzła się w nią, jakby od tygodnia nic nie miała w ustach.

Stąd, gdzie leżał, nie widział budzika, ale kiedy spojrzał w okno, za którym kolor nieba zmieniał się z granatowego w szarość, domyślił się, że jest wczesny ranek. Czas popracować na farmie, a później do miasta, po jagodziankę. Jeżeli się pośpieszy, obróci w dwie godziny. Zanim dziewczyna się obudzi.

Nie chciało mu się ruszyć. Abigail leżała wygięta, przytulona do niego plecami; byli jak dwie przylegające do siebie łyżeczki od herbaty. Cade nie pamiętał kobiety, która wpasowywałaby się w niego tak idealnie i była jak

misie z dziecięcej bajeczki - nie za duża i nie za mała. W sam raz.

No dobrze, dość już tego gnicia w pościeli i myślenia o niebieskich migdałach, bo robota sama się nie zrobi. Cade podniósł ramię z poduszki, na której opierała głowę dziewczyna, i przesunął je do tyłu. Abigail zamruczała coś przez sen. Nachylił się, żeby posłuchać.

- Króliki. I hel. W kapeluszu. - Mówiła cicho, lecz wyraźnie. - Wysztywane słoiczki z rodzynkami. - Zachichotała i zamilkła. Teraz słyhać było wyłącznie równy, głęboki oddech. Cade wysunął się spomiędzy prześcieradeł prosto w rześkie powietrze poranka, naciągnął ubranie robocze i wyszedł na dwór z nadzieją, że Tom zdążył już zrobić kawę. Jeśli nie, szkoda czasu. Teraz chodzi o tempo.

Był wspaniały, chłodny ranek. Na dłuższych źdźbłach trawy połyskiwał pierwszy tej jesieni prawdziwy szron. Cade widział w powietrzu chmurki własnego oddechu. Dla takich poranków warto było żyć. Dokoła cisza, na szosie ani jednego samochodu, powoli wstające słońce, rześkie powietrze. Na tle bladego błękitu nieba rysowały się ostro kontury drzew.

Cade pracował ciężko i rytmicznie.

Godzinę później pozostała do zrobienia tylko jedna rzecz.

Mężczyzna zaniósł dwa wiadra wody do szopy Abigail. Niedługo trzeba będzie zainstalować tu wodociąg. Te zwierzaki piją jak oszalałe! Okej, skończy je poić, pojedzie po jagodzianki i wróci do domu. Zrobi dobrą, mocną kawę, naleje do żółtych kubków i zanieś do sypialni. A ona wciąż będzie w pościeli, z zamkniętymi oczami, miękka i ciepła - taka, jaką Cade chce ją widzieć. I dotykać jej o poranku.

Obudzi Abigail powoli, może usiądzie obok i będzie się przyglądał, jak dziewczyna otwiera oczy na zapach kawy. A później pogłaszczę ją lekko, mając pod opuszkami palców miękkość jej policzka, delikatnie pocałuje jej włosy. Prześliznie się dłonią po jej boku, po prześcieradle, zaledwie muskając skórę...

Cholera, kilka głupich myśli, a on znów jest gotowy na wszystko. Nawet na więcej. Cade'owi nagle zaczęło się bardzo śpieszyć z pojeniem alpak. A jeżeli ona zbudzi się wcześniej? Jeśli przemyśli to, co się stało w nocy, i dojdzie do wniosku, że popełniła błąd?

Pobiegł truchtem do poidel, rozchlapując z wiader wodę. Chlusnął i sprawdził, czy alpaki mają dość paszy.

Jeśli przyciśnie gaz do dechy, uwinie się tam i z powrotem w pół godziny. Za trzydzieści minut znów będzie w sypialni. Ze świeżymi jagodziankami.

Ciszę spokojnego poranka na farmie przerwał dźwięk silnika półciągarówki toczącej się szosą na wolnych obrotach. Cade westchnął ciężko. Charakterystyczny warkot pomarańczowego forda Hoopera rozpoznawał z daleka, ale dzisiaj nie miał ochoty na pogaduszki.

Farmer dopadł Cade'a na dworze; zero szans, żeby się schować. Hooper, gadatliwy jak baba, należał do częstych gości jadłodajni u Tillie. Teraz namierzył gospodarza, zwolnił, zatrzymał się i opuścił szybę od strony pasażera.

- Dzieńdoberek, Cade.

- Jak się masz, Hoop. Trochę się śpieszę. Może pogadamy później? - Cade zrobił krok w kierunku domu, ale przybysz uniósł dłoń.

- Poczekaj chwilę. Coś dawno się nie pokazywałaś u Tillie. Ostatnio w ogóle cię nie widzujemy. - Hooper uśmiechnął się szeroko. - Co? To ta panusia od alpak?

Mówią na mieście, że złamała nogę, kiedy się za tobą uganiała. Gdzieś w górach?

- Wasze tam-tamy biją za głośno. Nie mam nic do dodania. I wcale nie złamała nogi, tylko skręciła. W kostce.

- Powiedz, mieszka z tobą?

- Z tego, co wiem, to tak, Hooper.

- W takim razie jeszcze nie wstała?

- A skąd ja mam wiedzieć? Nie lecę na nią. Masz coś jeszcze do mnie, czy mogę skończyć robotę przy zwierzętach?

Hooper zrobił poważną minę.

- Muszę ci coś powiedzieć. I trudno, ale nie obchodzi mnie, czy ci się to spodoba, czy nie.

Cade naprawdę szanował tego człowieka. Był dla niego wzorem prawdziwego gospodarza, który przez całe życie pracował na własnej ziemi. Zatrzymał się w pół gestu i skinął głową.

- Ciężko pracowałeś. Bez zbędnego filozofowania przejąłeś farmę po Elizie. Niewiele brakowało, aby poszła pod młotek, ale postawiłeś ją na nogi. Hodujesz zdrowe i silne owce. Ludzie w okolicy gadają, komentują, jak prowadzisz gospodarstwo, i mówią, że robisz wszystko, jak należy. Masz tylko jednego pracownika. Codziennie sam chodzisz przy zwierzętach, po pastwiskach, sam puszczasz w ruch tę maszynę. A ja i inni mi podobni chcieliby tu widzieć młodych farmerów. Właśnie takich jak ty.

Cade wbił oczy w czubki swoich butów. Przy śniadaniach u Tillie dostawał co najwyżej kuksańce w bok, a w najlepszym wypadku uwagi, że jego owce nie są takie najgorsze.

- Dzięki, Hoop.

No tak, teraz się zaczniesz.

- Ale trochę gadaliśmy z chłopakami i jesteśmy zdania, że ten interes z przedzą, który tu rozkręcasz, jest gównem wart.

- Ja? Ja coś rozkręcam z przedzą? Chyba coś się wam pomyliło.

- Trzymasz u siebie te durne alpaki. Za chwilę zamienisz porządną farmę w atrakcję turystyczną dla szkolnych wycieczek. Nie twierdzą, że przedza jest nie w porządku. Moja żona robi mi swetry na drutach i bardzo je lubię. Ale wystarczyła wiadomość o tym, co będzie się tutaj działo, i dostała kota. Mówi coś o kawkach, herbatkach, jakichś seminariach dla pań, które będą przyjeżdżały na całe weekendy i uczyły się hodowli owiec.

- Seminaria?

- Od lat robisz tutaj coś dobrego, poważnego i zgodnego z tradycją. Jak dotąd byliśmy z ciebie dumni. Ale to twoje nowe przedsięwzięcie z przedzą... No, nie gniewaj się, ono do nas nie pasuje. Ciężko pracowaliśmy na swoją reputację w tej części doliny i nie chcemy, żebyś ją zmarnował. Nie chcemy, żeby dolina zamieniła się w galerię handlową z tanimi atrakcjami. Może nikt inny nie piśnie na ten temat słowa, ale ja zawsze mówię, co mi leży na wątrobie. Uważam, że się robisz miękki, a to boli nas wszystkich. Zastanów się jeszcze.

Hooper dotknął dłonią daszka swojej baseballówki, wyprostował się, podkręcił szybę i po chwili zniknął za zakrętem.

Cade poczuł, że płonie mu kark. Ten interes z przedzą. Czy ludzie naprawdę myślą, że to właśnie on, Cade, jest inicjatorem całego przedsięwzięcia? Muszą się dowiedzieć, że to jej pomysł.

A jednak ten cyrk odbywa się na jego ziemi. A ściślej mówiąc: jego ziemia otacza ten dziwaczny interes. Tu leży pies pogrzebany.

Cade potrząsnął głową, próbując zebrać myśli. Nie tak czuł się dzisiejszego ranka, trzymając Abigail w ramionach.

Był przekonany, że ten etap ma już za sobą. Sądził, że powoli zaczyna się godzić z szatańskim planem ciotki Elizy, z tym, że są rzeczy nieuniknione. Cade stał wciąż w tym samym miejscu, co w chwili odjazdu Hoopera, grzebiąc czubkiem buta w ziemi i patrząc na okno pokoju, w którym spała Abigail. No, pokaże jeszcze tym dziadkom, gdzie raki zimują! Inicjatywa Abigail nie ma nic wspólnego z jego farmą! On będzie nadal z powodzeniem hodował owce, a ona, również z sukcesem, prowadziła swój biznes. A jedno i drugie na pożytek tej ziemi.

I żadna z tych działalności nie pogorszy reputacji doliny.

Odwrócił głowę i spojrzał na domek Abigail. Niedługo zapewne pojawi się na nim szyld. Czy będzie błyszczący, czy świecący, z neonem przypominającym druty do robienia swetrów? A może cukierkowy, w pastelowych barwach, z puszystym, turlającym kłębek wełny kociątkiem?

Oczami wyobraźni Cade zobaczył rzędy zaparkowanych samochodów i tłum kobiet popiskujących na widok alpaka.

Cholerny Hooper!

Nie będzie żadnych jagodzianek. Prawdę mówiąc, wcale nie są takie smaczne. U Tillie przeważnie podają je wyschnięte. Cade'a znienacka dopadło irracjonalne poczucie winy. Nie, to głupie. Abigail przecież nie miała pojęcia o planie przywiezienia muffinek, więc nie będzie jej żal, że Cade się rozmyślił.

Dzisiaj nie pojedzie do jadłodajni u Tillie. A może nawet przez najbliższy tydzień.

Zrobi tylko kawę. Przynajmniej na tym Abigail się zna, bo lubi mocną. Plotki. Faceci to większe plotkary od bab.

Cade wszedł na piętro. Abigail leżała na łóżku. Całkiem nago. Słodka, piękna, hojna, seksowna jak nie wiadomo co. Trzeba przepędzić te myśli chociaż na kilka godzin! Kawa kapąła przez filtr do dzbanka. Cade potrząsnął głową.

To przecież Abigail. Dziewczyna, którą pokochała Eliza. Chyba nie ma zamiaru go naciągnąć, na litość boską? Jak to powiedział Hooper? Galeria handlowa z tanimi atrakcjami? Abigail nie chce przecież przerobić doliny na supermarket, już prędzej na coś w rodzaju przydrożnego targu. Na coś, z czego mieszkańcy mogą być dumni.

Na pewno o to chodzi.

Nalał kawy do żółtych kubków.

A jeżeli zarząd dróg postawi tu znak stop? Albo, co gorsza, światła?

Cade ruszył po schodach. To tylko sklep z włóczką. Zwyczajna pasmanteria.

Kiedy wszedł do pokoju, poczuł, że ma problemy z wyartykułowaniem najprostszej myśli. Sklep natychmiast wywietrzył mu z głowy. Abigail spała na boku, z ręką pod policzkiem. Drugie ramię wyciągnęła wzdłuż nagiego ciała. Prześcieradło i koc zsunęły się na bok. Musi być jej chłodno. Cade postawił kubki z kawą na stoliku nocnym i podszedł, żeby okryć dziewczynę. Jaka szkoda! Nikt nie powinien zasłaniać takiego piękna, ale poranek był rześki, a Abigail miała gęsią skórkę.

Prawdę mówiąc, on też. Tyle że nie z zimna.

Kiedy podciągał koc, Abigail mruknęła przez sen coś, czego Cade nie zrozumiał. Położył dłoń na jej policzku i delikatnie pocałował w czubek głowy. Zamrugła i uchyliła powieki.

- Cade - powiedziała cichutko. Uśmiechnęła się. On też się do niej uśmiechnął. Jej oczy miały taki łagodny wyraz... Pełen wiary.

- Dzień dobry, moja piękna. Przyniosłem kawę. - Jesteś niesamowity. Mmm, kawa... - Abigail ziewnęła i przeciągnęła się, lecz nagle wstrzymała oddech.

- Auu!

- Stopa? Skinęła głową.

- Całkiem zapomniałam.

- Wczoraj miałaś dzień pełen wrażeń.

- Wrażeń było aż nadto - zgodziła się. Poprawiła się ostrożnie, podłożyła sobie poduszki pod plecy i podciągnęła prześcieradło tak, żeby przykrywało jej piersi. Cade podał jej kubek i wyobraził sobie, jak dziewczyna wyglądałaby bez tych szmatek.

- Tropiłaś alpaka, spadłaś z drzewa, pojechałaś do szpitala, a na koniec podrapał cię mój kot. Jak tam brzuch?

- I późno poszłam spać.

- Musisz być wykończona. - Skinął głową.

- Chyba tak. - Ziewnęła ponownie.

- Od dawna nie śpisz?

- Od niedawna. Usłyszałam na dworze jakieś głosy.

- To Hooper. Znamy się z kafejki u Tillie. Cade odwrócił wzrok i spojrzał w okno.

- Świetna kawa. Dziękuję. Do pełni szczęścia brakuje mi tylko jagodzianki...

- Żartujesz?

Skąd ona wie?

- Oczywiście, że żartuję. Jest idealnie. Cade poczuł na ramionach nagły ciężar. -No i?

- No i? - uśmiechnęła się Abigail. -Hm.

Chyba może się nad nim zlitować?

- Więc co dzisiaj robisz? Ulga.

- Muszę przesunąć rury doprowadzające wodę na pastwisko, a wcześniej jeszcze przygotować inne. A ty?

- Będę działać u siebie.

Cade znów poczuł się jakoś dziwnie. Ten jej domek. Ten cholerny sklepik. Nie miał ochoty zaprzętać sobie nimi głowy. Nie teraz. Przyglądał się. Abigail piła kawę, wyglądając przez okno. Odsunęła włosy z czoła; poranne słońce oświetliło zarys jej policzka. Cade nigdy jeszcze nie widział tak promiennych oczu. Może to złudzenie optyczne, ale dające całkiem niezłe wrażenie.

- Wszystko będzie w porządku, wiesz? - rzuciła.

- Z twoją nogą?

- Z nią też. Ale i z moim domem i sklepem. Zajmę się nimi i zejdem ci z oczu. Nawet nie będziesz wiedział, że tu jestem.

Uniósł brwi.

- Wciąż jestem sceptyczny. Muszę jednak przyznać, że pomysł jest łatwiejszy do przełknięcia, gdy negocjator pozostaje w takim stroju...

Abigail poczuła, że pąsowieją jej policzki. Spuściła głowę, spojrzała po sobie. Po chwili podniosła oczy.

- Ja zazwyczaj...

- Zazwyczaj co? Uwodzisz mężczyzn na krew, którą upuszczają ci ich koty?

- Nie mam takiego zwyczaju.

Cade usiadł przy niej na łóżku. Bardzo powoli.

- Zawsze jest ten pierwszy raz.

- Co wcale nie znaczy, że ma on jakieś znaczenie. Serce Cade'a nagle i niespodziewanie przyśpieszyło.

Oczywiście, to nie musiało nic znaczyć.

- Masz rację. Abigail zamrugła.

- Mam na myśli wyłącznie to, że oboje jesteśmy dorośli. Para ludzi, którzy wiedzą, co robią.

- Którzy mogą uprawiać zwalający z nóg seks... Zamrugła jeszcze gwałtowniej.

- Tak. Na to wygląda.

- Bardzo mi się podoba ta strona dorosłości.

- Doszły mnie takie słuchy.

- Co chcesz przez to powiedzieć?

Co wie Abigail? Czy ta Janet znowu coś chlapnęła? Co jej naopowiadała Eliza?

- Tylko się drocę. Jesteś czarującym mężczyzną, a ja osobiście mogę o tym zaświadczyć. Nic w tym złego. - Abigail mówiła lekko, a w jej oczach nie było nic oprócz iskierek humoru. - Takie przekomarzanki.

- Eliza nie znosiła mojego podejścia do kobiet. Abigail przytaknęła.

- Być może raz czy drugi wspomniała, że chciałaby, abyś się ustatkował.

- Wspomniała?

- No dobrze! To był jeden z jej ulubionych tematów.

- Wiedziałem! Wiedziałem, że uczepi się tego jak rzep psiego ogona.

Mówiła ci, że się posprzeczialiśmy?

- Wiem, że coś było na rzeczy. Jakies osiem lat temu, prawda? Zaraz po jej odwiedzinach. Ale nie chciała o tym opowiadać. Powiedziała tylko tyle, że trochę przesadziła.

- Naprawdę?

- Tak, bardzo jej to ciążyło na duszy. A o co właściwie poszło?

Cade westchnął ciężko.

- Chciała, żebym się ożenił. Z kimkolwiek. Powiedziała, że nie pozwoli mi wykupić ziemi, nawet jeśli dostanę od banku promesę pożyczki, zanim nie znajdę tej jednej jedynej. Tak powiedziała. Tej jednej jedynej.

- Pewnie chodziło jej o kogoś takiego jak Joshua. Tyle że w damskim wydaniu.

Abigail popijała kawę i przyglądała się Cade'owi tymi swoimi zadziwiająco pięknymi oczami. A on był zadowolony, że temat rozmowy rozprasza jego kosmate myśli. W przeciwnym razie odczuwałby zapewne zbyt mocną pokusę powrotu do łóżka i powtórki z zeszłej nocy. Co zresztą wciąż było niewykluczone.

- Podczas tej kłótni Eliza nazwała mnie męską dziwką. Abigail aż zakrztusiła się kawą. Kasłała przez dłuższą chwilę.

- To niemożliwe. Nie ona.

- No dobrze. Zigolakiem.

- Nieważne, co jeszcze usłyszę na ten temat. I tak ci nie uwierzę.

- I że jestem jak kot w marcu. Serio. Powiedziała, że tak właśnie się zachowuję.

- Kota w marcu kupuję w ciemno. To akurat bardzo pasuje do Elizy.

- Ona miała takie głupie przekonanie, że to wszystko przez moją mamę. Że nigdy nie było jej w moim życiu, więc nie potrafię zaufać kobiecie i muszę się tego dopiero nauczyć. I podsumowała przemowę marcującym kocurem.

Cade spodziewał się, że Abigail wybuchnie śmiechem, ale chociaż usta dziewczyny drgały spazmatycznie, wytrzymała.

- I co ty na to?

- Powiedziałem jej, że obraża mnie takie podejście, że po prostu umawiam się z dziewczynami na randki i że moja mama nie ma nic wspólnego z moim obecnym życiem uczuciowym. Przyznaję, to był akurat czas, kiedy chodziłem z paroma dziewczynami, ale Eliza nie powinna wtykać nosa w nie swoje sprawy. Co zresztą jej powiedziałem.

- A z iloma?

- Co: z iloma?

- Z iloma dziewczynami naraz się umawiałeś?

- Może z czterema? Góra z pięcioma.

- Jednocześnie?

- Nie pamiętam - odparł Cade. - Ale coś koło tego.

- No to podziwiam. Ja nie potrafiłabym nad taką liczbą zapanować w żaden sposób. Jak ci się udawało zapamiętywać, która jest która?

- Bywało trudno.

Abigail śmiała się już otwarcie.

- Czy w twoim przypadku to norma?

- Oczywiście, że nie. W zasadzie.

- W zasadzie! A teraz? Z iloma naraz umawiasz się teraz?

- Z żadną.

Abigail zamilkła. Zainteresowała się zawartością kubka, ale nie wypila już ani łyka.

Cholera, może powinienem był powiedzieć co innego?, pomyślał Cade.

- To znaczy... Wczoraj wieczorem...

- Ja się nie liczę.

- Nie, nie. To znaczy, prawdę mówiąc... My się przecież nie umawialiśmy.

Słowa padły, a Cade poczuł się jak patentowany osioł.

- Taaak. - Abigail odstawiła kubek i wyprostowała plecy. - Cóż, w takim razie powinnam chyba...

- Nie, nie. - Cade, wciąż siedząc na łóżku, położył dłoń na jej nodze. - Ja już przestałem być jak kot w marcu. I naprawdę nie mam pojęcia, o co chodziło Elizie, kiedy mnie tak nazwała. Owszem, przyjaźnię się z dziewczynami, ale nigdy nie dochodzi do czegoś poważniejszego. To chyba tego właśnie ciotka nie potrafiła ścierpieć. Bo na pewno nie obchodziło jej, co robię z dziewczyną. Chyba że znajomość miała dla mnie jakieś znaczenie.

- Czy takie randkowanie ma w ogóle jakieś znaczenie?

- Nie. Przeważnie nie ma. - Cade starał się wszystko wyjaśnić tonem głosu i spojrzeniem, ale Abigail znów opuściła głowę. - To zupełnie co innego niż wczorajsza noc. - Tylko tyle zdołał wykrztusić. Jego zdradzieckie serce biło zbyt szybko. - Tamta kłótnia skończyła się stwierdzeniem Elizy, że nigdy nie dostanę ziemi, na której mi zależy, jeśli się nie zakocham naprawdę. Pomyślałem, że to idiotyczne, i nawet powiedziałem ciotce, że głupio gada. Efekt był taki, że przez jakiś czas nie odzywała się do mnie i przestała tu przyjeżdżać. Owszem, rozmawialiśmy przez telefon, ale raczej zdawkowo. Dopiero później zaczęły się odwiedziny raz w roku i wielkie zwożenie worków i pudeł. Nigdy nie wspominaliśmy o tamtej sprzeczce. Eliza już ani razu nie zapytała mnie o moje życie i o kobiety, ale... O Boże! - Cade przerwał, jakby nagle go olśniło. - Ona nawet wtedy mieszała się do mojego życia!

- W jaki niby sposób?

- Tylko pomyśl. Właśnie mnie tknęło. Aż trudno uwierzyć, że dopiero teraz! Jest tak: ciotka Eliza i ja sprzeczamy się, ona wyjeżdża do siebie. Po roku zniecka zaczyna tu zwozić wory i pudła. A w nich wyposażenie twojego sklepu.

- Mojego sklepu?

- Ona nas chciała wyswatać! Zaplanowała to już siedem lat temu.

- To śmieszne. Przecież poznałam ją dopiero... - Abigail spojrzała szeroko otwartymi oczami. - Sądysz, że ona naprawdę mogła do tego stopnia...

- ...nami manipulować? Nie znałem sympatyczniejszej kobiety, ale kiedy nabiła sobie czymś głowę, była nie do zatrzymania. A moje życie uczuciowe było wtedy potwornie poplątane. Tyle wiem. Więc: Eliza poznaje ciebie i zaczyna snuć plany...

- Tylko skąd u niej ta pewność, że tymczasem nie poznasz kogoś innego? Albo ja? Przecież spotykałam się z facetami. Wieloma. Z tym nigdy nie miałam problemu. - Abigail spojrzała niechętnie.

- W to akurat nie wątpię.

- A jeżeli nawet Eliza miała taki plan, to dlaczego mnie tutaj nie przywiozła?

- Nie zapraszała cię? - zapytał.

- No owszem, ale odmawiałam. Nigdy nie miałam czasu. -1 ja byłem zbyt zajęty, żeby odwiedzać ciotkę. Wciąż

to przekładałem. - Cade potarł dłonią powieki. - Skoro nie mogła nas poznać ze sobą za życia, kazała nam spotkać się po jej śmierci - stwierdził. - Aż się wierzyć nie chce! Cała Eliza!

Abigail zaśmiała się, ale śmiech uwiązł jej w gardle.

- Nie przejmuj się intrygą starszej pani i spotykaj się nadal z tymi twoimi laskami. Kiedy następna randka?

Cade w milczeniu wygładził prześcieradło.

- Aha, rozumiem. Dziś wieczorem? Skinął głową.

- W porządku, kowboju - westchnęła. - Wszystko w porządku. Ale posłuchaj. Ja mam dzisiaj mnóstwo pracy. Jakoś pokuśtykam i zrobię, co będę mogła, ale gdybyś był tak miły... - Odchrząknęła. - Podaj mi, proszę, mój szlafrok. Będę ci bardzo wdzięczna.

- Ja wcale nie chciałem... - zaczął. Uniosła dłoń.

- Nic w tym złego, Cade. Kosmiczny seks to kosmiczny seks i wystarczy. Ja muszę postanowić, gdzie co będzie leżało w moim sklepiku, a ty musisz się zająć melioracją i doprowadzeniem wody na pastwisko. Życie toczy się dalej.

Cade podał jej szlafrok.

Nic innego nie przyszło mu do głowy.

Rozdział 24

Połączenie karczka z resztą swetra ciągnie się jak luty. Niby nie jest to długi miesiąc, ale nigdy nie chce się skończyć.

E.C.

Dwa tygodnie później Cade wracał szosą z miasta do domu. Był u Landersa, pomagał farmerowi naprawiać auto. Mężczyzna potrzebował sprawnego wozu z napędem na cztery koła do rozwożenia paszy po pastwiskach, a Cade lubił grzebanie w silnikach. A wyborne ciasteczka czekoladowe pani Landers były dodatkową zachętą.

Nie widział Abigail od prawie dwóch tygodni. Jakby rozplynęła się w powietrzu. Cade wiedział, że dziewczyna pracuje u siebie i z rozmysłem go unika.

Do diabła, fakt, że się ze sobą przespali, nie wiązał ich przecież na całe życie! Nie znaczył absolutnie nic. Cade'owi było przykro, że Abigail poczuła się urażona, ale nie bardzo wiedział, co z tym zrobić.

Właśnie się zbliżał do farmy.

I wtedy zobaczył dym.

To gdzieś u niego!

Czarne kłęby. Nad płonąca roślinnością zazwyczaj unoszą się białe i oznaczają, że nie jest dobrze. Ale ciemne są sygnałem, że może być gorzej.

Cade wdusił pedał gazu do dechy.

Z telefonem komórkowym w ręce wykręcił gwałtownie, wszedł w kontrolowany poślizg i przyśpieszył w kierunku podjazdu. W mgnieniu oka znalazł się na wzniesieniu. Co się tam, do cholery, pali? Boże, proszę, żeby tylko nie stajnia! Tylko nie stajnia! Ani dom.

Ani jej chatka. Byle tylko nie ona!

Na podjeździe spod kół jadącej na pełnym gazie pół-ciężarówki trysnął żwir. Zarówno dom, jak i domek Abigail stały nienaruszone. Dymiło się gdzieś z tyłu stajni. A tam znajdowała się jedynie stara purpurowa szopa, w której Cade trzymał różne drobiazgi. Ta, o którą zapytała Abigail, kiedy kupiła alpaki.

Cade ponownie wcisnął gaz do dechy i popędził w kierunku stajni. Gdy wypadł z za narożnika, z szopy strzelały płomienie. W górę, przez całkowicie spaloną konstrukcję dachu.

Abigail z ogrodowym wężem w ręku stała dziesięć metrów od ognia i polewała płomienie wodą.

- Farma MacArthura! - ryczał Cade do komórki. - Pożar zabudowań. Szopa magazynowa całkowicie zajęta przez ogień!

Straż przyjedzie najwcześniej za osiem do dziesięciu minut, więc na ocalenie szopy było już za późno. Ale iskry...

Jezus, Maria!

Butle z gazem!

W szopie trzyma przecież butle z gazem. A Abigail stoi tuż pod ścianą! Abigail!

Cade rzucił telefon na siedzenie, zahamował, zaciągnął ręczny i wyskoczył z samochodu z takim impetem, że niemal wyrznął o ziemię.

- Zwiewaj stąd! Rzuć ten wąż!

Jego słowa utonęły w huku buzujących płomieni.

Abigail nie usłyszała nawet silnika półciągarówki, która zahamowała tuż za jej plecami. Wciąż kierowała strumień z węża na ogień, ale żar sprawiał, że woda parowała w pół drogi.

O Boże.

- Abigail!

Nigdy, przenigdy Cade nie czuł jeszcze takiego lęku. Wysilał wszystkie mięśnie, zmuszając ciało do biegu w kierunku dziewczyny.

Gdy wyrwał jej z ręki wąż, Abigail wrzasnęła.

- Ruszaj! - Cade chwycił ją za ramię i pociągnął, nie zważając, czy ją to zaboli, czy nie. - Biegiem!

- Co jest? - Ruszyła za nim. - Ja tylko próbuję pomóc...

- Butle z gazem! - Zaciągnął ją za półciągarówkę. Ledwie zdążyli przycupnąć za nadwoziem, kiedy nastąpił wybuch. Płomienie ryknęły dwa razy głośniej. Ogłuszająco.

Płonące resztki butelek wystrzeliwały z szopy jak kar-tacze. Puszki z rozpuszczalnikiem i pojemniki z farbą w aerozolu, poprzerywane na pół przez gorąco, szybowały w powietrzu jak pociski. Jedna z wystrzelonych puszek wgniotła bok pikapa i upadła na ziemię, między kołami auta. Po kilku długich sekundach deszcz metalu ustał.

Pożar szalał w najlepsze.

Cade osłonił dziewczynę ramionami. Już jest bezpieczna. Abigail jest bezpieczna. Przytulił ją mocniej, a ona przywarła do jego piersi. Czuł bicie jej serca. A może swojego?

Świszczące w powietrzu jak szrapnele odłamki metalu mogły narobić straszliwych szkód. O sile eksplozji nie wspominając... I te płomienie, które strzeliły dwa razy wyżej zaraz po wybuchu propanu...

Niewiele brakowało, a Cade by ją utracił.

- Muszę...

- Nie zostawiaj mnie - powiedziała Abigail cichym, drżącym głosem.

- Pilnuj się mnie. Muszę zabrać telefon.

Abigail kurczowo złapała go za ramię. Cade sięgnął drugą ręką na przednie siedzenie i wymacał komórkę. Jeszcze raz wystukał numer alarmowy i ostrzegł strażaków przed propanem.

- Już dojeżdżają. Są tuż za zakretem - powiedział dyspozytor.

Cade usłyszał syreny i schował telefon do kieszeni.

- Chłopcy będą tu lada chwila. Widziałaś, co się stało? Abigail pokręciła głową. Drżała i poszcze kiwała zębami.

- Jesteś ranna? Poparzona? Znow pokręciła głową.

- Wejdź do auta. Odjedziemy.

W milczeniu weszła do szoferki, a Cade włączył silnik i wycofał półciężarówkę w miejsce oddalone od ognia.

Trawa wokół szopy już zdążyła się zająć. Płomienie potoczyły się falą po pustym pastwisku. Chwała Bogu, że Cade ponad tydzień temu zabrał stąd stado! Ogień oddalał się od stajni.

- Teraz to już niewielki pożar trawy. Strażacy ugaszą go bez trudu - powiedział Cade.

Abigail spojrzała nań wielkimi oczami.

- Wiatr osłabł - wyjaśnił. - A dwa tygodnie temu mocno padało. Trawa jest niewysoka, dokładnie taka,

jaką uwielbiają chłopcy. A iskry padają w przeciwnym kierunku. Nie na nas, tylko na pole...

Nie był pewien, czy próbuje uspokoić dziewczynę czy siebie. Abigail milczała nadal, wpatrując się w ryczące płomienie, w miejscu, które kiedyś było składzikiem na farby i narzędzia.

- Jak to się stało? - zapytał.

- Nie wiem. Wyjrzałam i zobaczyłam dym. Później podbiegłam, bo myślałam, że uda mi się ugasić szopę. Boże, nawet nie zadzwoniłam po straż! Odkręciłam wodę, zaczęłam polewać... Nie mam pojęcia, dlaczego nie pomyślałam o numerze alarmowym.

- I nie zadzwoniłaś? Abigail pokręciła głową.

Cade zaparkował półciągarówkę tuż przy stajni. Pożar wciąż szalał, ale bez fajerwerków.

- Gdzie, do cholery, jest Tom? - zapytał.

- Nie widziałam go - odparła Abigail.

Cade poczuł, że zamiera w nim serce. Nie mógł złapać powietrza.

- Był tu rano, razem oporządzaliśmy zwierzęta, ale nic nie mówił, że gdzieś się wybiera... O Boże.

Tom był jego najstarszym i najlepszym przyjacielem. Przez głowę Cade'a przelatywały najczarniejsze myśli. Nie był w stanie się pozbierać. Nie, przecież nigdzie nie widać auta, a Tom zawsze się kręci w pobliżu swojej półciągarówki. Nie, tu go nie ma. Cade się pomodlił.

Na podjazd wpadły trzy wozy straży pożarnej i zatrzymały się tuż obok pikapa. Dowódca drużyny krzyknął, by otworzyć bramę na zagrożone ogniem pastwisko.

Cholera, powinienem być wcześniej o tym pomyśleć!, napomniał się w duchu Cade.

Wrzucił bieg i poprowadził chłopaków do najbliższego pogorzelniska. Abigail siedziała obok, ściskając brzeg fotela tak mocno, że aż zbieleły jej palce.

Gdy w pobliżu pojawił się dowódca straży w czerwonym łaziku, Cade zawrócił do stajni.

Spojrzał na Abigail.

- Chcesz tu zostać, czy mogę pójść i z nim porozmawiać?

Dziewczyna miała sine usta.

- Chcę być przy tobie.

Cade skinął głową, wyskoczył z samochodu i wziął ją za rękę.

Tył łazika był otwarty. Bill Leary mówił coś szybko do dwóch krótkofalówek naraz; zdążył nawet postawić kilka znaków na przenośnej białej tablicy. Największy z trzech wozów zaparkował w pobliżu spalonej szopy. Wsiadło z niego czterech strażaków i natychmiast ruszyło biegiem, ciągnąc za sobą wąż i włączając pompę. Potężny strumień wody, a za nim kolejny, wypływający jednocześnie z węża podłączonego do drugiego wozu, z sykiem i szumem tłumił ogień.

Cade poczuł dłoń Abigail w swojej dłoni. I jej mocny uścisk.

- Cade. - Skinął na niego Leary. - O tym drewnianym składziku możesz zapomnieć. Czy jest jeszcze coś, o czym powinniśmy wiedzieć?

Cade pokręcił głową.

- Chodziło o butle z propanem, ale od dobrych trzech minut nie słysząc wybuchów. Chyba wystrzeliły już wszystkie.

- Ile tego było?

- Siedem? Choć chyba słyszałem osiem wybuchów. Więcej raczej nie.

Wszystko eksplodowało niemal w jednej

chwili, jakby naraz puściły zawory bezpieczeństwa. Wybuchło też sporo pojemników z farbą w aerozolu. Wyleciały na zewnątrz. Nie wiem czy wszystkie.

- Coś jeszcze?

- Puszki z farbą. Poza tym trzymałem w szopie trochę starych narzędzi i kosiarkę, ale bez benzyny. I jakieś przeterminowane leki, których nie zdażyłem wyrzucić.

Dowódca straży kiwnął głową, a później powiedział coś do krótkofalówki trzymanej w lewej ręce. Wyciągnął głowę, żeby spojrzeć na unoszący się nad pastwiskiem dym.

- Pożar opanowany. Tu jest chyba mniej niż akr. Miałeś szczęście, przyjacielu.

Cade'owi daleko było do tego stanu, chociaż wiedział, że podły nastrój minie lada chwila. Zwłaszcza że na podjeździe właśnie zachrząścił żwir.

Półciężarówka Toma była najpiękniejszym autem na świecie. Mężczyzna zaparkował i podbiegł.

- Co to było? Słyszałem wszystko przez ukaefkę. A dym widać z daleka.

- Gdzieś ty był?

- Mówiłem ci rano, że jadę do miasta, nie pamiętasz? Ostatnia dobra para pilników do kopyt poszła w cholerę, kiedy przypadkiem nastąpiłem na nie butem.

- No, tak. - Cade zupełnie o tym zapomniał.

- Cholera, to straszne. Planowałem wyskoczyć tylko na chwilę, ale pod sklepem z narzędziami jakiś gówniarz, albo nie wiem kto, przeciął mi obie przednie opony. Musiałem wezwać lawetę. A później wulkanizator nie mógł połączyć tych starych kapci i skończyło się na kupnie nowych. Wyprawa zajęła mi wieki.

- Zapłacę ci. Byłeś w mieście służbowo.

- Zapłaciłem już twoją kartą. Ale jak...? - Tom odchrząknął. - Co się tu właściwie stało?

- Trzymałeś tam olej lniany? - wtrącił się Leary. Cade skinął głową.

- Bo przypuszczam, że ogień mógł się zatlić w jakiejś stercie szmat...

- Ja nie zostawiam szmat luzem. Nie urodziłem się wczoraj.

- No nie wiem... Rzecznawca jest w drodze, więc po południu wszystko będzie już jasne. A pani? Dobrze się pani czuje?

Cade spojrział na bladozieloną twarz Abigail. Dziewczyna była roztrzęsiona.

- Nic mi nie jest - odpowiedziała słabo. I mało przekonująco.

- Zabierz ją stąd, Cade. Jeżeli będę czegoś potrzebował, poproszę Toma.

Cade wziął Abigail za rękę i poprowadził w stronę domu. Dziewczyna potykała się o własne nogi jak małe dziecko, niepatrzące, po czym idzie. Może była w szoku? Stapała niepewnie.

Otworzył drzwi i wprowadził ją do kuchni. Przegonił Duncana z bujanego fotela tuż przy piecu.

- Siadaj tutaj i nie ruszaj się przez chwilę. - Narzucił na ramiona Abigail szal z afgańskiej wełny, dzieło Elizy. - Zaparzę ci herbaty.

- A może kawy?

- Bystra dziewczyna.

Kilka minut później Cade przykląkł przy Abigail i włożył kubek w jej dłoń.

- Chcesz do tego kropelkę whisky?

- Nie gniewaj się, że taka jestem... Przeraziło mnie to wszystko i tyle.

- To naturalne.

- To przecież twoja ziemia. Twój budynek. I spłonęły twoje pastwiska. To ty powinieneś być przerażony, nie ja. A ja tylko zawracam ci głowę.

- Podczas eksplozji stałaś zbyt blisko szopy, więc cię stamtąd zabrałem. Taka historia wystarczy, żeby zepsuć dzień nam obojgu.

Cade'em targały sprzeczne uczucia. Chciał pozostać, tutaj, w tym miejscu, klęczeć przed nią i patrzeć w te ogromne oczy, z minuty na minutę coraz mniej zaleźnione. Czuł tę potrzebę każdą komórką swego ciała, ale jednocześnie ciągnęło go na dwór. Chciał sprawdzić, jak sobie radzą chłopcy.

Choć, zanim poznał Abigail, zależało mu wyłącznie na ziemi i gospodarstwie.

Pochylił się i pocałował kłykcie dziewczęcej dłoni, tej, w której nie trzymała kubka z kawą. Wstał. Zerknął przez ramię.

- Idź - powiedziała. Cholera, to aż tak widać?

- Nie, wszystko w porządku. Dają sobie chłopaki radę. Są dobrzy. Ufam im.

- Idź, idź. Tu mi dobrze.

Cade pożałował, że ta rozmowa odbywa się w chwili, gdy za oknem tli się i dopala jego ziemia. Pragnął zabrać Abigail na górę, do siebie, i przegonić z jej oczu chmurność lęku. Chciał sprawić, żeby została, zapomniała o wyprowadzce z jego domu...

Lecz zamiast tego wziął do ręki kapelusz. Zmiał w palcach rondo i przestąpił z nogi na nogę.

- Muszę tam iść. Wybacz.

Abigail podniosła głowę. Na jej twarzy zagościł uśmiech. Serce Cade'a zabiło mocniej.

Siedziała w jego fotelu, owinięta szalem z afgańskiej wełny, z nieśmiałym uśmiechem w oczach. Rozczulająca i wzruszająca. W brzuchu Cade'a zatrzepotały motyle.

Bądź czujna! Ostatni centymetr karczka bywa zwodniczy.

Możesz mierzyć i mierzyć, ciągle od nowa, a i tak zawsze będzie brakowało paru rzędków do końca. Aż nagle okaże się, że przesadziłaś.

E.C.

Minęło kilka dni, ale Abigail ani razu nie natknęła się na Cade'a. Dziwna atmosfera, ta sama, która dzieliła ich przed pożarem, wciąż wisiała w powietrzu. Była jak rozwieszona wokół domu szara draperia. Abigail śniła o nim po nocach. Kiedyś w takim śnie nawet ją pocałował, a ona się obudziła, czując jeszcze na policzku jego usta. Ale w sypialni panowała ciemność, a ona była w niej sama.

Dziś rano wrażenie czyjejs obecności stało się niemal namacalne. Abigail wydawało się, że ktoś stanął przy jej łóżku i dotknął policzka. Nie, to na pewno sen! Zmusiła się do otwarcia oczu. Nikogo. A za oknem śladu półciązarówki...

Gdzie on jest? Abigail próbowała o tym nie myśleć, wmawiała sobie, że nic jej to nie obchodzi. Wyglądało na to, że mężczyzna zapadł się pod ziemię. Nocą wprawdzie słyszała z jego pokoju skrzypienie drewnianej

podłogi; dźwięk przenosił się po deskach. Jednak w kuchni nie natykała się na jakiegokolwiek ślady - ani na kubki po kawie, ani na porozstawiane na kredensie szklanki. Salon zaś ział pustką nawet w godzinach należących do Cade'a.

Abigail wiedziała, że Cade musi być zapracowany, bo jego półciężarówka nawet przez chwilę nie stała zaparkowana w pobliżu stajni. Pewnego popołudnia udało jej się nawet zauważyć, jak jej gospodarz wyjeżdża na wzgórze, tam gdzie kiedyś ona tropiła alpaka.

Od jakiegoś czasu Abigail miała trudności ze złapaniem właściwego rytmu snu. Zdarzało się jej budzić w środku nocy i wyteżać słuch, aby pochwycić najlżejszy dźwięk z pokoju Cade'a lub z dołu.

Miała wrażenie, że jej sny składają się z krótkich drzemek. Zасыpanie też nie szło jej najlepiej.

Więc dzisiaj, chociaż nie minęła jeszcze dziesiąta rano, Abigail już ziewała. I to po dwóch filiżankach kawy. Nie, wcale nie przesiadywała w kuchni. Po prostu nie śpieszyła się z piciem.

Cade się nie pojawił. Ani w poszukiwaniu kawy, ani niczego innego.

Abigail naprawdę nie próbowała go unikać. Wręcz przeciwnie.

Wstała niechętnie i umyła kubek. Stopa wciąż ją bolała, ale nie musiała już nosić ortezy, którą zakładała tylko przez kilka pierwszych dni po kontuzji. I dzięki Bogu, bo trudno było wytrzymać jej skrzypienie i ocieranie się o skórę.

Abigail spojrzała przez okno. Chyba po raz setny w tym tygodniu. Ani śladu dymu, który układał się w trawie tamtego ranka. Ani śladu plamki na błękitnie nieba. Ani śladu Cade'a.

Ostatnio w zachowaniu Abigail nastąpiła zmiana. Co do tego nie było wątpliwości. Wprawdzie dziewczyna nie odzwyczaiła się jeszcze od wyglądania przez okno, ale teraz szukała za nim czegoś zupełnie innego. Podczas rocznego związku z Samuelem najpierw spoglądała radośnie, sprawdzając, czy już przyjechał. Zazwyczaj z pąsowymi różami w dłoni; w domu Abigail wazy i wazony z kwiatami zajmowały każde możliwe miejsce. Kiedy zaś zrobiło się bardzo nieciekawie, patrzyła w szybę z lękiem, przerażona, że zobaczy stojącego pod latarnią czarnego suwa z grającym silnikiem.

Teraz jednak zerkała na świat z nadzieją. A może nawet z tęsknotą. Za brudną, poobijaną półcieżarówką, za idącym w stronę domu Cade'em. Długonogim, w wygodnych roboczych ciuchach.

Abigail wyciągnęła szyję nad zlewem, w kierunku okna, by poszerzyć pole widzenia. Z kranu ciurkała gorąca woda, lała się na kubek i jej dłonie.

Nic.

Kuchnia Cade'a. Woda, wciąż niezakręcona, już letnia. Ziemia za oknem, na którą tak bezmyślnie gapi się Abigail, jest teraz jej domem.

Dziewczyna poczuła wzbierającą falę wdzięczności dla losu. Dom. Bezpieczeństwo.

I tylko jedna dziwna rzecz. Coś, z czym nie czuje się komfortowo. Fakt, że Cade niewątpliwie próbuje schodzić jej z drogi, stara się być niewidzialny. Czy tylko dlatego, że się ze sobą przespali?

Podczas tamtej nocy, spędzonej na pasjonującym seksie?

No cóż, uniki unikami, ale dziś akurat był dzień, w którym Abigail nie chciała się natknąć na swojego gospodarza. Albo inaczej: nie chciała, aby plątał się jej pod nogami.

Po południu zaplanowała u siebie małe przyjęcie. Uległa naciskom Janet.

- Musisz tu zrobić niewielką fetę. Na dobry początek, słoneczko. Maleńką.

- Fetę? Tutaj?

- Musisz coś urządzić. Cały czas dostaję mejle i odbieram telefony.

- Dlaczego ty? I na jaki temat?

- Kochanie, powinnaś raz na jakiś czas sprawdzać swoją pocztę i błoga. W tym roku zawojujesz rynek wełny i włóczki. Dom Elizy Carpenter otworzy swoje podwoje! Zapraszamy w odwiedziny! Ale nie tylko po to, by obejrzeć ten uroczy zakątek. Na miejscu znajdziecie panie sklep z przedzą i będziecie mogły wziąć udział w kursach robótek. Właścicielka domu pisze książki dziewiarskie, podtrzymując zapoczątkowaną przez Elizę tradycję. Dziewczyny po prostu oszalały na twoim punkcie, kochana!

- To przecież tak niewiele. A moja chatka jest mała i położona z dala od cywilizacji. Myślisz, że ktoś przyjedzie?

- Przyjadą, przyjadą. Teraz i w przyszłości.

- Ale tu jeszcze niczego nie ma! Nie wszystko stoi na swoim miejscu.

- Fanki pomogą ci we wszystkim. Zrób tylko uroczyste otwarcie, a one na pewno dopracują szczegóły przedsięwzięcia.

- Nie mogę prosić potencjalnych klientek o ustawianie mebli w sklepie...

Janet tylko uniosła brew, a później wyjęła telefon komórkowy i zaczęła dzwonić.

Tydzień później Abigail był już gotowa. Podejrzewała, że w domku Elizy w większości zjawiają się kobiety.

I zaczną się spełniać marzenia. Co sobie pomyśli Cade?

Fakt, że nie mogła tak po prostu wyrzucić go z pamięci i nie myśleć o nim przez dłużej niż pięć minut, można było od biedy wyjaśnić požądaniem. Bóg jej świadkiem, że przespania się z nim tamtej nocy nie miała w planach, ale co z tego, skoro teraz jej ciało tęskniło za bliskością? Nie za bliskością w ogóle, lecz za bliskością Cade'a. Ale to chyba nic dziwnego?

Bo to, co przeżyła z Cade'em, wpisywało się na jej listę najbardziej niesamowitych doświadczeń. Abigail od dawna wiedziała, że seks jest dobry i sprzyja zdrowiu. W przeszłości dość regularnie chodziła na randki i zakochiwała się w miłych i sympatycznych mężczyznach, którzy dobrze ją traktowali i szanowali za inteligencję. Przynajmniej do czasu Samuela. Ale to był wyjątek potwierdzający regułę.

Trzeba jednak wziąć pod uwagę, że Cade nie miał bladego pojęcia o jej książkach i nigdy nie przeczytał żadnego z jej artykułów. A nawet gdyby, to ich tematyka i tak by go nie zainteresowała. Nigdy nie widział ani jednego z jej wzorów i projektów. Nie obchodziło go, jak długo trwa tworzenie czegoś od zera. Nie obchodziło, ile potu i troski kosztuje projekt i odwzorowanie go w przedzy. Jak choćby ten sweter, który ona właśnie kończy... Cade nie ma pojęcia, ile czasu zabrało Abigail zaprojektowanie linii podkroju szyi. Nie wie również, że sweter na takim facecie jak on wyglądałby fantastycznie. Oczywiście, gdyby był robiony dla niego, a nie z myślą o następnej książce...

Abigail wytarła do sucha kubek po kawie i i odstawiła go do szafki.

Głupio się zakochała. Jak pensjonarka.

A jednak to uczucie było czymś więcej. Choć Abigail nie chciała się do tego przyznać. Nawet przed sobą.

No, dosyć już tych rozważań. Dziewczyna gwizdnęła na Clare i ruszyła do siebie. Czas pomyśleć, jak wykorzystać wolontariuszki. Może do rozpakowania reszty pudeł i ułożenia zawartości na półkach? Tutaj suka na pewno okaże się pomocna. Zawsze świetnie się sprawdza w sytuacjach, gdy trzeba coś rozerwać na strzępy...

Abigail otworzyła drzwi na oścież. Teraz, kiedy życie zapewne zmusi ją do zamykania drzwi na klucz, swobodne wchodzenie i wychodzenie sprawiało jej przyjemność. Do siebie i do domu Cade'a. Kiedy tylko nachodziła ją ochota.

Otwarcie sklepu było równoznaczne ze spełnieniem marzeń. Abigail z radością rozglądała się po wnętrzu. W ubiegłym tygodniu przyjechały meble. Wprawdzie ich zakup naruszył skromne oszczędności, ale było warto. W pomieszczeniu dominowała teraz czerwona sofa, z czterema miękkimi, ciemnobrązowymi fotelami po bokach. Trzy wysokie lampy podłogowe dawały dobre, miękko rozproszone światło. Abigail pomalowała ściany na jasnożółty, maślany kolor, zdecydowanie ocieplający pomieszczenie, lecz jednocześnie neutralny. Na jego tle kolory przędzy, którą zręczne palce zamieniają we włóczkę, wyglądały bardzo naturalnie.

Wzdłuż ścian stały ciemnobrązowe półki na książki, które Abigail samodzielnie oszlifowała i polakierowała, a na nich posegregowane kaszmir, alpaka i angora, starannie ułożone w kolorowych motkach. Wełna owcza również została posortowana, odpowiednio do ras: Blue-Faced Leicester, Corriedale, Jacob, Polwarth.

Drukarnia w mieście uwinęła się z niestandardowym zleceniem w trymiga: na długich, papierowych

opaskach owijających motki - po dwa, po cztery i po osiem - umieszczone zostało imię Elizy.

Cały parter małego domku zajmowały teraz kosze wypełnione workami z wełną. Znajdowało się w nich również surowe runo, prosto po strzyży, wyprane, ale jeszcze niewyczesane.

Obok koszy stały niskie stołeczki, na których można było przysiąść i poprzebierać w motkach. Lub przesunąć je tam, gdzie się chciało usiąść, jeżeli nie wystarczało miejsca na sofie i na fotelach.

Abigail miała nadzieje, że nadejdzie czas, kiedy dodatkowe miejsca do siedzenia okażą się niezbędne.

Na razie ustawiła w głębi pomieszczenia długi, niski stół i postanowiła, że będzie korzystać ze staromodnej kasy, dzwoniącej po każdej transakcji, a sprzedaż i zamówienia zapisywać w księdze rachunkowej wydrukowanej specjalnie do tego celu w roku 1957. Pewnego dnia zapewne sprawi sobie komputer, ale na razie ręczna księgowość zdawała się lepiej korespondować z duchem przedsięwzięcia i kultywowaną przez Elizę tradycją.

Na zewnątrz, na niskim okapie frontowej werandy Abigail zawiesiła szyld, a w drzwiach prowadzących do kuchni zasłonę z czerwonego welwetu. Zaplanowała dla swoich uczennic lekkie przekąski: jakiś dobrej jakości ser, bułeczki drożdżowe i małe kanapki. Taki poczęstunek w brytyjskim stylu.

Dziewczyna uśmiechnęła się do Clary, która odwzajemniła się jej tym samym, dysząc przy okazji z jęzorem wywalonym na świat za frontowymi drzwiami.

Toaleta, po dość długiej i drogiej wizycie hydraulika imieniem Don, działała, w pełni sprawny był również prysznic. Abigail pomalowała swój pokój na górze w tym samym czasie, co ściany na dole. Wybrała odcień

zółci przypominający jesienne słońce. Wraz z innymi meblami przyjechało łóżko, a faceci, którzy je przywieźli, złożyli je na miejscu. Stało teraz na samym środku przeszklonej kopuły, otoczone widokiem doliny, drzew, owiec, nieba i wstążki oceanu w oddali. Biurko znalazło swe miejsce przy oknie wychodzącym na dom Cade'a. Gdy tylko Abigail zdała sobie sprawę, że jest tak samo dobrze widoczna jak druga strona, natychmiast zawiesiła w nim zasłony.

Wtedy nie chciała być podpatrywana, ale teraz nie była już tego taka pewna. Może jednak wołała, by Cade oglądał ją bez trudu? Może.

Znów te śmieszne uderzenia serca, nierówne, synko-powane. Nękające przez cały dzień.

Praca. Jest robota do zrobienia. Abigail miała wrażenie, że stos pudeł z przedzą nie maleje. Książki w stertach i walające się wszędzie druty dopiero miała zamiar poukładać sensownie.

Za organizację przyjęcia odpowiadała Janet. Zadaniem gospodyni jest powitanie gości.

Zadowolona z postępów Abigail usiadła przed domem i uśmiechając się do siebie, patrzyła w słońce. Przyglądała się, jak Clara, rzucając łbem na lewo i prawo, rozdziera puste kartony.

Podjechała półciężarówka Toma.

Mężczyzna wychylił się przez otwarte okno i ujął w dwa palce rondo kowbojskiego kapelusza. Ten ruch był jak kadr z filmu o Dzikim Zachodzie, ale Tom zapewne nie miał o tym pojęcia. A może tak się tylko Abigail wydawało?

- Śliczny piesek.

Gwizdnął na Clare, a ona odwróciła łeb w jego kierunku. Tom zaszczekał, a uszczęśliwiona sunia

odpowiedziała tym samym. Zatańczyła w kółko i powróciła do tarmoszenia pudeł. -Ja myślę!

- Dobrze, że ją przygarnęłaś.

- Zaczynam podejrzewać, że jeszcze lepszym uczynkiem było odebranie Mortowi alpak...

- Przyznaję, chrześcijańskim. Niewielu byłoby na to stać.

O co mu chodzi? Nieczęsto ucinali sobie takie pogawędki. Kilka razy Abigail widziała Toma przejeżdżającego obok jej domu, ale zazwyczaj kończyło się na przelotnym dotknięciu dłonią skraju kapelusza i uśmiechu.

- O co chodzi, Tom? Masz jakąś sprawę?

- Nie, tak tylko przyjechałem. Przywitać się i zobaczyć, jak ci leci. No właśnie! Twoja noga! Jak tam twoja noga? Właśnie o tym chciałem porozmawiać.

Aha. Już wiadomo, co jest grane.

- Z nogą wszystko w porządku. Po bólu. Ale może zainteresuje cię, że niedługo przyjeżdża tu moja koleżanka Janet?

- Naprawdę? Dzisiaj?

- Chyba przypadliście sobie do gustu. Wtedy, tamtego dnia? - Abigail nie mogła powstrzymać uśmiechu na widok miny Toma. Mieszanki entuzjazmu i męskiej dumy.

- Chyba tak. Tak sądzę. Ale to było parę tygodni temu. Czy ona coś mówiła?

- Tylko tyle, że jesteś bardzo przystojnym mężczyzną.

- Tak powiedziała?

- Nieraz. A ona nie rzuca słów na wiatr.

- Założę się, że facetów ma na pęczki. - I wcale się nie mylisz. Tom wyraźnie się przeraził.

- Nie, nie to chciałam powiedzieć - poprawiła się Abigail. - Wiesz, ona zna mnóstwo osób. Oczywiście, mężczyzn też... Ale spodobała się jej naprawdę.

Brzmiało to coraz gorzej. Jeszcze jedna próba.

- Janet na pewno by się ucieszyła, gdybyś wpadł trochę później. Będzie tu małe przyjęcie. Przyjedzie kilka osób, które pomogą przy sklepie. Janet na pewno byłaby zadowolona z twojej pomocy.

- Dlaczego nie? - odparł.

- Jest tu gdzieś Cade? - Abigail wreszcie zebrała się na odwagę.

- To znaczy?

- Dawno go nie widziałam.

- W domu też nie? -Nie.

- Hm. Mam mu powiedzieć, że go szukasz?

- Nie. W porządku. Jeżeli będę go potrzebować, sama go wytropię.

Kiedy Tom odjeżdżał, machając ręką przez otwarte okno samochodu, Abigail próbowała sobie przypomnieć, do czego właściwie Cade jest jej potrzebny. Nie, nie będzie go tropić.

Śmieszne. Ale czy jego męska duma ucierpiałaby, gdyby to on jej poszukał? Tak troszeczkę?

Abigail odwróciła głowę i popatrzyła na Clare. I ani razu nie odwróciła wzroku w kierunku podjazdu. Nie spojrzała nawet kątem oka.

Rozdział 26

Manipulując drutami, bądź ostrożna. To przedmioty magiczne. Jeśli będziesz nieuważna, już do ciebie nie wrócą. Albo skończy się tym, że zrobisz komuś krzywdę.

E.C.

Sześć godzin później towarzystwo było wykończone.

Kobiety siedziały w salonie Cade'a. Niektóre na przyniesionych z jadalni dodatkowych krzesłach, inne na oparciach sofy, przeróżnych poduszkach i pufach. Niejaka Gail usiadła na wyszywanym stołku przy pianinie; wierciła się na nim niespokojnie, nie mogąc się nadziwić rzemieślniczej maestrii wykonania detali.

Abigail musiała przyznać, że to było naprawdę coś. Te kobiety rzeczywiście były gotowe zrobić wiele, by uczcić pamięć nieobecnej. By uhonorować tę, której właściwie nigdy nie poznały.

A ile one potrafiły! Abigail nie była w stanie powiedzieć, czym kierowała się Janet przy doborze gości, ale z całego kontynentu przyjechały tu kobiety piszące o robieniu na drutach. Jedna z Nowego Jorku, jedna z Boulder, dwie z Toronto. Abigail знаła większość z nich i uważała je za przyjaciółki (w końcu spotykały

się na zjazdach rzemieślniczych i na targach książek), czytała ich błogi, ale nigdy nie spędziła z nimi aż tyle czasu. Zjawilo się również dziesięć lub jedenaście kobiet mieszkających na Zachodnim Wybrzeżu. Te wyglądały na takie, które nie opuszczają ani jednego wydarzenia związanego z przędzą i bywają na wszystkich spotkaniach latających na drutach czarownic na zachód od Missisipi.

Podczas wyciągania przędzy z pierwszego pudła, które otworzyła tego dnia, kobieta imieniem Sara miała łzy w oczach.

- To wszystko pakowała Eliza. Własnoręcznie... Abigail spojrzała na metkę i zorientowała się, że pudło zostało przysłane wprost od dystrybutora.

- Raczej wybierała zawartość. Sara spojrzała niechętnie.

- Ja to wiem. Tu czuć jej rękę - syknęła.

Abigail i Janet wymieniły spojrzenia. Nawet zjazd miłośników „Star Treka” przebiegałby w mniej dziwacznej atmosferze, a już na pewno mniej obsesyjnej niż ten improwizowany sabat. Mimo to Abigail była zadowolona, że znajduje się w centrum wydarzeń, i czuła się zaszczycona obecnością gości.

Jednocześnie bała się i nie mogła opanować paniki.

Teraz jednak było już znacznie lepiej. Kobiety siedziały razem w salonie, każda z nich robiła na drutach albo przędła wełnę; niektóre na małych, przenośnych kołowrotkach, inne na ręcznych wrzecionach. Janet dokonała cudu: pod ścianami pokoju stały stoliczki, a na nich pyszne dania, niewielkie, delikatne przekąski i desery. Niewysoka, pulchna kobieta o różowych policzkach krążyła dokoła z butelką schłodzonego szampana.

Abigail czuła, że z każdym kolejnym łykiem bąbelków coraz bardziej różowieją jej policzki. Jeżeli ma wygłosić mowę, powinna to zrobić teraz.

Wstała i odczekała chwilę. Wokół zrobiło się cicho, jak makiem zasiał, ale ta cisza sprawiła, że gospodyni przyjęcia nie mogła wydusić z siebie słowa. Ustał szczeł drutów, kołowrotki zatrzymały się w pół ruchu.

- Moje panie, proponuję toast. - Abigail uniosła kieliszek. - W jedno krótkie popołudnie dokonaliście tu rewolucji. A ja zobaczyłam światelko w tunelu. Rozpakowywaliście wszystko i układałyście, myśliście i czyściliście tak długo, aż przestałam poznawać mój dom. Ktoś nawet dokładnie wyszorował łazienkę do połysku. - Brunetka trzymająca w dłoni talerzyk z sernikiem uśmiechnęła się i skinęła głową. - Ktoś inny kuchnię. Sprawiliście, że teraz naprawdę potrafię sobie wyobrazić, iż w moim własnym domku przygotowuję jedzenie, zmywam naczynia i... Już sama nie wiem, co jeszcze. Coś gotuję.

Rozległ się cichy śmiech.

- Ale przede wszystkim robię na drutach. A wy tu jesteście, bo również kochacie robótki. Przyjechałyście tutaj, bo kochałyście Elizę i ogarnęła was radość na myśl o moim projekcie albo dlatego, że skądś mnie znacie, choćby dzięki moim książkom... Albo kiedyś się spotkałyśmy, albo chcecie zrobić przyjemność mojej przyjaciółce Janet. Rozumiem to doskonale.

Janet puściła oko.

- Prawdę mówiąc, chciałabym wam po prostu podziękować. Zarówno za waszą wiedzę, którą dzisiaj przyswoiłam, jak i za to, że są w naszej społeczności osoby, które kibicują mojemu marzeniu.

Abigail uśmiechnęła się, nagle podenerwowana i niepewna. Kimże ona w końcu jest? Co ją uprawnia do tych podziękowań?

- A wszystko to dzięki Elizie. Ja dzięki niej projektuję i piszę, a i wy znalazłyście się tutaj z jej powodu.

Abigail rozejrzała się powoli. Popatrzyła zgromadzonym w oczy.

- Za Elizę.

- Za Elizę - powiedziały jednym głosem kobiety w salonie.

Po policzku Abigail spłynęła łza.

- Za Elizę - usłyszała za sobą głęboki głos.

- O! - Abigail nie wiedziała, że przyjedzie ktoś jeszcze. W przeciwnym razie nie stałaby w drzwiach i nie blokowała przejścia.

- Pięknie powiedziane - odezwała się przybyła. - Tylko kim jest Eliza? Czy to któraś z was?

Kobieta wyglądała jak prawdziwa seksbomba. Blond włosy upięte wysoko w kok a la lata czterdzieste. Mnóstwo loków i zwojów trzymających się prawdopodobnie dzięki sprytnemu systemowi wsuwek.

Jej makijaż przypominał Abigail stewardesę z plakatu z czasów drugiej wojny światowej: ciemne brwi, ciężkie powieki, głęboka czerwień szminki, jasna skóra i różowe policzki. Nieznajoma nosiła czerwony sweter (czyżby kaszmir?), czarną bluzkę ze sporym dekoltem i obcisłą, czerwoną spódniczkę. Pod pachą dzierżyła czerwoną torebkę, na oko bardzo drogą. Całości dopełniały solidne pantofelki na bardzo wysokim obcasie.

- Hm, raczej nie - odparła Abigail. Za jej plecami rozległ się szmer.

- To fatalnie. Bo ta przemowa na jej cześć robiła wrażenie.

Kobieta mówiła niskim głosem na granicy szeptu. Wspaniały, zmysłowy głos.

Oczywiście, pomyślała Abigail.

- Bo Eliza była kimś niezwykłym. - Wyciągnęła dłoń. - Abigail.

- Ach, to ty! Spodziewałam się kogoś starszego. Chyba. Z powodu robótek, wiesz. - Abigail nie wiedziała, co odpowiedzieć. - Widzę, że zgromadziłaś tu mnóstwo znajomych. A każda z konstruktywną robotą w rękach. - Uśmiechnęła się jasnym, wypolerowanym uśmiechem.

Abigail miała ochotę ją zdzielić. Kto to w ogóle jest? Za plecami intruza pojawił się Cade.

- O, Betty, widzę, że już poznałaś moją... hm, współlokatorkę.

- Z twoich opowieści wynikało, że jest starsza. A jest ładniutka. I młoda! - Betty zachichotała i spojrzała na Abigail, jakby sądziła, że ją również rozbawi ten żart.

- Abigail. - Uśmiech Cade'a był uprzejmy i zdawkowy. W porządku. Jeśli tak chciał to rozegrać, Abigail podejmie wyzwanie.

- Miło mi, że mogliście przyjść na przyjęcie z okazji wielkiego otwarcia - powiedziała słodko. - Popatrzcie tylko, jak tu ładnie. To zasługa Janet. Nie mam pojęcia, skąd wytrzasnęła catering, ale jedzenie jest wyśmienite. Kochanie, musisz spróbować tych nadziewanych grzybów. Może kieliszek szampana? W końcu świętujemy!

Betty skinęła głową i ruszyła w kierunku stołu.

- Wydajesz przyjęcie. Tutaj. W moim domu. Z okazji otwarcia twojego sklepu.

-Tak.

- No, to masz czelność.

Oczy Cade'a, z których zupełnie znikła zieleń, były teraz ciemnobrązowe. Gdyby to tylko było możliwe, miotałyby błyskawice.

Abigail była jednak osobliwie ubawiona sytuacją. Wściekłość Cade'a prowokowała do przekomarzanek. Okazało się, że wcale nie jest jej tak bardzo przykro. A skoro on tak długo ją ignorował, unikając na każdym kroku, niech teraz ma za swoje.

- Chciałam cię zaprosić, jeśli to masz na myśli. Ale sądziłam, że jeśli przyczepię karteczkę do lodówki, zaproszenie będzie zbyt chłodne. Och, sorry za tę grę słów.

- Uśmiechnęła się lekko i wypła łyk szampana. - Czekałam, żeby wręczyć ci je osobiście, ale przez minione dwa tygodnie jakoś nie miałam okazji cię widywać...

Twarz Betty wykrzywiła się w grymasie, trudno orzec, niepokoju czy niepewności.

- A tak, Cade coś wspominał. Podobno spadłaś z drzewa podczas wspinaczki. I podobno zachowujesz się jak dziecko. Ja podobnie, wiesz? Na przykład kiedy przebywam z moją siostrzenicą... Uwielbiamy kolorowanki. Wiesz? No tak... Hm. - Betty przerwała i zapatrzyła się na rząd kieliszków z szampanem.

- No tak - odparła Abigail, nie wiedząc, co powiedzieć. Cade wciąż nie raczył wspomnieć, gdzie się podzie-

wał. I choć to nie była jej sprawa, Abigail miała w głowie mętlik. Czyżby powód jego nieobecności stał tuż przed nią i opowiadał coś o kolorowaniu książeczek?

- Mam świetny pomysł - powiedział Cade. Abigail ledwie rozpoznała jego głos pod grubą warstwą fałszu.

- Betty, zostań na przyjęciu, a ja pójdę na górę i zmienię ciuchy. Poudzielaj się trochę towarzysko. Na pewno ci się spodoba. Jestem pewien, że Abigail nie ma nic przeciwko temu.

Zanim Abigail miała szansę odpowiedzieć, odwrócił się na pięcie i ruszył w kierunku schodów.

Zamrugła więc tylko kilka razy i uśmiechnęła się do gościa.

- Oczywiście. Szampana?

Betty, chyba nieświadoma swej roli albo świetna aktorka, doskonale ukrywała zmieszanie.

- Z ogromną przyjemnością. Po szampanie zawsze chce mi się chichotać.

Oczywiście! Abigail, napełniając kieliszek, wzniosła oczy ku niebu.

Przeszły w głąb salonu, gdzie została dokonana zdawkowa prezentacja.

- Słuchajcie, moje panie, to jest Betty. Betty... - Abigail powiodła dłonią dokoła. - To są wszyscy.

Rozległy się chóralne pozdrowienia i powitania. Niezawodna Janet pośpieszyła z pomocą.

- Kochaniutka, jaki masz śliczny sweterek! Wyglądasz jak dziewczyna z plakatu sprzed lat!

Abigail zazgrzytała zębami, bo Betty uśmiechnęła się i z gracją ruszyła przez pokój. Oczywiście wdzięczna za komplement. Jak wszyscy płytki ludzie. To ich typowa cecha, czyż nie? Tak jak dla konia wysokość w kłębie.

Janet wstała z fotela i przedstawiła się uprzejmie.

- Przędziesz wełnę? Robisz na drutach? - zapytała.

- Ani jedno, ani drugie. Nie jestem za dobra w te klocki. Nie mam do tego cierpliwości.

- Nonsens. Też tak mówiłam, zanim nie poznałam Elizy. A teraz nie wyobrażam sobie dnia bez robótki.

- Kim jest Eliza, powiedzcie mi, proszę. Cade coś o niej wspominał. Będzie tu dzisiaj?

- Gdyby się pojawiła - rzuciła Abigail - wszystkie z wrzaskiem wybiegłybyśmy z domu.

Janet rzuciła jej krzywe spojrzenie.

- Eliza zmarła niedawno, pozostawiając nas w nieutulonym żalu... Przyszłaś tu z Cade'em? Teraz już rozumiem, dlaczego nie masz w rękach włóczki. Koniecznie trzeba naprawić ten błąd. Chodź, usiądź tutaj.

Janet przysiadła na kanapie tuż obok Betty i umieściła w jej dłoniach wrzeciono.

Abigail w duchu była całkiem zadowolona. To właśnie chciała zobaczyć. Swego czasu nie miała pojęcia, jak prząść na wrzecionie, dopóki nie połąpała się, jak działa kołowrotek. Dopiero wtedy w ruchach dłoni odnalazła jakiś sens.

Przyglądała się, jak Betty, naśladując ruchy dłoni Janet, kopiuje je, bawi się nimi, kręci wrzecionem, puszcza nić w dół i w górę... Opanowała ten ruch. Oto zbliża się wielka chwila! Wrzeciono zaraz uderzy o ziemię, Betty krzyknie albo wyda z siebie jakiś inny dziki dźwięk i wszystko znów będzie dobrze...

Skąd u mnie taka podłość?, zastanowiła się przelotnie Abigail.

Od chwili, kiedy Cade wprowadził do domu tę dziewczynę, odpowiedziała sobie w duchu.

Czekała. Jeszcze chwila. Za moment uprzedzona nitka się zerwie, a dziewczyna się zniechęci. To oczywiste.

Jeszcze sekunda.

Nic się nie stało. Tylko kobiety w salonie przerwały to, co akurat robiły, i przyglądały się zaimprovizowanej lekcji.

- Patrzcie tylko!
- To jej pierwszy raz.
- Nie wierzę!
- Świetnie jej idzie.
- Jak cienko przedzie!

- Samorodny talent!

Betty uśmiechnęła się do Abigail przez całą długość salonu uśmiechem tak szczerym i szczęśliwym, że gospodyni zrobiło się głupio z poczucia winy.

- Patrzcie tylko, co ja robię! Przędę!

Abigail odpowiedziała uśmiechem i podeszła kilka kroków. Przecież w tym, że to biedactwo trafiło na Cade'a, przystojnego, dobrze sytuowanego kawalera, nie było ani grama jej winy. Kto nie chciałby umawiać się z nim na randki? Mieszkać z nim? Być w nim zakochanym?

Abigail sięgnęła ku najbliższemu krzesłu i wsparła się na nim, bo nagle zakręciło się jej w głowie.

- Skarbie, czy wszystko w porządku? Za długo stałaś. Chodź, usiądź tu przy nas.

Janet usunęła się nieco i Abigail wylądowała ściśnięta między nią a Betty.

To chyba pokuta. Taki los.

Nie, przecież Abigail wcale nie była zakochana. To śmieszne. Spróbowała wypchnąć z głowy tę niechcianą myśl.

To na pewno wina szampana.

Najlepsza na rozterki będzie rozmowa z dziewczyną Cade'a.

- Więc długo ze sobą chodzicie?

- Dopiero od paru dni - odparła Betty, kręcąc wrzecionem jak doświadczona prządka i splatając nitkę idealną. - Ale idzie nam świetnie. I szybko do przodu.

- Nie mów.

- Jestem bardzo zadowolona, że mnie do siebie zaprosił. Przecież dla farmera nie ma nic ważniejszego niż ziemia, prawda?

- Tak mówią. Podobno boli go utrata każdego kawałka.

- No, chyba tak. Aha! Mówił mi o tym domku. Tak, jest z tego powodu dosyć wściekły.

- Naprawdę? - Abigail zadała pytanie głosem bez krztyny ciepła, ale Betty chyba nie zrozumiała sarkazmu.

- Tak, chyba tak. Ale myślę, że mu przejdzie. Bo w głębi duszy on bardzo cię lubi.

- Ale tylko w głębi duszy.

- No wiesz... Wiem tyle, ile mi chciał powiedzieć. Raczej niewiele mógł z siebie wykrztusić. A to chyba znaczy, że lubi cię naprawdę.

- Tak, na pewno. A lubiłby jeszcze bardziej, jeśliby mnie spalono na stosie albo ukamienowano. A już najbardziej podobałabym mu się na dnie jeziora.

- Nie mów tak! On tylko nie chce tego sklepu na swojej ziemi. Ale ja myślę... - Betty nachyliła się konspiracyjnie. - Myślę, że mogłabyś coś zrobić, żeby zmienił zdanie.

- Ale co? - Abigail upiła łyk szampana. Pod koniec przyjęcia będzie miała mocno w czubie, ale może warto.

- Mogłabyś sprzedawać w swoim sklepie... No wiesz, takie rzeczy dla krów.

-Aha.

- No i dla koni.

- Nie bardzo widzę związek.

- To by mu się spodobało.

- Ale on hoduje owce, nie krowy.

- No dobrze, w takim razie takie rzeczy dla owiec. I dla koni, przecież ma kilka. Więc tylko pomyśl: gdybyś miała wszystko, czego mu potrzeba, tu, na farmie, tuż pod jego nosem, gdzie może sobie przejść przez podwórze i kupić potrzebne zgrzebła czy pigułki... Nie mógłby się dłużej stawiać.

- Ale ja otwieram sklep z przedzą. I uruchamiam kursy. Będę prowadzić zajęcia.

- Mogłabyś mieć w sklepie siodła.

- Obok włóczki?

- To byłoby urocze! A jak się to nazywa? To po strzyżeniu owiec?

- Runo.

- Runo! No właśnie. No więc przedza i runo. Razem. Mogłabyś nazwać ten sklep... Hm... „Owce runo"! Bardzo mi się podoba. Świetna nazwa.

Abigail otworzyła szeroko oczy. Spojrzała na Janet i nie mogła dłużej powstrzymać śmiechu.

- To niezły pomysł - upierała się Betty. - Nie śmiej się. Abigail chichotała już jak oszalała.

Janet, jak zawsze taktowna, skinęła głową.

- Rzeczywiście niezwykła nazwa - potwierdziła. - Być może jednak Abigail nie o to dokładnie chodziło... Ona naprawdę bardzo dba, żeby siano i inne rośliny nie zanieczyszczały jej przedzy. Ale ty naprawdę jesteś urocza, wiesz?

Pozostałe kobiety zgodziły się z tą opinią i powróciły do zachwyty nad prząsniczymi zdolnościami Betty. „W tym tempie przed końcem wieczoru uprzedzie dość na całą skarpetkę!”. „Rzeczywiście, typowy samorodek!”.

- Albo udaje.

- Na pewno nigdy tego nie robiłaś? - zapytała Abigail. Betty zaśmiała się i pokręciła głową.

- Nigdy. Ale dobra w tym jestem, co?

Abigail zacisnęła usta w cienką linię i skinęła głową. To głupie. Skąd ta zazdrość?

Nie było czego zazdrościć. Betty i Cade po prostu do siebie nie pasowali. On tylko z nią sypiał, jak z połową kobiet w miasteczku. O ile wierzyć plotkom.

Więc Betty potrafi prząść na wrzecionie. Ale zbyt bystra nie jest. To widać.

- Powinnaś się nauczyć robienia na drutach, Betty. Nie zajmie ci to zbyt wiele czasu.

- Na pewno. Mam zręczne dłonie. Wszyscy tak mówią.

- Niech zgadnę... - Wtrąciła się Abigail. - Zajmujesz się masażem terapeutycznym?

Betty zachichotała.

- Nie. Uczę matematyki. Ale kiedy zagniatam ciasto i ozdabiam je ręcznie przed włożeniem do piekarnika, wszyscy się zachwycają. Mówią, że wiem, co robię. - Wzruszyła ramionami.

- Jesteś nauczycielką matematyki? A gdzie? Proszę, powiedz, że w podstawówce albo w gimnazjum!

- Na Uniwersytecie Kalifornijskim. Mam doktorat z matematyki stosowanej ze specjalnością analiza numeryczna równań różniczkowych cząstkowych. Ale i tak najbardziej lubię zajęcia na pierwszym roku, z wprowadzenia do arytmetyki. Pierwszorocznicy są tacy pełni zapału!

To było straszne.

- Wiem, wiem, wyglądam jak stewardesa. Wszyscy mi to mówią.

Abigail skinęła głową i podniosła robótkę z kolan. Nie potrafiła uwierzyć, że siedziała tu przez cały czas z pustymi rękami. I na dodatek tak długo. Robienie na drutach to zbawienna terapia. Od zawsze. Przez wszystkie kłopoty najlepiej przejść z robótką w dłoni.

- Co robisz? - zapytała perfekcjonistka Betty.

- Sweter. Właśnie go wykańczam.

- Ale duży!

- Bo męski.
- Dla Cade'a? -Nie.
- Myślałam, że może w ramach podziękowania.
- Na pewno nie.

Betty przytrzymała wrzeciono stopą. Zupełnie tak samo jak doświadczone prządki. Boże, jak ta dziewczyna szybko się uczy!

- Mogę tu jeszcze zostać? Bo jak nie, to też w porządku. Pójdę poszukać Cade'a.

Abigail pokręciła głową.

- Bardzo cię przepraszam za moje fochy. Mam podły nastrój, a wyzywam się na tobie. Naprawdę przepraszam.

Trzeba się opanować. W takim stanie ducha trudno być w porządku wobec kogokolwiek.

- To ja namówiłam Abigail na to przyjęcie - wyjaśniła Janet. - Włazłam z butami w jej biznes i wszystko jej zburzyłam. Ona naprawdę ciężko pracuje, żeby otworzyć ten sklep. Nie przejmuj się. - Zwróciła się do Betty. - Ja bym tak zrobiła na twoim miejscu. Chociaż... - Spojrzała na Abigail. - To jakoś do ciebie niepodobne. Nie pamiętam, żebym kiedykolwiek widziała cię w złym nastroju.

- Przykro mi. Przede mną jeszcze naprawdę dużo roboty.

- Może ja się na coś przydam? - zaoferowała się Betty. - W niedzielę pracuję z bezdomnymi nad projektem poetyckim, ale w soboty jestem wolna i chętna do pomocy. Choć, niestety, akurat nie dzisiaj.

Przeurocza dziewczyna. Po raz pierwszy dzisiaj uśmiech Abigail był szczery.

- Dam sobie radę. Dziękuję. Ale będzie mi bardzo miło, jeżeli kiedyś wpadniesz. Albo zapiszesz się na jakieś zajęcia.

- Jeżeli jeszcze będę chodzić z Cade'em, to bardzo chętnie. Ale słyszałam, że on z dziewczynami jest raczej krótko.

- Jeżeli w ogóle - uściśliła Abigail. - Niezależnie od tego, jak ci się z nim ułoży, pamiętaj, musisz mnie odwiedzić. O niczym innym nie chcę słyszeć. Następnym razem dostaniesz porządny kołowrotek z nożnym napędem.

Do salonu wszedł Cade.

- Patrzcie państwo! Już cię przekabacili?

- Jestem teraz jedną z nich. Popatrz. - Betty z dumą podniosła wrzeciono.

Skinął głową z bolesciwą miną.

- Chodźmy.

- Nie chciałbyś zostać na kieliszek szampana? A ja bym jeszcze chwilę popracowała...

- Co ja mam powiedzieć? Chętnie bym się czegoś napił w swoim własnym domu, ale nie ma tu dla mnie miejsca.

- Popatrz tylko. Na ten sweter. Jest fantastyczny. Abigail, pokaż.

Abigail posłuchała niechętnie. Szkoda, że tych dwoje jeszcze nie wychodzi, temperatura imprezy od razu by opadła. Podniosła sweter, wiedząc, że przygląda się jej dwadzieścia par oczu i przysłuchuje tyle samo uszu.

Jej ostatnie dzieło było projektem autorskim. Chciała zrobić porządny, solidny, atrakcyjny męski sweter i umieścić go na wystawie. Z nitki, którą sama uprzedła poprzedniego roku z wełny owiec Rambouillet; motki ufarbowała na złotobrazowo. Później zaprojektowała tradycyjny wzór, nawiązujący do tego z Guernsey, na karczku wprowadziła kilka starych motywów. Podobał jej się ten konwencjonalny, zygzakowaty warkocz, biegnący wzdłuż ramion

i ozywiał się całości. Sweter (na wymiar pewnego znajomego Abigail z Południa) był prawie gotowy. Do linii podkroju szyi pozostało zaledwie kilkanaście rzędów.

- Popatrz - powiedziała Betty. - Mógłbyś go przymierzyć. Wprawdzie jeszcze trochę brakuje, ale nic by się nie stało. Prawda, Abigail?

- Nie, jakoś nie mam ochoty. - Cade zaczął się wycofywać rakiem z salonu.

- Właściwie to chyba by na niego nie pasował. - Abigail położyła sweter na kolanach.

- Uważam, że to przedni pomysł - wtrąciła Janet.

- Dziewczyny! - Klasnęła w dłonie. - Co wy na to? Czy ten przystojny hodowca owiec nie powinien przymierzyć guernseya?

Rozległy się chóralne zachęty (żadna ze zgromadzonych nie oszczędzała się przy szampanie i winie). Cade musiał zawrócić.

Po kilku minutach protestów spojrzął na Abigail.

- Nie wyplączemy się z tego, prawda?

- Chyba nie, kowboju.

- Ściągaj z siebie ciuchy! Ściągaj! - wołały kobiety.

- To sweter. Wkłada się go na wierzch.

- Ale, kochany, na pewno nie na to, co masz na sobie

- rzuciła Janet.

- Nie mam nic pod spodem...

Abigail nie polecałaby nikomu włożenia guernseya na kupiony w miasteczku elegancki sweterek. Cade wystroił się jak na randkę. Zauważyła to już wcześniej, jak tylko pojawił, w górze o barwie węgla drzewnego i matowych spodniach w kant. Poza tym ładnie pachniał: zapachem męskiego mydła i skóry.

To nie fair, że ona myśli o nim w ten sposób! Przecież wcale tego nie chce!

A on wcale nie musi robić striptizu. Skandowanie nie ustawało.

- Ściągaj to! Ściągaj to!

Kobieta imieniem Louise, która wcześniej nie odzywała się w ogóle, krążąc podczas sprzątanania ze wzrokiem wbitym w ziemię, stała teraz na stołku i kręciła nad głową niedokończoną skarpetką.

Inna uczestniczka przyjęcia piła szampana prosto z butelki. Poczawszy na sobie wzrok gospodyni, prychnęła bąbelkami.

Ktoś zaczął walić pięściami w stół.

Zgromadzenie w salonie na przemian to śmiało się, to wrzeszczało. Spokój zachowywali wyłącznie Cade i Abigail.

- To śmieszne - stwierdził Cade, ale sięgnął ku brzegowi sweterka.

- Absolutnie się z tobą zgadzam - potwierdziła Abigail, poprawiając dłuższe kawałki włóczki, których jeszcze nie zdążyła zrobić.

- Miejmy to już z głowy.

Cade ściągnął górę. Tłum rozhisteryzowanych kobiet nagle oszalał.

Abigail doskonale wiedziała dlaczego. Wystarczyło spojrzeć na mięśnie brzucha, ciasno ułożone pod skórą w tradycyjny sześciopak, pnące się ku górze, ku szerokiej klatce piersiowej delikatnie porośniętej kasztanowymi włosami. Pod skórą wyraziście rysowały się bicepsy i silne mięśnie naramienne.

- On wygląda jak model - stwierdziła scenicznym szeptem stojąca na stołku Louise.

- Dajże mi wreszcie ten sweter! - zniecierpliwiał się Cade.

- Ona ma rację, kochany - skomentowała Janet. - Wyglądasz jak model. I jeśli chodzi o nas, nie musisz się śpieszyć z ubieraniem...

- Czy mogę się dowiedzieć, po co ja to robię? - zapytał Cade, wciągając sweter przez głowę.

- No nie! Nie w ten sposób! Trzeba tak! - Abigail zerwała się, żeby mu pomóc. - Pod ramionami jest jeszcze nieskończony! Nie chcę, żebyś mi wszystko pozrywał.

Na pytanie Cade'a odpowiedziała Betty.

- Robisz to dla nas wszystkich. Widok ładnego ciała to sama przyjemność. Poza tym Abigail nareszcie przekona się, co jej wyszło.

Czyżby Betty sądziła, że ona, Abigail, nie ma na kim robić przymiarek? Wprawdzie ostatnio rzeczywiście nie miała, ale na pewno nie potrzebowała Cade'a w charakterze manekina na swetry. Poczwała, że pąsowieje.

Wypieki na policzkach modela doskonale współgrały z brązowożółtym odcieniem włóczki. Sweter leżał znakomicie.

Jak zrobiony na miarę.

Abigail zarzekała się, że wcale tak nie było, że zaczęła pracę jakiś miesiąc temu, mniej więcej wtedy, gdy tu przybyła, ale wełnę zabarwiła na długo przedtem.

A że znajomy z Południa miał podobny typ sylwetki? Cóż, nie jej wina. Zasadniczo Cade był jedynym mężczyzną pod ręką, więc korekta wykroju wyszła jej niejako naturalnie.

Louise siedziała teraz na stole, trzymając kieliszki w obu dłoniach.

- On nie powinien tego z siebie ściągać. Nigdy - powiedziała.

- Chyba że zaparkuje swoje kowbojskie buty pod moim łóżkiem...

Abigail nie była pewna, która z kobiet wypowiedziała te słowa, ale rozpętały one istne tornado seksualnych komentarzy i zachęt. Cade spurpurowiał i pociągnął za wycięcie przy szyi.

- Zdejmij to ze mnie.

- Nie ciągnij tak.

Uniosła brzeg swetra i podciągnęła go w górę. Gdy dłonie prześliznęły się przypadkiem po jego skórze, Abigail poczuła drzenie męskiego ciała.

Ich oczy się spotkały.

Przez krótką chwilę byli w salonie tylko we dwoje. Abigail ogarnęła nagła fala gorąca. W oczach Cade'a wyczytała ogień i namiętność, lustrzane odbicie buzujących w niej ognia i namiętności, przechwyconych i wzmocnionych po dwakroć. Żeby odetchnąć, musiała się skupić.

Delikatnie ściągała sweter przez głowę Cade'a. Kontakt wzrokowy został przerwany.

Mężczyzna, nagi od pasa w górę, stał pośrodku własnego salonu.

Abigail próbowała się opanować, uspokoić rozszalałe serce. Na Boga, znajdowali się przecież wśród stada kobiet, więc może najwyższa pora przestać się zachowywać jak nastolatka? Kręciło jej się w głowie, miała wypieki. Czy naprawdę trzęsą się jej ręce?

Cade sięgnął po swój sweterek. Czy jego dłonie drżą również?

- Nie chciałbyś takiego cuda? Co byś za niego dał? - rzuciła któraś z kobiet z tyłu salonu.

-Ja też potrafię robić na drutach, skarbie, i zrobię ci taki sam. Będę pomagała go wkładać. I ściągać - dodała inna.

Cade potrząsnął głową, jak gdyby chciał otrzepać się z tych babskich spojrzeń.

- Idziemy stąd, Betty - zakomenderował. Dziewczyna nawet na niego nie spojrzała. Uniosła

palec.

- Chwileczkę - powiedziała. - Chcę jeszcze o coś zapytać.

Nachyliła się ku dwóm siedzącym na stołku przy pianinie kobietom i pokazała im swoje wrzeciono.

Cade odchrząknął i obrzucił Betty niechętnym i groźnym spojrzeniem. Dziewczyny to najwyraźniej nie obeszło albo nie zauważyła nastroju towarzysza.

Do Abigail dotarło, że tym razem posunęła się odrobinę za daleko. Przyjęcie urządzone w obcym domu, bez pytania gospodarza o zgodę, to naprawdę lekka przesada...

Uświadomiła sobie, że choć podświadome, jej działanie było celowe. Nagle poczuła dziwną lekkość i wzbierający w płucach histeryczny chichot. Była bliska wybuchnięcia śmiechem, ale wzięła głęboki oddech i zwarła ramiona. Uniosła głowę.

- Cade, jesteś purpurowy. Nie zapominaj o oddychaniu. - Przyjrzała mu się uważniej, zaniepokojona. Czy on rzeczywiście stracił oddech? - Wszystko w porządku?

Dłoń Abigail powędrowała ku ramieniu mężczyzny, ale ten zrobił unik. Złapał ją za rękę.

- Do kuchni. Ale już! - powiedział przez zaciśnięte zęby.

- Idę. Nie ciągnij mnie.

- Natychmiast!

Szedł tak szybko, że ledwie nadażała. Na plecach czuła zaintrygowane spojrzenia kobiet, ale nie miała zamiaru się odwracać. Niech Janet wszystko załagodzi, uciszy te plotkarskie języki. Jest dobra w te klocki. To znaczy wtedy, kiedy sama nie rozsiewa kaśliwych plotek.

Dobrze tak za nim iść, dotarło do Abigail na progu kuchni. Wciąż jeszcze paliło ją wspomnienie spojrzenia w salonie, a plecy Cade'a fascynowały nie mniej niż nagi tors.

O, Boże. Musi się wziąć w garść.

Albo odda mu się na kuchennym blacie.

Rozdział 27

Pamiętaj, że druty w rękach kobiety są ostre, ale jej wzrok jeszcze ostrzejszy.

E.C.

Nikt jeszcze nigdy nie potraktował go tak przedmiotowo, choć na uczelni brał udział w konkursie na mistera mokrego podkoszulka! Pamiętał piski patrzących na niego dziewcząt, ale dzisiejszego wieczoru było inaczej. Cade miał nieodparte wrażenie, że zgromadzone na tym sabacie baby najchętniej włożyłyby go do torby na druty i robótki, porwały i odleciały z furkotem mioteł.

Czarownice z drutami w dłoniach.

A największa z nich właśnie depcze mu po piętach.

No i dobrze. Cały świat nie musi słyszeć jego słów, kiedy mu w końcu puszcza nerwy! A zresztą nieważne. Gdyby Abigail nie dała się stamtąd wyciągnąć, Cade'a niewiele by obeszło, kto i czego słucha.

- Musimy wrócić do tego, co już kiedyś mówiłem - stwierdził i odwrócił się, opierając się o zlew.

- Prawdę mówiąc, wyleciało mi z pamięci, co mówiłeś. - Abigail próbowała stłumić chichot, zakrywając dłonią usta.

- Co w tym śmiesznego?

- Boże, czy ty widziałeś ich twarze? Chciały, żebyś nie przestawał. - Pochyliła się, nie przestając chichotać. Z opadającymi na czoło włosami wyglądała na mniej więcej osiemnaście lat. - Jeśli te kobiety miałyby przy sobie jednodolarówki, mógłbyś dzisiaj całkiem sporo zarobić. Może nawet kupić sobie nowy traktor za wyciągniętą z majtek kasę!

Było za późno. Abigail zaniósła się śmiechem. Cade znał te symptomy i wiedział, że jedyna rada to przeczekać.

Nawet nie drgnął, mimo że wsparte na szafce i wykrzywione pod dziwnym kątem biodro dokładało do pieca. Wiedział, że najmniejszy ruch wywoła w Abigail kolejny napad wesołości. I bez tego przez bardzo długą chwilę dziewczyna nie mogła się opanować. Prychała, czkała i posapywała. Śmiech zamierał powoli.

Widok był tak zabawny, że Cade też się uśmiechnął. Miło było oglądać Abigail w dobrym nastroju.

Czym prędzej odpędził tę myśl i nastroszył się na nowo.

Cholera, to wcale nie było śmieszne! I nic nie jest w porządku. Nie, on po prostu nie pozwoli otworzyć na swojej ziemi jakiegoś durnego sklepu. Nie pozwoli, mimo że z prawnego punktu widzenia ten kawałek farmy już do niego nie należy. Powie jej, że nie. Sprzeciwi się i koniec. Jasno i wyraźnie.

A poza tym... Nie dość, że zorganizowała uroczyste otwarcie interesu, to jeszcze zrobiła to tutaj, w jego domu! Do którego nie ma żadnych praw! Nawet do jednego metra kwadratowego.

Samo to wystarcza, żeby człowiek...

A niech to szlag! Dlaczego nie przychodzi mu do głowy nic poza chęcią przyciągnięcia do siebie tej

dziewczyny? Wykluczone! Absolutnie wykluczone. Trzeba szybko zwiększyć dzielącą ich odległość! Cade potrzebował powietrza, swobodnego oddechu, a ona znajdowała się zbyt blisko.

I już się nie śmiała. Patrzyła teraz, podniósłszy oczy, pewna, że Cade zmyje jej głowę. Ale jeśli on wywali wszystko, co mu leży na sercu? Jeszcze się dziewczynie zrobi przykro. Na tyle, że spakuje się, porzuci marzenia i wyjedzie.

A to oznacza, że go zostawi.

Nie. Tego Cade nie chciał na pewno.

Boże, czego ja właściwie chcę?, pomyślał.

Na razie: trochę przestrzeni. Najlepiej będzie się wycofać. Żeby nie ten zlew za plecami... No tak. Trzeba ruszyć w drugą stronę, obejść Abigail. Dlaczego ona nic nie mówi, tylko stoi tak i patrzy?

I dlaczego jest taka piękna?

Serce Cade'a zachowywało się dziwnie. Trzepotało na granicy bólu.

Chrzanić to! Zawsze w takich momentach słowa przestawały się liczyć. O czym tu mówić, kiedy wszystko inne przestaje mieć znaczenie? Teraz, gdy ich oczy nie mogą przestać patrzeć, kiedy ona topnieje obok jak wiosenny lód... I to zaledwie cztery kroki od jego ciała.

Cade chciał tylko jednego.

Zrobił krok do przodu. A ona podskoczyła. Z buzią otwartą jak do krzyku. Usta Cade'a znalazły się tuż przy jej wargach, tam gdzie ich miejsce. Od tego powinien zacząć. Nie powinien tak głupio tracić czasu, próbując wzbudzić w niej zazdrość obecnością Betty. Co on właściwie myślał? Nie pragnął przecież niczego innego...

Badał językiem wnętrze jej ust. Abigail westchnęła spazmatycznie. Jeszcze. Potrzebował jej więcej, wciąż

więcej, był nienasycony. Ale przecież nie tutaj, nie pośrodku kuchni, tuż obok pomieszczenia pełnego kobiet uzbrojonych w grube, ostre igły. Spizarnia.

Spizarnia znajdowała się za plecami Abigail, po lewej. Podczas gdy Cade manewrował w tamtym kierunku, dziewczyna westchnęła ponownie, lecz tym razem nie z powodu pocałunku. No tak, zwichnięta kostka.

- Przepraszam, nie gniewaj się - szepnął, nie odrywając ust od jej ust. - Wszystko dobrze?

- Tak - odparła.

- Wesprzyj się na mnie przez chwilę.

Objął Abigail w pasie, oderwał od podłogi i uniósł, jednocześnie przyciskając do siebie. Ruszył naprzód, czubkiem buta otwierając drzwi do spizarni.

- Co robisz?

- Stawiam cię na podłodze.

Uczył to najdelikatniej, jak potrafił, i w tym samym momencie poczuł dźgnięcie w brzuch.

- Auć! Co to jest, do cholery? - Sięgnął dłonią. - Nosisz w kieszeni sztylet?

- O, cholera! To obustronny drut. Jedyńka. Taki sprzęt potrafi zrobić krzywdę. Nic ci się nie stało?

- Nie jestem pewien. Czy ja krwawię?

Spizarnia była mała; stali ciasno jedno przy drugim. I oboje chcieli tej bliskości. Cade za nic nie chciałby jej utracić.

- Sama zobacz - powiedział, ujmując dłoń Abigail i wkładając ją tuż pod krawędź swetra. - Pomacaj. Zobacz, czy nic mi nie jest.

Zagryzła usta i skinęła głową. Cade poczuł gwałtowną chęć ugryzienia jej w tę przygryzioną wargę.

Dziewczyna przesunęła dłonią po jego brzuchu.

- Tutaj? - zapytała.
- Tak, chyba tak.
- Skóra chyba nie jest przecięta. Nie gniewaj się... - zaczęła.
- A może powinnaś sprawdzić trochę niżej?
- Czy ta igła...?
- Nigdy nie wiadomo.
- Tak, chyba masz rację. Rzeczywiście, lepiej sprawdzić. -
Uśmiechnęła się szelmowsko. Cade poczuł, jak skacze mu serce.
- Tutaj? - Palce Abigail znalazły się tuż nad krawędzią jego spodni.
- Mhm. Tak, chyba coś czuję. Ale najgorzej jest trochę niżej. Może będziesz musiała...
- To znaczy pod paskiem? Chyba lepiej sprawdzić. Nie mogę pozwolić, byś z powodu mojej nieostrożności wykrwawił się na śmierć.
- Rozpięła pasek, a później guzik i rozporek. Ani razu jednak nie dotknęła go z przodu, nawet nie otarła się o tę twardą jak skała część jego ciała, która tak tęskniła za jej dotykiem. Dokładnie wie szelma, co robi, uśmiechnął się w duchu Cade.
- Teraz palce Abigail wśliznęły się pod gumkę bokserek.
- Nie, tutaj wszystko w porządku. Myślę, że przeżyjesz.
- Jego głos był niski i chropawy.
- Może jednak trochę niżej? Proszę. Trzeba to sprawdzić.
- Aha, tutaj? Chodzi ci o to miejsce?
- Jej dłoń owinęła się wokół jego męskości, głaszcząc ją i ściskając. Wsparły o półkę Cade pomodlił się w duchu, żeby konstrukcja wytrzymała.
- Jak tam? A kiedy robię o tak?

Jęknął.

- Chyba nic nie jest uszkodzone. Co za ulga!

- Cieszę się, że jesteś zadowolona. Choć mogę być umierający. - Z trudem wypowiadał słowa.

- Naprawdę? Według mnie jesteś dość silny. I nieźle ci idzie.

Opuścił głowę i zaczął rozgniatać ustami jej usta.

- Widzisz? - powiedziała, kiedy jej oddech zmieszał się z jego oddechem. - Nic ci nie będzie.

- Właśnie, że tak. Zabijasz mnie. Kawalek po kawałku. Trzeba mi ciebie więcej. Ja cię potrzebuję...

Naprawdę mógł myśleć wyłącznie o tym, aby osiąść Abigail, i to jak najszybciej. Nie obchodziło go, że dom jest pełen ludzi. Musiał wdrzeć się do jej wnętrza. Musiał znów czuć jej skórę na swojej, leżeć tuż przy niej na łóżku...

Sądząc ze sposobu, w jaki jej dłoń poruszała się po tej części ciała Cade'a, która dotyku potrzebowała najbardziej, Abigail doskonale orientowała się w jego potrzebach.

- Boże, musisz przestać!

- Naprawdę? - zaśmiała się gardłowo, najbardziej zmysłowym śmiechem, jaki Cade kiedykolwiek słyszał. - Wydaje mi się, że ci się to podoba. To znaczy: nie widzę oznak, że budzę w tobie wstręt.

- Musisz przestać mnie dotykać w ten sposób!

- W ten sposób?

Ugryzł się w język, żeby nie zakląć.

- Mówię poważnie. Nie odpowiadam za to, co się stanie, jeśli nie przestaniesz...

- No, nie bądź taki, Cade. - Droczyła się z nim, nie przestając poruszać dłonią, ocierać się ustami o jego szyję, podsycając ogień. - Mamy przecież wystarczająco

dużo rozsądku... Jesteś przecież i będziesz odpowiedzialny. Mogę ci zrobić to, na co mam ochotę, a jeśli powiem „przestań”, to po prostu przestaniesz.

- Nie dam rady...

- Przestaniesz.

Cade skinął głową. Wziął głęboki oddech i położył dłoń na jej dłoni, obejmując ją ciasno i powstrzymując jej ruch.

- Jeżeli to skrócony kurs panowanie kobiety nad mężczyzną, to przyznaję, jestem pod wrażeniem. „Nie” znaczy „nie”. Ale czy to nie działa w obie strony? Jeśli ja powiem „nie”, ty przestaniesz?

- Być może ty jesteś pod wrażeniem. Ale ja jestem zwyczajnie podniecona.

- Nie wiem, co powiedzieć.

I rzeczywiście, przez chwilę miał pustkę w głowie. Uśmiechnęła się. -Ja też nie...

Uśmiech przygasł lekko. Abigail odwróciła wzrok. Cade przyglądał się, jak dziewczyna bierze głęboki oddech.

- Nie wiem, co to znaczy - powiedziała. -I nie wiem, co o tym sądzić, ale... Ja cię pragnę.

- Ja też. - Ponownie przycisnął jej rękę, nie pozwalając na wznowienie ruchu. Nie da jej wziąć więcej, niż już wzięła. Naprawdę mógłby nie wytrzymać. - To oczywiste.

- W porządku - odparła.

- Pójdiesz ze mną dziś wieczorem na kolację?

- Co takiego?

- Na kolację. Taki wieczorny posiłek, na który czasem tu chodzimy.

-Doskonale wiem, co to znaczy, ale... Cholera. Mam ludzi na przyjęciu. Powinam tam wrócić. A czy ty przypadkiem nie jesteś z kimś umówiony?

Cholera. Betty. Tak, oczywiście! Boże, jaki ze mnie dupek! Powinienem natychmiast wrócić do Betty, i to bez gadania! Tak właśnie postąpiłby dżentelmen. Nie, dżentelmen nie dopuściłby do takiej sytuacji!

- Pocałuj mnie jeszcze raz, a pójdę i wyplączę się z tej randki...

Abigail spojrzała tak, że niemal zatonął w jej oczach, i ponownie zapomniał, gdzie się znajduje. Jej ręka znów rozpoczęła wędrówkę, ale przytrzymał ją mocno w nadgarstku, mimo że niczego bardziej nie pragnął. Może tylko odwrócić ją tyłem i przygiąć nad stołkiem... Albo poprowadzić przez tłum robiących na drutach kobiet prosto do sypialni.

Tyle że nie mógł tego zrobić.

Mógł ją jednak pocałować. I pocałował najlepiej, jak umiał. Pokazał, jak bardzo jej pragnie.

Znienacka coś stuknęło, a później nastąpiło zdumione westchnienie.

- No tak. Ty kretynie.

Cade odwrócił się na pięcie, chwytając jednocześnie za dżinsy i zapinając je w tej samej sekundzie. Usta Abigail pozostały na wpół otwarte. Wargi były wilgotne i nabrzmiące.

W drzwiach do spizarni stała Betty i wyglądała tak, jak gdyby właśnie dostała po twarzy. Miała czerwone policzki i ściągnięte brwi.

- Niezły widok, przyznaję. - W jej głosie brzmiał gniew, ale dolna warga dziewczyny drżała. Wprawdzie nieznacznie, ale wystarczyło, by Cade poczuł się okropnie.

- Chyba dobrze, że przyjechałam tutaj swoim samochodem. Chociaż tak naprawdę chciałam, żebyś mnie przywiózł. Jak dżentelmen. Teraz przynajmniej wiem, dlaczego tego nie zrobiłeś.

- Przepraszam cię, Betty, naprawdę cię przepraszam... - Cade zrobił krok w jej kierunku. To było straszne.

Uniosła otwartą dłoń.

- Oszczędź sobie.

- Betty... - zaczęła Abigail.

- Ty? Nie, nie chcę cię słuchać. Minęło już moje kilka dni, Cade. Z tego, co słyszę, nie dajesz dziewczynom więcej czasu. A więc, Abigail, ciesz się teraz swoimi pięcioma minutami nieba. Ty przynajmniej nie będziesz musiała sama odwozić się do domu.

Betty odwróciła się na tych swoich wysokich obcasach i wyszła.

- Jasna cholera - powiedział Cade. Spojrzał na twarz Abigail i pośpieszył z załagodzeniem złego wrażenia. - Ale nie „cholera”, że sobie poszła. Nie chciałem jej urazić.

- Nieważne. Cokolwiek byś powiedział, zabrzmiałoby niedobrze. Dostać takiego kopa w samym środku randki... To ma prawo zboleć.

- Tak. Przykro, że wszystko widziała.

Abigail westchnęła i przygładziła dłonią włosy. Usta otarła opuszkami palców. Precisnęła się obok Cade'a. Chciał ją zatrzymać, ale niewiele mógł zrobić.

To jakieś szaleństwo.

- Chyba będę musiała wrócić na swoje przyjęcie...

- Tak. Tak będzie najlepiej. Zanim ponownie ktoś nas zaskoczy.

- W salonie jest kilka kobiet, które zapewne dostałyby ataku serca, gdyby wiedziały, co my tutaj wyprawiamy.

- Nie my - odparł Cade. - Co ty mi robisz. A to różnica. Abigail znów uśmiechnęła się szelmowsko.

- A ty to niby cicha woda...

- Nic nie robiłem. Nic a nic. Jestem niewinny jak aniołek.

- No tak. Właściwie to mogłabym tam wejść i powiedzieć im, że w sklepie z przedzą w Half Moon Bay właśnie rozpoczęto wyprzedaż...

- I uwierzyłyby?

- A co mnie to obchodzi?

- Więc pozbędziesz się ich? - zapytał.

- A będzie z tego randka?

- No pewnie.

Nawet nie próbował kryć entuzjazmu.

- Ty już jesteś ubrany, tyle że na randkę z inną. Czysta oszczędność czasu.

- Wiem, jestem kretynem. Wierz mi, zazwyczaj nie zachowuję się tak idiotycznie, daję słowo. Czy moglibyśmy się wymknąć po angielsku, bez słowa?

- Nie - odparła Abigail.

- Dlaczego nie?

- Bo to jest moje...

- .. wielkie otwarcie, czy jak to tam nazywasz. I musisz je zamknąć. Pożegnasz się i podziękujesz wszystkim, ale później będziesz tak wyczerpana, że nigdzie nie pojedziesz. Urwijmy się po prostu. - Cade zrobił krok do tyłu i spojrzał. - Chcę być tylko z tobą.

- Muszę powiedzieć Janet.

- Masz przy sobie komórkę?

- W kieszeni.

- To wyślij jej esemesa - zaproponował.

Choć prawdę mówiąc, nie sądził, że to zrobi. Ta odpowiedzialna Abigail. Na pewno nie urazi nikogo, znikając w samym środku własnego przyjęcia. Jej bardzo własnego przyjęcia.

Ona jednak uśmiechnęła się tylko, a Cade poczuł łomot własnego serca, gwałtowny jak nigdy przedtem. Włożyła dłoń w jego dłoń.

- Chodźmy - powiedziała. To nie była Betty. To była Abigail. I tylko jej pot] bował.

Uściskał mocno tę rękę i pobiegli.

Rozdział 28

Kiedy się znudzisz, łącząc przód, tył i rękawy, pomyśl o guzikach. Myśl o guzikach prawie zawsze jest rozkoszna.

E.C.

Co w nią wstąpiło? Do tej pory nie całowała się ani, Boże broń!, nie wsadzała ręki mężczyznom do spodni na przyjęciach, ba, nawet nie wydawała przyjęć. Nie robiła takich rzeczy, zwłaszcza mężczyznom już poumawianym z innymi kobietami (czy teraz ona stała się taką inną kobietą, czy coś się zmieniło w ciągu dziesięciu minut?). A już na pewno nie uciekała z imprez z takim mężczyzną, nie siedziała w samochodzie, który z rykiem silnika brał zakręt w poślizgu na podjeździe, z prędkością dziewięćdziesięciu kilometrów na godzinę. Cade nawet nie włączył świateł po zmierzchu, nie chcąc zwracać niczyjej uwagi. Serce Abigail biło szybciej, kiedy pędzili w ciemności w górę niewielkiego wzniesienia. On, oczywiście, znał każdy zakręt tej drogi, ale to w niczym nie zmieniało sytuacji. Serce waliło jak oszalałe.

A może to przez niego? Abigail siedziała w ciemnej kabinie pikapa i zupełnie nie wiedziała, co powiedzieć.

Czy i on czuł podobnie? I był tak samo zdenerwowany?

Boże, oczywiście, że nie! Wystarczyło popatrzeć. Kręcił kierownicą w lewo i w prawo, dotykał jej dłonią. Pieścił.

Abigail nakazała sobie opanowanie. Włożyła komórkę do kieszeni.

- Wysłałaś Janet tego esemesa? - zapytał. Dotarli już do głównej drogi, więc wreszcie włączył światła. Na widok czerni jezdni Abigail poczuła ulgę.

- Tak. Napisałam jej, że jedziemy do szpitala.

- Naprawdę? To chyba nie najlepszy pomysł? Jeszcze wszystkie się tam zwałą i będą nas szukać. A podałaś powód?

- Napisałam, że dobierałeś się do mnie w kuchni i że walnęłam cię w nos. Zacząłeś krwawić, a ja nie potrafiłam zatrzymać krwotoku. I że chcę cię zostawić w szpitalu, i pójść się jeszcze napić, bo ta kobieta w cekinach...

- Ta najbliższej kominka?

- Właśnie ta. Wszystko wypła.

- Napisałaś to teraz? W esemesie?

- Zasadniczo tak. Janet zna mnie na tyle, żeby czytać między wierszami.

- Czy na tyle dobrze, że wie, iż chcemy być sami?

- Owszem. Odwali za nas całą brudną robotę.

- Nie chcę, żeby ktokolwiek odwalał za nas brudną robotę.

Abigail nie odpowiedziała, zbyt zajęta zaciskaniem dłoni w pięść i prostowaniem jej na nowo. Chciała położyć ją na udzie Cade'a, twardym i mocnym (co wiedziała z doświadczenia), ale nie potrafiła.

Ta randka nie powinna się zdarzyć. Nie pasowała do schematu. Abigail do tej pory umawiała się z pracownikami biurowymi, którzy lubili chardonnay i spokojny seks, a Cade... No cóż, on umawiał się z kobietami

o wielkich biustach, które śpiewały karaoke i pijały wyłącznie ulubione gatunki whiskey. Wyłączając Betty, ma-tematyczkę z UCLA. Ale i ona wyglądała na taką, która uwielbia karaoke.

Abigail wyrzała przez okno. Zbliźali się właśnie do brzegu morza; Cade skręcił na północ i wjechał na drogę wzdłuż plaży. Jechali do miasta. Na kolację. Na randkę.

Już zapomniała, jak to jest.

Kiedy coś staje się ważne. Kiedy najważniejszy jest ten ktoś.

Zatrzymali się w Cypress Hollow, tuż nad morzem, w drogiej restauracyjce, o której już słyszała, ale w której nie miała okazji bywać. Nie był to lokal, do którego chodzi się z przyjaciółmi; salę jadalną wypełniali ludzie

o romantycznych spojrzeniach.

Abigail bez protestu dała się wpisać w tę kategorię.

Cade wyglądał doskonale, jak część tego wnętrza. W świetle świec Abigail dostrzegła delikatne zmarszczki mimiczne wokół jego oczu. A może powstały wskutek działania wiatru i słońca? W każdym razie - pasowały. Bez nich Cade byłby niewiarygodnie idealny.

Na początku zamówili drinki i ciasteczka krabowe na przystawkę, a na główne danie stek i kraby. Abigail jadła powoli, uważając, żeby nie poplamieć się sosem

1 tłuszczem. I nie mogła się pozbyć wrażenia, że jej sweterek jest zbyt obcisły. Prześladowało ją ono do tego stopnia, że nie przestawała wygładzać dekoltu. Za każdym razem za jej dłonią wędrowało spojrzenie Cade'a.

- Będzie ci przeszkadzało, jeśli przez chwilę zajmę ręce robótką? - Abigail wyjęła z torebki rozpoczętą skarpetkę.

Może było to niezbyt uprzejme i nie świadczyło o dobrych manierach (robienie na drutach w tak uroczej restauracji!), ale musiała jakoś uspokoić nerwy. Cade tylko pokręcił głową.

Rozmawiali o wszystkim i o niczym.

- Podróżowałeś gdzieś dalej? - zapytała. - Lubisz podróże?

- Nigdy nie miałem na nie czasu. Odkąd skończyłem szkołę, ciężko pracowałem. Zresztą kiedy się uczyłem, też ciężko pracowałem. - Odchrząknął. - A ty?

Zapytał wyłącznie z grzeczności, ale ona uczepliła się tego pytania.

- Uwielbiam podróżować. To chyba coś, co lubię najbardziej ze wszystkiego. Wenecja... Najbardziej kocham Wenecję. Ale Paryż też jest cudowny. I Praga. I Nowa Zelandia! Tak, w Nowej Zelandii na pewno by ci się spodobało!

- Owce?

- Tak, owce.

Wreszcie przyniesiono jedzenie i Abigail odłożyła skarpetkę na kolana.

Cade jadł z gracją bywalca, a ona nie bardzo wiedziała, co zrobić z rękami.

Rozbiła kraba widelcem, uderzyła jednak zbyt mocno i kawałek krabowego mięsa wylądował na swetrze. Wycierała się, modląc się w duchu, żeby Cade przestał się gapić na jej zaczerwienioną twarz. Ale on nie przestawał.

Abigail drżały ręce.

Opowiedziała mu o ojcu, o ciotkach, które ją wychowywały, spytała, co Cade robi w wolnym czasie, i wysłuchała opowieści o jego nowym hobby - rzeźbieniu w drewnie.

Restauracja emanowała spokojem: przyćmione światło świec, nieostre kontury, kelnerzy mówiący przyciszonymi głosami. Głosy gości brzmiały podobnie. Abigail ledwie słyszała Cade'a przez własne dudniące serce, przetaczające szumiącą krew.

- A Tom? Jak długo go znasz?

- Tom jest jak rodzina. Mam wrażenie, że mieszka tu od zawsze. Pracował u Elizy, zanim jeszcze zaczął pracować u mnie... - Głos Cade'a przycichł, a jego wzrok powędrował gdzieś za lewe ramię dziewczyny.

- Był kiedyś żonaty?

- Co takiego? - Cade spojrzał ponownie. Wydawało jej się, że okupił to pewnym wysiłkiem. - Tak, był żonaty. Raz. Ona umarła. Nie mógł się pozbierać. Hm... - Ponownie odwrócił wzrok.

Abigail odwróciła głowę. Przy stoliku za nimi siedziała piękna kobieta w małej czarnej z wydatnym dekoltem. Włosy upięła w wysoki kok, co podkreślało długość jej szyi.

Zabolało. Odwróciła się do Cade'a. Nic, trzeba spróbować jeszcze raz.

- A kiedy to było?

- Co takiego?

- Jak dawno temu umarła?

Teraz już nawet nie zerkał, tylko gapił się całkiem otwarcie. Wykręcał nawet szyję, żeby lepiej widzieć. Abigail zdjęła serwetkę z kolan i rzuciła ją na stół.

- Zawieź mnie do domu.

Ledwie na nią spojrzał. Uniósł się na krześle.

- Czy ty jesteś niepoważny? Nie dziwię się, że nie możesz utrzymać przy sobie żadnej dziewczyny. - Abigail mówiła wysokim, nieprzyjemnym głosem, dokładnie odzwierciedlającym jej odczucia.

- Przepraszam. Poczekaj chwilę...

- Chyba żartujesz!

Cade odepchnął krzesło, nie zważając, że mebel upada na siedzącego za nim mężczyznę. -Co...?

- Niech pan dzwoni na pogotowie! - wrzasnął Cade do stojącego opodal kelnera.

Abigail odwróciła się ponownie. Mężczyzna towarzyszący piękności drżał cały. Miał sinoblade usta i zlaną potem twarz. Cade uniósł go do pozycji stojącej, jednocześnie wytrącając spod niego krzesło. Objął go od tyłu pod pachami, połączył dłonie i ścisnął ramionami jak obręczą. Dłonie dźgnęły pod mostkiem.

Twarz nieznanego pozostała bladozielona. Mężczyzna popatrzył do góry i przewrócił oczami. Blondynka wrzasnęła.

Cade ścisnął ponownie i tym razem z ust delikwenta wyskoczył ciemny kawałek jedzenia. Mężczyzna otworzył oczy. Dyszał ciężko, jak olbrzymia ryba.

W restauracji zapanował chaos. Gość, jednocześnie zdezorientowany i wdzięczny, charczał, nie mogąc porządnie odetchnąć; blondynka płakała i obejmowała go mocno. Pocałowała Cade'a w policzek. Zjawili się ratownicy.

A na stole deser.

Kolację skończyli w milczeniu. Abigail czuła się głupio. Cade okazał się bohaterem, a ona kretynką.

Zapłacił, gestem zbywając jej próbę dołożenia się do rachunku.

Kiedy się ubierała, przytrzymał jej płaszcz.

Otworzył drzwi i uśmiechnął się szeroko. Pojechali w kierunku bulwaru.

Abigail chciała wrzeszczeć z frustracji. Jak długo jeszcze potrwa ta randka? Kiedy będą mogli wrócić do domu, gdzie ona przypomni sobie, kim naprawdę jest?

Kiedy on znów jej dotknie?

Cade zaparkował. Gdy wychodzili na piasek, bez słowa wziął Abigail za rękę. Oboje zdjęli buty i nieśli je w dłoniach. Milczeli.

Może powinna zrobić uwagę na temat pięknej nocy? Pełny, wyrazisty księżyc wisiał nisko nad horyzontem, rysując na wodzie srebrzyste drabiny z grzbietów fal. Może uczenie zauważyć, że wisi nisko. Albo pojechać romantycznie, i dodać coś o niezwykłej atmosferze.

Miała jednak przeczucie, że jeśli się odezwie, zburzy nastrój albo nie zapanuje nad słowami, które popłyną potokiem.

A ona powie zbyt wiele.

Szli więc i szli, a Abigail nie odzywała się ani słowem. Cade prowadził ją wzdłuż pustej plaży w kierunku mola. Światło księżyca było tak jasne, że widziała pofalowany piasek, a na nim ślady ludzkich stóp i psich łap. Czy któryś z wcześniej przemierzających tę plażę spacerowiczów czuł takie zdenerwowanie? Czy księżycowy krajobraz wydał mu się równie surrealistyczny jak jej?

Cade wziął ją za rękę i poprowadził pod pomost.

- Przepraszam - odezwała się wreszcie. - Przepraszam za moje zachowanie w restauracji.

Odwrócił się, spojrzał i uniósł brwi.

- Byłeś niesamowity. Uratowałeś człowiekowi życie. Nie miałam pojęcia...

- Ja też nie. Ale wiem, co zrobię teraz.

Pochylił się i pocałował. Samymi ustami. Ale w tym pocałunku był cały Cade, jego siła i ciepło. Abigail oddała pocałunek, przekazując w nim wszystko, co mogła powiedzieć. Tego właśnie potrzebowała. Chciała tego, za tym tęskniła.

Za nim. I tylko za nim.

Przez dłuższą chwilę Abigail udało się utrzymać ciało z dala od jego ciała. W ramach eksperymentu jak długo to zniesie. Marny dotyk ust, podczas gdy wyrywało się ku niemu całe jej ciało, tęskniące za bliskością, za nagą skórą...

Cade poddał się pierwszy, a ona z radością poszła w jego ślady. Złapał ją za ramiona, popchnął lekko do tyłu, a sam zrobił krok w jej kierunku. Abigail wylądowała oparta plecami o pal mola, a Cade przyłgnął do niej całym ciałem. Poczowała, że jest tak twardy jak tam, w spiżarni.

Nie mogła oddychać. Kręciło jej się w głowie. Nie miała pojęcia, dokąd wędrują jej ręce ani gdzie zmierzają jego. Poruszali się i ocierali o siebie w ciemności, w sposób, w jaki nie odważyliby się za dnia. Gdyby Abigail szła teraz plażą i była świadkiem podobnej sceny, poczułaby lekki niesmak. Wynajmijcie pokój. Róbcie to gdzie indziej. Poprawcie ubrania, wsuńcie w spodnie koszule.

Jednak nikogo nie było w pobliżu. Cade przesuwiał i miał na niej ubranie, a jej dłoń pociągała za pasek od męskich spodni i odpinała ich guzik. Jego usta poruszały się cicho, badając jej usta, jego dłonie uspokajały jej dłonie.

- Chyba powinniśmy już jechać... - powiedział.

- T... Tak. Masz rację.

Abigail wyplątała się z ramion Cade'a i odeszła od pala, który prawdopodobnie zostawił na jej plecach tłusty, smolisty ślad. Cudownie. Skup się na czymkolwiek, dziewczyno. Na smole, a może na pięknej scenerii. Na czymś, co cię powstrzyma.

- Przepraszam - powiedział Cade.

- Ja też. Dałam się ponieść. - Pokręciła głową. - Nie, po prostu zwariowałam. Nie gniewaj się.

- Nie mam o co.

Szła w kierunku schodów na plażę.

- To ty zacząłeś.

- Pocałunek?

- Przeprasiny. Ale pocałunek też.

Tak było. Abigail odwróciła się do Cade'a. Zielone oczy w świetle księżyca były jak świetlista niespodzianka.

- Dlaczego właściwie mnie tutaj przyprowadziłeś? Tak bez słowa? A teraz chcesz jechać?

Wyciągnął przed siebie rękę.

- Czy popełniłem błąd? Prawdę mówiąc, nie lubię piasku w bieliźnie i innych wrażliwych miejscach, ale dla ciebie jakoś to ścierpię.

- Tylko tyle?

Minął ją szybkim krokiem.

- Na pewno miałeś powód.

- Zawsze chciałem to zrobić - rzucił przez ramię, nie odwracając się do tyłu.

- Doprowadzić dziewczynę do szaleństwa? - Zrównała się z nim, pociągając za łokieć. - Udało ci się.

- Nie. Zawsze chciałem kogoś tu przyprowadzić. W świetle księżyca.

- Niezła kwestia, kolego. Nie powiesz mi chyba, że nigdy tego nie zrobiłeś.

- Nigdy tego nie zrobiłem. Nie zabieram kobiet na plażę.

- Więc to niemal tak, jakbyś mnie przyprowadził do domu? Do mamy?

- Owszem. Tyle że nie musisz udawać, że lubisz grzybową.

- Czy to był jakiś test?

- Nie przejmuj się. Zdałaś. - Wyciągnął rękę. Włożyła dłoń w jego dłoń.

Tak było dobrze. Nie popełniłam błędu, pomyślała.

- A teraz? - zapytała.

- Do domu.

Abigail trzymała Cade'a za rękę i pozwalała, by szalało jej serce. Nie miała pojęcia, dokąd to wszystko zmierza. Była jak otumaniona: jego oczami, dłońmi, światłem księżyca. A jednak mu ufała. I chciała czegoś więcej.

- Gaz do dechy - powiedziała.

Rozdział 29

Bambusowe druty musisz trzymać mocno, żeby włóczka się nie ześliznęła. Przerabiaj kolejne oczka porządnie, równo i radośnie, przekładaj je z jednego druta na drugi. Nie trzymaj robótki zbyt kurczowo, bo bambusy pękną i wszystko się poplącze.

E.C.

Jechał szybko. Pędził przez miasto. Zakręty brał piętnaście kilometrów na godzinę szybciej, niż zrobiłaby to Abigail, nawet za dnia. A mimo to czuła się bezpieczna. Siedziała w kabinie pikapa jak w kokonie, spokojna i szczęśliwa, bo wiedziała, co się stanie po powrocie do domu.

Do domu. Do miejsca, gdzie mieszkają.

Tworząc nienaturalny układ.

Jak dotąd jednak, z punktu widzenia Abigail, ten układ działał.

Kiedy wróca do domu, postara się być kusząca. Będzie go wabić nieśpiesznie, prowadzić przez dom, może od czasu do czasu ściągnie z siebie jakąś część garderoby, a on, ciężko dysząc, będzie podążał jej śladem...

A może zrobi to z klasą? Przeprosi go i przebierze się w cieniutką, czarną, koronkową koszulkę nocną, a później

wyjdzie i oprze się o framugę drzwi. Byłoby dobrze stanąć tak w przyćmionym świetle, z wysuniętym biodrem, trzymając między palcami papierosa, zapraszając i drocząc się jednocześnie.

Ale przecież ona nie pali i nie chce zaczynać. I chyba nie wystarczy jej cierpliwości.

Znów zakręć i sprint prosto jak strzełił, po równym odcinku szosy. Żeby jak najszybciej znaleźć się w domu.

Jeszcze szybciej.

Wnętrze półcieżarówki oświetliły jasnoniebieskie i czerwone światła. Zabrzmiała syrena. Drugi raz. I trzeci.

Cade zaklął. Zahamował i zatrzymał pikapa po prawej stronie jezdni tak gwałtownie, że koła pośliznęły się na żwirze.

- Nie wiem, który to, ale chyba go zabiję...
- Zabicie gliny to nie najlepszy pomysł - mruknęła Abigail.
- Szlag by to trafił!
- Jechałeś dosyć szybko.
- Umrę, jeśli zaraz nie dotrzemy do domu - powiedział.

Policjant podszedł od strony kierowcy.

Cade opuścił szybę, pokazując mu dłoń. Mundurowy włożył głowę do środka i spojrzał na Abigail. Rzuciła w jego kierunku coś w rodzaju rozbijającego uśmiechu, chociaż równie dobrze można byłoby ten grymas uznać za prezentację zgryzu.

- Cade - powiedział policjant.

Miał około czterdziestki, był zmęczony, przedwcześnie posiwiały i zielonkawoblady na twarzy. Mundur opinał go zbyt mocno.

- Posterunkowy Moss - oparł Cade.
- Chyba wiesz, dlaczego kazałem ci się zatrzymać?

- Znowu nie działa to światło z tyłu, John?
 - Chciałbym, aby tak było, ale tym razem nie w tym problem. Jechałeś za szybko, kolego.
 - Naprawdę? Za szybko? Hm, przecież patrzyłem na prędkościomierz.
 - Więc wiesz, że jechałeś ponad stówą tam, gdzie wolno siedemdziesiąt.
 - Pewnie się zepsuł.
 - Jak zwykle.
 - Przestań, John. Nie stać mnie na kolejny mandat.
 - Więc nie przekraczaj prędkości.
 - Nie wierzę, że go wypiszesz. Jak ja będę wyglądał w oczach mojej dziewczyny?
 - To ci się zdarza nie pierwszy raz.
- Abigail zachichotała. Policjant się uśmiechnął. Cade zmarszczył brwi.
- Bardzo proszę. Odpuść.
 - Niby dlaczego? Ta pani nie wygląda na ciężarną więc chyba nie śpieszycie się do szpitala? Poza tym jedziesz akurat w przeciwną stronę. Masz coś lepszego?
- Cade wskazał palcem na Abigail.
- Coś w zasadzie przeciwnego. Ona jajczkuje. Brwi policjanta uniosły się aż pod daszek czapki.
 - Co takiego?
 - Mówiłem, jajczkuje. Więc mamy do zrobienia rzecz, którą trzeba zrobić natychmiast.
- Policjant był bliski zbierania szczęki z podłogi, Abigail podobnie. Zrobiła wielkie oczy, ale odwróciła głowę i wyjrzała przez okno od strony pasażera. Z całej siły przygryzła wargę.
- Kim ona właściwie jest? Bardzo mi przykro, proszę pani, ale jakoś nie poznaję... A znam tu wielu ludzi.

Abigail odwróciła się i spojrzała, próbując zachować spokój.

- Abigail Durant. Mieszkam z Cade'em.

- Co takiego?

- Mieszka. - Skinął głową Cade.

Policjant zrobił krok wstecz i przesunął czapkę na tył głowy.

- No proszę. Doszły mnie słuchy, że się z kimś związałeś, ale myślałem, że to tylko czcza gadanina. No, no. Nic innego nie przychodzi mi do głowy. A teraz, jak rozumiem, próbujecie...

- Próbujemy spłodzić dziecko - powiedział Cade. -1 nie pozostało nam zbyt wiele czasu. Bo jej okno, jeśli wiesz, o co mi chodzi, zamyka się w trakcie naszej rozmowy. Więc pędzimy spełnić obowiązek.

- Powiem ci, kolego, że to jedna z najlepszych kwestii, jaką słyszałem...

- To prawda, przysięgam. Chcę, aby ta miła pani urodziła mi małego Cade'a. I żeby koniecznie miał jej wspaniałe oczy.

- Tak czy owak, dostajesz mandat.

- Naprawdę?

- Zaraz wracam.

Cade podpisał papier jednym ruchem długopisu.

- No to życzę szczęścia wam obojgu. A zwłaszcza pani. Będzie go pani potrzebować.

Abigail śmiała się przez całą drogę do domu.

Cade udawał, że tego nie widzi, ale kącik ust drgał mu od czasu do czasu. Raz czy dwa rozległo się podejrzané prychnięcie.

Kiedy dojechali, otworzył przed nią drzwi.

Abigail nie przestawała się śmiać, ale próbowała się powstrzymać.

- Masz szczęście, że kiedy się śmiejesz, jesteś naprawdę seksowna...

Ta uwaga rozśmieszyła dziewczynę na nowo, aż Cade musiał jej pomóc wydostać się z półciężarówki.

Delikatny dotyk jego palców natychmiast ją otrzeźwił. Cade poprowadzi ją teraz w kierunku domu, a później na górę, po wąskich stopniach. Na podjeździe nie było już ani jednego samochodu.

- Chyba pojechały...

-1 dzięki Bogu - odparł. - Jeśli w moim domu pozostałaby chociaż jedna robiąca na drutach paniusia, musiałbym jej pokazać mój zbiór szydełek.

- Wiesz, jak obrazić kobietę z robótką.

- Szkoła ciotki.

- Do sypialni. Kiedy wreszcie tam dojdziemy? Każda część ciała Abigail domagała się uporczywie,

żeby znaleźć się w środku. Do głowy przychodziły jej różne związane ze środkiem skojarzenia, głównie takie wywołujące rumieniec, ale tym bardziej nie mogła się doczekać przejścia przez drzwi. Drżała.

Miała nadzieję, że on o tym nie wie.

Musi jeszcze tylko nacisnąć klamkę. No już!

No i co? Czy coś się zacięło?

Cade zmarszczył brwi.

- Drzwi są zamknięte na klucz. - W jego głosie brzmiało niedowierzanie.

- Janet to wychowana w mieście dziewczyna. Wychodząc z domu, zamknęła za sobą drzwi.

- Ale po co?

- Możesz je chyba otworzyć.

- Nigdy nie noszę przy sobie kluczy. Nie mam nawet pojęcia, gdzie mogą być. Masz zapasowe, które ci dałem?

- Zostały u mnie. Widziałam je po południu w szufladzie toaletki. Ponieważ ty nie zamykasz drzwi, więc i ja ich ze sobą nie noszę.

- No to rewelacja.

- A jest tu jakieś otwarte okno?

Cade spojrzał na Abigail i dotknął jej policzka.

- Kochanie, nie mam czasu na cackanie się z framugami. Najwyraźniej będę musiał dać zarobić szklarzowi...

Podszedł do niewielkiego okienka tuż obok frontowych drzwi i krótkim ruchem łokcia mocno uderzył w szybę. Szkło pękło i posypało się na podłogę.

- No proszę! - powiedziała Abigail.

Cade włożył dłoń w powstały otwór, przesunął ostrożnie i po chwili drzwi stanęły otworem.

- Już - powiedział.

- Już - przytaknęła.

Rozgorączkowana Abigail, zamiast dokonywać tych wszystkich seksownych zabiegów, o których rozmyślała podczas jazdy, potknęła się w kuchni i omal nie upadła jak długa.

Cade już ją obejmował, łapał, podnosił. Zanim jeszcze dotknęła podłogi.

- Wszystko w porządku? Co z twoją nogą?

Ta cholerna kostka! Rozboliła nie wiadomo kiedy.

- Wszystko w porządku - skłamała, wiedząc, że i tak zdradzi ją rumieniec.

Zamiast wdzięcznej syreny, przed Cade'em stała połamana dwunastolatka. Wspaniale.

Jednak ciało Abigail reagowało inaczej niż ciało dziewczynki. Jej dorosłość nakazała w tył zwrot i marsz w górę po schodach.

Gdzieś za jej plecami zająknął się Cade.

- Może chcesz... Może masz ochotę na drinka?

- Nie, dziękuję.

- Robię doskonałe martini z ginem.

- Kuszące - powiedziała przez ramię w jego kierunku. - Ale jakoś nie chce mi się pić.

Wchodziła, czując za sobą bijące od niego ciepło.

- Nie taki miałem plan - powiedział - kiedy zapraszałem cię na kolację...

- Nawet jeśli, to i tak w porządku - odparła, wchodząc do pokoju.

- Nie chcę, żebyś tak sądziła.

- Mam wrażenie, że wiele nie planowałeś. Po prostu ktoś nas przyłapał na spontanicznym mizdrzeniu się do siebie w spiżarni.

- Jakim wspaniałym! - odparł.

- Całą noc będziemy tak gadać?

Abigail zdjęła przez głowę sweter, zrzuciła buty i dżinsy. Została w samej bieliźnie. Czowała jednocześnie odwagę i przerażenie.

- Jesteś taka piękna! - Głos Cade'a zadrżał. Podeszedł do niej i dotknął. Jego palce zrzuciły z Abigail jedwabne szmatki.

- Dlaczego nie dotknąłeś mnie dzisiaj rano? Jego ręce zamarły.

- Co takiego?

- Kiedy wszedłeś do mojego pokoju.

- Nie wchodziłem.

Abigail zmarszczyła brwi. Ach, te sugestywne sny... Teraz nic nieznaczące, bo wszystko dzieje się naprawdę.

Bez zbędnych słów wylądowali w łóżku. Ubranie Cade'a po chwili znalazło się na jednej kupce z ciuszkami Abigail. Dziewczyna wiedziała, że miała w tym swój udział, ale nie potrafiła przypomnieć sobie szczegółów. Nawet tych sprzed zaledwie chwili.

Już nie było rozmowy, tylko ruch, gorąco i niskie, gardłowe dźwięki. Abigail pomrukiwała, ale nie rozpoznawała w tych pomrukach siebie. Prowadziła dłonie Cade'a, pokazywała, jak mają robić to, czego ona pragnie. On rozpoznawał to pragnienie i ustami unosił ją wyżej. Coraz wyżej. Kiedy sięgnęła szczytu, krzyknęła i ścisnęła głowę Cade'a palcami, opadając do tyłu niemal nieprzytomna z intensywności doznań, nagle pozbawiona sił. Usta miała otwarte, dyszała ciężko.

A on przesunął się ku górze i spojrzał jej w oczy. Pokazała mu, że tak, nie wypowiadając przy tym ani jednego słowa. Wszystko powiedziała gestami, ocieraniem się nogami o jego nogi, podpowiadając mu, przesuając go biodrami i dłońmi, aż znalazł się nad nią. I już był w środku, twardy i gorący. Tam, gdzie go pragnęła.

Jego usta zawłasczyły jej usta, a ciało uczyniło to samo z jej ciałem. Ręce Abigail, wczepione w plecy Cade'a, przyciągały go coraz mocniej. Pragnęła, by zanurzał się w nią głębiej i głębiej, choć już teraz wypełniał ją do tego stopnia, że z trudem łapała oddech. Poruszali się we wspólnym rytmie, aż mężczyzna odchylił głowę i Abigail zobaczyła, jak Cade odlatuje. Wylądowali wspólnie, skręceni, jedno przy drugim, zapatrzeni w siebie, z kroplami potu na skórze, pozbawieni sił. Byli doskonałą jednością.

Cade leżał na niej jeszcze długo, długo potem. Nie przytłaczał Abigail swoim ciężarem ani wzrostem. Jego oddech, coraz cięższy i głębszy, sprawił, że dziewczyna zamknęła oczy.

Zasnęła.

Rozdział 30

Pamiętaj, że trzeba podziwiać dzieło własnych rąk. Połóż sweter na kolanach i przyjrzyj się długim, równym liniom ściegów. A później pokaż go osobie, która jest tuż obok, żeby również mogła podziwiać twoje dzieło.

E.C.

Cade nie rozumiał, jak to się stało, że po raz kolejny obudził się, trzymając Abigail w ramionach. Poprzedniego dnia o tej samej porze rozmyślał jeszcze o randce z Betty i niewiele brakowało, a obejmowałby teraz śliczną nauczycielkę matematyki.

Oczywiście, Betty pojawiła się w jego życiu wyłącznie jako lekarstwo na Abigail. Na niemyślenie. Ilekroć Abigail pojawiała się w jego głowie, wyglądała dokładnie tak jak teraz: była ciężka od snu, naga i ciepła, pachnąca perfumami i czymś znacznie głębszym. Dojmującym.

W ostatnich dniach desperacko bronił się przed myślami o tej dziewczynie. Nawet ubranej.

Mimo że jej unikał, wciąż zastanawiał się, co u niej. Czy skręcona kostka dobrze się goi? Czy schody to duży kłopot? Jak wygląda teraz w środku stary domek? Czy wyprowadzka jest blisko?

Czy Abigail opuści jego dom na zawsze?

Kiedy już spakuje tych swoich kilka podróжных toreb, kiedy zatrze ostatni ślad swojej bytności w pokoju gościnnym na górze i przeprowadzi się do małego domku... Czy jego dom znów stanie się ciemny i pusty?

Tak właśnie postępowały kobiety: odchodziły. Odkąd Cade'a zostawiła matka, gdy zrobiła to jemu i jego ojcu po raz pierwszy (a miała ich zostawiać jeszcze wiele razy), zrozumiał, że to kobieca przypadłość. Dziewczyna, która właśnie spoczywała w jego ramionach, przyjechała nawet z gotowym planem. Nie miała zamiaru zostać w jego domu na zawsze. I dobrze.

Przynajmniej wszystko przebiegnie według znanego schematu.

Mimo wszystko Abigail nie oddali się zbyt, zaledwie na drugą stronę podwórza. Cade czuł w sercu radość, której nie rozpoznawał.

Chciał Abigail, leżącej tak jak teraz w jego ramionach. Tego był pewien.

Chciał jej i tylko jej.

Chciał, żeby została.

A ona poruszyła się przez sen, przysunęła, przytuliła do jego ramienia, powodując reakcję. Sądząc po doświadczeniach z innymi kobietami, nie byłaby to jednak najlepsza pobudka. Nie lubiły jej, przeciwnie niż faceci. To akurat Cade też wiedział na pewno.

Delikatnie pocałował Abigail w policzek. Nie poruszyła się, nawet nie westchnęła. To dobrze. Bo było coś, co Cade chciał teraz zrobić.

Kiedy już oporządził zwierzęta, wyprowadził półcię-żarówkę na luzie, żeby nie robić hałasu, i dopiero zjeżdżając z podjazdu, włączył silnik. Poślizgiem wyjechał na szosę.

Zaparkował przed jadłodajnią u Tillie i zaciągnął ręczny hamulec. Stary Bill jak zwykle tkwił w środku, oparty o kontuar. Na widok gościa aż uniósł brwi.

- Dwa razy w miesiącu? Jak cię chłopaki zobaczą, umrą ze zdziwienia.

- Nie umrą, bo nie zobaczą. Szybkie zamówienie i znikam.

- Powiem Shirley - odparł stary.

- Nie! Ja tylko...

Ale Bill już wywijał w powietrzu białą szmatką. Skutek był taki, że Cade'a zauważyli Stephens i Landers, którzy ze swojego kąta mieli doskonały widok na ulicę, salę główną i bar.

- Cholera. Nie mam czasu... Spóźniony Cade ruszył do sali na tyłach. Kiedy wszedł, zapadła cisza jak makiem zasiał. Cade usiadł obok Stephensa.

- Dzień dobry, panowie.

Zazwyczaj w takich razach słyszał lawinę pozdrowień, jednak tego ranka siedzący przy stole milczeli. Ktoś zaledwie odchrząknął.

Cade nalał sobie kawy i rozejrzał się za Shirley.

- Chcę tylko muffinkę. Albo lepiej dwie.

Hooper zlustrował przybysza od stóp do głów i powrócił do opychania się jajecznicą.

- No dobra, chłopaki. O co chodzi? Pete odkaszlnął.

Po kilku długich chwilach nerwowego przebierania nogami pod stołem odezwał się Landers.

- Więc jak ci to idzie, co?

Cade położył dłonie na udach i odwrócił się na krześle. Spojrzał starszemu mężczyźnie prosto w oczy.

- Nie wiem. Może ty mi powiesz?

- Co takiego?

- Hooper parę tygodni temu zatrzymał się przy mojej farmie i powiedział, że macie, chłopaki, jakiś problem.

Tym razem odezwał się Stephens, największy dyplomata wśród farmerów.

- W zasadzie nie problem, tylko... hm, obawę.

- Nie. Raczej problem - dorzucił Pete, gość z najbardziej niewyparzoną gębą.

- Chodzi o moje owce? -Nie.

- O to, jak prowadzę farmę?

- Z gospodarstwem nie było problemu - odparł Stephens. - Z tym, jak je prowadziłeś.

- Aż do teraz - wtrącił Pete.

- To chyba nie wasz cholerny interes - odparł Cade, próbując nie podnosić głosu.

- To jest nasz interes. Jeśli nasza dolina zamienia się w jarmark.

Cade aż zachłysnął się kawą.

- W jarmark?

- Ten twój sklep z przedzą. To nie prowadzi do niczego dobrego. Marla Upbreth, ta co mieszka trochę powyżej ciebie, już się wzięła za sprzedaż jajek.

- Wystawiła tylko na poboczu kosz i talerz na pieniądze. Daleko jej jeszcze do otwarcia czegokolwiek.

- A co ją powstrzyma? Zwłaszcza jeśli naszą wspólną drogą zaczną jeździć wszystkie kobiety ze Środkowego Wybrzeża?

- Droga jest własnością hrabstwa i ono ją utrzymuje - zaproponował Cade.

Temat podjął Pete. Twarz mu poczerwieniała.

- Naszą drogą. I to po zakupy. Cade, znaliśmy cię jako hodowcę. A ze sprzedawcą rękodziela i rzemiosła nie

chcemy mieć nic wspólnego. - Niemal wypłuł ostatnie słowa.

- Ta działka należy do miasta...

- Dlaczego pozwoliłeś tej małej otworzyć sklepik na swojej ziemi?

Nawet jeśli jesteś zakochany po uszy, zachowuj się jak mężczyzna.

Landers usiłował pomóc.

- Obok magazynu z taftą jest wolne miejsce na sklep. Tam, gdzie w zeszłym miesiącu zbankrutował ten, co to sprzedawał koraliki.

Cade wziął głęboki oddech.

- Po pierwsze, nie robię tego, bo jestem zakochany po uszy. Po drugie, nie mam tu nic do powiedzenia. To już nie jest moja ziemia. Ciotka Eliza zostawiła mi dom i farmę, dziewczynie zaś mały domek i ziemię, na której stoi. Wiecie przecież, sam wam o tym mówiłem. A po trzecie, i chyba najważniejsze, to nie jest wasz zasrany interes. Owszem, dzięki Abigail świat dowie się o naszej dolinie, ale to wcale nie znaczy, że za chwilę powstaną tu supermarkety. Pomyślcie o tym.

Siedzący przy stole pokręcili głowami.

- Niby tak, ale to jak cios poniżej pasa - powiedział Pete. - Mało przyjemne.

- To żaden cios poniżej pasa. Eliza miała prawo tak postąpić. To była jej ziemia. Ja na niej tylko pracowałem.

- Włożyłeś w tę farmę wszystko, co miałeś - powiedział Landers. - Jest twoja od początku do końca. Ona nie powinna być...

- Ale tak postąpiła. A ja wciąż mam ziemię, tak czy nie? Do Abigail należy tylko mały domek. A to żadna rewolucja.

- Na twój podjazd będą wjeżdżać obce samochody - powiedział Pete. - Urządzisz tam parking?

- Do cholery, nie! - Cade tak się zacietrzewił, że siedzący przy stole zaśmiali się głośno. - Nie będzie żadnego parkingu! Ten kawałek klepiska wystarczy.

- A jak ją znajdą ludzie?

- Będzie musiała wystawić jakiś mały szyld. -1 co ty na to?

- Jeżeli na szyldzie będzie napisane tylko „U Elizy”, nie powiem słowa. To w końcu była ziemia mojej ciotki.

- A co z dziewczyną? - Pete nie odpuszczał. - Ludzie mówią, że wciąż mieszka pod twoim dachem.

- Tak. Ludzie słusznie prawią. Nie miałem wyjścia. Na razie nie może się wprowadzić do siebie. Dopóki nie wyremontuje chatki.

- A kiedy to będzie?

- Nie wiem. Przecież jej nie pomagam, więc niby skąd?

- Aha, więc jednak chcesz ją zatrzymać. Ja też bym chciał. Ta dziewczyna wygląda jak laleczka - powiedział Pete.

- Nie! To znaczy: nie pomagam jej... - Cade urwał w pół zdania.

- Gliny cię zatrzymały wczoraj wieczorem - stwierdził Landers.

- John Moss.

- Coś nam opowiadał... O tym, dlaczego tak się śpieszyłeś.

Cade ukrył rumieniec w kubku z kawą.

- John to prostoduszny koleś. Uwierzył, a mimo to dostałem mandat.

- Jajeczkuje? - Pete powiedział to niemal piszczącym głosem.

- Warto było spróbować.

Farmerzy ryknęli śmiechem, a Cade miał wrażenie, że wrócił do domu.

Tego mu było trzeba.

- Nie przywiązuj się do niej - poradził mu Pete. Cade natychmiast oprzytomniał.

- Dlaczego?

Jeśli nie chciał zdradzić wszystkiego, na tym musiał zakończyć.

- Bo wtedy dziewczyna zostanie. A ty przecież nie chcesz, żeby jej się udało.

Zgromadzeni pokiwali głowami. -Tak.

- Dobrze gada.

- A im prędzej, tym lepiej. Kiedy ten jej interes padnie, będziesz mógł odkupić od niej ziemię i wszystko będzie po staremu. Paniusia po prostu wyjedzie.

Cade'owi nagle zrobiło się niedobrze.

- Tak - odparł. - Wtedy wyjedzie.

Podniósł głowę i zobaczył wchodzącą do jadłodajni Bonnie York, pracującą w straży pożarnej jako specjalistka od ustalania przyczyn pożarów. Kobieta minęła starego Billa i poszła prosto do pomieszczenia na tyłach.

- Cade... - zaczęła. - Muszę z tobą porozmawiać o tym pożarze.

Farmerzy przeszli do tematu nadchodzącej burzy, a Cade poczuł, że w jego piersi wzbiera nawałnica.

Rozdział 3 1

Jeśli masz kłopoty, weź się za robótkę.

E.C.

Abigail otworzyła oczy. Bardzo powoli. Gdzie ja jestem? To nie moja pościel.

Prawda dotarła do niej dopiero po chwili.

Pamiętała. Trzeba pamiętać, co się zrobiło. I to, jak się o niego ocierała, to, jak ją podniósł i odwrócił, jak w nią wszedł. Jak ją przytulał przez całą noc.

Spała niespokojnie, bo dotyk jego skóry na jej skórze okazał się nieustającą niespodzianką. Zapadała w sen, a po chwili budziła się zdziwiona. Znow zasypiała i znow się budziła, kiedy on poruszał się we śnie.

Abigail nie dzieliła łóżka z mężczyzną od bardzo dawna. Ale tej nocy reagowała na obecność męskiego ciała zaskakująco dobrze.

Przeciągnęła się i wyjrzała przez okno, mrużąc oczy w ostrym świetle. Na wzgórzach pasły się owce. Widok był jak z idyllicznej pocztówki.

Poczuła ucisk w żołądku, coś w niej zadygotało. Miała wrażenie, jakby wypita na czczo ze cztery filiżanki kawy.

Wczoraj w nocy Cade wydawał się taki...

Wyrozumiały? Czuły i opiekuńczy?

Kiedy jej dotykał i całował - a całował każdy centymetr jej skóry, wszędzie tam, gdzie dotarł ustami - była w tym prawdziwa pasja. Jak gdyby chciał się w niej zanurzyć.

Abigail widziała tę szczerłość i odpowiadała podobną.

Westchnęła i usiadła na łóżku. Opuściła bose stopy na podłogę i poczuła pod palcami miękkość pokrywającej deski owczej skóry.

Nie powinna się tak angażować. Nie powinna się aż tak odkrywać. Przecież jej ostatni związek okazał się jednym z największych życiowych błędów. Czy może, oceniając charakter mężczyzny, zaufać własnemu osądowi, jeśli popełniła tak straszliwy błąd przy Samuelu?

Chociaż Cade nie był podobny do Sama pod żadnym względem, powróciło wspomnienie Betty. To typ kobiety odpowiedni dla Cade'a, a ona, Abigail, jest po prostu pod ręką. Jest mu z nią wygodnie. No cóż, jeżeli mężczyzna może się przespać we własnym domu, na dodatek ze współlokatorką...

Mimo wszystko Abigail nie opuszczało wrażenie, że jest dla Cade'a kimś więcej.

Bo on dla niej był.

Czy wszystkie jego dziewczyny odczuwały podobnie?

Czy też ich tak dotykał? Drżącymi palcami, miękkimi wargami, nagle, zdecydowanie, potem gorąco, a jeszcze później słodko? Czy trzymał je w ramionach przez całą noc, jak drogocenne bibeloty? Bo ją trzymał nawet przez sen. Czy wszystkie były w nim zakochane?

Miłość. Nie. Tylko nie to!

Abigail spojrzała na budzik. Już prawie dziewiąta. Wstała i podeszła do okna. Cieszyła się chłodnym powietrzem, które obmywało jej nagość.

Ziewnęła, a później przeciągnęła się, rozpościerając ramiona nad głową. Cade.

Powtarzała sobie jego imię, smakując je i dotykając go myślą tak, jak palcami dotyka się włóczki. Przeciągała je na swoim oddechu jak przedzianą na kołowrotku wełnę.

Przetestowała jeszcze inne słowo. „Zakochana”.

O, Boże. Szlag by to trafił!

Czy ten stan wyjaśnia obecność fruujących w jej żołądku motyli, wrażliwość każdego nerwu i wibracje duszy niczym dźwięk owczego dzwonka?

Czy wyjaśnia fakt, że nawet wtedy, kiedy unikali się wzajemnie, Abigail zawsze była świadoma tego, gdzie akurat przebywa Cade? Wydawało się, że miała wyczulony słuch. Słyszała dźwięk silnika jego półciężarów-ki, jeszcze zanim samochód skręcił z szosy na podjazd. Wiedziała dokładnie, w którym miejscu domu przebywa Cade, nawet jeśli akurat znajdował się cztery lub pięć pokoi dalej.

Nie miała pojęcia, co zrobić z tym nowym, nadzwyczajnym stanem, ale powoli zaczynała go rozumieć. Zakochanie. Z tym się nie liczyła.

No cóż, Cade już wyszedł i pewnie kręcił się po farmie, więc i ona powinna wziąć się do roboty. Czas ruszyć z kopyta, przestać się ociągać. Minął już miesiąc, jej miejsce na ziemi było gotowe, więc czas najwyższy opuścić uświęconą przestrzeń dużego domu.

Abigail przeciągnęła się ponownie i zaczęła planować. Dzisiejszego dnia zacznie wszystko na nowo. W swoim nowym domu.

Nie śpieszyła się, bo odległość między dwoma domami nie była wielka, a Abigail, prawdę mówiąc, nie miała

do przeniesienia zbyt wielu rzeczy. Czowała się dziwnie, niepewnie, miała w sobie jakąś osobliwą niechęć, której nie chciała nazywać.

Pokonanie schodów, choć w obu miejscach wysokich, nie nastęczało trudności ani nie zabierało dużo czasu. Abigail wszystko robiła powoli. Nie ponaglała klientek, przenosiła rzeczy tylko wtedy, kiedy nikogo nie było w sklepie, a mimo to późnym popołudniem miała poustawiany na biegnących wzdłuż sypialni półkach cały swój dobytek.

W gościnnym pokoju Cade'a nie pozostał ślad jej obecności. Narzuta, zrobiona przez Elizę na drutach, została starannie złożona na łóżku. Tymczasowa sypialnia Abigail znów wyglądała jak zawsze.

Gotowe.

Abigail wypakowała kilka ostatnich książek w swoim nowym pokoju na pięterku, usiadła na nowym łóżku i wyjrzała przez okno. Clara ucięła sobie drzemkę w nowym, zielonym psim kojcu.

Dziewczyna rzuciła okiem na drugą stronę sypialni, na stary sekretarzyk w kolonialnym stylu, wyszukany w antykwariacie w centrum miasteczka. Westchnęła. Mebel był idealny i doskonale nadawał się na miejsce do pisania od tak dawna obecne w jej marzeniach. Bezkresny, cudowny widok, jej własny pokój, miejsce na papier, pióra i długopisy, laptop, notesik do zapisywania pomysłów... A na parterze miejsce dla ludzi, którzy zechcą przyjechać, by stworzyć własne projekty.

Niczego więcej nie mogłaby pragnąć.

Czegoś jej jednak brakowało. A raczej kogoś.

Boże, powinno jej wystarczyć, że jest tutaj, że dokonała tego wszystkiego, że stworzyła tę przestrzeń, gotowa

żyć swoim marzeniem. I nie powinna dręczyć jej pałaca potrzeba podzielenia się szczęściem. A jednak.

Chociaż Abigail nie mogła się doczekać wizyty Janet, która wreszcie zobaczy wszystko dopięte na ostatni guzik, nie myślała wcale o przyjaciółce. Ani o żadnej z entuzjastek robótek i drutów.

Myślała o Cadzie.

Żeby przytaknął i docenił. Żeby stanął tu przy niej, objął ramieniem, żeby razem podziwiali ten niesamowity widok...

W głębi serca Abigail liczyła się z tym, że być może nigdy nie usłyszy od niego pochwały, że Cade nie spojrzy łaskawym okiem na jej przedsięwzięcie.

Ale chyba, jak każda dziewczyna, ma prawo do marzeń?

A może on, w głębi serca, już zawsze będzie skrywać pretensje? A Abigail już zawsze będzie mu się jawić jako ktoś, kto przyszedł i odebrał mu kawałek życiowej przestrzeni? Ktoś, kto pozbawił go spokojnego życia samotnika?

Może uda się jej go odmienić...

Po ostatniej nocy gotowa jest spróbować.

Abigail uniosła dłonie do twarzy, żeby schłodzić pałające policzki.

Zastanowiła się, czy są jakieś nowe wieści od strażaków.

Przysiadła na łóżku i spróbowała opanować narastającą panikę. Wzięła głęboki oddech.

To niemożliwe. Przecież podpalaczem nie mógł być Samuel.

Przede wszystkim nie miał pojęcia, dokąd Abigail wyjechała. Nie znał Elizy, więc nie wiedział o jej śmierci.

Nie, to niemożliwe. Obecny adres Abigail знаła jedynie Janet, która nie zdradziłaby go nikomu. Nigdy.

Pewnie się okaże, że przyczyną pożaru był przypadkowy zapłon oleju albo stara, wadliwa instalacja elektryczna. Abigail nie powinna się tym martwić.

Kolacja. Zrobi dzisiaj kolację i zaprosi Cade'a do siebie. Randka w jej nowym domu. A noc, być może wspólna, w jej nowej sypialni...

Wyobraźnia ruszyła z kopyta, więc na wszelki wypadek Abigail postanowiła nie myśleć. Będzie działać. Będzie tworzyć, poruszać się, zajmie się czymś konkretnym. Wyrzuci Cade'a z głowy aż do wieczora. A Samuela nie wpuści tam wcale.

Abigail pojechała do sklepu w miasteczku, zrobiła zakupy i wróciła do domu. Na spłaszczonej papierowej torbie napisała: „Kolacja, u mnie. O siódmej”.

Przeszła na drugą stronę podwórka i przykleiła torbę do kuchennych drzwi. Cade musi ją zauważyć.

Tak będzie dobrze. I na pewno mu się spodoba.

Nowa kuchnia Abigail była skromna, lecz wystarczająca. W jedną ze ścian wbudowano piec chlebowy i Abigail nagle zatęskniła za upieczeniem ciasta. W jej starym mieszkaniu piec ładnie się nagrzewał, dawał dobre, porządne ciepło.

Mimo wszystko postanowiła przygotować kurczaka. Posiekała mięso, wymieszała z obranymi karczochami i pesto, a później zrobiła świeży makaron. Uwielbiała wałkowanie i cięcie ciasta, zazwyczaj zajęcie proste i nie-wymagające myślenia, ale dzisiaj walczyła z oporną materią. Nie potrafiła się skupić.

Kilka minut przed siódmą wyciągnęła na werandę niski stół i ustawiła go na wprost huśtawki. Nakryła na dwie osoby, używając srebrnych sztućców i czerwonych

serwetek. Wyjęła dwa kieliszki, otworzyła butelkę czerwonego wina. Jedzenie zostawiła w piekarniku, żeby nie ostygło. Na stole położyła chleb i ułożyła na talerzu ser brie. Clara wciąż zachowywała się grzecznie, ale nie spuszczała oczu z sera, a Abigail nie ufała psicy na tyle, żeby zostawić ją sam na sam z zastawionym stołem.

Usiadła na huśtawce i spojrzała na wyświetlacz telefonu. Siódma. Usłyszała półciężarówkę Cade'a na podjeździe i odgłosy parkowania. Nie widziała stąd tamtej części posesji, ale Cade zawsze wchodził do środka przez kuchenne drzwi.

Abigail uśmiechnęła się do Clary.

- Już niedługo - szepnęła.

W powietrzu wyczuła delikatną nutę dymu, wiszącą nad okolicą od kilku dni. Taka pamiątka po pożarze. Dziwne. Ogień rozprzestrzenił się naprawdę gwałtownie, a Tom, który zazwyczaj był gdzieś w pobliżu, tym razem wybrał się do miasteczka. I jeszcze ktoś mu poprzecinał opony.

A dowódca straży mówił coś o nasączonych olejem lnianym szmatach. Czy coś w tym guście.

Nie, to śmieszne.

Abigail sięgnęła po kawałek ciemnego chleba. Posmarowała go miękkim serem, ale powstrzymała się przed wzięciem drugiej kromki. Niedługo przyjdzie Cade.

To tylko zakodowana reakcja, powtarzała sobie w duchu. Zupełnie normalna. Abigail tak długo żyła w strachu, że zagnieździł się on w niej na dobre. Kiedy w jej życiu działo się coś strasznego, zawsze najpierw myślała o Samuelu.

Pożar przeraził ją na tyle, że w głowie powróciło zagrożenie. Choć, prawdę mówiąc, strach przed ogniem był mniejszy niż trwoga tamtej nocy. Złej nocy.

Wydarzenie miało miejsce parę miesięcy po zerwaniu, kiedy wreszcie powiedziała mu, że nie chce go widzieć. Już samo rozstanie było wystarczająco nieprzyjemne; kochała go przecież, co było cudowne, ale on chciał czegoś więcej. Przede wszystkim zażądał klucza do mieszkania, zanim jeszcze Abigail była na to gotowa. Uległa po paromiesięcznych naleganiach, a wtedy on zapragnął się do niej wprowadzić na stałe.

Podczas jednego ze sporów na temat tego, gdzie i jak będą mieszkać, Samuel podniósł głos. Wrzeszczał na Abigail w restauracji, na stojąco, podczas gdy jego ręce bezwiednie zaciskały się w pięści. A ona miała wrażenie, że jedyne, co go powstrzymuje przed zadaniem ciosu, to fakt, że znajdują się w miejscu publicznym.

Przestraszył ją wówczas, lecz Abigail już wiedziała, że nie wolno się jej bać. To Eliza nauczyła ją takiego sposobu myślenia.

Zerwała z Samuelem. Złamane serce było lepsze niż złamana szczęka. Przetłumaczyła sobie w duchu, że oprzytomniała w porę, i gratulowała sobie przez łzy.

I wtedy on zaczął za nią jeździć. Wszędzie. Śledzić ją i nękać.

Oczywiście, poszła z tym na policję. Odbyła się nawet rozprawa sądowa, zakończona zakazem zbliżania się do Abigail. Orzeczono, że Samuelowi nie wolno kontaktować się z nią słownie ani fizycznie i że musi się od niej trzymać w odległości co najmniej trzydziestu metrów. A mimo to dziewczyna czuła go za swoimi plecami, na każdym kroku i za każdym zakrętem. Zawsze na przykazanym trzydziestym metrze. W sklepie spożywczym. W banku. W kinie.

Dowiedziała się wtedy, że nic nie goi lepiej złamanego serca niż lęk.

Tak czy owak, za każdym razem dzwoniła na policję. Wyłącznie po to, żeby choć przez chwilę poczuć się bezpieczna. Kiedy przyjeżdżał patrol, Samuel oddalał się uśmiechnięty, machając do niej ręką. Policjanci niewiele mogli zrobić.

Na szybie samochodu prawie każdego ranka Abigail znajdowała pąsowe róże. Nawet wtedy, gdy auto stało w garażu.

Abigail zmieniła zamki.

Pewnego wieczoru, gdy wróciła od Elizy i weszła do siebie, wyczuła obecność intruza. Odczucie było wyraźne jak przeskok elektrycznej iskry. W salonie wszystko wyglądało jak zawsze, ale Abigail uciekła spod drzwi i pobiegła przed siebie chodnikiem. Schroniła się w samochodzie, a chwilę później zadzwoniła po pomoc. Policjanci weszli do mieszkania, pobieżnie sprawdzili kąty i podeszli do auta. Powiedzieli, że ktoś porozwalał wszystko w sypialni, powymywał szuflady i przewracał szafki z książkami. Łóżko zostało pocięte kuchennym nożem; ten ktoś przeciął kołdrę i prześcieradło, sięgając materaca. U wezłowania zostawił pąsowe róże.

Abigail tylko skinęła głową. Przynajmniej nie zawiodła jej intuicja.

Na posterunku złożyła zeznania. Policjanci odprowadzili ją do domu i zapytali, czy czegoś nie potrzebuje, ale odparła, że nie, że wszystko będzie w porządku. Zatrzyma się w hotelu, a następnego dnia zmieni zamki i każe założyć alarm.

Kiedy wyszli, Abigail wyjęła walizkę i po raz pierwszy w życiu pożałowała, że nie ma broni. Albo psa. A może sprawi sobie i jedno, i drugie, tylko czy to poprawi jej nastrój? Nóż? Jeszcze robi sobie krzywdę. Coś ciężkiego, czym mogłaby się zamachnąć? Żelazko?

Podeszła do wąskich drzwi wbudowanej w ścianę szafki kuchennej, w której trzymała deskę do prasowania okrytą gobelinem z ulubionym wzorem Abigail. Kiedy otworzyła drzwiczki, Samuel, który wcisnął się tam bokiem, uśmiechnął się szeroko.

- Cześć - powiedział.

Dziewczyna okręciła się na pięcie i rzuciła się do ucieczki, ale on był szybszy. Wypadł z ciasnej przestrzeni schowka, a deska do prasowania i żelazko z hukiem rąbnęły o podłogę. Złapał Abigail za włosy i szarpnął tak mocno, że straciła równowagę i upadła. Uderzyła głową o posadzkę, przed jej oczami zawirowały gwiazdy. Za wszelką cenę starała się nie stracić intruza z oczu, ale zanim zdążyła przetoczyć się na bok, on już na niej leżał.

- Tęskniłem za tobą, kochanie.

- Jesteś naprawdę poważnie chory!

Abigail skuliła się pod jego ciężarem. Wszystko, co kiedykolwiek czytała na temat samoobrony, przeleciało przez jej głowę w przyspieszonym tempie. Nie można pozwolić, żeby ją stąd zabrał. Nie można pozwolić, żeby ją związał. Trzeba uciekać. Trzeba walczyć.

Samuel wolną ręką unieruchomił jej dłonie nad głową. Był silny. W drugiej ręce trzymał pistolet. Tuż przed twarzą dziewczyny. Później przycisnął lufę do jej skroni, przejechał nią po powiece, a następnie wzdłuż linii nosa i wokół ust. Przesunął zimnym metalem po jej wargach. Delikatnie. Abigail zacisnęła usta.

- Otwórz buzię, maleńka.

Jeszcze nigdy nie widziała go w takim stanie. Samuel miał rozszerzone źrenice. Na pewno coś wziął. Abigail dostrzegła na jego szyi pulsującą tętnicę. Mężczyzna pocił się; pot kapał z czoła wprost na jej policzek.

- Otwieraj!

Przestał być delikatny. Przycisnął metal do jej warg i rozepchnął je siłą; przejechał nim po zębach, aż przerażona dziewczyna otworzyła usta. Wcisnął lufę do ust Abigail aż po rękojeść, niemal do gardła. A ona nakazała spokój swoim nogom. Będzie ich jeszcze potrzebować. Skupiła się, by się nie zadławić, ale mimo to się zakrztu-siła, czując przedmiot niemal w przełyku.

- Tak ładnie wyglądasz, kochanie. Bardzo mi się podobasz. Jesteś grzeczną dziewczynką. Będiesz grzeczna przez cały czas?

Abigail próbowała skinać głową, ale nie mogła, unieruchomiona lufą pistoletu. Wzrokiem dała znać, że zgadza się na wszystko.

- Nie słyszę.

Abigail jęknęła coś niewyraźnie.

Samuel oblizwał wargi. Brutalnie wyrwał pistolet.

- Powtórz!

- Będę grzeczna. - Udało się jej wykrztusić.

- Wiesz, że cię zastrzelę, prawda? Jeżeli czegokolwiek spróbujesz. Mam na myśli nawet krzywe spojrzenie. Strzelę ci w brzuch, a później w nogi. Nie chcę zabijać, ale kto wie? Powiedz, że będziesz grzeczna. Jeśli ty będziesz grzeczna, ja też będę miły.

Abigail omal nie zwymiotowała. Musi się powstrzymać. Opanować.

- Będę grzeczna.

- Jak grzeczna?

- Bardzo.

Miała wrażenie, że na dźwięk tego słowa oczy Samuela drgnęły w oczodołach.

- Powtórz to - szepnął.

Wciąż na niej leżał. Przyciskał ją biodrami i trzymał za nadgarstki. Miażdżył miednicę.

Abigail postanowiła spróbować.

- Tak jest dobrze. Będę dla ciebie miła. Zrobię wszystko, co zechcesz. Znów drgnienie oczu. Samuel wyglądał tak, jakby dokuczały mu zawroty głowy. Czy to pożądanie? Wpływ jakichś prochów? Może trzeba wykorzystać ten stan?

Abigail nie miała wyjścia.

- Wszystko, czego chcesz, Samuelu. Pragnę cię. - Przełknęła nieprzyjemny smak, który rósł jej w gardle.

Mężczyzna mocniej wparł się biodrami w jej biodra.

- Jeszcze - jęknął. Przesunął lufą pistoletu po policzku dziewczyny, później po jej szyi. Podrapał ją ostrą krawędzią. Powrócił do policzka. Postukał weń lufą, jakby coś sprawdzał.

- Mhm... - wymruczała Abigail. - Bardzo mi się to podoba.

W oczach Samuela rozbłysło coś, co kazało jej sercu bić mocniej.

- Ale przedtem byłaś niegrzeczna?

- Bardzo niegrzeczna. - Ryzykowała, stawiała wszystko na jedną kartę. Położyła na szali własne życie. Każde słowo mierzyła drżeniem leżącego na niej męskiego ciała. Jeśli dobrze odczytuję te sygnały, wygram, pomyślała Abigail. Jeśli się mylę, i tak nic już nie mogę zrobić. - Dla ciebie wszystko.

- O, Boże. - Samuel odłożył broń i odepchnął przedmiot w kierunku swojej nogi. - Tylko nie próbuj żadnych sztuczek. Już raz cię ostrzegałem. - Położył dłoń na twarzy dziewczyny. - Od tak dawna cię pragnę...

- Wiem - odparła po prostu. Wiedziała już, że zwycięstwo jest blisko.

Samuel postukiwał palcem po jej twarzy. Dotykał nosa czubkiem palca. Pocałował ją w usta, wepchnął

język między jej wargi. Abigail poczuła smak mięsa i metalu. Walczyła o oddech. Nogi trzymała nieruchomo jak kłody. Mężczyzna uniósł się trochę. Zdjął nieco ciężaru z jej ust.

- Czego pragniesz?

Spojrzała mu w oczy. Tak. Pomodliła się w duchu za sukces.

- Wejdz we mnie. Pragnę cię. W środku. Proszę. Samuel zmrużył oczy.

- Potrzebuję cię. Naprawdę. - Abigail próbowała nasycić głos odcieniem prośby. Chyba go przekonała? - Dam ci wszystko, najmilszy - mówiła. - Mam to, czego pragniesz.

Puścił jej nadgarstki i obiema rękami zaczął rozpinąć pasek.

Jeszcze nie czas. Trzeba poczekać na właściwy moment.

Nie poruszać się, leżeć spokojnie.

- Chcę cię widzieć - szepnęła.

Samuel zadrżał ponownie. Jego dłonie powędrowały w kierunku rozporoka. Rozpiął guzik. Odpiął zamek. Uniósł się, uwalniając nieco Abigail od ciężaru swego ciała, opuścił spodnie do połowy ud. Teraz jedną ręką ściągał bokserki, a drugą sięgał pod jej spódnicę.

Abigail eksplodowała. Pchnęła kolanem, z całej siły uderzyła w odkryte krocze. Palcami prawej ręki dźgnęła w oczy. Trafiała. Pod opuszkami palców poczuła coś mięsistego i nabrzmiałego. Jej lewa dłoń sama zacisnęła się w pięść i z całej siły uderzyła napastnika kostkami w szyję, prosto w jabłko Adama. Kiedy Samuel zwinął się z bólu, dziewczyna wytoczyła się spod jego nogi. Uderzała i kopała wszędzie tam, gdzie zdołała dosięgnąć. Odczołgała się na samych ramionach...

Samuel rzucił się za nią, ale kopnęła go dwa razy w głowę tak mocno, że aż usłyszała trzask pękającej kości. Wrzasnął. Abigail po omacku poszukała żelazka i zamachnęła się sierpowym, najlepszym, jaki jej się udało wyprowadzić z półprzykleku. Ostra krawędź trafiła w skroń. Coś chrupnęło nieprzyjemnie.

Samuel zamarł; wciąż otwarte oczy patrzyły teraz martwo w jakiś punkt w przestrzeni. Leżał na plecach, a z jego głowy sączyła się krew. Obie nogi drgały spa-stycznie.

Była to ostatnia rzecz, jaką zobaczyła Abigail, zanim wybiegła z domu. Nie pamiętała, że zatrzymywała jakiś samochód, nie pamiętała, że dzwoniła na policję. Nie miała pojęcia, kiedy zemdląca.

Kiedy doszła do siebie, leżała w szpitalnym łóżku przykrytym białym prześcieradłem, a bardzo miły lekarz tłumaczył jej, że musi w nim jeszcze pozostać kilka godzin z powodu szoku. Bardzo miły policjant pochwalił ją za świetną obronę i dodał, że niestety sprawca zdołał zbiec z miejsca przestępstwa. Patrol po przyjeździe zobaczył na podłodze w kuchni jedynie kałużę krwi. Ruszono w pościg, ale pies zgubił trop pięć przecznic dalej.

Po tym wydarzeniu Abigail przeniosła się na kilka miesięcy do Elizy. Nigdy już nie zobaczyła nawet śladu Samuela. Przestał pojawiać się jego SUV, znikły pąsowe róże. Policja powiedziała, że ma na niego nakaz i może aresztować go w każdej chwili, ale od tamtego wieczoru Samuel nie pojawił się w pracy. Prawdopodobnie uciekł do innego stanu.

Dwa miesiące później Abigail wróciła do swojego mieszkania i kazała zainstalować w nim system alarmowy. Niedługo potem Elizę powalił zawał, a parę tygodni później dziewczyna wyniosła się na farmę.

Wreszcie nie musiała oglądać się przez ramię. Nie musiała się bać.

To niemożliwe. On nie mógł jej odnaleźć. To on miał się jej bać...

Abigail powróciła do rzeczywistości i zorientowała się, że nie jest już w San Diego. Potrząsnęła głową. Wizje z przeszłości znikły. Ganek. Na stole chleb i ser. Oczekiwanie na Cade'a.

Drżącą dłonią sięgnęła po kieliszek.

Clara przeciągnęła się leniwie i ziewnęła. Temperatura spadała dość szybko. Słońce już zaszło i Abigail zrobiło się zimno. Gdzie jest Cade? Tęskniła za nim, za widokiem mężczyzny przemierzającego podwórko długimi krokami, podchodzącego do niej, uśmiechającego się szeroko. Chciała poczuć na sobie jego ramiona.

Spojrzała na wyświetlacz komórki. Dwadzieścia po siódmej. Siedzi na tym ganku od dwudziestu minut!

O wpół do ósmej Abigail zdjęła ze stołu talerz z serem. Żeby nie kusić Clary. Weszła do środka i sprawdziła, co z kolacją. Na werandzie i tak już było za zimno. Trzeba przenieść wszystko do środka. Dziewczyna ściągnęła nakrycia, zabrała kieliszki i butelkę, wniosła i nakryła na nowo na kuchennym stole, w otoczeniu wałających się wszędzie motków.

Wewnątrz i tak jest sympatyczniej.

Jedzenie zdążyło już ostygnąć na patelni, a makaron zaczął twardnieć. Nie daj Boże, żebym musiała odgrzewać to wszystko w nowej mikrofalówce, pomyślała. Nie, przecież Cade przyjdzie lada chwila.

Abigail wyszła przed frontowe drzwi. W holu jego domu paliło się światło. Teraz zgasło i pojawiło się w sypialni. Może Cade się przebiera?

Trzydzieści minut później światło zgasło i tam.

Po dalszych dziesięciu Abigail niechętnie przyznała się do porażki.

On już nie przyjdzie.

Wpuściła Clarę do domu. Boże, zimno dzisiaj jak w psiarni! Chłód przenika do kości. Objęła się ramionami, zadowolona, że ma na sobie sweter z alpaki.

Podeszła do domu Cade'a. Jej wiadomość na brązowej, papierowej torbie została zdjęta, a to oznaczało, że zobaczył zaproszenie. Ale nie przyszedł. I nawet się nie odezwał.

Pewnie nie miał ochoty.

Wiedział przecież, że Abigail czeka z kolacją. Że sprawdzi, czy Cade odczytał wiadomość z papierowej torby, i dopiero później wróci do siebie. Czy obserwował ją teraz z zaciemnionego okna?

Nie, nie spojrzy w górę, nie da mu satysfakcji.

Abigail otarła łzy.

Kiedy wyrzucała jedzenie do kosza, płonęły jej policzki.

Ledwie przeżuła kawałek skórki od chleba. Straciła apetyt.

W końcu nałała sobie kieliszek wina.

- Trzeba to było zrobić już dawno temu - powiedziała do Clary. - Za Elizę. I za mój sklep. I za mnie. I za ciebie, piesku. Ale za nikogo innego.

- Uniosła kieliszek i wypila alkohol jak wodę.

Pół godziny i dwa kieliszki później, potykając się, Abigail poszła do łóżka i rozebrała się przy zaciągniętych zasłonach.

Leżała rozbudzona, zapatrzona w sufit. Oczywiście miała suche, a serce puste.

Niekiedy sweter kończy się jedną wielką katastrofą. Kiedy go jednak pozszywasz i przymierzysz, i okaże się, że coś jest nie tak, nic do siebie nie pasuje, a całość wygląda jak sto nieszczęść, nie przejmuj się. Niekiedy tak już po prostu bywa.

E.C.

Pięć albo dziesięć patoli. Pięć albo dziesięć tysięcy dolarów.

Cade przytupywał nogami na pastwisku. Robiło się coraz zimniej. Pierwsza cholerna noc z przymrozkiem, a jak na złość trzy z jego owiec miały się kocić. Pierwsze jagnięta o tej porze roku. Zawsze celował tak, by porody odbywały się w listopadzie; chciał trafić z jagniętami w sam środek gorączki wielkanocnych wystaw. Było to zadanie najtrudniejsze z trudnych. Stał teraz na zimnie z nadzieją, że młode pojawią się na świecie, zanim on pójdzie do łóżka, ale kiedy sprawdzał ostatnio, wcale się na to nie zanosilo.

Przerąbany dzień! A zaczął się tak dobrze, u boku Abigail... Początek był okej, ale później, w jadłodajni, gdy słuchał tego, co miała mu do powiedzenia Bonnie York...

Boże, wciąż nie mógł w to uwierzyć! Kobieta zajęła się niespiesznym dolewaniem śmietanki do kawy.

- Znalazłam odpryski na betonie. To taki rodzaj plamy, który wskazuje miejsce, gdzie ogień palił się najszybciej i gdzie było najgoręcej. Ktoś tam wylał jakiś płyn i podpalił. Nie potrafię udowodnić, że ktoś zrobił to celowo, więc nawet jeśli było to podpalenie, zostanie zakwalifikowane jako nieumyślne. Cade, przykro mi.

Cade słuchał, a serce waliło mu jak oszalałe.

- Władze stanowe wystawią ci rachunek - ciągnęła.

- Rachunek? - odparł. - A za co? Przecież płacę podatki jak każdy.

- Administracja nie obciąża podatnika kosztami tylko w razie wypadku. Ale przy nieumyślnym podpaleniu trzeba zapłacić za interwencję.

- Takich głupot nie słyszałem, jak żyję. Ile mnie to będzie kosztować?
Bonnie westchnęła.

- Myślę, że pięć, może dziesięć tysięcy dolarów. Przykro mi.

Cade wstał, przecisnął się obok kobiety i wyszedł na dwór, żeby zaczerpnąć powietrza. Niech to jasny szlag trafi!

Żeby zapomnieć o tych rewelacjach, cały dzień tyrał jak wół.

Powinien był pójść na tę kolację. Wiedział, że powinien. Był jednak zbyt wytracony z równowagi.

Abigail wyprowadziła się na dobre. Żeby to zauważyć, Cade naprawdę nie potrzebował zaproszenia, które zostawiła na kuchennych drzwiach. Dom odpowiadał echem, ściany ziały pustką. Cade nauczył się ją wyczuwać jeszcze w dzieciństwie, po każdym odejściu matki.

Poszedł na górę z zaproszeniem od Abigail w dłoni. Rozejrzył się po jej sypialni.

Poprzedniej nocy byli w niej razem.

A teraz ona jest daleko, choć dzieli ich odległość zaledwie paru kroków.

W wyobraźni Cade'a - dystans nie do pokonania.

Tej nocy spał niewiele. Najwyżej parę godzin. Dźwięk budzika wyrwał go ze snu przed świtem. Od dzisiaj tak będzie co noc, przez następny miesiąc, pomyślał. Trzeba dogłądać owiec.

Dwie już znalazł; przeniósł je do stajni razem z jagniętami. Jedna urodziła jedno młode, a druga parkę. Zaaplikował maluchom witaminowy aerozol (z którego wprowadzie nabijał się weterynarz, ale według Toma nie było nic lepszego) i posmarował im pepowiny jodyną.

Mroźne powietrze szczypało Cade'a w nos i w oczy. Pod koniec sezonu kocenia prawie nie będzie tego czuł, ale dzisiaj wszystko było nowe.

Pierwszą myślą Cade'a po przebudzeniu była Abigail. Drugą pożar. Kolejną słowa, w które nie mógł uwierzyć. Słowa Bonnie. Odpryski. Ktoś wylał jakiś płyn...

To niemożliwe. Znał przecież trochę tę dziewczynę. Nie miała powodu, żeby podpalać składzik. Żadnego. Dostała wszystko, czego chciała. Miała swoją ziemię, swój sklep. A teraz własny ką. A teraz własny ką.

I nie była wariatką.

A może on, Cade, jest po prostu zaślepiiony?

Czyste wariactwo! Środek nocy, a on w stadzie około stu owiec (zaledwie jednej piątej tego, co posiadał) szuka tej jednej, która właśnie ma się okocić. W ciemności. Cade uniósł latarkę, przecinając snopem światła przejmująco zimne powietrze. Owce podniosły beczący protest. Nie

podobało im się to, że się między nimi przeciska, nie podobało im się nic, co burzyło utarte zwyczaje. Pod tym względem były podobne do właściciela.

Cade potknął się w jakiejś dziurze. Boże, jak zimno! I wciąż śladu młodej matki.

Za podpalanie biorą się szaleńcy, a przecież on mieszkał z Abigail przez miesiąc i jakoś nie zauważył symptomów obłądu. Zorientowałby się przecież, gdyby miał do czynienia z wariatką!

A może nie?

Nie jest chyba zakochany w psycholce, która dybie na własność? Zakochany?

A niech to szlag! Myśleć o tym w takiej chwili?

Czy ta historia z ogniem była tylko zbiegiem okoliczności? Bo dziewczyna wyprowadziła się krótko po pożarze. I milczała podejrzanie podczas rozmowy Cade'a z dowódcą straży.

Nie. To niemożliwe. To nie ona.

Kiedyś, dawno temu, Cade przecież umawiał się z wariatką. Nawet z więcej niż jedną. Wydawało mu się, że tak jest lepiej.

Nie, Abigail na pewno nie była szalona.

Cade nienawidził samego siebie za te wątpliwości.

Ale jeżeli nie ona podłożyła ogień, to kto? Cade nie miał wrogów. A w dolinie nigdy nie było problemów z podpalaczami.

To nie mogła być ona.

Dość już tego. Niech ta owca poczeka sobie do rana! On swoje zrobił, przeszukując farmę podczas parszywej pogody, a teraz wraca pod kołdrę.

Jeszcze tylko jedno miejsce. Tam, trochę dalej, w cieniu betonowego koryta.

Jasny kształt na ziemi.

Cholera, czemu nie wpadł na to wcześniej?

Cade podszedł i zobaczył na ziemi dopiero co urodzone jagnię. Dotknął. Zimne jak kamień. Włożył palec w otwarty pyszczek, natrafiając na lodowaty, suchy i twardy język. Zwierzę nie oddychało.

Poświecił dokoła latarką. Gdzie matka? Może porzuciła młode, zajęta rodzeniem następnego? Aha, jest. Po drugiej stronie.

W cieniu koryta leżała owca. Cała we krwi.

- Diabli nadali! - mruknął Cade.

Musiała się wykrwawić podczas porodu jagnięcia, które teraz leżało zaledwie parę metrów dalej i wyglądało jak nieżywe.

Zostawi ją. Tu już nic nie można zrobić. Trzeba się skupić na młodym.

Cade rozpiął kurtkę i poczuł na żebrach zimne powietrze nocy. Umieścił zwierzątko pod ubraniem, przycisnął je do skóry. Truchtem zbiegł z pastwiska w kierunku domu.

Kiedy znalazł się w środku, jedną z komór kuchennego zlewu napełnił wodą - nieco chłodniejszą niż letnia i nieco tylko cieplejszą niż zimna. Kiedy była już pełna, ostrożnie umieścił w niej jagnię.

Żadnej reakcji. Brak oddechu. Cade nie czuł pod dłonią bicia serca.

Cholera, pewnie wszystko na nic! Niekiedy odchodzą zbyt daleko, za bardzo wychłodzone, w zbyt silnym szoku...

Sprawdził płęć. Chłopczyk. Maluch być może wyrośnie na barana, który nie na wiele się zda; można go będzie sprzedać dzieciakom na Wielkanoc albo wystawić na aukcji. Ale jagnię to jagnię.

- No już, kolego - powiedział Cade. - Dasz radę.

Po minucie dołał trochę ciepłej wody, podnosząc nieco temperaturę w zlewie. Kilka minut później kolejną porcję. Wciąż nic.

Po czwartej dolewce wreszcie coś poczuł. Zaledwie nieznaczny skurcz w trudnym do określenia miejscu.

Ponownie włożył palec do pyszczka zwierzęcia. Tym razem poczuł ciepło. Język znów był miękki. Jagnię próbowało delikatnie ssać.

Cade aż krzyknął z radości. Zwierzątko podskoczyło w jego rękach.

- Tak! Wiedziałem, że ci się uda!

Cade przestał się śpieszyć. Temperaturę w zlewie podnosił powoli, aż była właściwa. Jagnię zabeczało, jak tamte na pastwisku. Kopało i wyrywało się, bezładnie rzucając głową.

- Wiem, że teraz nie jest zabawnie. Ale zaraz będzie lepiej.

Zawinął maleństwo w ręczniki, zaniósł do salonu. Napalił w kominku; na szczęście miał gotowe drewno. Kilka chwil później strzeliły płomienie. Cade ułożył jagnię na kolejnej warstwie ręczników.

- Idę po suszarkę do włosów. Nie ruszaj się stąd! - przykazał.

Maleństwo i bez tego nie miało ochoty na jakąkolwiek aktywność. Leżało wyczerpane przekroczeniem progu śmierci. Cade pobiegł po schodach, przeklinając własną głupotę. Skoro używa suszarki wyłącznie do suszenia jagniąt, powinien ją trzymać w salonie! Właściwie nie wiadomo, dlaczego zawsze odnosi ją do łazienki.

Odszukał sprzęt, zniósł na dół, włączył. Skierował wylot powietrza na jagnię, które już kopało, ale jeszcze nie potrafiło stanąć o własnych siłach. Suszarka wydała

z siebie krótki trzask, później syk, aż w końcu odmówiła współpracy.

Cholera! Przy samym kominku też dadzą radę, ale to potrwa. A im szybciej malec się rozgrzeje, tym lepiej. Cade nie miał drugiej suszarki. Może Abigail?

Rozdział 33

Mężczyźni przydają się do różnych rzeczy. Między innymi do szukania drutów i znaczników do ściegów, które zgubiłyśmy na kanapie.

E.C.

Abigail usłyszała wołającego ją po imieniu Cade'a i przez moment nie miała pojęcia, gdzie się znajduje. Niewłaściwe łóżko, nieznana konfiguracja okien... Kiedy wreszcie na dobre otworzyła oczy, nie rozpoznała zasłon.

Aha. Pokój na piętterku, w nowym domu. A ona leży w nowym łóżku.

Tylko dlaczego Cade tak na nią wrzeszczy?

Kilka wypitych wieczorem kieliszków wina wciąż tańczyło w Abigail i nie pozwalało pozbyć się jej zawrotów głowy. Dziewczyna odsłoniła okno i na dole zobaczyła Cade'a.

Ciężkie okienne skrzydło zaskrzypiało, a Abigail, przestraszona, że może się w każdej chwili zatrzasnąć, przytrzymała je ręką. Wychyliła się na parapet. W samej piźamie. Do pokoju napłynęło zimne powietrze.

- Masz suszarkę do włosów? - wrzasnął Cade.

- Suszarkę? A po co ci suszarka?

- Masz czy nie masz?

Nagle wszystko wróciło. Przygotowana kolacja. To, że nie przyszedł. Ani nie zadzwonił. Pewnie jeszcze nie raz ją to zaboli, jak bolało, zanim napiła się wina, ale na razie Abigail pozostawała w kokonie snu.

- Mam, mam.

. W głosie Cade'a pobrzmiwała niecierpliwość.

- A mogę pożyczyć?

- Okej. W porządku.

Abigail z hukiem zatrzaskała okno. Naciągnęła kurtkę na piżamę i zeszła na dół, do łazienki.

Wychylnęła zza drzwi z suszarką w dłoni.

- Po co ci ona?

- Po nic.

Odwrócił się i pomaszerował w kierunku domu. Abigail nie odpuściła.

- I co, nie podziękujesz mi? Powiedz, o co ci chodzi. Musisz sobie coś ogrzać i nie chcesz, żeby ktoś patrzył? - Zachichotała jak z dobrego żartu.

Wszystko przez to wino!

- Coś w tym guście.

Dziewczyna deptała Cade'owi po piętach. Zimne powietrze chłodziło jej zaczerwienione policzki. Spojrzała w górę, na gwiazdy, które tej nocy świeciły jasno i czysto, zagapiła się, straciła równowagę i potknęła.

- Nic mi nie jest! Nic mi nie jest! - powiedziała. Cade nawet się nie obejrzał.

- Dlaczego mi nie powiesz? Żądam odpowiedzi.

- Bo nie - rzucił przez ramię.

- Musisz.

- Jeśli ci powiem, będziesz chciała wejść do środka.

- A w czym problem?
- Nie jestem w nastroju.
- Wszystko jedno. Mów zaraz.
- Suszę jagnię, które uratowałem od śmierci. Abigail przystanęła.
- To fantastyczne! - Przepchnęła się przez otwarte drzwi. - Muszę to zobaczyć!

Usłyszała zrezygnowane westchnienie.

- W salonie.

Abigail zobaczyła maleńkie, białe jagniątko na stosie niebieskich ręczników.

- O, Boże! Ile ono waży?

- Nie mam tu wagi, ale na oko jakieś cztery kilogramy. Nie więcej.

- Ona jest wielkości małego kota! Tylko na nią popatrz!

- Na niego.

- Niech będzie, że na niego! Czyż nie jest słodki? Czy mogłabym go osuszyć?

- Chyba tak.

Cade włączył suszarkę.

- Tylko ostrożnie i nie za blisko wełny. Nie chcemy go chyba przypalić?

- To jest po prostu fantastyczne i cudowne. - Abigail sprawdziła na dłoni temperaturę strumienia. W sam raz.

Kiedy skierowała na jagnię ciepłe powietrze, maleństwo poruszyło się, pisnęło i wyprostowało nogi. Jakby chciało więcej.

Suszarka szumiała, a Abigail i Cade siedzieli w milczeniu. W kominku strzelały płomienie, wszędzie pachniało dymem i mokrą wełną. Pomruk suszarki uspokajał. Abigail wciąż czuła na języku smak wczorajszego wina. Cade stanął przy oknie i spojrzał w ciemność.

- Czy on potrafi już chodzić?

- Pewnie tak, ale nie wygląda na to, że ma chęć próbować. - Głos Cade'a był równie zimny jak powietrze za oknem.

- A dlaczego jest cały mokry?

- Bo włożyłem go do ciepłej wody. Kiedy go znalazłem, jego matka już nie żyła. Wykrwawiła się. Był sztywny, nie oddychał i zamarzał.

- Czy inna matka go przyjmie? Zaopiekuje się nim?

- Zazwyczaj tak bywa. Tego tutaj wsadzę do zagrody z innym jagnięciem, też urodzonym dzisiejszej nocy. Chyba będzie ssał... Jeżeli zastępcza matka mu pozwoli. A jeśli nie, przybędzie mi jeszcze jeden obowiązek.

- Ale jak to zrobiłeś? To znaczy: jak go ożywiłeś?

- W ciepłej wodzie.

- Skąd wiesz, że tak się to robi?

- Od wuja Joshuy. On zawsze miał do tego rękę. Eliza stała mu za plecami, powtarzając: „Tego nie ocalisz, kolego”, ale wuj był uparty. Bardzo powoli dolewał ciepłej wody. A kiedy jagnię wracało do życia, ciotka Eliza mówiła coś o kolejnym cudzie.

- Dziś ty dokonałeś cudu.

Cade zerknął na jagnię i wzruszył ramionami.

Abigail suszyła zwierzątko i przyglądała się jego sierści. Widziała, jak mięknie i skręca się w loki. Najświeższe owcze runo, jakie widziała w życiu.

Uśmiechnęła się do Cade'a.

- Szkoda, że nie widziałam, jak Eliza suszy takie maleństwa...

Nie odwzajemnił uśmiechu.

Abigail pożałowała, że jest na wpół wstawiona i na wpół skacowana zarazem, ale wystarczała jej milcząca obecność Cade'a przed kominkiem. Ręcznik i jagnię leżały na jej kolanach.

- Przeczytałeś mój liścik? - zapytała, nie podnosząc oczu, zadowolona, że etap, w którym wszystkie wypowiedane słowa są niewyraźne i splątane, już minął.

-Tak.

Susząc miękki, różowy brzusek, Abigail czekała na ciąg dalszy.

Jednak Cade nie podjął tematu. Stał tylko przy oknie i patrzył.

- Byłam rozczarowana, że nie przyszedłeś na kolację...

- Byłem rozczarowany, gdy spłonęła moja szopa. Abigail popatrzyła zdziwiona. Te słowa brzmiały jak oskarżenie.

- Dowiedziałeś się, jaka była przyczyna pożaru?

- Łatwopalny płyn. Wylany i podpalony. - Przerwał na chwilę. - Władze stanowe chcą mi przesłać rachunek za interwencję. Na dziesięć tysięcy dolców. Czy w związku z tym jest coś, co chciałabyś mi powiedzieć?

- Co takiego? - Abigail poczuła ucisk w żołądku.

- Coś o tym podpaleniu. Nie da się udowodnić, że było celowe, ale nie ma co do tego żadnej wątpliwości.

- Naprawdę? Kto mógł to zrobić? Cade założył ramiona na piersi.

Abigail poczuła ciężar tego spojrzenia na ramionach, i zdała sobie sprawę, że Cade w nią wątpi. Ze ją oskarża.

- Przecież ja go gasiłam! Sam powiedziałeś, że mogło się to dla mnie źle skończyć! Jakimiś obrażeniami.

- Jezu, odsuń suszarkę, bo go przypalisz. Tak, teraz dobrze. To prawda. Byłaś na miejscu pierwsza...

Czy to możliwe, żeby nie znał jej aż do tego stopnia? W głowie Abigail kłębiły się myśli. Dziewczyna w panice szukała najlepszej obrony. Nie miała alibi. Kiedy wybuchł pożar, była na farmie sama.

A przynajmniej myślała, że jest.

Samuel.

Poczuła lęk, ostry jak uderzenie sztyletu. Jeżeli on rzeczywiście tu jest, gdzieś niedaleko... Czyżby tu za nią przyjechał?

Nie, Abigail się nie podda! Będzie walczyć. Odważniej niż ostatnio.

A Cade, który nie spuszcza z niej wzroku? Co on sobie, do cholery, wyobraża? Że kim niby jest? Skąd ta potrzeba, żeby się przed nim tłumaczyć?

Przecież nie zrobiła nic złego.

Abigail wyłączyła suszarkę. Jagnię było już niemal zupełnie suche.

Odezwała się. Nieśpiesznie, skupiona na tym, żeby jej słowa brzmiały jasno i wyraźnie.

- Nie spaliłam tej szopy, kretynie. I nie wierzę, że to powiedziałeś. Nie wierzę nawet, że mogłeś tak pomyśleć.

Wstała i okryła się kurtką. Dlaczego musi wygłaszać tę przemowę w tym stroju? Różowa piżamka nie pasuje do złamanego serca.

- Nie mam pojęcia, czyja to sprawka. Ale podejrzewam faceta, o którym kiedyś ci opowiadałam. Tego od róż. I jestem przerażona. Jak mogłeś pomyśleć, że to ja? Nie do wiary!

Cade zrobił w jej kierunku dwa kroki i wyciągnął rękę.

- Wcale nie to miałem na myśli... - zaczął. Abigail przerwała mu zdecydowanie.

- Nie, Cade. - Pokręciła głową. Pożałowała, że nie ma na podorędziu słów, którymi mogłaby lepiej wyrazić ogrom spustoszeń w sercu. - To nie było w porządku.

Włożyła pantofle i uciekła, zostawiając suszarkę, prawie wyrwane śmierci jagnię i mężczyznę, którego kochała.

Rozdział 350

Uwierz w swoje umiejętności na tyle, by raz jeszcze nabrać oczka na druty i zacząć nowy ścieg, nawet po porażce. Następny sweter na pewno okaże się lepszy i będzie lepiej pasował. Obiecuję.

E.C.

Cade spodziewał się najazdu klientek, ale żeby aż tylu?

Wokół domku Abigail stały bezładnie zaparkowane samochody. Na oko ze trzydzieści.

Hałasy dobiegały aż do stajni. Cade znał już głosy kobiet, pochylających głowy nad wełną i przędzą. Brzmiały jak obcy język. Szkic, rozmiar, barwienie, motek. Nie rozumiał tych słów i nie chciał rozumieć.

Samochody przyjeżdżały przez cały dzień.

Cade spróbował ucieczki w pracę. Wybrał najdalszą linię ogrodzeń, tę, do której nie dało się w żaden sposób dojechać samochodem, i postanowił pojechać tam konno.

Przeskakiwał przez wystające z pastwiska głązy, później ręcznie naciągał linki, aby owce nie mogły się między nimi prześliznąć. Wprawdzie chroniło je przed tym ich wrodzone lenistwo, ale teraz nie udało im się na pewno.

Cade próbował się zaharować, jednak zmęczenie nie przychodziło. Miał wrażenie, że im ciężiej pracuje, tym bardziej się nakręca.

W końcu, oddychając ciężko, stanął na wzgórzu. Ponad konarami dębu i rosnącymi poniżej eukaliptusami popatrzył na szarą linię oceanu.

Czy powinien do niej pójść? Czy ona wybaczy mu wczorajsze słowa?

Podrapał się po nosie i przesunął kapelusz na tył głowy. Mimo że słońce nie grzało, przy ciężkiej robocie spocił się jak mysz.

Przypomniał sobie płomień w oczach leżącej w jego łóżku Abigail. Nigdy dotąd nie widział nic podobnego. Zakochał się w tym widoku.

Zakochał się w tej dziewczynie.

Do diabła!

Czy miłość przypadkiem nie uwzniośla? Czy nie tak gadają ludzie?

Niezależnie od tego, co teraz czuł, już po ptakach. Dołożył do pieca poprzedniej nocy, najpierw ignorując zaproszenie, a później dolewając oliwy do ognia oskarżeniem o pożar.

Przecież nie podpałiła tej szopy! Wiedział, zgadł to z jej spojrzenia poprzedniej nocy, gdy tylko zdała sobie sprawę z podejrzeń. Mimo wszystko powinien zorientować się wcześniej! Nie powinien być w nią zwątpić.

Dobrze byłoby przynajmniej pójść do niej i przeprosić. Nie miał nadziei, że Abigail mu to zapomni, ale zawsze można spróbować. Trzeba spróbować.

W sercu czuł ból jak nigdy przedtem.

Cade jechał powoli przez swoją ziemię, w dół, zboczem wzgórza w kierunku domu. Minał parking, nie

zważając na spojrzenia wsiadających i wysiadających z samochodów kobiet. Dlaczego tak się na niego gapią? Jak na jakiegoś klauna? Powstrzymał się od ordynarnych gestów, choć miał na nie szczerą ochotę.

Rozsiadł konia i stanął w drzwiach stajni. Przyglądał się rzędowi aut jadącemu nieśpiesznie od szosy w kierunku podjazdu.

- To naprawdę coś. Cade aż podskoczył.

- Tom! Skradasz się i mnie straszysz.

- Stoję tu od co najmniej minuty i czekam, aż mnie zauważysz.

Wyglądasz na zagubionego na własnej ziemi.

- Bo jestem. Tyle że nie na własnej ziemi.

- Wygląda na to, że Abigail od początku ruszyła z kopyta...

- Rzeczywiście.

- Dowiedziałeś się czegoś więcej o pożarze? - zapytał Tom.

- Tylko tego, że to nie jej sprawka.

Tom zaśmiał się głośno, a później spojrział na Cade'a.

- Cholera, ty mówisz poważnie. Naprawdę myślałeś, że to ona?

- A dlaczego nie?

- Fakt, ja nie spędziłem z nią tak wielu przyjemnych chwil, że tak to ujmę... Ale to bardzo sympatyczna kobieta, której hobby jest robienie na drutach. Bystra i zabawna. Za dobra dla takich jak ty czy ja. I nie wygląda na podpalaczkę.

- Szlag by to trafił!

- Naprawdę ją o to spytałeś? Cade westchnął ciężko.

- Czasem zachowujesz się jak idiota - powiedział Tom. - Z całym szacunkiem, oczywiście.

- Ona uważa, że to taki facet, który za nią łąził jeszcze na południu.
- Przerazające. Idziesz z tym na policję?
- Tak, zeznam to później do protokołu. Muszę ją tylko poprosić o nazwisko tego gościa.

Tom skinął głową.

- Ostrożnie, szefie.

- Aha, byłbym zapomniał. Chodzi o to jagnię, które jest razem z bliźniakami. Jego matka zdechła wczoraj w nocy i leży przy tym betonowym korycie. Nawet nie miałem czasu jej stamtąd ściągnąć. Zrobiłbyś to?

- Żaden problem.

Cade wziął prysznic, bo bardzo potrzebował gorącej wody i przebrał się w miejskie ubranie. Nie mógł poczekać ani minuty. Musiał się z nią zobaczyć natychmiast.

Te kilkadziesiąt kroków od jego domu, przez podjazd, do domu Abigail, było najdłuższym spacerem w jego życiu. Kobiety obsiadły werandę; urzędowały nawet na huśtawce i na schodach. Rozmawiały, śmiały się i gapiły na niego jak poprzednio. Cade wiedział, że w ich wyobraźni odgrywa rolę kowboja. Chyba były rozczarowane, że nie ma na biodrach pasa z sześciostrzałowcem. Właściwie prawie żałował, że go nie ma. Może nabrałby trochę odwagi.

Jego serce biło tak szybko, że słyszał szumiącą w uszach krew.

„U Elizy”. Musiał przyznać, że szyld jest w dobrym guście. Niewielki. Bez neonu. Przynajmniej na pierwszy rzut oka. Goła deska z nazwą wyrytą pochyłymi literami. Żadnego numeru telefonu ani adresu internetowego.

Dobra nazwa. Właściwa.

- Drogie panie - powiedział, wchodząc po schodach. Odpowiedział mu chichot. Dorosłe baby, a zachowują się jak postrzelone nastolatki!

Kiedy Abigail zdążyła kupić te siatkowe drzwi? Czy założyła je sama? Wyglądały jak antyk. Cade sięgnął do klamki i otworzył.

Wnętrze domu było kompletnie odmienione.

Abigail pomalowała ściany na ciepły odcień żółci, na półkach zamiast książek poustawiała mnóstwo kolorowej przędzy, a na podłodze czerwone kanapy. Błat ciężkiego, drewnianego stołu całkowicie pokrywały motki wełny, nad którymi teraz pochylało się pięć lub sześć kobiet.

Całość wyglądała bardzo po domowemu i bardzo pięknie. Pasowała do Elizy. I do Abigail.

Cade omiół wzrokiem całe pomieszczenie, ale prawdę mówiąc, interesowało go wyłącznie jedno.

Abigail stała w głębi pokoju, za staromodną kasą ustawioną na kolejnym długim, drewnianym stole. Włosy zczesła do góry i do tyłu; jej twarz otaczało zaledwie kilka niesfornych kosmyków. Miała zaróżowione policzki i wyglądała na taką...

Szczęśliwą?

Tak, wyglądała na szczęśliwą.

Kiedy podniosła wzrok i zobaczyła, kto przyszedł, spochmurniała. Pobladła nagle. Uśmiech, chwilę przedtem tak naturalny i prawdziwy, był teraz wymuszony i uprzejmy.

Abigail uśmiechała jak do kogoś obcego. To wyłącznie jego wina! Cade poczuł się okropnie. Mimo to ruszył naprzód z uśmiechem przyklejonym do twarzy.

- Witaj. To wygląda całkiem dobrze.

Odzyskała panowanie nad sobą. Znikł wymuszony grymas.

- Dzięki. Jeszcze nie całkiem, ale już niedługo.

- Przeciwnie, wygląda wspaniale.

- Dziękuję. - Odwróciła się do klientki, którą właśnie obsługiwała. - Proszę, tu jest paragon. Mam nadzieję, że niedługo przyjedzie pani, by się pochwalić swym dziełem. Ten kolor jest dla pani idealny.

Klientką była starsza kobieta o krótko obciętych, siwych włosach, w niebieskim swetrze w grube warkocze i motocyklowej kurtce.

- Jak dobrze, że pani tu jest - powiedziała. - Żeby dawać upust memu uzależnieniu, nie muszę już jeździć do San Francisco. Życzę pani wiele szczęścia.

Cade przyglądał się Abigail, na której twarz powróciło szczęście.

- Bardzo dziękuję. Naprawdę.

Klientka odwróciła się i ruszyła małymi kroczkami ku drzwiom. Po chwili opuściła pomieszczenie ostatnia grupa kobiet i Cade usłyszał, że rozchodzą się do samochodów. Dzięki Bogu. Może teraz Abigail znajdzie czas na rozmowę?

Zero zainteresowania.

Dziewczyna wyciągnęła papierowe torby i stemplowała je czymś, co wyglądało jak logo. Nie podnosiła wzroku. Cade wyciągnął palec i dotknął motka wełny.

- Miękka - powiedział i natychmiast poczuł się jak krety.

Głowa pozostawała opuszczona.

- Odstraszyłeś moje klientki.

- Nie miałem takiego zamiaru.

- Na pewno.

Znów ten fałszywy uśmiech. A przecież nie o to chodziło.

Tak, wina leżała wyłącznie po stronie Cade'a.

- Przepraszam za wczorajszy wieczór.

- Chodzi ci o kolację? Koło nosa przeleciało ci całkiem niezłe spaghetti. Naprawdę smaczne. Resztki zjadłam na obiad, więc nie ma straty.

Dwa potężne stuknięcia. Abigail przystawiała pieczątki z taką siłą, że kasa podskakiwała na blacie.

- Chciałem przyjść...

- Więc powinieneś być się zjawić.

- ...ale nie mogłem.

Podniosła oczy. Pieczęć to podnosiła się, to opadała.

- Jesteś dorosły. Ja też jestem dorosła. Byłam rozczarowana. - Spojrzała na niego, tym razem bez uśmiechu. - Ale już mi przeszło. Mam tu swoje sprawy, mam sklep i mojego wiernego psa. - Abigail potarła Clarę za uchem. - Więcej mi nie trzeba.

- Jeszcze raz: bardzo mi przykro. Nie wiem, co we mnie wstąpiło.

- Czy przepraszasz mnie za to, że nie przyszedłeś na kolację, czy za to, że oskarżyłeś o podpalenie?

Cade jeszcze nigdy w życiu nie był tak nieszczęśliwy.

Układów między nimi nie naprawią żadne, nawet najpiękniejsze słowa. I już nigdy nie powróci światło, które rozpromieniało te niebieskie oczy jeszcze przed dwoma dniami...

Abigail nie przestawała stemplować. Jej piersi kołysały się lekko pod bluzką. Cade oczami wyobraźni zobaczył je bez okrycia, nagie, jak dwie noce temu. Zamknięte w jego dłoniach. W pułapce jego ust.

Zrobił kilka kroków w lewo, później kilka do przodu, zniechęca, bez jakiegokolwiek planu. Nie wiedział, jak zareaguje Abigail. Zatrzymał się za kasą, tak blisko dziewczyny, że poczuł jej zapach. Położył obie dłonie na jej policzkach i zbliżył usta do jej ust.

Rozdział 35

Oczywiście, cierpliwość przy robieniu na drutach jest ważna, ale tylko do czasu. W pewnym momencie trzeba podjąć decyzję. Sama się zorientujesz, że nadszedł czas na zmiany.

E.C.

Pocałował bez ostrzeżenia.

Serce Abigail, które galopowało jak koń wyścigowy, zanim jeszcze Cade rozpoczął swoje manewry, zaczęło walić tak mocno, że dziewczyna przez chwilę bała się, iż się zatrzyma.

Przez moment zastanawiała się, czy nie oddać pocałunku. Przez moment wiedziała, kim on jest i dlaczego ją całuje.

A później doszedł do głosu lęk i zadziałał odruch.

Abigail zrobiła zamach kolanem i wyprowadziła krótkie, mocne kopnięcie w krocze. Kiedy Cade wypuścił powietrze, zamachnęła się zaciśniętą pięścią i zadała mu cios w oko.

Mężczyzna zgiął się wpół i upadł na podłogę.

Co ona narobiła? Boże, to przecież Cade, nie Samuel!

Sam sobie winien! Nie powinien był rzucać się na nią tak znienacka!

Uklękła na podłodze.

- Przepraszam! Czy wszystko w porządku? Cade jęknął.

- Co ty sobie, do cholery, wyobrażałeś? - zapytała.

- Nie wyobrażałem sobie. - Tylko tyle zdołał wykrztusić.

Nagle powietrze przeciął wysoki głos.

- Aha, więc tu jesteście, ptaszki! Mam szczęście, bo właśnie chciałam dopaść i jedno, i drugie. Jeśli nie jesteście zbyt rozgrzani...

Abigail odskoczyła od Cade'a jak oparzona. I pomyślała, że kobieta wcale nie jest daleka od prawdy.

- Wyglądacie na zajętych. To może przyjdę kiedy indziej? O lepszej porze? - W głosie nieznajomej pobrzmiwała nutka rozbawienia.

Abigail jeszcze raz spojrzała na leżącego na podłodze Cade'a, wzięła głęboki oddech, odgarnęła włosy i odwróciła się gwałtownie.

Kobieta stała zaledwie o kilka metrów. Abigail nie miała pojęcia, jakim cudem udało jej się podejść tak blisko. Próbowała uspokoić przyspieszony oddech.

Nieznajoma była uderzająco piękna. Mało powiedziane. Wysoka, co najmniej metr osiemdziesiąt, szczupła, lecz z widocznymi krągłościami bioder i biustu, miała niezwykle długie rude włosy, których odcień wahał się między barwą jesiennego liścia a mahoniem. Wyglądał na drogi.

- Trixie Fletcher. Niezależna dziennikarka z gazety „Independent”. - Kobieta wyciągnęła rękę i Abigail mechanicznie ucisnęła jej dłoń.

- Za chwilę wstanę - powiedział Cade.

Jęknął ponownie i z trudem podniósł się na nogi.

Rzucił półuśmiech w kierunku Trixie, a ona w odpowiedzi uśmiechnęła się szeroko. Abigail natychmiast poczuła do niej antypatię.

- Cade, możesz chyba mnie uwiarygodnić?

- Od lat nie byłem tematem twoich artykułów. - Oparł się o blat obiema rękami. Oddychanie wciąż przychodziło mu z trudem.

Trbcie skinęła głową.

- Od czasu, kiedy wdałeś się w publiczny spór z O'Connorem o prawo do użytkowania wody. Chyba że masz na myśli zupełnie inne tematy.

Zaśmiała się śmiechem, w którym zabrzmiała nuta intymności.

- Ale, ale... - westchnęła. - Nie będziemy chyba zanudzać Abigail szczegółami. - Puściła do Cade'a oko.

Abigail zapewne nigdy w życiu nie uda się dokonać takiej sztuki. Rozboleła ją głowa i znienacka dopadł ostry ból za oczami.

- Dzisiaj robię wyłącznie za przedstawicielkę prasy. I nie mogę się doczekać relacji z twego nowego przedsięwzięcia, Cade.

Uniósł w górę dłonie obronnym gestem.

- To nie jest moje przedsięwzięcie. Spytaj tę panią. Trixie wyjęła długopis i mały notes.

- Nie mogę się oprzeć wrażeniu, że jednak w czymś przeszkodziłam... Może jednak potrzebujecie więcej czasu?

Abigail pokręciła głową.

- Założył się ze mną, że nie mam pojęcia o samoobronie. Okazało się jednak, że mam, co widać na załączonym obrazku.

- Kobiety w tym mieście byłyby gotowe sporo zapłacić za takie widowisko - skomentowała Trixie. - A teraz powiedz mi, o co tu chodzi.

- To sklep z wełną i przędzą. A także miejsce kursów dla pasjonatek. - Abigail miała nadzieję, że wyraz jej twarzy nie odzwierciedla szorstkości w głosie.

- Tak, tyle wiem. Ale że tutaj! To właśnie jest najlepszy aspekt sprawy. Tutaj, w sercu owczej krainy! Sprzedajesz wełnę, uczysz robótek. Czy to przypadkiem nie kolejna inicjatywa z cyklu „twoja babcia nigdy nie robiła na drutach”? Czy to jakaś moda? A może coś więcej?

Sugestia odpowiedzi w pytaniu, pomyślała Abigail.

- To na pewno coś więcej. Wiesz, oczywiście, kim była Eliza Carpenter?

Trixie skinęła głową.

- Ciotką Cade'a, tak?

- A wiesz, kim jest?

- Dla Cade'a? Dla ciebie?

- Dla świata - odparła Abigail i poczuła, że jej brwi bezwiednie zbliżają się do siebie. Siłą woli powstrzymała ten ruch. - Nie mam pojęcia, dlaczego ludzie w tym mieście nie są świadomi, że mieszkała między nimi żywa legenda - podjęła. - Eliza jest najważniejszą w tym kraju przedstawicielką nowoczesnego podejścia do dziewiarstwa. Mimo że już nie żyje, wciąż zachowała swój status. Wprowadziła w tę sferę więcej innowacji niż ktokolwiek inny w ciągu ostatnich dwustu lat. - Abigail nie potrafiła mówić o przyjaciółce bez emocji. - Dokumentowała wszystkie swoje odkrycia. Dzielila się nimi bez ograniczeń. Boże, jej kurtka na planie kimona jest czymś, co od lat badają matematycy! Jest jak zagadka, która zniemacka rozwiązuje się sama.

- Chyba mówimy teraz o robótkach, prawda? - Zaśmiała się Trixie.

Abigail usłyszała w tym śmiechu dźwięk dopasowany do sposobu, w jaki dziennikarka odrzucała włosy.

Czy Cade naprawdę sypiał z kimś takim?

- Ja mówię o sztuce, ale jeżeli chcesz ją sprowadzić do poziomu ręcznych robótek, nie ma sprawy. Nawet w takiej formie to coś więcej. Jeśli chcesz napisać dobry artykuł, radzę ci porządnie pogrzebać w źródłach.

Trixie wyciągnęła dłoń i poklepała Cade'a po ramieniu. Nie wyglądał na urażonego.

- A więc, Cade, mój stary przyjacielu, jak to jest mieć na głowie artystki-dziewiarki, które urządzają sabaty na twojej świętej ziemi?

- Chyba będę musiał się przyzwyczaić.

- Naprawdę cię to nie rusza? Słyszałam plotki. Ludzie mówili, że jesteś mocno zde gustowany.

Cade odchrząknął.

- Nie wierz we wszystko, co słyszysz. Ty, Trix, powinnaś to wiedzieć najlepiej. - Sięgnął ręką i pociągnął za lok długich, rudych włosów. Trixie roześmiała się rozkosznie.

- Posłuchaj, Trix. Czego ty właściwie ode mnie chcesz? - zapytała Abigail.

- Poszukuję bardziej osobistego ujęcia tematu. Wiecie, bo wszyscy w dolinie mówią wyłącznie o tym, że twój sklep zmieni całą okolicę. Gadają, że powstanie tu więcej sklepów, że niedługo dolina stanie się sypialnią dla San Francisco. Supermarkety, bary szybkiej obsługi i takie tam. A ty i Cade krocycie w awangardzie zmian. Jesteście prekursorami.

Abigail prawie się zadławiła. Otworzyła usta, zamknęła. Spojrzała na Cade'a. Zrobił krok w bok. Dłoń Trixie spadła z jego ramienia.

Abigail wzięła głęboki oddech i przejechała dłonią po już ostemplowanych torbach.

- To niemożliwe, że ludzie opowiadają takie rzeczy...

- Zdziwiłabyś się.

- Miałam lepsze mniemanie o intelektualnych możliwościach mieszkańców doliny.

- Ludzie mają języki, więc nimi mieli.

- A ty to wszystko spisujesz? Dzielisz się z czytelnikami? Ta twoja gazeta... Jakoś nigdzie jej nie widziałam. To taki miejscowy szmatławiec?

- Głos Abigail zlodowaciał.

- Wielokrotnie nagradzany. Podobnie jak ja.

- Nagrodami przyznawanymi przez Montela Williamsa*?

- Widzę, że ta rozmowa do niczego nie prowadzi. Przepraszam, jeżeli wyszło na to, że roznoszę plotki. Powtarzam tylko, co usłyszałam, co denerwuje miejscowych. To właśnie są wiadomości, a ja jestem reporterką. I powtarzam pytanie: czy wasza działalność spowoduje boom inwestycyjny w dolinie?

Cade podniósł rękę, jakby chciał powstrzymać zapędy dziennikarki.

- Trixie, przede wszystkim musisz zrozumieć, że Abigail i ja nie jesteśmy współnikami. To jej przedsięwzięcie, nie moje. Ja go nie chciałem.

Abigail spuściła wzrok na blat stołu i powiodła opuszkami palców po drewnie.

- Ale... - zaczęła.

Cade wszedł jej w słowo.

- ...ale zaczynam to akceptować.

- Naprawdę? - zapytała Trixie.

- Naprawdę? - zapytała Abigail, niemal w tym samym momencie.

- No cóż, nie mogę wiele zrobić. Abigail jest właścicielką ziemi, ma pozwolenie, istnieje plan zagospodarowania terenu... Nie mam tu nic do gadania.

*** Montel Williams - amerykański prezenter telewizyjny i radiowiec; prowadzi wywiady ze znanymi ludźmi (przyp. tłum.).**

- Ale ty za tym stoisz - stwierdziła Trixie.
- Co chcesz przez to powiedzieć?
- Mówiąc, że jesteś pogodzony... - Trixie zapisywała coś w oprawnym w skórę notesie, nie patrząc na długopis. - ...poniekąd wspierasz to przedsięwzięcie. Chciałbyś, żeby Abigail odniosła sukces?
- Ja... - Cade nieco spuścił z tonu.
Abigail uniosła głowę i wyprostowała ramiona.
- Nie zależy mi na jego wsparciu. Jestem uznaną autorką książek o dziewiarstwie. Działam na ziemi, która kiedyś należała do Elizy Carpenter, ale pod własnym nazwiskiem. A pasjonatki robótek będą tu przyjeżdżać z definicji.
- Czy osoby zajmujące się tym hobby traktują pani przedsięwzięcie poważnie?
- Miałam już telefony z zapytaniem o przyjazd na dłuższe pobyty. Z Irlandii i z Niemiec.
- Naprawdę? - zdumiał się Cade. Abigail przytaknęła.
Pokręcił głową z niedowierzaniem.
- Więc co czujesz, Cade, gdy słyszysz o tych wszystkich przyjezdnych, którzy będą tu chcieli pobierać nauki? - podjęła Trixie.
- Kiedy mnie tak przepytujesz, czuję się jak u psychiatry.
- Lepiej odpowiedz na moje pytanie, kochany. Kochany? Abigail czuła, że za chwilę wysiądą jej bezpieczniki.
Cade dotknął dłonią kołnierzyka koszuli.
- Jak ja się czuję? Mam ochotę osiodłać konia i pojechać w góry, żeby tylko nie oglądać na moim podjeździe tych wszystkich aut.
- Na naszym podjeździe - wtrąciła Abigail.

Cade pokręcił głową.

- Prawnie podjazd wciąż należy do mnie. Tyle że nie robię z jego użytkowania wielkiej sprawy.

Abigail obrzuciła go niechętnym spojrzeniem, ale on patrzył na Trixie. Oczywiście.

Dziennikarka nie przestawała notować.

- Jak sądzisz, ile straciłeś na tym biznesie? W sensie: na wartości ziemi.

Cade zmarszczył brwi.

- Nie rozumiem pytania? Dlatego, że zaczął tu działać sklep?

- Nie, na podziale parceli. W samym środku twojej ziemi zrobiła się dziura.

- Prawdę mówiąc, nie zastanawiałem się...

- Nieruchomość i ziemia są wciąż warte tyle samo co przedtem - wtrąciła Abigail. - A być może nawet więcej. Dzięki remontowi domku. Została weń włożona spora kasa.

Trixie uniosła długopis.

- Chyba nie dla Cade'a. On jest właścicielem całości, a ty zaledwie tej enklawy pośrodku. Ale jeśli mu ją odsprzedasz, parcela znów będzie kompletna.

- Dlaczego miałabym ją odsprzedawać? Dopiero co otworzyłam działalność.

- To pytanie zadają sobie wszyscy. A co, jeśli ci się nie powiedzie? Co wtedy?

- Ludzie gadają o plajcie?

Trixie uniosła perfekcyjnie wyskubaną brew.

- Sam Stephens, właściciel rancza Bar L niedaleko stąd, mówi, że nie tylko głowę daje, że szybko padniesz, ale zbiera zakłady wśród innych. Podobno dość długo rozmawiał z Cade'em na ten temat. Cade, to oczywiście pomówienia, ale czy je potwierdzasz? Omawiałeś z kimś

kwestię niepowodzenia przedsięwzięcia Abigail w krótkim czasie?

Serce Abigail, które skamieniało już wcześniej, stwardniało jeszcze bardziej. W oczekiwaniu na odpowiedź wstrzymała oddech.

Cade nie odezwał się ani słowem. Stał ze wzrokiem wbitym w ziemię.

- Cade?

Przemówił po kolejnej, nieznośnie długiej chwili milczenia.

- Abigail, sama wiesz, że na początku nie chciałem tutaj tego sklepu. Ale teraz jest inaczej... - Przerwał w pół słowa.

- Jak to: inaczej? Czy oskarżając mnie o wywołanie pożaru, chciałeś mnie stąd wykurzyć?

- Nie chciałem. I tak naprawdę wcale nie sądziłem... Trixie notowała coś w szaleńczym tempie.

- Podpalenie. Wracając do tematu... Abigail, wiesz zapewne, że Kalifornia jest stanem uznającym współwłasność? Gdybyście się pobrali, stałabyś się właścicielką połowy farmy. Czy ta myśl wydaje ci się atrakcyjna?

- Wynocha! - Abigail miała wrażenie, że za chwilę eksploduje jej głowa. - Wynoś się z mojego sklepu! Ty też, Cade! Wynoście się razem!

- Ale... - zaczął.

I na tym skończył.

- Nie ma was! I to już!

Trixie mamrotała pod nosem coś, co brzmiało jak „wroga” i „skłonna do walki”, robiąc jednocześnie notatki, ale pozwoliła wyprowadzić się za drzwi, a później na werandę. Zdumiony Cade wyszedł za kobietami. Twarz mu pobladła.

Na krawędzi ganku odwrócił się jeszcze.

- Abigail. Ja...

Jej wzrok złamał mu serce.

Co z tego, że oskarżenie o pożar to już czas przeszły?

Abigail zatrzasnęła drzwi, przekręciła klucz w zamku i tabliczkę z napisem OTWARTE odwróciła na drugą stronę.

ZAMKNIĘTE.

Rozdział 36

Każda zakończona robótka zawsze jest zaskoczeniem.

E.C.

Abigail mocno zaciskała dłonie na kierownicy. Nie znosiła tego fragmentu drogi, tego długiego mostu, który nigdy nie chciał się skończyć. Musi zobaczyć się z Janet! Przyjaciółka była jej niezbędna. Cóż, dzisiejsza przerwa na lunch będzie wyjątkowo długa.

Na niebie, gdzieś na wschodzie, zbierały się ciężkie, deszczowe chmury. W radiu mówiono coś o nadejściu chłodnego frontu. To dobrze. Pogoda dostosuje się do nastroju Abigail.

Dziewczyna prowadziła samochód przy otwartym oknie. Chłodne powietrze pachniało rosnącymi przy drodze eukaliptusami.

Minęły zaledwie trzy dni, odkąd wyrzuciła Cade'a ze sklepu. I dobrze zrobiła.

Za każdym razem, kiedy zaczynała myśleć o tym, co do niego czuje, jak to jest być w jego ramionach, czuć jego usta na swoich i patrzeć mu w oczy, powstrzymywało ją wspomnienie pożaru.

Cade zwątpił w nią w sposób zasadniczy. Jak mógł pomyśleć, że Abigail chciała zniszczyć jego własność! Ta myśl była jak wbity w plecy nóż.

A podobno miłość nie ma wątpliwości.

Niewielu rzeczy na świecie Abigail była tak pewna jak tego, że mężczyzna, który ją pokocha, powinien jej wierzyć bezgranicznie. Pozwoliła sobie nawet na myślenie o tym, że będzie nim Cade. Kochała go, owszem, i przyznawała się przed sobą do tej miłości.

Ale on jej nie kochał.

Gdyby tak było, wierzyłby w nią i tyle.

Nawet po wyznaniu Abigail, kogo podejrzewa o podpalenie, nie podjął tropu. Czyżby nie chciał wiedzieć, kim jest Samuel? Kogo należy się wystrzeżać? Przed kim ją chronić? Tylko Bóg jeden wiedział, że Abigail bez przerwy rozgląda się, czy w pobliżu nie czai się niebezpieczeństwo. Cały czas napięta jak struna, zupełnie jak niegdyś w San Diego.

A wydawało się, że ten koszmar ma poza sobą.

Wczoraj w nocy, na ganku, miała omamy. Słyszała czyjeś kroki. Coś skrzypiało, głośniejsze niż zazwyczaj stękał dom na wietrze, wygrywając w sercu Abigail staccato, którego nie potrafiła opanować, dopóki nie wyrzuciła przez każde okno po kolei. Clara spała. Warknęła przez sen raz czy drugi, ale zaraz się uspokoila.

Jeśli rzeczywiście byłby jakiś powód do zmartwienia, na pewno zaczęłyby szczeleć. Abigail zasnęła niespokojnym snem, z jedną dłonią opartą o kark suki.

Teraz Clara siedziała wyprostowana na miejscu pasażera, wystawiając nos za okno, chwytając w ekstazie zapachy. Abigail sięgnęła i podrapała ją po głowie. Miękka sierść odpowiedziała dobrym dotykiem, przywodząc na myśl przedzenie, czynność, na którą ostatnio Abigail

zupełnie nie miała czasu. Koniecznie musi to zmienić, zyskując jeszcze jedno zajęcie, które pomoże jej nie myśleć o tym, co zrobił Cade.

Z tyłu szybko zbliżał się jakiś samochód. Abigail obserwowała go w lusterku. Był już zdecydowanie zbyt blisko.

Czarny, podrasowany SUV.

Abigail poczuła gwałtowne bicie serca. Auto siedziało jej na ogonie, ale kabina znajdowała się poza zasięgiem jej wzroku.

Nie widziała, kto siedzi za kierownicą.

Przyśpieszyła, spojrzała i zobaczyła w lusterku przednią szybę.

Samuel uśmiechnął się i pomachał ręką. Cholera, cholera, cholera!

Abigail sięgnęła po telefon i wykręciła numer alarmowy. Nie patrzyła już na prześladowcę, nie mogła. Jeszcze jedno spojrzenie, a chyba stanie jej serce!

- Mężczyzna - powiedziała na jednym oddechu. - Mężczyzna, który próbował mnie zabić. Macie na niego nakaz za usiłowanie morderstwa. Jedzie za mną. Właśnie minęłam most Mills i kieruję się na zachód. On jest w czarnym SUVie, myślę, że w tacomie.

- Kierujemy w pani stronę wozy patrolowe, proszę się nie zatrzymywać. Wie pani, gdzie jest komisariat policji? Proszę jechać w jego kierunku. Nie będę się rozłączał, dopóki może pani rozmawiać. Proszę mówić, gdzie on jest i co robi. I chciałbym, żeby pani odpowiedziała na parę pytań, dobrze?

Abigail utrzymywała stałą prędkość. Na drodze był dzisiaj niewielki ruch, a Samuel mógł ją z niej zepchnąć w każdej chwili. Dziewczyna poczuła na plecach zimny pot, w spoconych dłoniach ledwie utrzymywała kierownicę. Spokojny głos dyspozytora na zmianę to zadawał

pytania, to podawał jej kierunek jazdy. Dzięki niemu Abigail jakoś się trzymała.

Przed samym wjazdem do miasta zobaczyła przed sobą czerwone światło. Czy coś powstrzyma Samuela przed wyjściem z samochodu i atakiem? Na skrzyżowaniu nie było widać innych aut.

- Przejeżdżam na czerwonym.

- Jeżeli to bezpieczne, proszę jechać - odparł dyspozytor.

Samuel zrobił to samo.

Abigail podała dyspozytorowi swoją pozycję.

- Gdzie są policjanci?

- Już prawie przy pani. Niech pani zjedzie w prawo, na Main Street.

Wykonała polecenie. Samuel odbił w lewo. Dwadzieścia sekund później Abigail zobaczyła trzy policyjne wozy. Nadjeżdżały z różnych kierunków na włączonych kogutach. Wychyliła się przez okno, wrzeszcząc i pokazując, w którą stronę uciekł prześladowca.

Zeznanie złożyła na komisariacie w Cypress Hollow.

Policjant, który jej pomagał, sympatyczny chłopak, nie więcej niż dwudziestodwuletni, słuchał rozmów na paśmie policyjnym, wprowadzając jednocześnie do laptopa uzyskane od niej informacje. Na jej ucho wszystkie te gadki przez radio brzmiały podobnie. Abigail ścisnęła w dłoniach styropianowy kubek z wodą.

- A niech to! - powiedział szczerze rozczarowany funkcjonariusz.

- Co się stało?

- Wygląda na to, że go zgubili. Nie wiem, jak zdołał im uciec. Gość ma nakaz za usiłowanie zabójstwa, więc chłopaki naprawdę się starali, a Suthers przeważnie łapie uciekinierów. A niech to!

- Szkoda, że się nie udało - mruknęła Abigail. - Tak czy inaczej jestem wolna, tak?

- Oczywiście. Jeżeli zechce pani złożyć doniesienie do prokuratury w związku z naruszeniem nakazu niezbliżania się, to prokurator i sędzia z pewnością umieszczą w aktach tego faceta kolejny nakaz.

Abigail miała ochotę krzyknąć, udało jej się jednak zachować spokój.

- A w jaki sposób ma mnie to niby chronić?

- Znajdziemy go, proszę pani. To będzie mój priorytet. Abigail uśmiechnęła się bez przekonania. Chłopak naprawdę się starał.

- Dziękuję.

Janet nietrudno było zauważyć. Jej odpowiedzią na zapowiedź frontu atmosferycznego i burzy było grube futro, całe w bielach i brązach. Pod spodem miała prostą, czarną sukienkę, ale Abigail wiedziała, że ta kiecka jest warta więcej niż cała zawartość jej szafy.

Pomachała od stolika.

- Kochana, uwielbiam tu przychodzić. - Janet pochyliła się i pocałowała ją w policzek. Później wstała i prostując ramiona, rozejrzała się dokoła. - U Tillie. Milion razy tędy przechodziłam, ale nawet mi przez myśl nie przeszło, żeby zobaczyć, jak tu jest.

- Dlaczego?

Janet zmarszczyła brwi.

- Nie mam pojęcia. Wiesz, że nie jestem snobką, ale... Z czego się śmiejesz?

- Jesteś największą snobką, jaką znam. Przychodzisz do jadłodajni wystrojona jak do opery.

- Mówisz o tym starociu? - Janet zaśmiała się i zdjęła futro. Rozejrzała się za wieszakiem, ale zrezygnowała

i rzuciła okrycie na ławę. Wśliznęła się za stół. - Masz rację, ale to mój styl życia. Który kocham. - Głową wskazała na druty i kłębek w dłoniach Abigail. - Ja bez mody to tak jak ty bez robótki.

- Przerażające! - Abigail próbowała się roześmiać, ale śmiech uwiązał jej w gardle.

- Co się dzieje, skarbie?

- Skarbie! - Abigail zaśmiała się histerycznie. Chwilę później opuściła głowę, uderzając czołem w blat stołu.

- Denerwujesz się tym artykułem? Abigail uniosła głowę i zmrużyła oczy.

- Jakim artykułem?

- No, tym w dzisiejszym „Independent”?

- Bzdury. To znaczy... Może jednak powinnam być zdenerwowana? Dlaczego pytasz?

- Nie jest zbyt pochlebny. - Janet sięgnęła do swojego birkina.

- No już. Czytaj.

- To mój ulubiony fragment. „Do szczególnego rodzaju usług, jakie oferuje swoim klientkom Abigail Durant, należy staromodne usuwanie z terenu i tradycyjny prawy sierpowy. Jeżeli zobaczycie Cade'a MacArthura z podbitym okiem, usłyszycie od niego, że niechcący wszedł na framugę. Tutejsi farmerzy starają się zachować resztki dumy”.

- O Boże.

- Reszta to jakieś bicie piany, z którego wynika zasadniczo tyle, że pisarka przyjeżdża do doliny, by spełnić swoje marzenia o sklepie z przedzą na ziemi o historycznym znaczeniu. Naprawdę mu przywaliłaś?

- I poprawiłam kolanem w krocze. Zaszedł mnie od złej strony. I przestraszył.

- Przestraszył cię? Sama mu skopię tyłek. Powinnaś zobaczyć, jakie postępy zrobiłam w tai-bo. I naśle

na niego mojego papugę, daję słowo. Za dużo mu płacę, żeby sobie po prostu siedział w kancelarii.

- Chciałam tylko powiedzieć, że Cade nie powinien był mnie całować w taki sposób, bo... Bo powróciło wspomnienie tego drugiego faceta. Zareagowałam przesadnie.

- Drugiego faceta?

- Tego, o którym kiedyś ci opowiadałam. O Samuelu. On wrócił. Prawdę mówiąc, godzinę temu próbował mnie zepchnąć z jezdni. Jestem prawie pewna, że podpalenie szopy Cade'a to jego sprawka.

Abigail próbowała nie dać po sobie poznać nerwów, ale słyszała drżenie własnego głosu. Z twarzy Janet znikł uśmiech.

- Moja droga, to się robi poważne.

- Wiem. Sama jestem śmiertelnie przerażona.

- A Cade się tobą opiekuje? To znaczy wtedy, kiedy się nie bronisz przed jego zalotami?

Abigail westchnęła. Sama myśl o zdarzeniu w sklepie powodowała ból w sercu. Myślała o tym dzisiaj po raz tysięczny.

- On uważał, że to podpalenie... Ze to moje dzieło.

- No tak, to przecież całkiem w twoim stylu, nieprawdaż? Już widzę, jak to sobie wykombinował. Naprawdę naśle na niego Jamesa, mojego adwokata. Już on coś wymyśli. A może ty mi coś podpowiesz? Będzie nam łatwiej. Do tego Samuela James też się dobierze, jeśli już o tym mowa. Złożyłaś zeznanie?

- Tak. Ale to na nic. Poza tym farma leży daleko od ludzi i świata, a Cade i Tom nie zawsze bywają na miejscu. Dobrze, że mam Clarę. - Abigail wyjrzała za okno, żeby sprawdzić, czy sunia siedzi przywiązana do parkometru. Odniosła wrażenie, że Clara wcale za nią nie tęskni. Merdała ogonem do każdego przechodnia.

Shirley przyniosła karty dań.

- O, cześć, skarbie! Nie wychodź, zanim nie pomachasz chłopakom na tyłach. Widzieli, jak przechodzisz, i chcą się z tobą przywitać.

- To znaczy, że chcą pogadać o tym artykule... - powiedziała Abigail.

- Umierają z niecierpliwości, skarbie. Przywaliłaś mu? Wiesz, ile dziewczyn w tym mieście zapłaciłoby spore pieniądze, żeby to zobaczyć? Kawy?

Abigail spoglądała na Janet, która obracała w rękach plastikowe menu.

- Może ja zamówię, Janet. Poprosimy o dwa kieliszki wina i dwie szklanki wody. I zjemy po kanapce z grillo-wanym serem i bekonem. Na ciemnym chlebie. A do tego kwaszone ogórki. Aha, i jeszcze frytki.

Janet zrobiła wielkie oczy, ale oddała jadłospis bez słowa protestu.

- Macie tu kartę win?

- Mam podać czerwone czy białe? Janet skinęła głową tylko raz.

- Niech będzie białe.

- Dla mnie też - dodała Abigail.

Shirley uśmiechnęła się i podeszła do okienka wydawczego, by złożyć zamówienie.

- Więc przywaliłaś mu, kochana. Czy to znaczy, że go kochasz?

- Czy miłość objawia się właśnie w taki sposób? - zaśmiała się Abigail.

- Tam, gdzie ja się wychowałam, zawsze.

- A niech to. To wszystko wina Elizy... - Abigail przerwała, lecz podjęła temat. - Zastanawiam się, czy ona nie umieściła mnie tutaj z premedytacją. Żebyśmy się w sobie zakochali.

- Co też się i stało.

- Jeśli chodzi o mnie - na pewno. Ale w jego przypadku? Plan Elizy powiódł się zatem tylko w połowie. Co za kretyńska ze mnie!

- Nieprawda.

- Naprawdę, jakaś nienormalna. Przyjechałam tu i zakochałam się w facecie, który uważał mnie za piromanekę!

Janet uśmiechnęła się po chwili.

- Wiesz, o co mnie poprosiła Eliza jakieś dwa tygodnie przed śmiercią? Właściwie chodziło jej o dwie rzeczy.

- O co?

- Chciała, żebym w razie czego miała na ciebie oko. I żebym poprosiła o to samo pracownika Cade'a.

- Chciała, żeby Tom został moim ochroniarzem? Niby dlaczego? Prawie nigdy go nie widuję. To nie ma sensu.

- Ona chyba chciała, żebym to ja poznała Toma.

- O mój Boże.

Janet zaśmiała się dźwięcznie.

- Obie nas umówiła na randki w ciemno. - I to z za grobu.

- Boże, uwielbiam tę kobietę!

- Ja też - odparła Abigail.

Janet wzięła przyjaciółkę za rękę i uściśnęła jej palce.

- Skoro już mowa o Tomie - podjęła temat Abigail. - Jak tam twoje życie uczuciowe? Powiesz mi coś pocieszającego? - Ostatnio jego buty często parkują pod moim łóżkiem, jeśli to chciałaś usłyszeć. I bardzo jestem z tego zadowolona.

- Aha. Te same buty, które stąpają po ziemi Cade'a.

- Tak jest, kochana. Ale nie rozmawiajmy już o tym. Pomyślmy lepiej o pieniądzach, które zarobisz na swojej następnej książce.

- Jakiej następnej książce? Niczego nie planuję.

- Jesteś teraz ambasadorem Elizy. Mieszkasz w jej domu, żyjesz jej marzeniami. Wiesz, że wszystkie kobiety, które robią na drutach, chciałyby usłyszeć tę historię. Chcą, żebyś rano, kiedy wyglądasz przez okno, opisała, co widzisz. Cały krajobraz. Chcą, żebyś pisała o tym, co myślisz.

- O tym nie mogę napisać.

- Cóż, możesz trochę podkoloryzować... Ale wzmianka o seksownym siostrzeńcu Elizy byłaby nie od rzeczy. Nakład poszybowałaby w miliony.

- Robótkowe ploteczki!

- Nie ma nic lepszego.

- Wiesz, że tego nie zrobię...

- No, ale gdyby jednak... On dostałby szału, co? - Janet uśmiechnęła się szatańsko.

- ...ale ta cała reszta, ta opowieść o sklepie... To cudowny pomysł, Janet. Choć jestem teraz tak zajęta w ciągu dnia, że prawie nie mam czasu myśleć. Ile minęło od otwarcia? Półtora tygodnia? No widzisz, a już mam propozycje od dwóch kobiecych kółek, które pragną przenieść swoje spotkania do pokoju na tyłach chatki. Już się zresztą na to zgodziłam. Dwie duże grupy co tydzień... W następnych dwóch miesiącach mam zorganizować trzy spore zjazdy entuzjastek robótek na drutach. Ich stowarzyszenia zajęły się hotelami, jedzeniem i tak dalej, a ja mam tylko zatrudnić fachowe pomocnice. Będziemy korzystać z podręczników Elizy i projektować nowe warianty jej starych pomysłów. A w zeszłym tygodniu wystartowała moja strona internetowa, widziałaś.

- Genialna.

- I już mam setki wejść. A wszystkie dziergające blogerki nie rozmawiają o niczym innym. Zaczynam

podejrzewać, że facet z firmy kurierskiej wkrótce mnie znienawidzi. Nieczęsto mu się zdarzało jeździć naszą drogą, chyba że z nowymi uprzężami, czy co tam potrzebują hodowcy. Teraz musi przyjeżdżać codziennie i przywozi mi coraz więcej towaru.

- Nie do wiary. Jestem z ciebie taka dumna! Aha, i uważam, że powinnaś kupić sobie pistolet.

Koło ich stolika przechodził akurat Landers, jeden z kumpli Cade'a.

- Co takiego? - zapytała Abigail.

- Pistolet? - rzucił Landers. - A jaki?

Janet spojrzała na niego i pogardliwie uniosła jedną z idealnie wyskubanych brwi. Gest, który zazwyczaj zatrzymywał mężczyzn w pół kroku.

Ale nie Landersa.

- Myślę, że powinnaś sobie kupić glocka. Chyba że chodzi o polowania, ale wtedy nie potrzebowałabyś pistoletu. Do utrzymania Cade'a za twoim progiem glock będzie najlepszy. Chociaż podobno i tak całkiem nieźle się bronisz.

- Przechodź, staruszkule - syknęła Janet. Landers uśmiechnął się szeroko.

- To tylko dobra rada. - Dotknął palcem runda kapelusza i wyszedł na ulicę.

- W tym miasteczku jest pełno wariatów - powiedziała Janet.

- Ty przyjechałaś tu pierwsza - odparła Abigail.

Chroń robotkę tak, jak chronisz wszystko, co kochasz.

E.C.

Tego ranka Cade jeszcze nie spotkał swojego pomocnika. Czekał, aż Tom wróci z punktu sprzedaży pasz, i dumał o Abigail. Ktoś z zewnątrz pomyślałby zapewne, że sprawdza księgi rachunkowe, ale od pół godziny ołówek, który trzymał w dłoni, nie poruszył się ani o milimetr.

Nie pomagał mu wcale fakt, że każde wspomnienie dziewczyny generuje kolejny cios, tym razem w splot słoneczny. A przynajmniej tak to odczuwał.

Przez cały ranek nasłuchiwał. Jakby coś przeczuwał.

Nie działało się jednak nic nadzwyczajnego. Wprawdzie do sklepu podjeżdżały samochody pań pragnących kupić wełnę, lecz na farmę nie zaglądał nikt.

Dlaczego właściwie nie wypytał Abigail o tego faceta? Powinien był przynajmniej poprosić ją o rysopis, o informacje, czym jeździ. Jeżeli podpalenie szopy to rzeczywiście jego sprawka, kto wie, do czego ten gość jest zdolny. A jeśli będzie próbował podpalić coś innego? Albo zrobić jej krzywdę?

Cade ją obroni.

Choć ona się o tym nie dowie, ponieważ zapewne już nigdy się do niego nie odezwie, nie mówiąc o obdarzeniu zaufaniem. Jakim cudem mógł nie zauważyć, co ona czuje? Jak sam mógł nie czuć podobnie?

Przecież powinni odczuwać tak samo!

Tak czy owak on nie dostanie szansy, by jej o tym powiedzieć. Nawet jeśli znajdzie w sobie dość odwagi i podejmie próbę, Abigail mu nie uwierzy.

Jakiś czas temu Cade zauważył odjeżdżającego nissana. Abigail nawet nie spojrzała w jego kierunku.

Wyglądała wspaniale. Jak zawsze. Aż zaboląło go serce.

Do biura wszedł Tom.

- Ładna śliwa - powiedział.

- Śliczna, prawda? A jak poprawia samopoczucie!

- To co? Siedzisz tu i użalasz się nad sobą?

- Wal się.

- Słuchaj, próbowałem cię znaleźć wcześniej - powiedział Tom. - Ta owca, o której mi mówiłeś... Ta przy cementowym korycie, matka tego malucha, którego uratowałeś.

- Tak. - Cade ostrzył ołówek. Po raz kolejny.

- Dopiero rano to zauważyłem, bo przenosiłem ją, jak jeszcze było ciemno. Ktoś ją zabił, szefie.

- Cholera! Tego tylko mi trzeba. Kojoty wróciły? Kojotów Cade nienawidził bardziej niż wszystkich

innych zwierząt razem wziętych. Tom miał dziwny wyraz twarzy.

- Nie. To nie kojot. Ktoś jej poderżnął gardło. Cade nie zrozumiał.

- Co takiego?

- Nie wiem. Chyba nożem, ale cięcie było szarpane. Takie nieczyste. Jakby ciął parę razy jakimś tępym ostrzem.

- Żartujesz?

- Kiedy wróciłem tam, gdzie ją znalazłeś, zobaczyłem coś jeszcze.

Cade poczuł na ramionach gęsią skórkę. -Co?

- Sześć róż. Sześć pąsowych róż. Na trawie.

Cade rzucił ołówek na stół i wsunął kapelusz. Wybiegł ze stajni i pędem ruszył w stronę małego domku.

Przeskoczył kilka stopni prowadzących na ganek i za szklaną szybą drzwi zobaczył napis „Zamknięte - przerwa”. Przypomniał sobie chwilę, gdy Abigail po raz pierwszy weszła do chatki. Dziewczyna właśnie zdała sobie sprawę, z czym będzie musiała się zmierzyć, i wyglądała, jakby się miała rozplakać. Ale Cade nie zobaczył ani jednej łzy. Wtedy po raz pierwszy ujrzał ją prawdziwą. Silną. Upartą. Doskonałą.

Huśtawką na ganku poruszał wiatr. Jakby przed chwilą ktoś z niej wstał. Tamtego okropnego wieczoru, kiedy do niej nie poszedł, Abigail też siedziała na huśtawce, a Cade przyglądał się jej podejrzliwie. Teraz dałby wszystko, by móc odwrócić bieg czasu - zjeść z nią kolację, kochać się z nią tamtej nocy, cieszyć z ocalenia jagnięcia... By wiedzieć, że zrobił, co należy, dla kobiety, którą kochał. Nie powinien był w nią wątpić. Powinien ją chronić.

Abigail nigdzie nie miała zamiaru wyjeżdżać. A on powinien był to wiedzieć. Zaufać.

Na wycieraczce pod drzwiami leżała pojedyncza pąsowa róża.

Cade usłyszał głos Abigail, objający się echem w jego głowie. Tamtej nocy, w salonie, kiedy tak się bała. „On i te jego cholerne pąsowe róże!”.

Przycisnął twarz do okna i zajrzał do saloniku.

Wszędzie, na każdym stole, na książkach i krzesłach, rozłożono paskowe róże. Były ich setki.

Cade wyjął pistolet z kabury i odbezpieczył broń. Przeładował, wprowadzając nabój do komory.

Znajdzie Samuela.

Odnajdzie go, zanim ten dopadnie Abigail.

Rozdział 38

Wiem, jak to jest siedzieć w milczeniu z drutami i kłębkiem na kolanach, siedzieć bez ruchu i nie móc tworzyć. Znam też uczucie wolności, które nadchodzi, kiedy sobie na nie pozwalam. Kiedy sobie ufam.

E.C.

Wyszły na ulicę i Abigail uściskała Janet na pożegnanie. Poszła po Clare. Psa nie było.

Abigail zastanowiła się przez chwilę. Czy to możliwe, że przywiązała sukę gdzie indziej? Nie, przecież widziała ją z jadłodajni. Przy tym właśnie słupku. Smycz też zniknęła. Przecież Clara sama nie mogła się wyplątać z obroży. Ktoś musiał ją odwiązać.

- Clara? - Abigail podbiegła do narożnika budynku i rozejrzała się dokoła. Nic. - Clara!

Próbowała opanować panikę. W najgorszym razie pojedzie po sukę do schroniska dla zwierząt.

Nie, lada chwila Clara na pewno wyczołga się, bardzo z siebie zadowolona, spod któregoś zaparkowanego samochodu.

- Clara, przestań! Nie mam czasu! - Abigail poszła kawałek dalej, okrążając jadłodajnię Tillie.

W alejce na tyłach powitało ją radosne szczekanie i Clara ruszyła biegiem zza kubła ze śmieciami.

- Tu jesteś! Niedobry pies! Co tam robiłaś? Przestraszyłaś mnie!

- Mógłbym powiedzieć to samo o tobie.

Głos, który Abigail usłyszała za plecami, wywołał w niej lodowaty dreszcz strachu. Nie była w stanie odwrócić.

Przemogła się.

Samuel. Bardzo elegancki, w dobrze skrojonym, szarym garniturze. Wyglądał zdrowo i czysto. Normalnie.

- Tęskniłem za tobą. Stanie nad twoim łóżkiem nocą to nie to samo. Jak się miewasz, moja Abby?

Abigail zadrżała.

- Wiesz, że jesteś poszukiwany? Policja ma nakaz.

- Nie martw się, nie znajdą mnie. Zadzwoń z budki, że na drugim końcu miasta ktoś strzela. Posterunek jest mały, posłali tam całą ekipę. A ja nie zajmę ci dużo czasu. Wiem, że musisz wracać na farmę. Zostawiłem ci tam mały prezent, który, mam nadzieję, ociepli nieco twoje uczucia. Może przeszłość powróci.

Abigail czuła tak silne drżenie dłoni, że nie mogła utrzymać psa na smyczy. Clara warczała cicho, ale nie ruszała się z miejsca.

- Spaliłeś coś jeszcze? Chyba nie mój dom? Ani Cade'a?

- Pożar był mi potrzebny, żeby zwrócić twoją uwagę. Świetnie ci szło, gdy go gasiłaś, nawiasem mówiąc. Nie spodziewałem się tylko, że ten farmer wróci tak szybko. Jego kumplowi przeciąłem opony. Tak naprawdę chciałem, żebyś zobaczyła skutki wielkiego bum. Można to chyba nazwać małym, bardzo niewielkim, ostrzeżeniem.

Nie lubię, jak dotykają cię inni mężczyźni. Pamiętaj o tym. W tym tygodniu dobrze ci szło, farmera trzymałaś na dystans. Jestem z ciebie dumny.

Abigail pozwoliła warczącej Clarze wysunąć się trochę do przodu, wzięła najgłębszy oddech, na jaki było ją stać, i wrzasnęła. Wrzeszczała z całych sił, aż do wyplucia płuc, a później odetchnęła ponownie i znów zaczęła krzyczeć. Kiedy wszystkie drzwi wzdłuż alejki były już otwarte, Samuel odwrócił się i wziął nogi za pas.

Zza narożnika wybiegło dwóch mężczyzn.

- Co tu się dzieje? - krzyknął jeden z nich.

- Łapcie go! Ukradł mi torebkę!

Tylko to jej przyszło do głowy, ale zadziało i mężczyźni ruszyli z kopyta.

Samuel jednak uciekł. Po raz kolejny.

Następną godzinę Abigail spędziła w towarzystwie młodego policjanta, który usprawiedliwiał się tysiącrotnie.

- Wie pani, myśleliśmy, że ktoś tam strzelał, więc potraktowaliśmy to bardzo poważnie. Wie pani.

- Wiem - odparła Abigail i podpisała kolejne zeznanie. Musiała jechać do domu. Musiała zobaczyć ten prezent od Samuela.

I tęskniła za Cade'em.

W pikapie opuściła szyby i jadąc wzdłuż wybrzeża, wdychała słone morskie powietrze. Kierowała się w głąb lądu. Gdzieś z tyłu dobiegała muzyka z radia.

Nie będzie tak źle, prawda? Niezależnie od tego, co Samuel zostawił na farmie.

Abigail starała się myśleć pozytywnie.

Jak ona ma przez to wszystko przejść? Przecież nie potrafi. Potrafi żyć tu i mieszkać zalekniona, tak samo jak w San Diego.

Boże, ja chcę do Cade'a!

Ale przecież ostatnio wszystko się zmieniło. Abigail czuła siłę. Miała swoją ziemię. Swój sklep. Swoje marzenia. Właśnie, że da radę obronić swoją własność! I dokona tego samodzielnie.

Zmuszona do samodzielności.

Spróbowała uciec przed złymi myślami, zastanawiając się nad kształtem pierwszych rozdziałów nowej książki. Janet miała rację i świetny pomysł. Książka. Myśl teraz

O książce!, nakazała sobie Abigail.

Zacznie od przyjazdu, od pierwszych chwil po ujrzeniu czegoś, co jak sądziła, jest jej spadkiem.

Od momentu gdy na grani zobaczyła kowboja...

A może o tym akurat nie warto wspominać? Nie będzie pisać o Cadzie!

Droga wiodła teraz przez kolejny gaj eukaliptusowy, jej ulubiony odcinek podczas dwudziestopięciominutowego powrotu na farmę. Przez wąski kawałek jezdnii, zakręcający w prawo przed mostem Mills długim łukiem. Uwielbiała ten fragment, a później jeszcze ten pod dębami.

Na dojeździe do mostu zwolniła nieco. Tej części nie znosiła. Przed sobą widziała cysternę, a za sobą coś, co wyglądało na koniowóz. Abigail zarówno z tyłu, jak

i przed maską wolała mieć dużo miejsca. Ludzie lubili szaleć i jeździć tą drogą zdecydowanie zbyt szybko.

A wśród nich Cade...

Nie, trzeba się skupić na nowej książce.

Będą w niej zdjęcia. Na przykład fotografie Elizy w domu na farmie; miała ich gdzieś całe pudło. Cudne fotografie Elizy z wełną w dłoniach, robiącej na drutach, śmiejącej się i wygłupiającej przed obiektywem. Zdjęcia jej swetrów, skarpetek i rękawiczek. Abigail mogłaby

zrobić repliki tego wszystkiego, stare swetry w nowych kolorach, mogłaby siedzieć na tym samym miejscu, objaśniać dzianiny uczennicom, jednocześnie wyglądając przez okno na tę samą dolinę, co ciotka Cade'a. Tak, to by się spodobało.

Co robi ta cysterna? Abigail była już na samym środku długiego mostu. Ścisnęła mocniej kierownicę. Cysterna odbiła nieco w prawo, jakby omijała jakieś zwierzę, i po chwili gwałtownie wróciła na kurs. Gdzieś przed nią, z naprzeciwka jechał mały samochód, wyprzedzając dostawczego vana na podwójnej ciągłej linii.

Abigail nacisnęła na hamulec, najpierw delikatnie, żeby zwrócić na siebie uwagę samochodu ciągnącego przyczepę z koniem, po chwili mocniej. Gdzieś z tyłu, w lusterku wstecznym zobaczyła jeszcze jeden pojazd. Wprzedzał koniowóz niebezpiecznie, na granicy ryzyka.

Czarny suv.

Samuel.

Szybko skracał odległość między sobą a samochodem Abigail.

Kierowca nadjeżdżającego z przeciwka małego autka, w tej chwili jadącego po ich pasie, chyba zdał sobie sprawę, że nie powinien był podejmować próby wyprzedzania, ale dopiero wówczas, gdy znalazł się tuż obok dostawczaka. Zahamował, ale wyglądało na to, że szofer vana spanikował i zwolnił. Jadące w tę samą stronę pojazdy zajmowały teraz oba pasy ruchu.

Kierowca cysterny nacisnął na hamulec. Naczepą zabujało gwałtownie.

Dotarli do drugiego przesła długiego mostu. Abigail coraz silniej wciskała hamulec. Suv Samuela znalazł się niemal na jej zderzaku.

Wszystko zaczęło się dziać jak w zwolnionym tempie, jak gdyby ktoś bardzo powoli puszczał film. Abigail dostrzegała każdy najmniejszy detal.

Mały samochód przyspieszył, wystrzelił przed dostawczaka i jakimś cudem nie wylądował na masce jadącej z naprzeciwka cysterny. Kierowca cysterny zahamował tak ostro, że stracił kontrolę nad ciężarówką. Tuż przy końcu mostu, w miejscu, gdzie dochodził on do stromej skały i znów stawał się autostradą, cysterna złamała się na pół, oderwała, potoczyła i natychmiast stanęła w płomieniach. Dostawczakowi ledwie udało się ją ominąć. Abigail nie miała wyjścia, musiała jechać przed siebie. Nie dałaby rady wyhamować.

Szarpnęła kierownicą w lewo najmocniej, jak potrafiła, o milimetry mijając zderzak dostawczaka. Jej samochód wpadł w poślizg tuż obok wijącej się po szosie jak wąż, płonącej cysterny. Przez jedną straszliwą sekundę kabina kierowcy znalazła się tuż przed oczami Abigail. Uwięziony w niej mężczyzna patrzył przed siebie przerażonym wzrokiem.

Usta miał otwarte jak do krzyku. Jego dłonie na próżno obracały kierownicą.

Próbując się prześliznąć po jezdni z lewej strony kabiny cysterny, Abigail otarła się o barierkę ochronną. Wyprowadziła auto z poślizgu, dojechała do końca mostu i wjechała na autostradę. Przez otwarte okno słyszała za sobą potworny zgrzyt giętego metalu. I wrzask, gdy surowi nie udało się wyminąć cysterny.

Płomienie w lusterkach wstecznych strzeliły wyżej.

I wtedy, z odgłosem, jakiego Abigail nie słyszała jeszcze nigdy w życiu, koniec mostu tuż za nią zawalił się zupełnie, zabierając ze sobą płonąca cysternę, kabinę kierowcy, suwa Samuela, końską przyczepę, mały samochód i dostawczaka.

Abigail zatrzymała się z piskiem opon na poboczu tuż za zjazdem z mostu i wyskoczyła z auta z telefonem w ręce. Po raz trzeci tego dnia wybrała numer alarmowy i podała dyspozytorowi wszystkie szczegóły, stojąc na skraju skały i patrząc, jak gdzieś niżej, w dolinie płonie metal.

- Ile osób jest rannych, proszę pani? - zapytał dyspozytor.

- Nie wiem! Co najmniej pięć. A może więcej. Pośpieszcie się. Most się zawalił...

- Most się zawalił? Czy ja się przesłyszałem? Jaka część mostu?

- Ostatnia, to znaczy od strony wschodniej. Przyjedźcie tu jak najszybciej!

Abigail pojedynczym ruchem dłoni zatrzasnęła klapkę komórki i zamknęła oczy. Nie czuła niczego poza unoszącym się w górę gorącym.

I wtedy usłyszała krzyk. I jeszcze jeden. Płomienie, które strzeliły niemal natychmiast, teraz dogasały powoli. Abigail widziała przynajmniej jedną osobę, nie, dwie, które potykając się, przechodziły między samochodami.

Musiała im pomóc.

Ruszyła w dół skały, przyciśnięta do śliskiego granitu. Kiedy dotarła niemal na sam dół, krzyknęła:

- Pomoc będzie za chwilę! Trzymajcie się! Już jadą!

Temperatura dogasającego pożaru przerażała ją, ale nie przestawała iść naprzód.

Mężczyzna w roboczym kombinezonie, z zakrwawioną głową, machał do niej, żeby podeszła do małego samochodu. Opadł na kolana.

Gdzieś ponad głową Abigail rozległ się potężny huk, straszliwy w swojej potędze. Spojrzała w górę; ogromny blok skalny właśnie się osuwał. O, Boże, razem z tą skałą

leci jej auto! Abigail zdążyła jeszcze zobaczyć przechylający się bagażnik, samochód ślizgający się po kamiennym osuwisku i wzgórze ruszyło na nią z ogłuszającym rykiem.

Rzuciła się biegiem w kierunku pożaru, w kierunku wołającego mężczyzny, najszybciej jak potrafiła. Pędząca kamienna lawina była tuż-tuż.

Rozdział 390

Zycie jest zbyt krótkie, by tracić je na robienie na drutach czegoś dla kogoś, kogo nie kochasz.

E.C.

Na podjeździe prowadzącym na szosę Cade próbował uspokoić oddech. Przetrzęsnęli z Tomem całe ranczo i doszli do wniosku, że schowany tutaj Samuel musiałby nosić czapkę niewidkę. Postanowili go odnaleźć za wszelką cenę. Tom, któremu Cade kazał przysiąc na własną głowę, że przypilnuje dziewczyny, jeśli ta wróci wcześniej, miał zaczekać na Abigail na farmie. Za tą prośbą kryła się zarówno bezradność, jak i odpowiedzialność.

Nie zasługiwał na nią, zdecydował jednak, że czas zasłużyć na jej miłość. Od teraz, od tej chwili.

Skręcił na szosę i wrzucił czwarty bieg. I cóż z tego, że Eliza wymyśliła jakiś niesamowity plan? Cóż, że chciała, żeby on i Abigail się poznali, żeby zamieszkali ze sobą? Ciotka była kwintesencją miłości. Kochała wuja Joshuę do ostatniego uderzenia serca i na pewno nie życzyłaby sobie, żeby Cade był z Abigail, nie kochając jej w ten sam sposób.

Bo on, do diabła, tak właśnie ją kochał.

Mimo to skrzywdził ją, bo okazał się największym idiotą na kuli ziemskiej. A ona, być może, już nigdy mu nie zaufa. I trudno się dziwić. Opuścił okno, próbując ostudzić głowę i schłodzić myśli.

Czy to nie zwykła kolej rzeczy? Zakochał się wreszcie, ale nie może być ze swoją wybranką. Bo wtedy, kiedy miał szansę zrozumieć, jaka Abigail jest naprawdę, nie potrafił.

Gwałtownie wyłączył radio. Nie był w nastroju do słuchania muzyki.

Może posłucha nadajnika policyjnego? Czasem dawało się w nim złapać kanały straży pożarnej, usłyszeć wezwania pogotowia ratunkowego. Cade lubił od czasu do czasu wetknąć nos w nie swoje sprawy i dowiedzieć się, co się dzieje w mieście. Słuchając tego, co policjanci wygadują przez radio, można się było nieźle ubawić.

W głosie dyspozytora słyhać było napięcie. - David-2, David-7, Adam-4 i wszystkie wolne wozy patrolowe, zgłaszam kod 3 dla mostu. Kod 3 dla mostu Mills. Jedzie tam sześć karet pogotowia, są doniesienia o ofiarach, rozpoczęto procedury ratunkowe. Lecą trzy helikoptery. Zachować ostrożność, wschodnie przeszło padło. Powtarzam: zawalone wschodnie przeszło. Trzeba zablokować drogę. Powtarzam: od strony wschodniej droga nie jest jeszcze zablokowana. Jak na razie, cztery ofiary wypadku są transportowane od strony zachodniej, stan pozostałych nieznany.

Most Mills? Cade właśnie dojeżdżał do jego wschodniego krańca. Kiedy wypadł zza ostatniego zakrętu, gwałtownie nacisnął hamulec. Dzięki temu ocalał.

Dalej nie było już nic. Tylko wiodąca w przepaść nicość.

Wrzucił wsteczny. Musiał, choćby prowizorycznie, jakoś zablokować jezdnię. Za chwilę znów ktoś wyjedzie na pełnym gazie zza zakrętu i po prostu sfrunie z uciętej krawędzi szosy. Dzięki Bogu, jemu się udało.

Przejechał ze sto metrów z powrotem, szarpnął za ręczny hamulec i zawrócił w miejscu tak, że półciągarówka stanęła w poprzek na samym środku szosy. Kolejny kierowca co najwyżej uderzy w jego wóz, lecz nie przeleci na drugą stronę. Otworzył skrzynkę z narzędziami, wyjął z niej cztery flary, zapalił i rzucił przed siebie na asfalt tak daleko, jak potrafił. Później zawrócił i pobiegł w kierunku urwiska.

Nie wyglądało to dobrze. W dole zobaczył co najmniej pięć samochodów. Poruszali się między nimi jacyś ludzie. Coś wprawdzie płonęło, ale wyglądało na to, że już się dopała. Na dół zjechał wóz strażacki z napędem na cztery koła i wydawało się, że pompuje wodę. Po drugiej stronie mostu stało co najmniej osiem wozów policyjnych z włączonymi kogutami. Mundurowi niezdarnie schodzili w dolinę. Do odjazdu szykowały się dwie karetki pogotowia. Ratownicy wnosili ofiary na górę na brezentowych noszach.

Dzięki Bogu, że o tej porze roku poziom wody w rzece sięga zaledwie kostek!

Cade stanął na krawędzi osuwiska, próbując się zorientować, czy może zejść bezpiecznie. Tu i ówdzie w dół potoczyły się kamienie, ale wyglądało na to, że część skały, która się oderwała, zeszła w dół lawiną i leżała teraz w dolinie, spadła jako ostatnia. Powinno być dobrze.

Ruszył w dół i natychmiast się pośliznął. Upadł na tyłek i odbił się w przeciwną stronę.

I wtedy to zobaczył.

Półciężarówka Abigail. Na samym dnie, do połowy przykryta kamieniami, splątana masa żelastwa i plastiku. Nie leżała tam, gdzie cysterna i inne samochody, ale bliżej krawędzi urwiska. Spoczywała na boku. Kiedy Cade podszedł bliżej, usłyszał słaby odgłos pracującego silnika.

Wstrzymał oddech.

Jeżeli ona była w środku, kiedy...

Nie.

Jeśli ona była w tej półciężarówce...

Jeżeli była choć w pobliżu, kiedy auto się wywróciło...

Głupi, do niczego nieprzydatny nissan, którym Abigail ostatnio przewiozła kanapę.

Wciąż ledwie oddychając, sparaliżowany strachem, Cade ruszył w tamtym kierunku jak podcięty batem. Teraz uda mu się na pewno. Musi.

Od tego zależało wszystko.

Wszystko.

Bo wszystko, co istniało, zależało od niej.

- Abigail! - Głos Cade'a zabrzmiał zbyt cicho. Mężczyzna rzucił się biegiem, nabierając w płuca powietrza. - Abigail!

Wskoczył na jakąś skałę i zajrzał do kabiny wraku. Nie ma jej! Dzięki Bogu, nie ma! Wobec tego, gdzie jest?

- Abigail!

We własnym głosie usłyszał nutę hysterii.

Ratownicy klęczeli nad kimś tuż obok roztrzaskanej w drobny mak końskiej przyczepy.

Jakaś kobieta. Opatrują kobietę!

Cade potknął się i upadł na kolana. Podciągnął się, zapierając dłońmi o skałę, i podbiegł.

Nie ona. To nie może być ona!

Bo i on musiałby umrzeć.

Zaskoczony ratownik medyczny, zbyt młody do takiej pracy, wrzasnął na przepychającego się Cade'a.

Opatrywana kobieta była blondynką. Choć zalana krwią, oddychała samodzielnie. Właśnie układano ją na noszach, żeby przenieść na drugą stronę rzeki.

To nie ona.

- Przepraszam - mruknął Cade i palce obu dłoni wczepił we włosy. - Gdzie...? - Zadławił się, nie mógł wydobyć głosu. - Gdzie reszta?

- Najciężej rannych przetransportowano na początku. Jeżeli kogoś tu nie ma, to na pewno jest w miejskim szpitalu. A teraz niech się pan stąd zmywa.

Cade miał wrażenie, że nogi przestały go słuchać.

- No już! - wrzasnął ratownik.

Potykając się, Cade zszedł mu z drogi i zbliżył się do policjanta, który stał i patrzył, jakby nie mogąc uwierzyć w bezmiar chaosu.

- Widział pan dziewczynę? Kasztanowe włosy, podkrecone na końcach, niebieskie oczy? Szczupła?

- Chyba pojechała pierwszym transportem z rannymi...

- Co z nią?

- Nie pamiętam, kolego. Za dużo tego było w ciągu ostatnich trzydziestu minut. Wszyscy są w dość ciężkim stanie. Nie gniewaj się, ale nie zauważyłem.

Cade ruszył biegiem.

To wszystko.

Ona była wszystkim!

Przebiegł przez prawie wyschnięte koryto rzeki, dławiąc wyrywające się z gardła łkanie. Wbiegał na wzgórze, wiedząc, że nie może sobie pozwolić na upadek. Na samym szczycie się potknął.

Zobaczył policjanta, który wcześniej wlepił mu mandat.

- John! Widziałeś ją? Widziałeś Abigail? Policjant popatrzył na Cade'a pustymi oczami, a później skinął głową.

- Tak. Jest w szpitalu.

- Co z nią?

- Nie wiem. Ktoś mi właśnie powiedział, że tam ją zawieźli. Pojechała razem z kierowcą cysterny. On chyba jednak nie przeżyje.

- Zawieź mnie tam!

- Nie mogę się stąd ruszyć, wierz mi.

- Popatrz, jeszcze dwóch waszych tu podjeżdża... Błagam cię na wszystkie świętości, jeżeli teraz nie pojedę do szpitala... - Głos Cade'a się załamał.

John skinął głową.

- Okej. I tak muszę się tam zgłosić po raport o stanie rannych. Powiem tylko sierżantowi...

- Powiesz mu później! - ryknął Cade.

Jechali nadmorską autostradą. Cade siedział z czołem przyciśniętym do szyby.

Jeżeli to jest miłość, jeśli człowiek czuje właśnie tak, gdy kogoś kocha, to on, Cade, nie ma pojęcia, jakim cudem tak wielu ludziom udaje się przebrnąć razem przez życie.

Co ciotka Eliza robiła z lękiem, kiedy wuj Joshua był ciężko chory?

Co się wtedy robi?

On nie mógłby żyć bez Abigail. To było po prostu niemożliwe.

Izba przyjęć była jak pole bitwy. Każda pielęgniarka i każdy lekarz coś krzyczeli, każdy stażysta ganiał od łóżka do łóżka. Za policyjnym wozem patrolowym

podjechały jeszcze dwie karetki, ale Cade znalazł się w środku pierwszy.

Jakaś pielęgniarka wrzasnęła, żeby się zatrzymał, ale on tylko odkrywał prześcieradło za prześcieradłem, spoglądał w zakrwawione twarze, patrzył na ciała. Kiedy odsunął kolejną zasłonę, nadział się na przerażony wzrok straszliwie poparzonego mężczyzny. To musi być kierowca cysterny! Przytomny, w kontakcie, oddychający samodzielnie.

- Co pan, do diabła, wyrabia? - krzyknęła pielęgniarka. Cade'a już tam nie było. Odsuwał następne przepierzenia.

Ciało leżące na łóżku przykryto prześcieradłem; czerwone plamy krwi odcinały się ostro od bieli całunu. Żeby podejść i zobaczyć, co jest pod spodem, Cade musiał zebrać całą siłę woli. Mężczyzna. Z oczami otwartymi, nieruchomymi, wpatrzonymi w przestrzeń... Lewą stronę twarzy miał zwęgloną, skórę całą w bąblach, czarną, odznaczającą się plątami na tle bieli. Prawa strona twarzy wyglądała na niezniszczoną; pozostała białoróżowa. Na karteczce leżącej obok głowy ofiary widniało nazwisko. „Samuel Collins”.

Cade nigdy w życiu się nie modlił, ale teraz wysłał coś w górę z głębi serca, choć nie miał pojęcia co to takiego.

Dwa razy obszedł dokoła izbę przyjęć. Lekarze i pielęgniarki byli zbyt zajęci, żeby go zatrzymać.

Tu jej nie ma.

A jeśli tu jej nie ma, to...

Musi tu być!

Na ramieniu poczuł zdecydowany uścisk dłoni. Zabolalo. Niewysokiego wzrostu pielęgniarka w poplamionym krwią fartuchu.

- Proszę wyjść - powiedziała. - I to już. Ja nie żartuję.

-Ale...

- Natychmiast! - Zaciągnęła go do poczekalni. - Proszę poczekać tutaj. Jeśli pana jeszcze raz zobaczę w środku, wołam policję.

Aresztowanie było najmniejszym z kłopotów. Gorzej, że nie miał pomysłu, co dalej. Jej komórka. Bingo!

Cade wybrał numer. Czekał. Miał połączenie.

I wtedy usłyszał dzwonek. Ledwie słyszalny dźwięk, dobiegający gdzieś zza zakrętu korytarza.

Wstał. Nogi mu się trzęsły, ale utrzymały ciężar.

Kiedy Abigail odbierała telefon, on biegł już za róg.

Siedziała w podartym ubraniu, bladozielona na twarzy, na brązowym, plastikowym krześle. Okolice jej oka zaczynała przybierać kolor purpury. No i już. Będzie ich dwoje.

- Halo? - wołała do słuchawki. - Cade? Proszę? Podniosła wzrok i spojrzała.

On spojrzał na nią. Abigail wybuchnęła płaczem. Zamknął ją w ramionach. Otoczył ją całą, kołysał, całował jej twarz, włosy, policzki...

- Żyjesz. Żyjesz - mruzczał raz po raz. Ona też coś mówiła, coś, czego nie rozumiał. Poprzez łzy i szloch słowa brzmiały jak w obcym języku. Później uspokoiła się i tylko drżała w jego ramionach.

Cade miał nadzieję, że nie da się hysterii i nie pokaże Abigail, ile kosztuje go zachowanie spokoju. Po długiej, bardzo długiej chwili poczuł, że dziewczyna zaczyna oddychać swobodniej. Wypuścił ją z ramion tylko na chwilę, żeby spojrzeć jej w twarz.

- Moja najmilsza - powiedział.

I patrzył, jak światło, jeszcze tak niedawno zagrożone zgaśnięciem, znów ją rozświetla od wewnątrz.

- Ale Samuel...

- Ma na nazwisko Collins? Brunet? W garniturze?

- Tak - szepnęła.

- Nie żyje.

Opadła bez sił prosto w jego ramiona, jak pozbawiona oddechu.

- Nie jest mi przykro - stwierdziła. - To straszne, ale wcale nie jest mi przykro.

- Bez ciebie nic się nie liczy - powiedział Cade, przytulając się do jej włosów. - Nic. A ja nie wiedziałem, że tak jest, nie rozumiałem tego, dopóki nie przeraziłem się, że mogę cię stracić... - Gorące łzy, które tak długo wzbierały pod jego powiekami, wypłynęły w końcu. - Kiedy zobaczyłem tę cysternę... Kiedy nie mogłem cię znaleźć, ani tam, ani w izbie przyjęć... Pomyślałem...

- Byłam z kierowcą cysterny. Zanim przyjechała karetka, nikt oprócz mnie nie miał pojęcia o udzielaniu pierwszej pomocy. A on był taki poparzony... Ma poparzone płuca. Nie oddychał. Próbowałam go reanimować. Nie chciałam go zostawić, więc pozwolili mi wsiąść. Ale chyba nie przeżyje.

- Widziałem go. Nie wyglądał za dobrze, ale oddychał. On oddycha, skarbie.

Teraz łzy napłynęły do oczu Abigail.

- A ty żyjesz - dodał Cade. - Ty żyjesz... I jesteś tutaj. Przycisnęła usta do jego ust, powoli i miękko.

-I nigdzie się nie wybieram, kowboju.

Wierzchem dłoni otarł wilgoć z policzków. Nie wstydził się jej. Te łzy były dla niej.

Tak łagodnie, jak tylko potrafił, uwolnił ją z objęć i posadził z powrotem na twardym, plastikowym krześle. Ale nie usiadł, tylko przyklęknął obok na jedno kolano.

- Może to nie jest najlepsze miejsce i czas, i nie mogę

ci dać nic oprócz siebie... No, może jeszcze paru owiec. Ale, Abigail...
Wyjdiesz za mnie? Zaskoczył go jej śmiech.

- Eliza byłaby z ciebie dumna!

- Ale... - Nie ustawał. - Czy to oznacza zgodę?

- Oczywiście, że tak. Jesteś wszystkim, co mam. Od jej promiennego uśmiechu biło światło.

Nie zgaśnie do końca życia, już ja o to zadbam, pomyślał.

Epilog

Tylko miłość może nas uratować.

E.C.

Był chłodny, wtorkowy poranek. Abigail zmieniła tabliczkę „Otwarte” na drzwiach na „Zamknięte” i przekręciła klucz. Zamknęła sklep na dobre. Zapakowała do piknikowego kosza kanapki, włożyła ulubioną sukienkę w duże kropki i zczesała włosy do tyłu. Pomalowała usta. Włożyła nowy sweter z angory, ten, który dopiero co skończyła.

To nic, że straci dzisiaj trochę pieniędzy. Wtorki zazwyczaj bywały dobre, bo klientki, które nie przyjechały zaraz po weekendzie, niecierpliwie czekały na kolejny dzień tygodnia. Ale dziś to nieważne.

Wsiadła do swojego nissana pikapa, którego kupiła tuż po wypadku, i podjechała do stajni. Tom i Cade stali właśnie na krokwiach, przygotowując liny do podciągnięcia czegoś, co leżało w środku.

- Cześć, chłopaki!

- Uwaga, tam na dole! - krzyknął Cade, a później zjechał po linie. Kiedy jego buty dotknęły ziemi, z rękawic trochę zadymiło.

- Bajerant - mruknęła Abigail i pocałowała go.

- Zróbcie miejsce! - wykrzyknął Tom i też zjechał po linie. - Powinnaś powiedzieć Janet, co potrafię - stwierdził już na dole. - To fajna zabawa.
- Sam jej dzisiaj powiesz, jak wrócisz do domu.
- Lepiej ty jej powiedz, jaki ze mnie gość. Zjeżdżam sobie po linie, o! Abigail popatrzyła na niego i uniosła brwi.
- Jak idzie pisanie książki? - zapytał Tom z uśmiechem.
- Skończyłam. Właśnie ją skończyłam! Napisałam: „Koniec”. I właśnie nadeszła pora, żeby to uczcić z moim mężczyzną.

Cade się uśmiechnął.

- Skarbie, mam jeszcze...

- Nie, nie masz. Bierzesz dwie godziny wolnego.

- Kto tak powiedział?

- Twoja żona. No chodź, muszę ci coś pokazać.

- A momenty będą?

- Cade!

Tom zaśmiał się głośno.

- To na razie, szefie. I bawcie się dobrze.

Abigail prowadziła samochód, a Cade marudził przez całą drogę, ale na jego ustach błąkał się uśmiech.

- Na pewno nie zapakowałaś kanapek z indykiem. Tych, które tak lubię.

- Zapakowałam.

- A czekoladki-buziaczki od Hersheya?

- Ja ci mogę dać buzi, jeśli chcesz.

- To zawsze. Twoje buziaki smakują lepiej. Wplótł palce w palce jej dłoni, tej, która nie trzymała kierownicy.

- Daleko jeszcze? Czekam na te buziaki.

- Prawie - odparła. - Jesteśmy na miejscu - powiedziała parę minut później.

- O! - Zdumiał się Cade.

Nowo odbudowany most błyszczał w słońcu. Długie, płaskie łuki biegnącej wierzchem jezdnii oddalały się i robiły coraz mniejsze.

Cade wysiadł z samochodu i wciągnął przez głowę guernseya, pierwszy sweter, jaki Abigail zrobiła dla niego na drutach. Złotobrazowy kolor wełny, który tak do niego pasował, był jej ulubionym.

- To już rok? - zapytał.

Abigail skinęła głową. Wiedziała, że zrozumie.

- Dokładnie.

- Chodź, wyciągnijmy się na skale.

- Nie denerwujesz się?

- Dzisiaj nic nie jest w stanie mnie zdenerwować. Wzięła Cade'a za rękę. Boże, on jest cudowny! Nie

do wiary. Należy do świata filmu, billboardów, do świata reklamy końskich siodła albo czegoś podobnego. Ten mężczyzna idealny uśmiechał się jednak wyłącznie do niej, szeroko, szedł tuż przy jej boku i kochał ją w każdej sekundzie każdego dnia. Nawet podczas niezbyt częstych słownych potyczek czuła tę jego miłość. Cały czas.

Była szczęściarą.

Szczęśliwszą z dnia na dzień.

Poprowadziła Cade'a do krawędzi mostu, do niewielkiego, metalowego stopnia, szerokiego na tyle, że oboje mogli usiąść. Opuściła nogi nad krawędzią. Pod nimi, w wodzie, tańczyły promienie jesiennego słońca.

Oparłszy się wygodnie o siebie, jedli kanapki.

Pocałował ją, a ona oddała pocałunek.

- Smakujesz cebulą - powiedział. -Aha.

Siedzieli w milczeniu i patrzyli w dół. Większość metalowego złomu wywieziono stąd podczas budowy nowego

mostu, ale nikt jakoś nie ruszył zderzaka starego nissana. Leżał sobie teraz spokojnie i odbijał promienie słońca.

Cade zakasłał i odłożył kanapkę. Objął Abigail ramionami.

- To był najgorszy dzień w moim życiu.

Znów ją pocałował, a jej serce zabiło szybciej. Jak zawsze. - I jednocześnie najlepszy...

- Tak. W moim też.

Cade przycisnął ją mocniej. Ręcznie przedziona wełna z merynosa miękko dotykała jej policzka.

- Więc mówisz, że skończyłaś książkę? Książkę Elizy?

- Naszą wspólną.

- A kiedy ją przeczytam?

- Już niedługo.

- Jest tam coś o mnie?

- Nie. Ale nie martw się, na pewno w niej jesteś.

- Twoje pasjonatki robótek będą się o nią zabijały. To wielki dzień! Szkoda, że nie wiedziałem, bo kupiłbym szampana.

- I tak bym nie mogła się napić.

- Aha! - zaśmiał się Cade.

- No, nie mogłabym.

- Przecież uwielbiasz szampana. A wstawioną bąbelkami kocham cię najbardziej.

- Cóż... Przez jakiś czas nie będę jednak piła alkoholu. - Abigail uśmiechnęła się do niego najbardziej promiennym z uśmiechów.

- Nie rozumiem.

Nie przestając się uśmiechać, uniosła brew.

- A niech mnie! - wrzasnął Cade.

Skoczył na równe nogi i zaczął krzyczeć z radości. Później wziął Abigail za rękę i zaprowadził na bezpieczny kawałek skały. Podniósł ją i okręcił wokół siebie.

Abigail zawirowało w głowie, ale było to bardzo przyjemne uczucie. Pocałował ją. Oddała mu pocałunek i poczuła, jak drży w jej objęciach.

- Musimy to jednak uczcić - zamruczała jak kot. - Czy oprócz szampana przychodzi ci do głowy coś innego?

- Może to dziwne, ale tak.

- Na siedzeniu mojego samochodu! I to już! Pokładając się ze śmiechu, Abigail rzuciła się biegiem

w kierunku auta, gdzie już wcześniej rozłożyła koce.

Potrzebowała go właśnie teraz. Potrzebowała go od zawsze i będzie potrzebować w przyszłości. Rozpostarła ramiona, a on ją objął. Świat fiknął kozła i już nie było nic innego.

Tylko ich dwoje na kocu z własnoręcznie przędzionej wełny.